

Lisa Gardner

Godzina Zbrodni

(The Killing Hour)

Przełożył Tomasz Wilusz

PROLOG

Po raz pierwszy zwróciło to jego uwagę w 1998 roku. Dwie dziewczyny poszły do baru i zniknęły. Deanna Wilson i Marlene Mason – bo to od nich się zaczęło – dzieliły pokój w akademiku Uniwersytetu Georgia, były przez wszystkich lubiane, a wiadomość o ich zaginięciu nawet nie trafiła na pierwsze strony „Atlanta Journal-Constitution”. Wiele osób znika bez śladu. Zwłaszcza w wielkim mieście.

Tyle że wkrótce policja znalazła ciało Marlene Mason przy autostradzie numer 75. Wtedy coś drgnęło. Kto to widział, żeby córki szacownych obywateli Atlanty znajdowano leżące bez życia na poboczu jezdni. W dodatku dziewczyna była biała i pochodziła z dobrego domu. Takie rzeczy nie powinny się tu zdarzać.

Poza tym sprawa Mason była zagadkowa. Ubranie dziewczyny było nietknięte, z jej torebki nic nie zginęło. Nie stwierdzono śladów gwałtu ani napaści. Mało tego, z jej twarzy bił taki spokój, że przejeżdżający kierowca, który ją znalazł, myślał, że dziewczyna śpi. Ale Mason nie żyła. „Przedawkowanie narkotyków”, orzekł koroner (choć jej rodzice stanowczo zaprzeczaliby ich córka mogła zrobić coś takiego). Pozostawało pytanie: co stało się z jej współlokatorką?

To był w Atlancie straszny tydzień. Wszyscy szukali zaginionej studentki, gdy słupek rtęci sięgał niemal czterdziestu stopni. Zaczęto z werwą, ale stopniowo tracono zapał. Było za gorąco, policja miała na głowie masę innych spraw. Poza tym połowa Georgii uważała, że to Wilson jest winna – zabiła koleżankę podczas jakiejś kłótni, pewnie o chłopaka, i tyle. Ludzie oglądają seriale kryminalne. Wiedzą, jak to jest.

Jesienią para turystów znalazła zwłoki Wilson w wąwozie Tallulah, prawie sto pięćdziesiąt kilometrów od Atlanty. Dziewczyna wciąż miała na sobie strój wyjściowy, w tym siedmiocentymetrowe szpilki. Nie wyglądała jednak na pogrążoną w spokojnym śnie. Po pierwsze, do jej ciała dobrały się zwierzęta żerujące na padlinie. Po drugie, jej czaszka była roztrzaskana, prawdopodobnie w następstwie upadku z granitowego urwiska. Szpilki od Manolo Blahnika nie robią wrażenia na matce naturze.

Następna zagadka. Kiedy umarła Wilson? Dokąd poszła, gdy zniknęła z baru w centrum Atlanty? I czy najpierw zabiła koleżankę? W wąwozie znaleziono torebkę Wilson. Ani śladu narkotyków. Dziwne, ale nie znaleziono też jej ani samochodu, ani kluczyków.

Trup dostał się szeryfowi hrabstwa Rabun i sprawa znów powoli przycichła.

Mężczyzna wyciął kilka artykułów. Nie wiedział, po co. Ot, tak sobie.

W dziewięćdziesiątym dziewiątym to stało się znowu. Nadciągnęła fala upałów, wysokie temperatury podsycaly i tak gorącą atmosferę, i pewnego wieczoru dwie dziewczyny poszły do baru i tyle je widziano. Kasey Cooper i Josie Anders z Macon w Georgii. Nie były aniołkami. Jako nieletnie nie powinny w ogóle dostać alkoholu, no ale Anders miała chłopaka, który stał na bramce w barze. Mówił, że kiedy widział je ostatni raz, wsiadające do białej hondy civic należącej do Cooper, „były tylko trochę dziabnięte”. Ich zrozpaczone rodziny twierdziły, że dziewczyny były gwiazdami lekkoatletyki i nie dałyby się nigdzie

zabrać bez walki.

Tym razem ludzie zaniepokoiili się trochę bardziej. Zaczęli zastanawiać się, co jest grane. Po dwóch dniach dostali odpowiedź. Ciało Josie Anders zostało odnalezione przy autostradzie numer 441 – piętnaście kilometrów od wąwozu Tallulah.

Biuro szeryfa hrabstwa Rabun zaczęło pracować na przyspieszonych obrotach. Zorganizowano grupy ratownicze, wynajęto psy do poszukiwań, wezwano Gwardię Narodową. „Atlanta Journal-Constitution” napisał o sprawie na pierwszej stronie. Znow, jak zeszłego lata, w tajemniczych okolicznościach zniknęły dwie osoby. Jaki los mógł je spotkać w takim upale?

Mężczyzna zauważył coś, co wcześniej umknęło jego uwadze. Właściwie drobiazg. Krótka notka w rubryce *Listy do redakcji*, o treści: *Zegar tyka... planeta umiera... zwierzęta płaczą... rzeki krzyczą. Nie słyszycie? Żar zabija...*

I wtedy zrozumiał, dlaczego zaczął zbierać wycinki.

Kasey Cooper nie było w wąwozie. Jej ciało znalazło się dopiero podczas listopadowych zbiorów bawełny w hrabstwie Burke. Trzech mężczyzn obsługujących maszynę do zbioru bawełny przeżyło największe zaskoczenie w swoim życiu – na samym środku rozciągających się na wielu tysiącach hektarów pól bawełny leżała martwa dziewczyna, ubrana w skąpą czarną sukienkę.

Nie miała złamań kości ani żadnych widocznych obrażeń. Lekarz sądowy orzekł, że dziesięcioletnia zmarła w wyniku niewydolności licznych narządów wewnętrznych, spowodowanej prawdopodobnie ostrym udarem cieplnym. Innymi słowy, kiedy porzucono ją na środku pola, jeszcze żyła.

Pięć kilometrów od jej zmumifikowanych zwłok znaleziono pustą czterolitrową butelkę. Torebka leżała siedem kilometrów dalej. Co ciekawe, nie znaleziono ani samochodu, ani kluczyków.

Ludzie byli coraz bardziej zaniepokojeni. Zwłaszcza kiedy z biura lekarza sądowego wyszedł przeciek, że Josie Anders zmarła w wyniku przedawkowania leku – wstrzyknięto jej śmiertelną dawkę dostępnego na receptę środka o nazwie ativan. Paskudna sprawa. Dwa lata, dwie pary dziewczyn. Każdą z nich po raz ostatni widziano w barze. W obu przypadkach pierwszą ofiarę znajdowano na poboczu autostrady, drugą natomiast spotykał los o wiele, wiele gorszy...

Biuro szeryfa hrabstwa Rabun wezwało na pomoc GBI, Biuro Śledcze Georgii. Prasa znow się ożywiła. Na pierwszych stronach „Atlanta Journal-Constitution” pojawiły się nagłówki: GBI NA TROPIE SERYJNEGO ZABÓJCY. Krążyły plotki, ukazywały się kolejne artykuły, a mężczyzna skrupulatnie wycinał każdy z nich.

Pierś przeszywał mu coraz bardziej dotkliwy chłód. Dźwięk dzwonka telefonu przyprawiał o drżenie.

GBI nie szukało rozgłosu. „Śledztwo jest w toku”, oświadczył rzecznik policji stanowej. I to wszystko, co dało się z niego wyciągnąć. Do pierwszej fali upałów w lecie 2000 roku.

Zacząło się w maju. Dwie młode ładne studentki uniwersytetu stanowego w Augusta pojechały na weekend do Savannah i już nie wróciły. Ostatnim miejscem, w którym je

widziano, był bar. Samochód zniknął.

Tym razem do Georgii zwały się media z całego kraju. Przerażeni wyborcy wyszli na ulice. Mężczyzna gorączkowo wertował stosy gazet, a GBI wydawało nic nieznaczące oświadczenia typu „W tej chwili nie mamy podstaw, by podejrzewać, że istnieje jakikolwiek związek między tą a innymi sprawami”.

Mężczyzna wiedział swoje. Ludzie wiedzieli swoje. Dowodziły tego listy do redakcji. We wtorek, 30 maja, mężczyzna znalazł ten, którego szukał. Dokładnie te same słowa. Zegar tyka... planeta umiera... zwierzęta płaczą... rzeki krzyczą. Nie słyszycie? Żar zabija...

Ciało Celi Smithers leżało przy autostradzie numer 25 w Waynesboro, dwadzieścia kilometrów od miejsca, w którym przed sześcioma miesiącami znaleziono zwłoki Kasey Cooper. Ubranie Smithers było kompletne, w rękach kurczowo ścisnęła torebkę. Nie stwierdzono żadnych urazów ani śladów gwałtu. Tylko siniec na lewym udzie i mniejszy czerwony ślad po zastrzyku na lewym ramieniu. Przyczyna zgonu – przedawkowanie dostępnego na receptę środka uspokajającego, ativanu.

Ludzie dostali bzika; policja zaczęła pracować ze zdwojoną energią. Ciągłe nie znaleziono najlepszej przyjaciółki Smithers, Tamary McDaniels. Nie szukano jej jednak na polach bawełny w hrabstwie Burke. Ochotników od razu wysłano na błotniste brzegi rzeki Savannah. Wreszcie, pomyślał mężczyzna, zaczynają rozumieć reguły gry.

Powinien był wtedy podnieść słuchawkę. Wykręcić numer naprędce zorganizowanej gorącej linii. Mógłby być anonimowym informatorem. Albo stukniętym pacanem, który myśli, że wszystko wie.

Nie zrobił tego jednak. Po prostu nie wiedział, co powiedzieć.

– Mamy powody, by przypuszczać, że panna McDaniels żyje – ogłosił w wieczornych wiadomościach agent specjalny GBI Michael „Mac” McCormack. – Sądzimy, że sprawca porwa kobiety parami, przy czym pierwszą zabija od razu, a drugą porzuca w odludnym miejscu. W tym przypadku mamy podstawy, by uważać, iż wybrał do swoich celów odcinek rzeki Savannah. Wysyłamy tam przeszło pięciuset ochotników. Pragniemy przywieźć Tamarę do domu całą i zdrową.

I wtedy agent McCormack ujawnił zaskakujący fakt. On także czytał listy do redakcji. Poprosił autora krótkich notek o kontakt. Policja pragnęła go wysłuchać. I pomóc mu.

Kiedy o jedenastej zaczęło się wieczorne wydanie wiadomości, grupy ratownicze były już nad rzeką Savannah, a podejrzany miał imię. Stacja Fox News ochrzciła go „Ekomordercą”. Szaleniec, który najwyraźniej uważał, że zabijając kobiety, ocali Ziemię. Żaden tam Kuba Rozpruwacz.

Mężczyzna miał ochotę ich opieprzyć, wykrzyzczyć im w twarz, że nic a nic nie wiedzą. No, ale co mógł tak naprawdę powiedzieć? Oglądał więc wiadomości. Obsesyjnie wycinał artykuły. Wziął udział w całonocnym czuwaniu przy świecach, zorganizowanym przez udręczonych rodziców biednej Tamary McDaniels, ostatni raz widzianej w obcisłej czarnej spódnicy i butach na koturnach.

Tym razem ciała nie znaleziono. Rzeka Savannah rzadko oddaje to, co zabiera.

Ale rok 2000 jeszcze się nie skończył.

Lipiec. Temperatura dochodziła do czterdziestu stopni w cieniu. Pewnego wieczoru Mary Lynn Watts i jej siostra, Nora Ray, poszły ze znajomymi do T. G. I. Friday's na lody. Dziewczęta zaginęły gdzieś na ciemnej, smaganej wiatrem drodze prowadzącej do ich domu.

Mary Lynn została odnaleziona dwa dni później przy autostradzie numer 301, niedaleko rzeki Savannah. Temperatura wynosiła wówczas trzydzieści dziewięć stopni. Temperatura odczuwana – czterdzieści osiem. W gardle ofiary tkwiła brązowa muszla w bladej prążki. Jej nogi były umazane trawą i błotem.

Policja próbowała zataić te szczegóły, tak jak zrobiła to w innych przypadkach. I tym razem ujawnił je ktoś z biura lekarza sądowego.

I dopiero wtedy opinia publiczna usłyszała o tym, co wiedziała policja – a mężczyzna podejrzewał – od roku. Dlaczego pierwsza dziewczyna została porzucona przy ruchliwej drodze, w dobrze widocznym miejscu. Dlaczego morderca tak szybko ją zabił. Dlaczego w ogóle potrzebował dwóch dziewczyn. Ponieważ pierwsza z nich była tylko rekwizytem, narzędziem jednorazowego użytku niezbędnym w tej grze. Była mapą. Jeśli odpowiednio odczytasz wskazówki, może uda ci się znaleźć drugą dziewczynę żywą. Jeśli będziesz działał dostatecznie szybko. Jeśli wygrasz z upałem.

Przyjechała grupa do zadań specjalnych i dziennikarze, a agent specjalny McCormack ogłosił w telewizji, że w związku z tym, iż przy zwłokach Mary Lynn znaleziono sól morską, trawę bagienną i muszlę ślimaka pobrzeżka, wydał polecenie przeszukania stu pięćdziesięciu jeden tysięcy dwustu hektarów słonych błot Georgii.

Ale której ich części, wy barany? – zapisał mężczyzna w swoim zeszycie z wycinkami. *Teraz już powinniście wiedzieć o nim więcej. Zegar TYKA!*

– Mamy powody, by przypuszczać, że Nora Ray żyje – oznajmił agent specjalny McCormack, tak jak poprzednio. – I przywieziemy ją do domu, do jej rodziny.

Nie składaj obietnic, których nie możesz dotrzymać, napisał mężczyzna. Mylił się jednak.

Ostatni artykuł w grubym zeszycie: dwudziesty siódmy lipca 2000. Nora Ray Watts zostaje wyciągnięta półnaga ze słonych błot Georgii. Ósma ofiara Ekomordercy przeżyła pięćdziesiąt sześć godzin w czterdziestostopniowym upale, palącym słońcu, wśród podsycającej pragnienie soli, dzięki temu, iż żuła trawę bagienną i pokryła ciało ochronną warstwą błota. Zdjęcie w gazecie pokazuje ją triumfującą, pełną życia, odlatującą śmigłowcem Straży Przybrzeżnej.

Policja wreszcie poznała reguły gry. W końcu wygrali.

Ostatnia strona zeszytu. Żadnych artykułów, zdjęć ani komunikatów z wieczornych wiadomości. Mężczyzna napisał równymi drukowanymi literami tylko cztery słowa: *A JEŚLI SIĘ MYLĘ?*

I podkreślił je.

Rok 2000 wreszcie się skończył. Nora Ray Watts żyła. A Ekomorderca więcej nie zaatakował. Minęło lato, potem następne. Fale upałów przetaczały się nad Georgią i bogobojni mieszkańcy stanu musieli znosić rosnące temperatury i dręczący strach. I nic się nie stało.

Po trzech latach „Atlanta Journal-Constitution” przypomniał o sprawie. Dziennikarze

zapytali agenta specjalnego McCormacka o siedem nierozwiązanych zabójstw, o trzy lata paralizującego lęku. Odpowiedział tylko: „Śledztwo trwa”.

Mężczyzna nie zachował tego artykułu. Zgniół go w kulkę i wrzucił do kosza. Potem pił do późnej nocy.

To koniec, pomyślał. To koniec, jestem bezpieczny i tyle.

Ale w głębi duszy wiedział, że się myli. Są rzeczy, których nie da się uniknąć...

Rozdział 1

Quantico, Wirginia

15.59

Temperatura: 35 stopni

Boże, ale upał. Kaktusy by nie wytrzymały. Skały też. Mówię ci, tak samo było zaraz przed wyginięciem dinozaurów. Brak odpowiedzi.

– Naprawdę myślisz, że w pomarańczowym mi do twarzy? – zagaiła jeszcze raz kobieta za kierownicą.

– „Naprawdę” to za mocne słowo.

– No, nie każdy może nosić ciuchy w fioletową kratę.

– Fakt.

– Jezu, szlag mnie trafi od tego upału! – Kierowca, agentka Alissa Sampson, miała dość. Szarpnęła bezradnie poliestrowy zakiet w stylu lat siedemdziesiątych, rąbnęła dłonią w kierownicę i z irytacją wypuściła powietrze. Na zewnątrz było trzydzieści pięć stopni, a tu, w bucarze, pewnie ze czterdzieści parę. Nie najlepsza pogoda na poliestrowe kostiumy, o kamizelkach kuloodpornych nie wspominając. Pod pachami Alissy wykwitły jasnopomarańczowe plamy. Pachnący naftaliną różowo-fioletowy kostium w kratę agentki Kimberly Quincy wyglądał niewiele lepiej.

Na zewnątrz panował spokój. W klubie bilardowym nic się nie działo, w lombardzie i w barze także nic. Mijały kolejne minuty. Sekundy płynęły wolno jak kropla potu po policzku Kimberly. Nad głową miała M16, który, choć przypięty do dachu, gotowy był do natychmiastowego użycia.

– Tyle gadają o erze disco – mruknęła Alissa – a nie wspominają, że poliester nie przepuszcza powietrza. Boże, zacznijcie wreszcie czy nie?

Alissa była podenerwowana. Przed wstąpieniem do FBI była biegłą księgową i wszyscy bardzo cenili ją za to, że wprost ubóstwiała ślęczyć nad arkuszami kalkulacyjnymi. Dajcie Alissie komputer, a będzie w siódmym niebie. Tym razem jednak nie mogła ukryć się na zapleczu. Trafiła na pierwszą linię.

Lada moment miał nadjechać czarny samochód, wiozący potężnie zbudowanego, uzbrojonego po zęby faceta podejrzanego o handel bronią. Może będzie sam, może nie. Kimberly, Alissa i troje innych agentów mieli za zadanie zatrzymać wóz i aresztować wszystkich, jak leci.

Operacją dowodził Phil Lehane, nowojorski glina, najbardziej doświadczony ze wszystkich jej uczestników. Tom Squire i Peter Vince siedzieli w pierwszym wozie, Alissa z Kimberly w drugim. Kimberly i Tom, jako dobrzy snajperzy, mieli zapewnić partnerom osłonę. Alissa i Peter byli kierowcami, na wszelki wypadek uzbrojonymi w pistolety.

Jak na agentów FBI przystało, nie tylko dokładnie zaplanowali akcję i odpowiednio się ubrali, ale i skrupulatnie ją przećwiczyli. Już podczas pierwszej próby Alissa potknęła się,

wysiadając z samochodu i upadła na twarz. Do tej pory miała spuchniętą górną wargę, a w prawym kącie jej ust widać było plamki krwi.

Rany były płytkie. Za to niepokój przenikał ją do głębi.

– To za długo trwa – mamrotała pod nosem. – Miał być w banku o czwartej. Jest dziesięć po. Pewnie nie przyjdzie.

– Może się spóźnić?

– Robią nam wodę z mózgu i tyle. Tobie nie jest gorąco?

Kimberly wreszcie spojrzała na partnerkę. Kiedy Alissa była zdenerwowana, zaczynała pleść, co jej ślina na język przyniesie. Ona sama w takich sytuacjach stawała się chłodna i obcesowa. Ostatnio zdarzało jej się to aż za często.

– Jak ma przyjechać, to przyjedzie. Wyluzuj się!

Alissa zacisnęła usta. Coś błysnęło w jej jasnoniebieskich oczach. Gniew. Ból. Wstyd. Trudno powiedzieć. Świat FBI zdominowany był przez mężczyzn, więc krytyka z ust Kimberly wydawała się czymś w rodzaju bluźnierstwa. Miały trzymać się razem. Siła kobiet, walka o równouprawnienie, i tak dalej.

Kimberly znów zajęła się obserwacją ulicy. Teraz ona także była zła. Cholera. Jasna cholera. W dupę jeża.

Radio na desce rozdzielczej nagle obudziło się do życia. Alissa złapała mikrofon, nie próbując nawet ukryć ulgi.

Głos Phila Lehane'a był cichy, ale spokojny.

– Tu wóz A. Obiekt w polu widzenia, wsiada do samochodu. Wóz B gotowy?

– Gotowy.

– Wóz C, gotowy?

Alissa pstryknęła przełącznikiem.

– Zwarty i gotowy.

– Na „trzy” ruszamy. Raz, dwa, Trzy!

Po rozpalonej ulicy poniosł się dźwięk pierwszej syreny i choć Kimberly spodziewała się go usłyszeć, podskoczyła na fotelu.

– Spoko – mruknęła Alissa bez emocji i przekręciła kluczyk w stacyjce. Z przewodów wentylacyjnych buchnęło gorące powietrze, ale były zbyt skupione, by to zauważyć. Kimberly sięgnęła po karabin. Stopa Alissy zawisła nad pedałem gazu.

Syreny. Jeszcze nie, jeszcze nie...

– Stać, FBI! – ryknął przez megafon oddalony o dwie przecznice Lehane, zaganiając podejrzanego bliżej bocznej ulicy, na której czekały agentki. Ścigany był miłośnikiem opancerzonych mercedesów i granatników. Mieli go aresztować, gdy będzie załatwiał jakieś prywatne sprawy. Mieli nadzieję, że jego czujność osłabnie i wykorzystają element zaskoczenia. Teoretycznie.

– Stać! – powtórzył Lehane. Podejrzany jednak najwyraźniej nie miał ochoty ułatwić im zadania. Zamiast towarzyszącego hamowaniu pisku opon, Alissa i Kimberly usłyszały ryk silnika. Alissa zbliżyła stopę do pedału gazu.

– Mijamy kino – warknął agent Lehane przez radio. – Podejrzany ucieka w stronę apteki.

Gotowi... start.

Alissa wcisnęła gaz do dechy i ciemnoniebieski bucar wyskoczył na pustą ulicę. Po lewej stronie mignął czarny kształt. Alissa zahamowała ostro i obróciła kierownicę, ustawiając wóz pod kątem czterdziestu pięciu stopni. W tej samej chwili drugi bucar zablokował sąsiedni pas.

Kimberly wyraźnie widziała przód pędzącego ku nim mercedesa, ozdobiony srebrną kratą z charakterystycznym logo. Otworzyła drzwi od strony pasażera, jednocześnie odpinając pasy, po czym oparła karabin na ramieniu i wymierzyła w przednie koło.

Jej palec nacisnął spust.

Podejrzany wreszcie zahamował. Krótki pisk opon. Smród palonej gумы. I samochód zatrzymał się w odległości czterech metrów od jej wozu.

– FBI, ręce na głowę! Ręce na głowę!

Lehane stanął za mercedesem i z furią krzyczał przez megafon. Otworzył kopnięciem drzwi i wymierzył pistolet w szparze między nimi a przednią szybą i wymierzył w mercedesa. Nie miał jak trzymać megafonu. Musiał polegać na swoim głosie.

– Ręce na głowę! Sięgnij lewą ręką do drzwi i opuść szyby! Czarny sedan stał nieruchomo. Drzwi się nie otworzyły, przyciemnione szyby ani drgnęły. Zły znak. Kimberly pewniej chwyciła karabin lewą ręką i zsunęła z ramienia pas. Nie wystawiła nóg z samochodu, bo mogłyby stać się dobrym celem. Głowę i ramiona także miała dobrze ukryte wewnątrz wozu. Jeśli człowiek chce mieć dobry dzień, to stara się, by bandyta nie zobaczył nic oprócz wylotu lufy jego karabinu. Na razie nie wiedziała, czy ten dzień okaże się dobry. Na jej czole pojawiła się następna kropla potu i spłynęła po policzku.

– Ręce na głowę! – powtórzył Lehane. – A teraz lewą ręką otwórz wszystkie okna.

Szyba po stronie kierowcy wreszcie zjechała w dół. Kimberly dostrzegła zarys głowy. Wyglądało na to, że facet posłusznie podniósł ręce. Odprężyła się nieco, przestała ścisnąć karabin.

– Lewą ręką wyjmij kluczyk ze stacyjki.

Lehane kazał facetowi używać lewej ręki, by ręka prawa, według statystyk sprawniejsza u większości osób, cały czas pozostawała w polu widzenia. Zaraz kierowca dostanie polecenie, by wyrzucić kluczyk przez okno i otworzyć drzwi wozu. Wszystko lewą ręką. Następnie będzie musiał wysiąść z podniesionymi rękami i powoli obrócić się o trzysta sześćdziesiąt stopni, by można było sprawdzić, czy pod jego ubraniem nie rysuje się kształt broni. Gdyby był w kurtce, kazaliby mu ją rozpiąć i pokazać, co ma pod spodem. Na koniec podejdzie do nich z rękami na głowie, obróci się, uklęknie, skrzyżuje nogi w kostkach i usiądzie na piętach. Dopiero wtedy zajmą się nim agenci.

Niestety, kierowca najwyraźniej nie znał tych wszystkich zasad. Nie opuścił rąk, ale i nie sięgnął do stacyjki.

– Quincy? – z radia dobiegł zakłócany trzaskami głos Lehane'a.

– Widzę kierowcę – zameldowała Kimberly, patrząc przez celownik. – Nie widzę fotela pasażera. Szyba jest za ciemna.

– Squire?

Tom Squire był w wozie B, zaparkowanym sześć metrów na prawo od Kimberly.

– Chyba... chyba ktoś jest na tylnym siedzeniu. Trudno powiedzieć, to przez te szyby.

– Wyjmij lewą ręką kluczyk. – Lehane powtórzył rozkaz, tym razem głośniejszym głosem, ale wciąż był opanowany. Najważniejsze to być cierpliwym. Niech kierowca podejdzie do ciebie, nie trać kontroli nad sytuacją.

Czy to tylko złudzenie, czy samochód zaczął się kołysać? Ktoś się w nim porusza...

– Tu FBI! Wyjmij kluczyk ze stacyjki!

– Cholera, cholera, cholera – syknęła Alissa. Była mokra od potu, słone krople ściekały jej po twarzy. Na wpół wychylona z samochodu, trzymała glocka w szparze między dachem a otwartymi drzwiami. Jej prawa ręka wyraźnie drżała. Dopiero teraz Kimberly zauważyła, że Alissa nie do końca zsunęła pas. Wciąż oplatał jej lewe ramię.

– Wyjmij...

Lewa ręka kierowcy wreszcie się poruszyła. Alissa odetchnęła głęboko. A zaraz potem wszystko trafił szlag. Kimberly zauważyła to pierwsza.

– Broń! Tylnie siedzenie, po stronie kierowcy...

Trach, trach, trach! Po przedniej szybie rozlała się czerwień. Kimberly schyliła się, wyskoczyła z wozu i schowała za drzwiami. Poderwała się i zaczęła strzelać nad szybą. Znow trach, trach, trach.

– Przeładowuję karabin! – krzyknęła przez nadajnik.

– Tu Vince, przeładowuję pistolet.

– Jesteśmy pod silnym ostrzałem z prawej, z tylnego okna od strony pasażera!

– Alissa! – krzyknęła Kimberly – osłaniaj nas!

Odwróciła się do partnerki, gorączkowo wciskając pociski do magazynku, i dopiero wtedy zorientowała się, że Alissa zniknęła.

– Alissa?

Wychyliła się nad przednimi siedzeniami. Agentka Alissa Sampson leżała na asfalcie, na jej tanim pomarańczowym kostiumie wykwitła ciemnoczerwona plama.

– Mamy ranną mamy ranną! – krzyknęła Kimberly. Kolejne trach i kilka centymetrów od nogi Alissy w asfalcie pojawiła się dziura.

– Cholera – jęknęła. – O w mordę, to boli!

– Gdzie te karabiny?! – wrzasnął Lehane.

Kimberly podniosła wzrok, zobaczyła szeroko otwarte drzwi mercedesa i rozpryskujące się na wszystkie strony jaskrawe barwy. Tak, wszystko diabli wzięli.

– Karabiny! – ryknął Lehane.

Kimberly pospiesznie przewróciła się na bok i wcisnęła karabin w szparę w drzwiach. Rozpaczliwie próbowała przypomnieć sobie zasady postępowania w takich sytuacjach. Priorytetem wciąż pozostawało aresztowanie podejrzanego. Ale są pod silnym ostrzałem, życie agentów jest zagrożone. Pieprzyć to. Zaczęła strzelać do wszystkiego, co ruszało się w pobliżu mercedesa.

Następny strzał i fiolet rozprysnął się na drzwiach jej samochodu. Pisnęła i uchyliła się odruchowo. Po kolejnym strzale, kilka centymetrów od jej odsłoniętych nóg, z chodnika wzbil się żółty pył. Cholera!

Kimberly poderwała się, strzeliła, po czym znów schowała się za drzwiami.

– Quincy, przeladuję broń! – wrzasnęła do nadajnika. Ręce drżały jej tak mocno od nadmiaru adrenaliny, że dopiero za drugim razem poradziła sobie z mechanizmem spustowym. No, Kimberly, oddychaj!

Muszą odzyskać panowanie nad sytuacją. Kimberly nie mogła wcisnąć tych zasranych pocisków do magazynka. Oddychaj, oddychaj, oddychaj. Weź się w garść. Kątem oka zauważyła jakiś ruch. Samochód. Czarny sedan, wciąż z otwartymi drzwiami, toczył się do przodu.

Złapała nadajnik, upuściła go, chwyciła raz jeszcze i krzyknęła:

– W koła, strzelajcie w koła!

Squire i Lehane musieli ją usłyszeć albo sami wpadli na ten pomysł, bo asfalt przecięła seria pocisków i sedan zatrzymał się nagle pół metra od samochodu Kimberly. Agentka podniosła głowę. Napotkała zdumione spojrzenie mężczyzny siedzącego za kierownicą. Wyskoczył z samochodu. Kimberly rzuciła się za nim w pościg.

Wtedy jej plecy przeszył ostry palący ból.

Agentka Kimberly Quincy upadła na rozgrzany asfalt.

– No, to był pokaz głupoty! – krzyknął piętnaście minut później Mark Watson, instruktor FBI. Ćwiczenia zostały zakończone. Piątka nowych agentów wróciła na miejsce zbiórki na Hogan's Alley, wszyscy pochłapani farbą, zgrzani i teoretycznie półmartwi. Teraz mieli zaszczyt wysłuchania surowej reprimendy w obecności trzydziestu ośmiu kolegów z akademii. – Kto mi powie, jaki był pierwszy błąd?

– Alissa nie zdjęła pasów bezpieczeństwa.

– Tak. Odpięła je, ale nie zsunęła z ramion. I kiedy przyszedł czas na działanie...

Alissa spuściła głowę.

– Trochę się w nie zaplątałam, chciałam się uwolnić...

– Podniosłaś się i dostałaś postrzał w ramię. Dlatego właśnie ćwiczymy. Problem numer dwa?

– Kimberly nie osłaniała partnerki.

Oczy Watsona rozbliły. Zanim przed dziesięcioma laty wstąpił do FBI, służył w policji w Denver, był to więc jeden z jego ulubionych tematów.

– No właśnie, sprawa Kimberly i jej partnerki. Kimberly, dlaczego nie zauważyłaś, że Alissa nie zdjęła pasów?

– Zauważyłam! – zaprotestowała Kimberly. – Ale potem przyjechał ten samochód, zaczęła się strzelanina... Wszystko działo się tak szybko.

– Wszystko działo się tak szybko! Epitafium dla martwych i źle wyszkolonych agentów. Otóż... owszem, trzeba uważać na podejrzanego. Trzeba też być świadomym swojej roli. Ale poza tym agent musi wiedzieć, co dzieje się obok. Twoja partnerka coś przeoczyła. Jej błąd. Ale ty nie zwróciłaś na to uwagi, i to już twój błąd. Ona dostała i skutki błędu z każdą chwilą stawały się coraz poważniejsze. A tak w ogóle, to dlaczego zostawiłaś ją ranną na jezdni?

– Lehane domagał się wsparcia ogniowego...

– Zostawiłaś agentkę na widoku! Nawet jeśli jeszcze żyła, to czekała ją pewna śmierć!

Nie mogłaś jej wciągnąć do samochodu?

Kimberly otworzyła i zamknęła usta. Pomyślała egoistycznie i gorzko, że Alissa mogłaby choć raz dla odmiany sama się o siebie zatroszczyć, po czym uznała, że nie ma sensu się o to spierać.

– Trzeci błąd – rzucił Watson.

– Nie przejęli kontroli nad samochodem – powiedział ktoś z grupy.

– Otóż to. Zatrzymaliście wóz podejrzanego, ale nie przejęliście nad nim kontroli. – Jego wzrok powędrował do Lehane'a. – Kiedy sprawy zaczęły się komplikować, co powinniście byli zrobić?

Lehane'owi było wyraźnie głupio. Przejechał palcem po kołnierzu lekkiej brązowej marynarki, dwa rozmiary za dużej, o lewym rękawie upstrzonym jaskraworóżowymi i musztardowymi plamami. Pistolety aktorów czyli niby bandytów – strzelały nabojami z farbą, stąd te lumpeksowe kreacje. Poza tym pociski zadawały przy trafieniu cholerny ból i dlatego Lehane troskliwie przyciskał lewą rękę do żeber. Żeby było jasne, słuchacze Akademii FBI nie dostawali na akcję pistoletów na farbę, tylko służbową broń naładowaną ślepyimi nabojami. Oficjalnie chodziło o to, by przyszli agenci się z nią oswoili. Nosili również kamizelki kuloodporne, by przywyknąć do ich ciężaru. Wszystko cacy, ale dlaczego aktorzy też nie mogli strzelać ze ślepaków?

Studenci mieli na ten temat własne teorie. Wybuchające jasnymi barwami pociski z farbą sprawiały, że trafionemu było jeszcze bardziej głupio. A ból nieprędko mijał. Jak ironicznie zauważył Steven, psycholog grupy, ćwiczenia na Hogan Alley były w gruncie rzeczy klasyczną terapią wstrząsową na niespotykaną dotąd skalę.

– Przestrzelić opony – odpowiedział Lehane.

– Tak, dobrze chociaż, że Kimberly w końcu na to wpadła. Co wiąże się z następną kwestią: Największego Błędu Dnia.

Spojrzenie Watsona przeniosło się na Kimberly. Spojrzała mu w oczy, domyśliła się, o co chodzi, i hardo uniosła podbródek.

– Wskoczyła zza samochodu, który dawał jej osłonę – podsunęła pierwsza osoba.

– Odłożyła broń.

– Zaczęła gonić podejrzanego przed zabezpieczeniem sytuacji.

– Przestała osłaniać pozostałych...

– Dała się zabić...

– Może stęskniła się za partnerką?

Śmiech. Kimberly spojrzała z politowaniem na żartownisia. Whistler, potężnie zbudowany były marine, który oddychał z głośnym świstem, uśmiechnął się do niej. Poprzedniego dnia to on popełnił Największy Błąd Dnia – podczas napadu na bank Hogan chciał zastrzelić bandytę, a trafił kasjera.

– Trochę się pogubiłam – stwierdziła Kimberly krótko.

– Zginęłaś – poprawił ją Watson beznamiętnym tonem.

– Zostałam tylko sparaliżowana!

Reakcją było następne rozbawione spojrzenie.

– Najpierw zabezpiecz samochód. Opanuj sytuację. Potem ruszaj w pościg.

– Ale on by uciekł...

– Za to miałabyś jego samochód, który jest dowodem, jego współników, którzy wydaliby go, a co najważniejsze, przeżyłabyś. Lepszy wróbel w garści, Kimberly. Wróbel w garści. – Watson posłał jej jeszcze jedno surowe spojrzenie, po czym zwrócił się do całej grupy: – Pamiętajcie, nawet w najbardziej gorących momentach musicie nad sobą panować. To znaczy, wykorzystywać całą wiedzę nabytą na szkoleniu i podczas niekończących się ćwiczeń, do których was zmuszamy. Na Hogan's Alley chodziło o to, byście nauczyli się podejmować właściwe decyzje. Nieprzygotowany strzał do bandyty rabującego bank to nie jest właściwa decyzja. – Popatrzył znacząco na Whistlera. – Podobnie jak wyskakiwanie zza zapewniającego osłonę samochodu i pozostawianie innych agentów, by pieszo gonić podejrzanego. – Kolejne spojrzenie na Kimberly. Jakby było jej mało. – Pamiętajcie, czego uczyliście się na szkoleniu. Zachowajcie rozsądek. Panujcie nad sobą. Dzięki temu przeżyjecie. – Spojrzał na zegarek i klasnął w dłonie. – No dobra, drodzy państwo, godzina piąta, na dzisiaj koniec. Idźcie zmyć z siebie tę farbę, na litość boską. I pamiętajcie, dopóki trwają te upały, pijcie dużo wody.

Rozdział 2

Quantico, Wirginia

17.22

Temperatura: 34 stopnie

Dwadzieścia minut później Kimberly, nareszcie sama, stała w swoim małym pokoju w akademiku Washington Hall. Tego popołudnia najadła się takiego wstydu, że teraz chciała sobie popłakać. Odkryła jednak, że po upływie dziewięciu z szesnastu tygodni szkolenia w akademii jest zbyt zmęczona na łzy.

Stała więc nago na środku pokoju. Patrzyła na swoje odbicie w dużym lustrze i nie wierzyła własnym oczom.

Z prawej strony dobiegał szum wody, w łazience, którą dzieliły z dwiema innymi studentkami, jej współlokatorka, Lucy, brała prysznic po WF-ie. Gdzieś w oddali rozlegały się strzały i sporadyczne wybuchy. Zajęcia w Akademii FBI i Akademii Narodowej na dziś się skończyły, ale w Quantico nadal wiele się działo. Ćwiczyły tu piechota morska i Agencja do Spraw Narkotyków. Na tym obejmującym sto pięćdziesiąt cztery hektary obszarze niemal o każdej porze dnia i nocy ktoś do czegoś strzelał.

Kiedy Kimberly przyjechała tu w maju i, wysiadając z autobusu z Dafre, poczuła woń kordytu i świeżo skoszonej trawy, pomyślała, że to najpiękniejszy zapach na świecie. Akademia wydała jej się wspaniała. I zadziwiająco niepozorna. Trzyście dużych beżowych budynków z cegły rozrzuconych na rozległym obszarze przypominało siedziby wielu innych instytucji zbudowanych w latach siedemdziesiątych. Na przykład college'ów, urzędów państwowych. Ot, budynki, jakie spotkać można wszędzie.

Właściwie to samo można by powiedzieć o ich wnętrzach. Jak okiem sięgnąć, podłogę przykrywała praktyczna niebieskoszara wykładzina. Ściany były białe jak kości. Umeblowanie skąpe i funkcjonalne – niskie pomarańczowe krzesła, składane dębowe stoły i biurka. Akademia została oficjalnie otwarta w 1972 roku i mówiło się, że wystrój niewiele się od tamtej pory zmienił.

Cały kompleks robił jednak zaskakująco przyjemne wrażenie. Akademik imienia Jeffersona, gdzie zgłaszali się goście, imponował pięknymi wykończeniami z drewna i oszklonym atrium, idealnym do grillowania pod dachem. W łączących budynki kilkunastu korytarzach z oknami z przydymionego szkła człowiek czuł się, jakby szedł po łące. Co krok napotykało się dziedzińce z obsypanymi kwieciami drzewami, ławkami z kutego żelaza i wyłożone kamieniem patia. W słoneczne dni studenci mogli w drodze na zajęcia ścigać się ze świstakami, zajęciami i wiewiórkami uganiającymi się po pofałdowanych trawnikach. O zmierzchu na obrzeżach lasu pojawiały się świecące złociste oczy jeleni, lisów i szopów, obserwujące budynki w takim samym skupieniu, z jakim same były obserwowane przez przebywających wewnątrz studentów. Któregoś dnia, chyba w trzecim tygodniu szkolenia, idąc oszklonym korytarzem, Kimberly odwróciła się, by popatrzeć na kwitnący biały dereń,

gdy nagle wśród gałęzi pojawił się gruby czarny wąż i spadł na patio.

Dobra wiadomość była taka, że nie zaczęła krzyczeć. Zrobił to inny student, były żołnierz marynarki. „Zaskoczony byłem” – tłumaczył się potem, zakłopotany. „No, słowo honoru”.

Oczywiście od tamtej pory wszystkim zdarzyło się raz czy dwa wrzasnąć. W przeciwnym razie instruktorzy byliby niepokieszeni.

Kimberly obejrzała w lustrze swoje pokiereszowane ciało. Prawy obojczyk był ciemnofioletowy. Lewe udo – żółtozielone, klatka piersiowa cała w sińcach, podobnie jak łydki. A prawa strona twarzy – po wczorajszym strzelaniu ze strzelby – wyglądała jak zmasakrowana tłuczkiem do mięsa. Odwróciła się i spojrzała na świeżego sińca tworzącego się na plecach. Będzie świetnie pasował do wielkiego czerwonego placka, który wykwitł z tyłu prawego uda po ćwiczeniach na macie.

Przed dziewięcioma tygodniami prezentowała się świetnie: metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, pięćdziesiąt osiem kilo, same mięśnie. Ćwiczyła regularnie, więc była sprawna, szczupła i przekonana, że z WF-em poradzi sobie bez najmniejszych problemów. Miała stopień magistra kryminologii, uczyła się strzelać od czasu, gdy skończyła dwanaście lat i całe życie stykała się z agentami FBI, głównie z własnym ojcem, więc przestąpiła próg akademii pewnym krokiem, jakby od tej pory to ona miała tu rządzić. Oto Kimberly Quincy, wciąż wkurzona z powodu jedenastego września. Dranie, rzućcie broń i pochowajcie się po norach.

To było dziewięć tygodni temu. Za to teraz...

Straciła na wadze, to pewne. Miała podkrążone oczy, zapadnięte policzki, a nogi wydawały się zbyt chude, by udźwignąć jej ciężar. Garbiła się lekko, jak kobieta, która przegrała o ten jeden raz za dużo. Jej paznokcie były połamane i poobgryzane.

Wyglądała jak mocno zużyta kopia siebie samej sprzed kilku tygodni. Bliznom na ciele towarzyszyły blizny na duszy.

Nie mogła znieść widoku własnego ciała. Ani odwrócić wzroku.

Z łazienki dobiegł głośny zgrzyt i szum wody ucichł. Zaraz przyjdzie Lucy.

Kimberly powiodła opuszkami palców po odbiciu swojego posiniaczonego obojczyka; szkło było zimne i twarde.

I przypomniało jej się coś, o czym nie myślała od sześciu lat. Zobaczyła swoją matkę, Elizabeth Quincy, jej ciemne, lekko kręcone, brązowe włosy, delikatne, szlachetne rysy. Ubrana w swoją ulubioną jedwabną bluzkę w kolorze kości słoniowej, uśmiechała się do niej, lecz wydawała się też zaniepokojona, smutna i rozdarta.

„Chcę, żebyś była szczęśliwa, Kimberly. O Boże, gdybyś tylko tak bardzo nie przypominała ojca... „

Palce Kimberly zostały na lustrze. Zamknęła jednak oczy, bo choć upłynęło tyle lat, to pewnych rzeczy wciąż nie potrafiła znieść.

Kolejny dźwięk z łazienki; Lucy przesuwiała zasłonę. Kimberly otworzyła oczy. Szybko podeszła do łóżka i chwyciła ubranie. Ręce jej drżały. Bolał ją obojczyk.

Wciągnęła ciemnoniebieskie szorty i jasnoniebieską podkoszulkę z napisem FBI.

Szósta. Inni studenci zaraz ruszana kolację. Kimberly poszła poćwiczyć.

Kimberly przyjechała do Akademii FBI w Quantico w Wirginii w trzecim tygodniu maja jako członek grupy NAC 03-05 – czyli piątej z rozpoczynających szkolenie w 2003 roku.

Jak większość studentów, od małego marzyła o pracy w FBI. Powiedzieć, że ucieszyła się na wieść o tym, iż została przyjęta, to za mało. Do akademii dostawało się zaledwie sześć procent kandydatów – mniejszy odsetek niż na Harvard – więc Kimberly była oszołomiona, oniemiała, zachwycona, osłupiała, zaniepokojona, przerażona i zdumiona zarazem. Przez dwadzieścia cztery godziny zachowywała tę wiadomość dla siebie. To była jej wielka tajemnica, jej wielki dzień. Po tylu latach nauki, szkoleń, prób i marzeń...

Odebrała zawiadomienie o przyjęciu do akademii, poszła do Central Parku, usiadła na ławce i z głupawym uśmiechem obserwowała spacerowiczów.

Na drugi dzień zadzwoniła do ojca. Powiedział: „To wspaniale, Kimberly”, tym swoim cichym opanowanym głosem, a ona paplała, nie wiedząc czemu: „Niczego mi nie potrzeba. Jestem gotowa. Naprawdę, wszystko w porządku”.

Zaproponowałby zjadła kolację z nim i jego partnerką, Rainie Conner. Odmówiła. Zamiast tego, skróciła włosy i obcięła paznokcie. Potem odbyła dwugodzinną podróż na Cmentarz Narodowy w Arlington, gdzie siedziała w milczeniu wśród lasu białych krzyży.

W Arlington zawsze pachnie świeżo skoszoną trawą. Jest tam zielono, słonecznie i jasno. Niewiele osób o tym wie, jedną z nich jest Kimberly.

Kiedy trzy tygodnie później przyjechała do akademii, czuła się jak na letnim obozie. Wszystkich nowo przybyłych upchnięto w Akademiku imienia Jeffersona. Instruktorzy wyczytywali nazwiska z list, a przyszli agenci ściskali torby podróżne i udawali spokojniejszych i bardziej wyluzowanych niż byli.

Kimberly bezceremonialnie wręczono zwiniętą w tłumok cienką białą pościel i pomarańczową narzutę, co miało służyć za jej całe poślanie. Dostała też jeden wytarty biały ręcznik i równie sfatygowaną myjkę. Poinformowano ją, że nowi studenci sami sobie ścielą łóżka, a kiedy zechce zmienić pościel, będzie musiała najpierw odnieść starą. Na koniec wciśnięto jej regulamin akademii. Liczył dwadzieścia cztery strony.

Następnie wybrała się do wojskowego komisur, gdzie za śmiesznie niską cenę, trzystu dwudziestu pięciu dolarów, kupiła uniform nowego agenta: jasnobrązowe obszerne spodnie, pas tego samego koloru i granatową koszulkę polo z logo akademii na lewej piersi. Jak pozostali słuchacze, wzięła też oficjalny rzemyk FBI, na którym zawiesiła identyfikator.

Szybko przekonała się, jak ważne są identyfikatory. Po pierwsze, noszący je studenci nie musieli się bać, że ochrona zatrzyma ich i wyrzuci za bramę. Po drugie, dawały prawo do darmowego posiłku w stołówce.

Nowi agenci dowiedzieli się, że muszą chodzić w uniformach od poniedziałku do piątku w godzinach od ósmej rano do wpół do piątej po południu. Zaraz potem wszyscy, jak za skinieniem czarodziejskiej różdżki, zmieniali się w zwykłych śmiertelników i mogli przebrać się w normalne ciuchy – byleby nie były to sandały, szorty, bluzki bez rękawów, koszulki bez rękawów czy obcisłe topy. W końcu to akademia.

Noszenie broni było zabronione. Kimberly oddała swojego glocka kaliber 40 do magazynu. W zamian dostała coś, co nowi agenci czule nazywali „podróbką” albo „czerwoną

klamką” – czerwony plastikowy pistolet wielkością i ciężarem zbliżony do glocka. Nowi agenci musieli stale nosić „podróbki” i atrapę kajdanek. Podobno miało im to pomóc oswoić się z bronią.

Kimberly nie cierpiała „czerwonej klamki”. Wydawała jej się dziecinna i głupia. Chciała odzyskać glocka. Za to księgowi, prawnicy i psychologowie z jej grupy, mający zerowe doświadczenie w posługiwaniu się bronią, uwielbiali te zabawki. Mogli upuszczać je na podłogę i siadać na nich bez obawy, że postrzelą siebie czy innych. Któregoś dnia Gene Ywes gestykulował tak gwałtownie, że podróbka wyskoczyła mu z ręki, przeleciała przez całą salę i uderzyła innego nowego agenta w głowę. Tak, trzeba przyznać, że to dobry pomysł, by w ciągu pierwszych kilku tygodni nie wszyscy mogli nosić broń.

Ale Kimberly i tak chciała swojego glocka.

Obarczeni pościelą, uniformami i zabawkowymi pistoletami, nowi agenci wracali do akademików, by poznać swoich współlokatorów. Na początku wszyscy trafiali do Akademików imienia Madisonsa i Washingtona, w których pokoje były dwuosobowe, a na dwa przypadła jedna łazienka. Poza tym były ciasne, ale funkcjonalne – dwa łóżka, dwa małe dębowe biurka, jeden duży regał. Wszystkie łazienki, pomalowane na jaskrawy niebieski kolor z powodów znanych wyłącznie woźnemu, wyposażone były w małą umywalkę i prysznic. Bez wanny. Po czterech tygodniach, kiedy posiniaczone i poobijane ciała wszystkich nowych agentów domagały się długiej gorącej kąpieli, kilku z nich wynajęło pokoje hotelowe w pobliskim Stafford tylko po to, by zanurzyć się w wannie. Naprawdę.

Współlokatorka Kimberly, Lucy Dawbers, była trzydziestosześcioletnią prawniczką i miała w Bostonie własną kamienicę. Pierwszego dnia na widok spartańskiej kwatery jęknęła:

– Dobry Boże, co ja zrobiłam?

Kimberly miała nieodparte wrażenie, że Lucy oddałaby wszystko za lampkę chardonnay. Poza tym bardzo tęskniła za swoim pięcioletnim synem.

Dobra wiadomość – zwłaszcza dla tak nietowarzyskich agentów jak Kimberly – była taka, że w dwunastym tygodniu szkolenia mieli prawo ubiegać się o przeniesienie do „Hilona” – Akademika imienia Jeffersona. Pokoje były tam nie tylko trochę większe, ale, co ważniejsze, w każdym była łazienka. Raj na ziemi.

Zakładając, że człowiek przetrwa dwanaście tygodni.

Trzem studentom z grupy Kimberly już się to nie udało.

Teoretycznie Akademia FBI zastąpiła obowiązujący tu dawniej ostry rygor lżejszym i prostszym programem szkolenia. Odkąd FBI zrozumiało, jak kosztowny jest werbunek nowych agentów, zaczęło traktować akademię jak miejsce ostatecznego szlifowania umiejętności wybrańców, a nie ostatnią okazję do odrzucenia słabych.

Tyle teoria. W praktyce próby zaczynały się w pierwszym tygodniu. Przebiegniesz trzy kilometry poniżej szesnastu minut? Zrobisz w minutę pięćdziesiąt pompek? A sześćdziesiąt brzuszków? Sprint ze zmianą kierunku biegu musi zostać ukończony w dwadzieścia cztery sekundy, po linii piętnastometrowej długości trzeba się wspinać w czterdzieści pięć.

Przyszli agenci biegali, ćwiczyli, dzielnie znosili ciągłe pomiary tkanki tłuszczowej i modlili się, by udało im się podciągnąć słabe punkty – czy chodziło o sprint, czy wchodzenie

po linie, czy też o pompki – i przejść trzy serie testów sprawnościowych.

A potem doszły zajęcia teoretyczne – z przestępstw urzędniczych, sporządzania portretów psychologicznych, praw obywatelskich, kontrwywiadu, przestępczości zorganizowanej i spraw związanych z handlem narkotykami. Lekcje przesłuchiwania, technik aresztowania, manewrowania samochodem, działań wywiadowczych i informatyki. Wykłady z kryminologii, prawa, medycyny sądowej, etyki i historii FBI. Niektóre były ciekawe, inne potwornie męczące, i w ciągu szesnastu tygodni z każdego przedmiotu zdawało się po trzy egzaminy. I nie oceniano ich tak, jak w szkole średniej – aby zaliczyć, trzeba było mieć co najmniej osiemdziesiąt pięć procent poprawnych odpowiedzi. Ci, którym się to nie udało, mogli pisać poprawkę. Jeśli i wtedy nie zaliczyli, podlegali „recyklingowi” – cofano ich do niższej grupy.

Recykling. Niewinne słowo. Jak w poprawnym politycznie programie sportowym. Nie ma zwycięzców ani przegranych, jest tylko recykling.

Recykling to poważna sprawa. Nowi agenci panicznie się go bali, śnili o nim koszmary. Wypowiadali to złowieszcze słowo szeptem na korytarzach. To ono sprawiało, że wytrwale pokonywali wysoką ścianę do wspinaczki, mimo że trwał już dziewiąty tydzień szkolenia i coraz mniej sypiali, podczas gdy wysiłek był coraz większy, ćwiczenia coraz trudniejsze, a oczekiwania wyższe. I co dzień ktoś popełniał Największy Błąd Dnia...

Oprócz ćwiczeń fizycznych i zajęć teoretycznych nowi agenci ćwiczyli strzelanie. Kimberly myślała, że tu będzie miała z górki. Od dziesięciu lat brała lekcje strzelania z glocka. Dobrze się czuła z pistoletem w ręku i była pierwszorzędnym strzelcem.

Tyle że ćwiczenia nie polegały tylko na staniu i mierzeniu do papierowego celu. Trenowali strzelanie z pozycji siedzącej – jakby zostali zaskoczeni za biurkiem, strzelanie w biegu, na leżąco, w nocy. Dochodziły jeszcze skomplikowane kombinacje typu: zrywasz się z ziemi, biegniesz, padasz, wstajesz, biegniesz dalej, wreszcie zatrzymujesz się i strzelasz. Ćwiczyli strzelanie prawą i lewą ręką. Bez końca przeladowywali broń.

I używali nie tylko pistoletu.

Kimberly pierwszy raz w życiu trzymała w rękach karabin M16. Wystrzeliła też przeszło tysiąc pocisków z remingtona model 870, który miał taki odrzut, że kolba prawie zmiażdżyła jej prawy policzek i pogruchotała obojczyk. Oprócz tego wypuściła ponad sto kul z pistoletu maszynowego typu Heckler & Koch MP5/10, ale to przynajmniej było fajne.

A teraz trafili na Hogan's Alley, gdzie odbywały się bardziej złożone ćwiczenia, których program tak naprawdę znali tylko aktorzy. Standardowe koszmary Kimberly – wychodzenie nago z domu, pisanie klasówek – dawniej były czarnobiałe. Odkąd poznała Hogan's Alley, nabrały żywych krzykliwych barw. Jaskraworóżowe klasy, musztardowe ulice. Klasówki pochłapane fioletową i zieloną farbą. Bieg niekończącymi się tunelami, w których eksplodowały kolory: pomarańczowy, różowy, fioletowy, niebieski, żółty, czarny i zielony.

Czasami budziła się w nocy, tłumiąc krzyk. Bywało też, że leżąc w milczeniu, zmagala się z pulsującym bólem prawego obojczyka. Niekiedy wyczuwała, że Lucy też nie śpi. W takie noce nie rozmawiały ze sobą. Leżały w ciemności i cierpiały w milczeniu.

A o szóstej rano wstawały i wszystko zaczynało się od nowa.

Dziewięć tygodni z głowy, zostało jeszcze siedem. Nie okazywać słabości. Nie ustępować. Wytrwać.

Kimberly tak bardzo chciała sobie poradzić. Była silną i bystrą dziewczyną, o chłodnych niebieskich oczach, odziedziczonych po ojcu. W wieku dwudziestu jeden lat zrobiła licencjat z psychologii, a rok później magisterium z kryminologii. Z determinacją dążyła do celu, pragnęła żyć nawet po tym, co spotkało jej matkę i siostrę.

Była najmłodsza i najślawniejsza w swojej grupie, wszyscy szeptali o niej na korytarzach: „Słyszeliście o jej ojcu? Nie? Przykra sprawa z tą jej rodziną. Słyszałem, że niewiele brakowało, by ten facet ją także zabił. Zastrzeliła go z zimną krwią... „

Koledzy Kimberly na zajęciach ze sporządzania portretu psychologicznego pilnie robili notatki. Ona nie.

Zeszła na dół. Na końcu korytarza zobaczyła grupę osób ubranych na zielono – to studenci Akademii Narodowej, którzy po zajęciach wybierali się na piwo. Dalej zauważyła żywo dyskutujących ludzi w niebieskich koszulkach. To byli nowi agenci z jej grupy, którzy dziś już mieli wolne i szli przekąsić coś w stołówce, zanim wsadzą nosy w książki, pójdą na WF czy do siłowni. Może wymieniają się wiedzą? Byli prawnicy tłumaczyli przepisy kodeksu karnego w zamian za wskazówki byłych marines dotyczące posługiwania się bronią. Nowi agenci zawsze chętnie sobie pomagają. Jeśli im się na to pozwoli.

Kimberly wyszła na zewnątrz. Żar uderzył ją w twarz. Skierowała się do częściowo schowanego w cieniu toru przeszkód prowadzącego przez las i zaczęła biec.

BÓL, MEKA, CIERPIENIE, głośiły tablice umieszczone na drzewach przy ścieżce. ZACIŚNIJ ZĘBY. POKOCHAJ TO!

– Kocham to, kocham – wydyszała Kimberly.

Jej obolałe ciało zaprotestowało. Poczowała ucisk w piersi. Biegła dalej. Jeśli nic innego nie skutkuje, nie zatrzymuj się. Prawa, lewa, prawa, lewa. Nowy ból nakładający się na stary.

To akurat Kimberly świetnie potrafi. Nauczyła się tego przed sześcioma laty, kiedy jej siostra zginęła, matka została zamordowana, a ona sama stała w pokoju hotelowym w Portland w stanie Oregon z lufą pistoletu przyciśniętą do czoła niczym usta kochanka.

Rozdział 3

Fredericksburg, Wirginia

18.45

Temperatura: 33 stopnie

Kiedy zadzwonił telefon, dwudziestoletnia Tina Krahn właśnie wychodziła z dusznego, gorącego mieszkania. Westchnęła, wróciła do kuchni, podniosła słuchawkę i rzuciła ze zniecierpliwieniem „halo”, drugą ręką ocierając pot z karku. Boże, co za upał. W niedzielę wzrosła wilgotność powietrza i od tamtej pory nic nie zmieniło się na lepsze. Teraz, choć Tina dopiero co wzięła prysznic, cienka, zielona letnia sukienka już kleiła się do jej skóry, a lepkie krople ściekały między piersiami.

Przed półgodziną postanowiły z Betsy, jej współlokatorką, że pojedą gdziekolwiek, byle nie siedzieć w domu. Betsy udało się dojść do samochodu. Tina ledwo co dotarła do drzwi, no i proszę.

Dzwoniła matka. Tina się skrzywiła.

– Cześć, mamó – powiedziała z wymuszoną radością. – Co u ciebie? Jej wzrok powędrował do drzwi. Przywoływała Betsy siłą woli, chcąc poprosić, żeby zaczekała jeszcze minutkę. Bez skutku. Zaczęła nerwowo tupać. Dobrze, że matka jest daleko stąd, w Minnesocie, i nie może zobaczyć jej zawstydzonej miny.

– No, właśnie wychodziłam. Tak, dziś wtorek. Mamó, tylko strefy czasowe są inne, nie dni. – Reakcją była ostra reprimenda.

Tina wzięła serwetkę leżącą na stole. Ledwo otarła nią czoło, a ta już przesiąkła na wylot. Pokręciła głową. Poklepała górną wargę.

– Pewnie, że mam jutro zajęcia. Nie zamierzamy się upić, mamó.

Tak naprawdę Tina na ogół nie piła nic mocniejszego niż mrożona herbata. Co nie znaczy, że matka jej wierzyła. Tina poszła na studia – dobry Boże! – co dla pani Krahn zdawało się być równoznaczne z życiem w grzechu. Przecież na uniwersyteckim kampusie jest alkohol. I cudzołóstwo.

– Nie wiem, dokąd pojedziemy, mamó. Chcemy... wyjść, i tyle. W tym tygodniu jest tu z tryliard stopni. Musimy znaleźć jakieś klimatyzowane miejsce, zanim się usmażymy. – I to jak najszybciej.

Matka od razu się zaniepokoiła. Tina uniosła dłoń, próbując przerwać jej tyradę, zanim rozkręci się na dobre.

– Nie, nie mówiłam dosłownie. Nie, naprawdę, mamó, nic mi nie jest. Jest upał i tyle. Dam sobie radę. Ale kursy wakacyjne idą mi świetnie. W pracy wszystko w porządku...

Głos matki stał się ostrzejszy.

– Pracuję tylko dwadzieścia godzin tygodniowo. Oczywiście, koncentruję się na studiach. Naprawdę, słowo daję, wszystko gra. Przysięgam. – Ostatnie słowo powiedziała trochę zbyt wysokim głosem. Skrzywiła się. Co to się mówi o matkach i ich wewnętrznych radarach?

Powinna skończyć, dopóki panuje nad sytuacją. Złapała następną serwetkę i wytarła całą twarz. Teraz już nie wiedziała, czy poci się z gorąca, czy z nerwów.

– Nie, z nikim się nie spotykam. – Przynajmniej to było prawdą. – Zerwaliśmy ze sobą, mamó. W zeszłym miesiącu. Mówiłam ci.

W pewnym sensie, oczywiście.

– Nie, nie rozpaczam. Jestem młoda, jakoś przeżyję. To przynajmniej wmawiały jej Betsy, Vivienne i Karen.

– Mamó... – Nie mogła wejść jej w słowo. – Mamó...

Matka wciąż nie dawała za wygraną. Mężczyźni są podli. Tina jest za młoda na randki. Powinna skupić się na nauce. No i na rodzinie, rzecz jasna. Nie wolno zapominać o swoich korzeniach.

– Mamó...

Matka dochodziła do punktu kulminacyjnego. Może wrócisz do domu? Za rzadko przyjeżdżasz. Co, wstydzisz się mnie? Sekretarka to też dobry zawód. Nie wszystkie młode damy mają tyle szczęścia, by dostać się na studia...

– Mamó! Muszę już lecieć.

Cisza. No to klops. Gorsze od kazań matki było jej milczenie.

– Betsy czeka w samochodzie – próbowała tłumaczyć Tina. – Ale Kocham cię, mamó. Zadzwoń jutro wieczorem. Obiecuję.

Nie robi tego. Obie dobrze to wiedziały.

– Jakby co, przed weekendem na pewno zadzwonię. – To było bardziej prawdopodobne. Matka westchnęła. Może była udobruchana. Może obrażona. Z nią nigdy nie wiadomo. Ojciec odszedł, kiedy Tina miała trzy lata. Matka została sama. Fakt, była apodyktyczna, nerwowa, a czasem zachowywała się wręcz jak tyran, ale harowała jak wół, by wysłać ją na studia.

Robiła, co mogła, ciężko pracowała, mocno kochała. Tina wiedziała, że mimo to boi się, iż to wszystko nie wystarczy.

Przycisnęła słuchawkę do wilgotnego ucha. Przez chwilę, w ciszy, kuśiło ją, by to powiedzieć. Ale wtedy jej matka westchnęła i właściwy moment minął.

– Kocham cię – powiedziała Tina łagodniejszym tonem, niż zamierzała. – Muszę lecieć. Zadzwoń niedługo. Pa.

Odłożyła słuchawkę, zanim zdążyła zmienić zdanie, chwyciła dużą płócienną torbę i wyszła z mieszkania. Betsy, z twarzą błyszczącą od potu, siedziała w swoim ślicznym małym saabie ze składanym dachem i patrzyła na nią pytająco.

– Mama – wyjaśniła Tina i rzuciła torbę na tylne siedzenie.

– Aha. Nie powiedziałaś...

– Jeszcze nie.

– Tchórz.

– I to jaki. – Tina nawet nie otwierała drzwi od strony pasażera. Usiadła na ich krawędzi i osunęła się na głęboki, beżowy, skórzany fotel. Podniosła długie nogi w brązowych sandałach na absurdalnie wysokich podszwach, prezentując jaskraworóżowe paznokcie i małą czerwoną wytatuowaną biedronkę, o której jej matka jeszcze nic nie wiedziała.

– Pomóż, rozpuszczam się! – jęknęła dramatycznie do przyjaciółki, przyciskając do czoła grzbiet dłoni. Betsy uśmiechnęła się i wrzuciła bieg.

– Jutro ma być jeszcze goręcej. W piątek pewnie będzie ze czterdzieści stopni.

– Boże, pora umierać. – Wyprostowała się, sprawdziła, czy jej gęste blond włosy są dobrze związane, i zapięła pas. Gotowa do akcji. Mimo żartobliwego tonu miała poważną minę, a cztery tygodnie niepewności zgasiły blask w jej niebieskich oczach.

– Hej, Tino – powiedziała Betsy po chwili. – Wszystko będzie dobrze.

Tina zmusiła się, by na nią spojrzeć. Wzięła ją za rękę.

– Wzajemna pomoc? – spytała cicho.

Betsy uśmiechnęła się do niej.

– Po grób.

Zachód słońca był dla niego jednym z najpiękniejszych widoków na świecie. Po niebie rozlewała się złocista, różowa i brzoskwińowa poświata, a horyzont płonął w ostatnich promieniach słońca. Barwy kładły się na chmurach, jakby były dziełem malarza, zdobiąc białe kłęby opalizującymi odcieniami, od złota, przez fiolet, po nieuniknioną czerń.

Zawsze lubił zachody słońca. Pamiętał, jak matka co wieczór po kolacji wyprowadzała go z bratem na ganek zaniedbanej chaty. Opierali się o poręcz i patrzyli, jak słońce chowa się za odległymi górami. Nie odzywali się ani słowem. Już we wczesnym dzieciństwie nauczyli się, czym jest nabożne milczenie.

Dla jego matki była to najważniejsza chwila, coś w rodzaju religijnego obrzędu. Stała w kącie ganku, i kiedy patrzyła na opadające słońce, jej rysy na moment łagodniały, usta wykrzywiały się w lekkim uśmiechu, a ramiona rozluźniały się. Kiedy słońce ginęło za horyzontem, głęboko wzdychała.

I czar pryskał. Ramiona matki znów sztywniały, a zrodzone ze zmartwień zmarszczki postarzały ją o dziesięć lat. Prowadziła ich z powrotem do domu i wracała do swoich zajęć. Próbowali jej pomagać, ale tak, by nie robić za dużo hałasu.

Dopiero wiele lat później, kiedy był już prawie dorosły, zaczął myśleć o tych chwilach. Co o życiu jego matki mówił fakt, że potrafiła odprężyć się tylko wtedy, kiedy słońce opadało za horyzont, zwiastując koniec dnia? Dlaczego szczęśliwa wydawała się tylko wówczas, gdy światło dnia wydawało ostatnie tchnienie?

Umarła, zanim ją o to zapytał. Cóż, może to i lepiej.

Wrócił do pokoju hotelowego. Choć zapłacił za noc, zamierzał jak najszybciej się stąd wynieść. Nie będzie tęsknił za tym miejscem. Nie znosił tych betonowych brył ani masowo produkowanych pokoiów z jednym oknem. Były martwe, stanowiły współczesny odpowiednik grobowców i fakt, że Amerykanie byli skłonni sporo zapłacić za możliwość spania w takich tanich trumnach, wydawał mu się czymś niepojętym.

Czasem bał się, że cała sztuczność takich pokoiów jak ten, z jaskrawą kołdrą, meblami z płyty wiórowej i dywanem z włókna na bazie nafty, przeniknie do jego krwioobiegu i sprawi, że pewnego dnia ze snu wyrwie go silne pragnienie zjedzenia Big Maca.

Przerazała go ta myśl. By się uspokoić, kilka razy musiał głęboko odetchnąć. Błąd.

Powietrze było obrzydliwe, cuchnęło izolacją z włókna szklanego i plastikowymi fikusami. Potarł energicznie skronie. Najwyższy czas stąd iść.

Spakował ubrania. Musiał jeszcze tylko coś sprawdzić.

Zawinął dłoń w ręcznik i powoli wyciągnął spod łóżka brązową teczkę dyplomatkę, niczym nieróżniącą się od setek innych. Mogła być pełna arkuszy kalkulacyjnych, kalkulatorów i osobistych urządzeń elektronicznych. Ale nie była.

Nosił w niej pistolet na pociski ze środkiem uspokajającym, teraz rozłożony na części, ale łatwy do zmontowania. Zajrzał do wewnętrznej kieszeni teczki, wyjął metalowy pojemnik i policzył schowane w nim naboje. Tuzin, każdy napełniony pięćset pięćdziesięcioma miligramami ketaminy. Przygotował je tego ranka.

Schował pojemnik na miejsce i wyciągnął dwie rolki grubej taśmy klejącej i brązową papierową torbę pełną gwoździ. Oprócz tego miał szklaną fiolkę z wodzianem chloralowym. Tak na wszelki wypadek. Na szczęście do tej pory nigdy nie musiał go użyć. Była tam też specjalna izolowana butelka, którą dopiero przed kwadransiem wyjął z zamrażarki, oszronioną, co pozwalało utrzymywać jej zawartość w niskiej temperaturze. W przeciwnym razie ativan uległby krystalizacji.

Jeszcze raz dotknął butelki. Była lodowato zimna. To dobrze. Zastosował tę metodę dopiero po raz pierwszy i czuł się trochę niepewnie. Jednak plastikowa butelka dobrze się sprawdziła. Czego to człowiek nie może kupić za pięć dolarów w supermarkecie?

Mężczyzna odetchnął głęboko. Próbował sobie przypomnieć, czy potrzeba mu czegoś jeszcze. Szczerze mówiąc, był podenerwowany. Ostatnio zaczął mieć kłopoty z pamięcią. Wspomnienia sprzed wielu lat były wyraźne, podczas gdy to, co działo się wczoraj, widział jak przez mgłę, niczym sen.

Kiedy tu przyjechał poprzedniego dnia, wydarzenia sprzed trzech lat przelatywały przed jego oczami niczym w technikolorze. Tego ranka jednak wszystko zaczęło się zacierać i ginać. Bał się, że jeśli dłużej będzie zwlekał, utraci wspomnienia na dobre. Znikną w czarnej dziurze wraz z innymi myślami, tymi niezwiązanymi z ogniem, a on znów zostanie na jej krawędzi i będzie czekał bezradnie, aż coś, cokolwiek, wypłynie na wierzch.

Krakersy. Słone ciasteczka. I woda. Butelki z wodą. Kilka butelek.

Tak, miał to wszystko w furgonetce. Kupił te rzeczy wczoraj w jakimś supermarkecie. Nie pamiętał, w jakim. No i proszę, ten szczegół przepadł, zsunął się do otchłani, i co on ma z tym zrobić? Wczoraj. Kupił różne rzeczy. Ekwipunek. W bardzo dużym sklepie. Zresztą, co za różnica, jak ten sklep się nazywał? Zapłacił... Chyba gotówką? I potem spalił paragon?

Oczywiście. Nawet jeśli pamięć płatała mu figle, to nie mogło być usprawiedliwieniem głupoty. Ojciec zawsze wbijał im to do głowy. Światem rządzą pojeby, które nie potrafiłyby znaleźć własnej dupy, nawet gdyby im dać latarkę. Jego synowie mają być inni. Silni. Chodzić z podniesioną głową. Znosić karę jak mężczyźni.

Przestał się rozglądać. Znów myślał o ogniu, o żarze płomieni, ale było za wcześnie, więc porzucił tę myśl, siłą woli zepchnął ją do otchłani, choć wiedział, że nie utrzyma jej tam długo. Torba podróżna spakowana, dyplomatka też. Reszta jest w furgonetce. Pokój wyczyszczony amoniakiem i wodą. Żadnych odcisków palców.

Wszystko gra.

Jeszcze tylko jedna rzecz do zabrania. Stojąca w kącie pokoju, na okropnym sztucznym dywanie. Małe prostokątne akwarium przykryte jego własnym żółtym, wyblakłym prześcieradłem.

Mężczyzna przewiesił przez ramię torbę, wziął dyplomatkę. Podniósł ciężkie szklane akwarium obiema rękami. Prześcieradło zaczęło się zsuwać. Rozległ się złowieszczy grzechot.

– Ciii – szepnął. – Jeszcze nie teraz, skarbie, jeszcze nie.

Wyszedł w krwistoczerwony ognisty zmierzch. Było duszno, panował nieznośny upał. Pamięć podsunęła mu kolejne obrazy. Czarne spódniczki, wysokie obcasy, blond włosy, niebieskie oczy, czerwona bluzka, związane ręce, ciemne włosy, brązowe oczy, długie nogi, drapiące paznokcie, błyszczące białe zęby.

Włożył bagaże do furgonetki, usiadł za kierownicą. W ostatniej chwili w jego szwankującej pamięci coś zaskoczyło. Poklepał się po kieszeni na piersi. Tak, wziął identyfikator. Wyjął go i obejrzał jeszcze raz. Plastikowy prostokąt wyglądał niepozornie. Na niebieskim tle widniały białe litery tworzące słowo: Gość.

Odwrócił go. Z tyłu identyfikator wyglądał o wiele ciekawiej. Było na nim napisane: WŁASNOŚĆ FBI.

Mężczyzna przyczepił go do kołnierza. Słońce zaszło, czerwień pokrywająca niebo przeszła w fiolet, a potem w czerń.

– Zegar tyka – mruknął i ruszył w drogę.

Rozdział 4

Stafford, Wirginia

21.34

Temperatura: 34,5 stopnia

Co jest, złotko? Jesteś dziś jakiś nieswój.

– To przez ten upał.

– Dziwnie to brzmi w ustach kogoś, kto mieszka w gorącej Atlancie.

– Od dawna myślę o przeprowadzce.

Genny, zgrabna rudowłosa kobieta o ogorzalej twarzy i ciepłych oczach, patrzyła na niego w zamyśleniu przez niebieską mgiełkę unoszącą się w zadymionym barze.

– Jak długo mieszkasz w Georgii, Mac? – spytała, próbując przekrzyczeć hałas.

– Odkąd tatusiowi wróble o mnie zaćwierkały.

Uśmiechnęła się, pokręciła głową i zgasła papierosa w szklanej popielniczce.

– No to nigdy się stamtąd nie wyniesiesz, skarbie. Wierz mi. Jesteś człowiekiem z Georgii. Nie ma dla ciebie nadziei.

– Mówisz tak, bo jesteś z Teksasu.

– Odkąd mojemu prapraprapradziadkowi wróble o mnie zaćwierkały. Jankesów nosi po całym kraju, kochanie. My, południowcy, zapuszczamy korzenie.

Agent specjalny GBI Mac McCormack przytaknął z uśmiechem. Znów utkwiał wzrok w drzwi zatłoczonego baru. Mimowolnie wypatrywał młodych dziewczyn chodzących parami. Powinien być rozsądniejszy. W takie dni jednak, kiedy temperatura dochodziła do trzydziestu pięciu stopni, nie potrafił.

– Skarbie? – powtórzyła Genny.

Oprzytomniał, odwrócił się do niej i uśmiechnął z żalem.

– Przepraszam, słowo daję, mama dałaby mi w skórę, gdyby zobaczyła, jak się zachowuję.

– No to nic jej nie powiemy. Dzisiejsze spotkanie nie było udane, co?

– Skąd wie...

– Ja też jestem z policji, Mac. Nie lekceważ mnie tylko dlatego, że jestem ładna i mam supercycki.

Otworzył usta, by zaprotestować, ale uciszyła go gestem ręki i wygrzebała z torebki papierosa. Podstawił jej zapalniczkę. Uśmiechnęła się z wdzięcznością, choć zmarszczki wokół jej oczu stały się nieco wyraźniejsze. Milczeli przez chwilę.

W barze panował potworny ścisk, wydawało się, że nie da się wetknąć szpilki, ale ludzi wciąż przybywało. Oczywiście, połowa to studenci Akademii Narodowej – detektywi, szeryfowie, a nawet kilku żandarmów, którzy zapisali się na jedenastotygodniowy kurs w Quantico. Mimo to Mac nie spodziewał się, że we wtorkowy wieczór będzie tu taki tłok. Ludzie uciekali z domów, pewnie w poszukiwaniu schronienia przed upałem.

Przyjechali tu z Genny przed trzema godzinami, dość wcześnie, by zająć miejsca siedzące, które teraz były na wagę złota. Studenci Akademii Narodowej na ogół rzadko opuszczali Quantico. Po zajęciach przesiadywali w kantynie, snuli opowieści o swoich przejściach, i o pierwszej, drugiej nad ranem modlili się, by akurat teraz nie powysiadaly im wątroby. Mówiło się, że kurs musi kończyć się po jedenastu tygodniach, bo nerki słuchaczy nie wytrzymałyby dwunastu.

Tego wieczoru jednak wszyscy byli jacyś nerwowi. W niedzielę nadciągnął nieznośny upał, który miał podobno trwać aż do piątku. Chodzenie po dworze przypominało przebijanie się przez stos mokrych ręczników. Po pięciu minutach koszulka przywierała do ciała. Po dziesięciu, szorty przyklejały się do ud. W środku budynku było niewiele lepiej, bo głośno warczący przedpotopowy system klimatyzacji akademii schładzał powietrze zaledwie do trzydziestu stopni.

Ludzie zaczęli uciekać z Quantico zaraz po szóstej, rozpaczliwie szukając jakiegokolwiek rozrywki. Genny i Mac poszli w ich ślady.

Poznali się w pierwszym tygodniu szkolenia, przed ośmioma tygodniami. Południowcy muszą trzymać się razem, przekomarzała się z nim Genny, zwłaszcza w tłumie wygadanych Jankesów. Jednak kiedy to mówiła, jej wzrok spoczywał na jego szerokiej piersi, Mac tylko uśmiechał się szeroko.

W wieku trzydziestu sześciu lat wiedział już, że jest przystojny – metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, czarne włosy, niebieskie oczy i ciemna opalenizna, będąca wynikiem wielu lat biegania, jazdy na rowerze, łowienia ryb, polowań, wędrówek, spływów kajakowych. Robił wszystko, co można sobie wyobrazić, i miał młodszą siostrę oraz dziewięciu kuzynów, którzy mu w tym towarzyszyli. W stanie tak zróżnicowanym geograficznie jak Georgia było wiele okazji, by wpaść w tarapaty, a McCormackowie szczycili się tym, że uczą się na własnych błędach.

Temu właśnie zawdzięczał szczupłą muskularną sylwetkę, która podobała się wszystkim kobietom, bez względu na wiek. Mac starał się znosić to ze stoickim spokojem. Na szczęście lubił kobiety. Nawet trochę za bardzo, zdaniem jego zrozpaczonej matki, która nade wszystko pragnęła mieć synową i tuziny wnuków. Może kiedyś. Na razie Mac całkowicie poświęcił się pracy i w takie dni jak ten był tego aż nadto świadom.

Znów spojrzął na drzwi. Weszły dwie młode dziewczyny, za nimi następne dwie. Rozmawiały wesoło. Zastanawiał się, czy wyjdą w takim samym nastroju. Razem, osobno, z nowo poznanymi chłopakami, same. Jak będzie bezpieczniej? Boże, nie cierpiał takich wieczorów.

– Daj sobie z tym spokój – powiedziała Genny.

– Z czym?

– Z tym, co szpeci twoją ładną buzię zmarszczkami.

Mac oderwał wzrok od drzwi. Popatrzył na Genny z kwaśną miną, po czym wziął piwo i zakręcił szklanką.

– Prowadziłaś kiedyś taką sprawę?

– Taką, która wchodzi pod skórę, wnika do krwi, wciska się do mózgu i prześladowuje cię w

snach, tak, że pięć, sześć, dziesięć, dwadzieścia lat później co jakiś czas wciąż budzisz się z krzykiem? Nie, złotko, coś takiego to nie dla mnie. – Zgasiła papierosa i sięgnęła do torebki po następnego.

– Skarbie – zadrwił Mac łagodnie – łziesz jak pies. – Znów uniósł zapalniczkę i spojrzał w jej niebieskie oczy, które obserwowały go badawczo, nawet gdy nachylała się ku niemu i zapalała papierosa.

Usiadła wygodnie. Zaciągnęła się. Wydmuchnęła dym.

– No dobra, przystojniaku – powiedziała nagle. – I tak dziś się z tobą nie dogadam, więc możesz mi opowiedzieć o swoim spotkaniu.

– Nie odbyło się.

– Zostałeś olany?

– Nie ja tu jestem najważniejszy. Doktor Ennunzio mówi, że teraz wszystkich interesuje tylko terroryzm.

– A nie twoja sprawa sprzed trzech lat – dokończyła za niego. Uśmiechnął się krzywo.

– Chodzi o siedem martwych dziewczyn, Genny. Siedem dziewczyn, które nie wróciły do domów, do rodzin. To nie ich wina, że zostały zabite przez zwyczajnego seryjnego mordercę, a nie jakiegoś terrorystę z importu.

– Bitwa o budżet.

– No właśnie. Wydział nauk behawioralnych ma tylko jednego lingwistę, doktora Ennunzio, a w kraju jest tysiące świrów piszących listy z pogrozkami. Wychodzi na to, że listy do redakcji są nisko na liście priorytetów. Oczywiście dla mnie to praktycznie jedyny zasrany trop. Akademia Narodowa może i jest prestiżowa, ale mój wydział nie wysłał mnie tu na doksztalcenie. Mam spotkać się z tym człowiekiem. Poprosić go o analizę jedyne go przyzwoitego dowodu, jaki mamy. Jeśli wrócę do swojego wydziału bez piśnięcia szanownemu doktorowi choćby słowa, to mogę brać dupę w troki.

– Twoja dupa cię nie obchodzi.

– Byłoby łatwiej, gdyby mnie obchodziła – westchnął Mac i po raz pierwszy tego wieczoru do jego głosu wkradła się poważna nuta.

– Prosiłeś o pomoc kogoś innego z wydziału nauk behawioralnych?

– Wszystkich, którzy dali się zaczepić. Kurde, Genny, sram na moją dumę. Po prostu chcę dopaść tego typu.

– Mógłbyś pogadać z kimś z zewnątrz.

– Próbowałem. To nic nie dało.

Genny zaciągnęła się i popadła w zadumę. Mac nie widział w niej tylko laski z supercyckami. Była szeryfem. Prowadziła własne biuro z dwunastoma podwładnymi. I to w Teksasie, gdzie od dziewczyn wciąż oczekiwano, by zostały cheerleaderkami czy, w najlepszym razie, Miss Ameryki. Innymi słowy, była twarda. I bystra. I doświadczona. Pewnie miała za sobą całą masę spraw, które włożą śledczemu pod skórę. A biorąc pod uwagę to, jak gorąco było na dworze i jak gorąco będzie pod koniec tygodnia, Mac bardzo liczył na jej pomoc.

– Mineły trzy lata – powiedziała w końcu. – Dla seryjnego mordercy to kupa czasu. Może

ten twój trafił za kratki z innego powodu. Tak już bywało.

– Może – przytaknął Mac, choć bez przekonania.

Skinęła głową.

– A co powiesz na to, chłoptasiu? Może facet nie żyje.

– Alleluja, chwała Panu – zanucił Mac. Nie wierzył w to jednak. Pół roku temu próbował samego siebie przekonać do tej teorii. I mu się to nie udało.

Sześć miesięcy temu, ten jeden, jedyny list...

To zabawne, jakie drobiazgi mogą wywrócić świat do góry nogami. I zmienić sfrustrowaną grupę specjalną w sprawną maszynę, pracującą na pełnych obrotach przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Tego jednak nie mógł powiedzieć Genny. Te szczegóły miały być znane tylko wtajemniczonym.

Jak na przykład prawdziwy powód, dla którego chciał porozmawiać z doktorem Ennunzio. Albo po co w ogóle przyjechał do pięknej Wirginii.

Jak na zawołanie poczuł wibracje na biodrze. Spojrzał na biper, czując ucisk w dołku. Zobaczył dziesięć cyfr. Kierunkowy do Atlanty. A pozostałe...

Cholera!

– Muszę lecieć – rzucił, zrywając się ze stołka.

– Aż taka z niej laska? – spytała Genny, przeciągając samogłoski.

– Skarbie, aż taki fuksiarz to ja nie jestem.

Rzucił na bar trzydzieści dolarów, dość, by zapłacić za siebie i za nią.

– Masz jak wrócić? – Jego głos był szorstki, a pytanie zabrzmiało nieuprzejmie, co było niezamierzone i oboje zdawali sobie z tego sprawę.

– Żaden facet nie jest niezastąpiony.

– Głęboko mnie ranisz, Genny.

Uśmiechnęła się, obejmując wzrokiem jego wysportowaną sylwetkę. W jej oczach było więcej smutku, niż zamierzała okazać.

– Skarbie, nawet cię nie drasnęłam. Ale Mac już wychodził z baru.

Na dworze upał od razu stał się uśmiech z jego twarzy. Wesole niebieskie oczy pociemniały, a jeszcze niedawno rozbawiona twarz spochmurniała. Od ostatniego telefonu minęły cztery tygodnie. Już zaczął się zastanawiać, czy w ogóle będzie następny.

Agent specjalny GBI Mac McCormack wyjął komórkę i zaczął gorączkowo wystukiwać numer.

Odebrano po pierwszym dzwonku.

– Nawet nie próbujesz. – W jego uszach zabrzmiał dziwnie zniekształcony głos. Męski, kobiecy – cholera, równie dobrze mogła to być Myszka Miki.

– Przecież tu jestem, nie? – wycedził Mac przez zęby. Zatrzymał się na parkingu i rozejrzał po ciemnym pustym placu. Za każdym razem wyświetlał się numer z Atlanty, ale to jeszcze o niczym nie świadczy. Wystarczyło korzystać z komórki kupionej w Georgii, by ten sam kierunkowy pojawiał się zawsze, bez względu na to, skąd się dzwoni.

– On jest bliżej, niż myślisz.

– No to odpuść sobie te zagadki i powiedz prawdę. – Mac spojrział w prawo, potem w lewo. Nic.

– Wysłałem ci wiadomość – oznajmił głos.

– Wysłałeś zagadkę. Ja zajmuję się informacjami, koleś, nie dziecinnymi gierkami.

– Zajmujesz się śmiercią.

– A ty to niby co? Daj spokój. Minęło pół roku. Skończmy tę zabawę i przejdźmy do rzeczy. Na pewno czegoś chcesz, tak jak ja. Mam rację?

W słuchawce zapadła cisza. Mac zastanawiał się, czy w końcu udało mu się wzbudzić w rozmówcy wstyd, ale zaczął się obawiać, że wkurzył tego mężczyznę/kobietę/mysz. Mocniej przycisnął telefon do ucha. Nie może sobie pozwolić na przerwanie tej rozmowy. Cholera, co za koszmar.

Pół roku temu Mac dostał pierwszy „list”. Właściwie był to wycinek z gazety „Virginian-Pilot”, list do redakcji. Jeden krótki akapit był niesamowicie, przerażająco podobny do tych, które ukazały się przed trzema laty: Planeta umiera... zwierzęta płaczą... rzeki krzyczą... Nie słyszycie? Żar zabija...

Bestia ocknęła się po trzech latach. Mac nie wiedział, co działo się z nią przez ten czas, ale on i członkowie jego grupy specjalnej ze strachem myśleli o tym, co może stać się wkrótce.

– Robi się gorąco – zaintonował głos.

Mac rozejrział się gorączkowo. Nic, tylko ciemność. Szlag by to!

– Kim jesteś? – spróbował. – No, kolego, powiedz coś.

– On jest bliżej, niż myślisz.

– To podaj mi jego nazwisko. Zgarnę go i nikomu nie stanie się krzywda. – Spróbował podejść go od innej strony. – Boisz się? Boisz się go? Wierz mi, w razie czego możemy zapewnić ci ochronę.

– On nie chce ich skrzywdzić. Chyba po prostu nie może się powstrzymać.

– Jeśli jest kimś, na kim ci zależy, jeśli boisz się o jego bezpieczeństwo, to nie masz powodu. Mamy specjalne reguły dotyczące aresztowania takich osób, podejmiemy stosowne działania. Facet zabił siedem dziewczyn. Podaj mi jego nazwisko. Pozwól, żebym rozwiązał ten problem za ciebie. Postępujesz właściwie.

– Nie znam wszystkich odpowiedzi – odparł głos i przez chwilę brzmiał w nim taki żal, że Mac o mało mu nie uwierzył. Zaraz jednak dodał: – Powinieneś być go złapać trzy lata temu. Dlaczego, och, dlaczego go nie złapaliście?

– Proszę nam pomóc, to złapiemy go teraz.

– Za późno. Nigdy nie znosił upałów.

Połączenie zostało przerwane. Mac, sam na środku parkingu, patrzył na telefon i zaczął kłać jak szewc. Wcisnął klawisz ponownego wybierania numeru. Telefon dzwonił i dzwonił, ale rozmówca nie odebrał. Mac musi czekać, aż znów się z nim skontaktuje.

– Cholera – powtórzył Mac. Potem znów: – Cholera, cholera, cholera. Wsiadł do wynajętego wozu. W środku było ze sto stopni. Oparł czoło na kierownicy i trzy razy rąbnął głową w twardy plastik. Sześć rozmów, a on nadal nic nie wie. A czasu jest coraz mniej. Mac

czuł to od niedzieli, kiedy słupek rtęci zaczął iść w górę.

Jutro zadzwoni do biura w Atlancie, zamelduje o ostatniej rozmowie. Grupa specjalna dokładnie ją przeanalizuje... I będzie czekał. Minęło tyle czasu, a oni wciąż mogą zrobić tylko jedno – czekać.

Przycisnął czoło do kierownicy. Wypuścił powietrze. Znow myślał o Norze Ray Watts. O tym, jak rozpromieniła się, kiedy wysiadając z helikoptera, zobaczyła swoich rodziców. I jak radość zniknęła z jej twarzy pół minuty później, po tym, jak spytała niewinnie: „Gdzie Mary Lynn?”

A potem przypomniał mu się jej głos, ten nieznośny piskliwy skowyt, powtarzający raz po raz: „Nie, nie, nie. O Boże, proszę, nie”.

Ojciec próbował ją podtrzymać. Osunęła się na asfalt i skuliła pod wojskowym kocem tak, jakby mógł ją ochronić przed prawdą. Rodzice przypadli do niej, tuląc ją w rozpacz, która nigdy się nie skończy.

Tamtego dnia wygrali i przegrali zarazem.

A teraz?

Było gorąco i późno. A ktoś znow pisał listy do redakcji.

Wracajcie do domu, dziewczynki. Pozamykajcie drzwi. Pogaście światła. Nie skończcie tak, jak Nora Ray Watts, która pewnego wieczoru poszła z siostrą na lody i znalazła się na odludnej części wybrzeża, gdzie rozpaczliwie zagrzebywała się coraz głębiej w błocie, podczas gdy kraby kęsały palce jej nóg, a nad głową krążyły drapieżne ptaki.

Rozdział 5

Fredericksburg, Virginia

22.34

Temperatura: 34,5 stopnia

Chodźmy! – krzyknęła Tina nad uchem Betsy, która zdawała się jej nie słyszeć w łomocie wypełniającym zatłoczony bar. Były za Fredericksburgiem, w małej knajpce odwiedzanej przez studentów, gangi motocyklowe i bardzo głośne kapele country. Nawet we wtorkowy wieczór była tu taka masa ludzi i panował taki hałas, że aż dziw, że dach wciąż się trzymał.

– Chodźmy – powtórzyła nieco głośniejszym głosem. Tym razem Betsy przynajmniej odwróciła się do niej.

– Co?! – wrzasnęła.

– Pora... iść! – odkrzyknęła Tina.

– Siku?

– Do... domu!

– Ahaaaa. – Współlokatorka wreszcie zrozumiała. Przyjrzała się Tinie uważniej i w jej brązowych oczach zagościła troska. – Dobrze się czujesz?

– Gorąco!

– Jeszcze jak.

– Nie czuję się... najlepiej. – Tak naprawdę, czuła się fatalnie. Jej długie blond włosy rozwiązały się i przykleiły do szyi. Pot spływał po plecach, pośladkach i nogach. Powietrze było za gęste. Próbowwała głęboko oddychać, ale wciąż brakowało jej tlenu. Myślała... myślała, że zaraz zwymiotuje.

– Czekaj, powiem reszcie – rzuciła Betsy i pospieszyła na parkiet, gdzie Viv i Karen zniknęły w morzu ludzi.

Tina zamknęła oczy i obiecała sobie, że nie puści pawia na środku zatłoczonego baru.

Kwadrans później udało im się wydostać na zewnątrz i ruszyły w stronę saaba Betsy. Viv i Karen szły z tyłu. Tina przyłożyła dłoń do czoła. Było gorące.

– Dasz radę? – spytała Betsy. Zapomniała, że nie jest już w barze i nie musi przekrzykiwać hałasu, więc w panującej na parkingu ciszy jej głos był o trzy decybele za głośny. Wszystkie dziewczyny aż podskoczyły.

– Nie wiem.

– Mała, jak masz rzygać, to od razu powiedz – ostrzegła ją Betsy. – Mogę ci trzymać głowę nad kibelem, ale nie pozwolę, żebyś mi zarzygała samochód.

Tina uśmiechnęła się blado.

– Dzięki.

– Mogę ci przynieść wody sodowej – zaofiarowała się Karen.

– Może wystarczy chwilę poczekać – powiedziała Viv.

Ona, Karen i Betsy zatrzymały się w pół kroku.

Tina jednak już wsiadła do auta.

– Chcę do domu – szepnęła. – Proszę, wracajmy.

Zamknęła oczy i głowa opadła jej na oparcie. Od razu poczuła się lepiej. Splotła dłonie na brzuchu. Muzyka ucichła. Tina zapadła w sen, którego tak bardzo potrzebowała.

Miała wrażenie, że ledwie wyjechały z parkingu, a ze snu wyrwało ją silne szarpnięcie.

– Co do... – Poderwała głowę. Samochodem znów rzuciło. Złapała się deski rozdzielczej.

– Tylne koło – syknęła Betsy z irytacją. – Chyba mam kapcia. Wóz odbił w prawo. Dla Tyny tego już było za wiele.

– Betsy – powiedziała przez zaciśnięte zęby. – Zatrzymaj się. Już!

– Jasne! – Betsy stanęła się na poboczu. Tina nieporadnie odpięła pas i przez dłuższą chwilę zmagала się z drzwiami. Kiedy tylko je otworzyła, wyskoczyła z wozu i zbiegła z nasypu do pobliskiego lasu. W samą porę.

Och, to nie było przyjemne. Wcale a wcale. Zwymiotowała dwa soki żurawinowe z tonikiem, potem makaron z kolacji, a w końcu wszystko, co zjadła przez ostatnie dwadzieścia lat. Stała z rękami opartymi o uda, wstrząsana torsjami.

Zaraz umrę, myślała. Zostałam ukarana za grzechy, a mama od początku miała rację. Nie ma mowy, żebym to wytrzymała. O Boże, ja chcę do domu.

Może płakała. Może to był pot. Trudno powiedzieć, gdy ma się głowę między kolanami.

Jej żołądek powoli się uspokajał. Skurcze złagodniały, najgorsze mdłości minęły. Stanęła na chwiejnych nogach, podniosła twarz ku niebu i pomyślała, że w tej chwili oddałaby wszystko za zimny prysznic. Pobożne życzenie. Były na odludziu za Fredericksburgiem. Będzie musiała poczekać.

Westchnęła. I wtedy usłyszała to po raz pierwszy. To nie był głos Betsy ani żadnej z dziewczyn. Wysoki, krótki, metaliczny trzask. Jak odgłos repetowanego karabinu.

Tina powoli odwróciła się w stronę drogi. W gorącym wilgotnym mroku nie była już sama.

Kimberly nie usłyszała żadnego dźwięku. Na litość boską, miała zostać agentką FBI. Doświadczoną w łapaniu przestępców i do tego chorobliwie nieufną. A mimo to nie usłyszała niczego.

Stała sama na odkrytej strzelnicy akademii, otoczona stu pięćdziesięcioma czterema hektarami ciemności, a miała tylko małą latarkę. W rękach trzymała nienaładowaną strzelbę.

Było późno. Nowi agenci, marines, a nawet tak zwani studenci Akademii Narodowej od dawna leżeli w łózkach. Światła na stadionie były zgaszone. Widoczny w oddali szereg strzelistych drzew tworzył złowieszczą wyglądającą barierę oddzielającą Kimberly od cywilizacji. Wokół wznosiły się potężne stalowe ściany, zaprojektowane tak, by nie tylko wyznaczać teren strzelnicy, ale i zatrzymywać pociski o dużej prędkości.

Żadnych świateł. Żadnych dźwięków. Tylko nienaturalna cisza i noc, tak gorąca i wilgotna, że nawet wieńcówki nie ruszały się z drzew.

Kimberly była zmęczona. To najlepsze wytłumaczenie. Biegała, ćwiczyła na siłowni, uczyła się, a potem wypila mnóstwo wody, zjadła dwa batony energetyczne i przyszła tutaj.

Uginały się pod nią nogi. Ręce drżały ze zmęczenia.

Podniosła strzelbę do ramienia i zaczęła ćwiczyć strzelanie na sucho.

Mocno oprzyj kolbę o prawe ramię, by zamortyzować siłę odrzutu. Nogi rozstawione na szerokość bioder, kolana luźno. Wychyl się lekko do przodu. W ostatniej chwili, kiedy prawym palcem naciskasz spust, lewą ręką pociągnij lufę do przodu, jak miotłę, którą próbujesz złamać na pół. Módl się, żebyś znów nie upadła na tyłek. Albo nie roztrzaskała sobie obojczyka. Czy policzka.

Ostrą amunicję wydawano tylko podczas ćwiczeń z instruktorem, więc Kimberly nie mogła tak naprawdę stwierdzić, jak jej idzie. Mimo to wielu nowych agentów przychodziło tu po zajęciach, by trenować, im częściej masz broń w ręku, tym swobodniej się z nią czujesz.

Może z czasem nabierzesz właściwych odruchów. A wtedy może uda ci się zdać kolejny egzamin ze strzelania.

Przy następnym próbnym „strzale” za bardzo się wychyliła i ugięły się pod nią nogi. Wyciągnęła rękę, złapała równowagę i wtedy z ciemności dobiegł męski głos, mówiący:

– Nie powinnaś przychodzić tu sama.

Kimberly zareagowała instynktownie. Obróciła się, zauważyła potężną groźną sylwetkę i zamachnęła się nienaładowaną strzelbą, mierząc w twarz mężczyzny. Potem rzuciła się do ucieczki.

Okrzyk. Zaskoczenia? Bólu? Nie czekała, by się o tym przekonać. Było późno, wokół żywej duszy, a ona wiedziała aż za dobrze, że niektórzy drapieżcy lubią, gdy ich ofiary krzyczą.

Kroki. Głośne i szybkie za jej plecami. Początkowo, w panice, Kimberly pobiegła w stronę drzew. Zły pomysł. Tam panowały ciemności i nie można było liczyć na niczyją pomoc. Musiała skierować się z powrotem w stronę akademii, gdzie były światła, byli ludzie i policja. Mężczyzna doganiał ją.

Kimberly odetchnęła głęboko. Serce waliło jak oszalałe, płuca domagały się powietrza. Jej organizm był zbyt wymęczony, by poddawać go takim próbom. Na szczęście adrenalina to niezawodny lek.

Skupiła się na krokach dochodzących zza jej pleców, próbując odróżnić ich rytm od gwałtownego łomotania własnego serca. Napastnik z każdą chwilą był coraz bliżej. Nic dziwnego. Był od niej większy i silniejszy. Jak to mężczyzna.

Pieprzyć go.

Dostosowała się do jego rytmu. Raz, dwa, trzy...

Mężczyzna sięgnął do jej lewego nadgarstka. Kimberly nagle zatrzymała się i odbiła w prawo. Kiedy siłą rozpędu przeleciał obok niej, rzuciła się w stronę światła.

– Jezu! – usłyszała jego głos.

Uśmiechnęła się. Ponuro i dziko. Po chwili znów usłyszała za sobą tupot nóg.

Czy tak właśnie czuła się jej matka? Na końcu walczyła jak lwica. Ojciec próbował oszczędzić Kimberly szczegółów, ale po roku sama przeczytała wszystkie artykuły z „Philadelphia Inquirer”. Nagłówek głosił: KOSZMAR Z WYŻSZYCH SFER. Dalej następował opis smugi krwi ciągnącej się przez całe mieszkanie.

Czy jej matka wiedziała wtedy, że ten człowiek zabił już Mandy? Czy domyślała się, że następna po niej będzie Kimberly? A może w tych ostatnich, pełnych rozpacznych chwilach, zorientowała się po prostu, że też jest zwierzęciem? A wszystkie zwierzęta, nawet najprymitywniejsze polne myszy, do końca walczą o życie.

Kroki znów zaczęły się zbliżać. Światła były za daleko. Nie uda jej się uciec. Aż dziwne, jak łatwo się z tym pogodziła.

To koniec, Kimberly. Tu nie ma aktorów, pistoletów na farbę ani kamizelek kuloodpornych. Została jej jeszcze jedna, ostatnia deska ratunku.

Wsluchiwała się w jego kroki. Oceniała, kiedy ją dogoni. I w chwili, gdy potężne cielsko rzuciło się na nią, padła na ziemię i osłoniła głowę rękami.

Zobaczyła twarz mężczyzny w przyćmionym blasku odległych świateł. Jego oczy otworzyły się szeroko. Próbował zatrzymać się przed nią, rozpaczliwie machając rękami. W ostatniej chwili odskoczył w lewo, starając się ją ominąć.

Kimberly sprytnie wystawiła nogę. I mężczyzna runął na twarz.

Po dziesięciu sekundach przewróciła go na plecy, usiadła mu na piersi i przystawiła srebrne ząbkowane ostrze noża myśliwskiego do jego ciemnego gardła.

– Coś ty, kurwa, za jeden? – spytała.

Mężczyzna wybuchnął śmiechem.

– Betsy? – zawołała Tina z niepokojem. Nie było odpowiedzi. – Bets?

Wciąż nic. I wtedy dotarło do Tiny, co jeszcze jest nie tak. Panowała zupełna cisza. Czy nie powinna słyszeć odgłosu otwierania lub zamykania drzwi samochodu? Albo dyszenia Betsy wyciągającej koło zapasowe z bagażnika? Na pewno powinna coś słyszeć. Inne samochody. Świerszcze. Szum wiatru w koronach drzew. Ale nie słyszała niczego. Zupełnie. Zapadła martwa cisza.

– To przestaje być śmieszne – powiedziała Tina słabym głosem. Wtedy usłyszała trzask łamanej gałązki. I zobaczyła go.

Miał bladą, poważną, może nawet łagodną twarz i czarny golf. Jak można chodzić w golfie w taki upał, pomyślała Tina. Podniósł karabin i oparł kolbę o ramię. Tina przestała myśleć. Rzuciła się między drzewa.

– Przestań się śmiać. Z czego się śmiejesz? No, przestań!

Mężczyzna dostał spazmów ze śmiechu. Wstrząsały jego potężnym ciałem i sprawiały, że Kimberly kołysała się na boki jak mała łódka na wzburzonym oceanie.

– Pokonany przez kobietę – wydyszał z charakterystycznym południowym akcentem. – Och, proszę, skarbie... nie mów nic mojej siostrze.

Jego siostrze? Co, u licha?

– No dobra. Dość tego. Jeden ruch i poderżnę ci gardło. – Tym razem głos Kimberly musiał zabrzmieć bardziej przekonująco. Mężczyzna przestał się śmiać. Już lepiej. – Nazwisko? – spytała szorstko.

– Agent specjalny Michael McCormack.

Kimberly otworzyła szerzej oczy. Nagle nabrała złych przeczuc.

– FBI? – szepnęła. O nie, załatwiła agenta. Pewnie swojego przyszłego szefa. Już zaczęła się zastanawiać, kto powie o tym jej ojcu. „Wiesz, Quincy, staruszk, tu, w biurze, byłeś gwiazdą wśród gwiazd, ale niestety, twoja córka jest dla nas trochę zbyt, że tak powiem, postrzelona”.

– Biuro Śledcze Georgii – odparł mężczyzna. – Policja stanowa. Ale zawsze mieliśmy słabość do FBI, więc podkradliśmy wam nazwy stopni.

– Ty mały... – Była tak wściekła, że nie potrafiła znaleźć odpowiedniego słowa. Trzepnęła go lewą ręką w ramię, po czym przypomniała sobie, że ma nóż. – Jesteś z Akademii Narodowej – zarzuciła mu tonem, jakim policjanci zwracają się do najgorszych gnid.

– A ty jesteś nową agentką... Co widać.

– Nie zapominaj, że masz nóż na gardle!

– Wiem. – Zmarszczył brwi, a jego spokojny ton znów zbił ją z tropu. Czy to złudzenie, czy poruszył się pod nią, żeby było mu wygodniej? – Po co nosisz nóż?

– Bo zabrali mi glocka – odparła bez namysłu.

– No tak. – Pokiwał głową jakby miał do czynienia z niezwykle mądrą kobietą, a niestukniętą kandydatką na agentkę federalną. – Jeśli wolno mi zadać szanownej pani osobiste pytanie... Hm, gdzie nosisz ten nóż?

– Wypraszam sobie! – Poczula na sobie jego wzrok i natychmiast poczerwieniała. Było gorąco. Wcześniej ćwiczyła na siłowni... Nic dziwnego, że jej nylonowe szorty i cienki niebieski Tshirt niewiele zakrywały. Na litość boską, przyszła tu trenować, a nie udzielać wywiadu. Poza tym, to niesamowite, ile rzeczy można przypiąć do wewnętrznej części uda.

– Dlaczego mnie gonisz? – spytała, mocniej przyciskając czubek noża do jego gardła.

– A dlaczego uciekałaś?

Ściągnęła brwi, wydeła wargi i spróbowała podejść go z innej strony.

– Co tu robisz?

– Zobaczyłem światło. Postanowiłem sprawdzić, co się dzieje.

– Aha! A więc nie ja jedna popadam w obłąd.

– To prawda, szanowna pani. Wygląda na to, że spotkało to nas oboje. Nie mogę znieść tego upału. A ty czego tu szukasz?

– Niczego nie szukam!

– Niech ci będzie. W końcu to ty masz nóż.

Zamilkł i czekał, co zrobi. Sama była tego ciekawa. Co ma zrobić? Nowa agentka Kimberly Quincy właśnie dokonała pierwszego aresztowania. Niestety, zatrzymanym okazał się funkcjonariusz policji, w dodatku wyższy od niej stopniem.

Cholera. Jasna cholera. Boże, ale jest zmęczona.

Odplynęły resztki adrenaliny i, po zbyt dużym wysiłku w zbyt krótkim czasie, po prostu padła z wyczerpania. Zsunęła się z piersi mężczyzny i położyła z rozkrzyżowanymi rękami na stosunkowo wygodnej, gęstej, zielonej trawie.

– Ciężki dzień? – spytał, nie wstając.

– Ciężkie życie – odparła Kimberly beznamytnie i od razu tego pożałowała.

Superglina nie powiedział jednak nic więcej. Wsunął dłonie pod głowę i spojrzał w górę. Kimberly podążyła za jego wzrokiem i dopiero teraz zobaczyła czyste nocne niebo i morze drobnych kryształowych gwiazd. Było naprawdę piękne. Jej rówieśniczki pewnie chodziły w takie noce na spacer. Trzymały chłopaków za rękę. Chichotały, kiedy próbowali skraść im całusa.

Kimberly nie wyobrażała sobie, by mogła tak żyć. By w ogóle mogła żyć inaczej niż teraz.

Odwróciła głowę w stronę mężczyzny, któremu cisza najwyraźniej nie przeszkadzała. Był rostry, może nie tak potężny, jak niektórzy z byłych marines w jej grupie, ale miał przeszło metr osiemdziesiąt wzrostu i bez wątpienia prowadził bardzo aktywny tryb życia. Ciemne włosy, brązowa skóra, bardzo wysportowany. A ona sobie z nim poradziła. Była z siebie dumna.

– Cholernie mnie wystraszyłeś – powiedziała w końcu.

– To było niestosowne – przyznał.

– Nie powinieneś skradać się po nocy.

– Fakt.

– Jak długo jesteś na szkoleniu?

– Przyjechałem w czerwcu. A ty?

– Dziewiąty tydzień. Zostało siedem.

– Poradzisz sobie.

– Skąd wiesz?

– Uciekłaś mi, nie? A wierz mi, kochana, większości pięknych kobiet, które goniłem, to się nie udało.

– Ale pieprzysz! – Nie kryła złości.

Znów wybuchnął śmiechem, głębokim i dudniącym, jak mruzenie dzikiego kota. Nie, agent specjalny Michael McCormack zdecydowanie nie przypadł jej do gustu. Powinna się ruszyć, odsunąć od niego. Była jednak zbyt obolała. Wróciła do obserwacji gwiazd.

– Gorąco jest – stwierdziła.

– To prawda, szanowna pani.

– Mówiłeś, że nie lubisz upału.

– Tak jest, szanowna pani. – Zaczekał moment, po czym odwrócił głowę. – Żar zabija – powiedział i dopiero po chwili zorientowała się, że on już nie żartuje.

Gałęzie drzew drapały jej twarz. Krzaki chwyciły za kostki, a wysoka trawa oplatała sandały i próbowała ją przewrócić. Tina parła naprzód, ciężko dysząc, z sercem w gardle, objiała się o drzewa i rozpaczliwie próbowała utrzymać się na nogach.

Nie biegł za nią. Nie słyszała tupotu nóg ani gniewnego głosu nakazującego jej się zatrzymać. Był na to zbyt podstępny. A to przerażało ją o wiele bardziej.

Dokąd ucieka? Nie wiedziała. Dlaczego ją goni? Za bardzo się bała, by próbować się tego dowiedzieć. Co się stało z Betsy? Ta myśl przepeliła ją bólem.

Gorące wilgotne powietrze paliło ją w gardle i drażniło płuca. Było późno, a ona oddalała się od drogi, instynktownie kierując się w dół, i dopiero teraz zdała sobie sprawę ze swojego błędu. Wśród tych mrocznych cieni nie znajdzie ratunku. Nie będzie tam bezpieczna.

Może gdyby zdołała wystarczająco się od niego oddalić. Była sprawna, zwinna, prowadziła aktywny tryb życia. Mogłaby wspiać się na drzewo albo schować w rowie. Mogłaby skakać z pnącza na pnącze jak Tarzan z filmu Disneya. Chciałaby teraz być w filmie. Chciałaby być gdziekolwiek, byle nie tutaj.

Pień pojawił się znikąd. Drzewo, zapewne wiele lat temu przewrócone przez piorun. Trafiała w nie gołenią i, nie mogąc powstrzymać się od krzyku, przeleciała na drugą stronę. Kolczasty krzak rozorał jej dłonie. Uderzyła obojczykiem w twardą ziemię i straciła oddech.

Zza jej pleców dobiegł słaby trzask łamanych gałęzi. Mężczyzna był spokojny. Opanowany.

Czy tak właśnie przybywa śmierć? Powoli kroczy przez las?

Bolała ją goleń. Płuca nie mogły nabrać powietrza. Mimo to podniosła się chwiejnie i spróbowała zrobić jeszcze jeden krok.

Ciemność przeciął cichy świst. Poczwała ukłucie. Spojrzała w dół i zobaczyła, że w jej lewym udzie tkwi strzałka z lotkami. Co, do...

Spróbowała zrobić krok. Umysł rozkazywał ciału, krzyczał: Biegnij, biegnij, biegnij! Ale ugięły się pod nią nogi, upadła w sięgającą kolan trawę, a jej żyły wypełniło dziwne płynne ciepło. Mięśnie dały za wygraną.

Paniczny strach zacierał świadomość. Serce biło wolniej. Płuca wreszcie odblokowały się, swobodnie przyjmując kolejny wdech. Jej ciało zaczęło się unosić, las wirował.

Narkotyki, pomyślała. To koniec. I po chwili nawet ta myśl odpłynęła gdzieś w dal.

Kroki się zbliżyły. Ostatnim, co zobaczyła, była jego twarz, obserwująca ją cierpliwie.

– Proszę – wybełkotała Tina, instynktownie obejmując dłońmi brzuch. – Proszę... nie rób mi krzywdy... jestem w ciąży.

Mężczyzna przerzucił ją sobie przez ramię i ruszył w las.

Nora Ray Watts miała sen. Wszystko było niebieskie, różowe i fioletowe. Powietrze było jak aksamit, mogła kręcić się bez końca, a mimo to nadal widziała jasne punkciki gwiazd. Śmiała się, a jej pies, Mumphry, biegał wokół niej i nawet przygnębieni rodzice wreszcie mieli uśmiechy na twarzach.

Brakowało tylko siostry.

Nagle otworzyły się drzwi. Za nimi ziała czarna dziura. Przyzywała ją do siebie, wciągała. Nora Ray bez lęku ruszyła w jej stronę. Nie pierwszy raz wchodziła w te drzwi. Ostatnio zdarzało jej się zasypiać tylko po to, by znów je znaleźć.

Nora Ray weszła w ciemną otchłań...

I natychmiast została wyrwana ze snu. Matka stała nad nią w ciemnym pokoju i trzymała dłoń na jej ramieniu.

– Coś ci się śniło – powiedziała.

– Widziałam Mary Lynn – odparła Nora Ray sennie. – Chyba ma nową przyjaciółkę.

– Ciii... Nie myśl o niej, kochanie. To przez te upały.

Rozdział 6

Quantico, Wirginia

7.03

Temperatura: 28 stopni

– Wstawaj!

– Nie.

– Kimberly, już siódma. Rusz tyłek!

– Nie zmusisz mnie.

Głos wreszcie ucichł. Dzięki Bogu. Kimberly znów zapadła w błogą ciemność, której tak bardzo potrzebowała. Nagle... na jej twarz chlusnęła lodowata woda. Kimberly poderwała się i usiadła na łóżku, łapiąc powietrze i ocierając oczy.

Nad nią stała Lucy, z pustym dzbankiem i hardą miną.

– Mam pięcioletniego syna – powiedziała. – Mnie nie podskoczysz. Wzrok Kimberly padł na zegarek przy łóżku. Siódma dziesięć.

– Aaaaa! – krzyknęła. Zerwała się i rozejrzała gorączkowo po pokoju. Miała być... miała zrobić... No dobra, na początek trzeba się ubrać. Rzuciła się do szafy.

– Siedziałaś do późna? – spytała Lucy, unosząc brew i podchodząc do Kimberly. – Niech zgadnę. Poszłaś na siłownię, ćwiczyłaś strzelanie, czy jedno i drugie?

– Jedno i drugie. – Kimberly znalazła spodnie khaki, wciągnęła je, po czym przypomniała sobie, że z samego rana ma WF, więc pospiesznie zdjęła spodnie i włożyła czyste, niebieskie, nylonowe szorty.

– Ładne siniaki – skwitowała Lucy. – Pokazać ci, jakiego mam na tyłku? Serio, wygląda jak kawałek boczku. Nie zapominaj, że byłam prawniczką. Daję słowo, że kiedyś jeździłam czymś, co nazywa się mercedes.

– Myślałam, że tylko dealerzy narkotyków mają takie bryki. – Kimberly znalazła podkoszulkę, włożyła ją w drodze do łazienki, po czym popełniła poważny błąd: spojrzała w lustro. O Boże. Jej oczy wyglądały, jakby zapadły się w głębokie jamy.

– Rozmawiałam wczoraj z synem – mówiła Lucy. – Rozpowiada wszystkim, że uczę się strzelać do ludzi, ale tylko do tych złych.

– To urocze.

– Tak myślisz?

– Pewnie. – Kimberly znalazła pastę: energicznie wyszorowała zęby, wyplukała usta i powtórzyła błąd: znów spojrzała w lustro. Od razu uciekła z łazienki.

– Okropnie wyglądasz – powiedziała Lucy wesoło. – Taką masz strategię? Myślisz, że jak wystraszysz bandytów swoją buzią, to się poddadzą?

– Nie zapominaj, która z nas lepiej strzela – mruknęła Kimberly.

– Dobra, dobra, a ty nie zapominaj, kto lepiej włada dzbankiem z wodą! – Lucy triumfalnie wzniosła broń, po czym zerknąwszy na zegar, odstawiła dzbanek na biurko i

ruszyła do drzwi. Nagle zatrzymała się. – A tak serio, Kimberly, może powinnaś trochę skrócić te swoje nocne sesje. Nieprzytomni nie kończą studiów.

– Miłego strzelania! – krzyknęła Kimberly za współlokatorką, gorączkowo zawiązując sznurowadła. Lucy wyszła. Po chwili Kimberly także pędziła korytarzem.

A jednak była szczęściarą. Mogła dokładnie wskazać chwilę, kiedy cała jej kariera zaczęła się sypać. To było o ósmej dwadzieścia trzy rano. Tego właśnie dnia. W Akademii FBI. Zaledwie siedem tygodni przed ukończeniem szkolenia.

Była zmęczona i rozkojarzona, a wszystko przez brak snu i dziwną nocną gonitwę z agentem specjalnym z Georgii. Za bardzo dawała sobie w kość. Może mimo wszystko powinna posłuchać Lucy?

Dużo o tym myślała. Rzecz jasna, później. Gdy już zabrali ciało.

Zacząło się jak zwykle. Ćwiczenia fizyczne nie były zbyt forsowne. O ósmej rano ćwiczyli pompki i przysiady, a potem stare dobre pajacyki, jak w podstawówce. Wyglądali jak morze ubranych na niebiesko dzieci. Posłusznie stojących w szeregu. Grzecznie robiących to, co im każą.

Potem musieli przebiec pięć kilometrów tą samą trasą, którą Kimberly wybrała zeszłej nocy.

Zaczynała się w lesie i nie była zbyt trudna. Do licha, w końcu to wybrukowana ścieżka. To pierwsza wskazówka co do przebiegu trasy. Drugą były tabliczki. BIEGNIJ! ZACIŚNIJ ZĘBY! POKOCHAJ TO! WYTRWAJ!

Na początku biegli całą grupą, która rozciągała się stopniowo w miarę, jak każdy przyjmował odpowiednie dla siebie tempo. Kimberly nigdy nie była najszybsza. Najwolniejsza też nie.

Z wyjątkiem tego ranka. Od razu została z tyłu.

Jak przez mgłę widziała oddalającą się grupę. Słyszała swoje ciężkie sapanie, które zdawało się dochodzić z bardzo daleka. Nie mogła dotrzymać kroku pozostałym. Kłuło ją w lewym boku. Nogi miała jak z ołowiu. Wpatrzona w asfalt, siłą woli próbowała zmusić je do dalszego biegu.

Czuła się źle. Świat wirował jej przed oczami i myślała, że zaraz zemdleje. Ledwo zdołała zejść ze ścieżki i oprzeć się o drzewo.

Boże, kłuło ją w boku tak bardzo, że czuła się, jakby jej płuca ścisnęło imadło. A to cholerne powietrze było już tak gorące i wilgotne, że bez względu na to, ile razy je wdychała, nie mogła zaczerpnąć dość tlenu. Tonęła. Była nową agentką FBI, kobietą, która całe życie biegała, a teraz miała utopić się na stojąco w porannym słońcu.

Weszła głębiej w las, gorączkowo szukając cienia. Drzewa zawirowały jej przed oczami, a na rękach nagle pojawiła się gęsia skórka. Zaczęła dygotać.

Odwodnienie albo udar cieplny, pomyślała bez emocji. To ci wystarczy, Kimberly, a może zrobisz kolejny krok na drodze do autodestrukcji?

Las wirował coraz szybciej. Jej uszy wypełnił cichy szum, miała mroczki w oczach. Oddychaj, Kimberly. No, kochana, oddychaj.

Nie była w stanie. Ciągle to cholerne klucie w boku. Nie mogła złapać tchu. Zaraz

zemdleje. Padnie bez życia na twardą, zasypaną liśćmi ziemię. Oby tylko okazała się chłodna.

I nagle w jej głowie zaczęły wirować myśli.

O zesłej nocy i o autentycznym strachu, który ścisnął ją za gardło, kiedy zobaczyła obcego mężczyznę. Pomyślała wtedy... Co? Że kolej na nią? Że śmierć zabrała już wszystkie kobiety z jej rodziny? Że ona sama sześć lat temu cudem uszła z życiem, ale to nie oznacza że śmierć o niej zapomniała?

Może za dużo czasu poświęcała na oglądanie zdjęć z miejsc zbrodni i choć nikomu się do tego nie przyznała, czasem te fotografie zmieniały się w jej oczach. Zamiast twarzy ofiar widziała swoją twarz. Swoją głowę wieńczącą pogruchotane torsy i zakrwawione członki.

Często śniła koszmary, w których widziała własną śmierć, tyle że nie budziła się na chwilę przed jej nadejściem, jak normalni ludzie. Nie, ona śniła do końca, czuła, jak jej ciało spada z urwiska i roztrzaskuje się na skałach. Jak jej głowa przebija szybę samochodu.

Nie krzyczała wtedy przez sen. Nie. Myślała tylko: nareszcie.

Nie mogła oddychać. Przed oczami tańczyło coraz więcej czarnych kropek. Złapała gałąź i mocno się jej przytrzymała. Jak powietrze mogło aż tak się rozgrzać? Gdzie się podział cały tlen?

I wtedy, chwytając się resztek rozsądku, zrozumiała, co się dzieje. Miała atak paniki. Jej organizm wyczerpał wszelkie rezerwy energii i dostała ataku paniki, pierwszego od sześciu lat.

Zataczając się, weszła głębiej w las. Musi ochłonąć. Musi zaczerpnąć tchu. To nie pierwszy taki atak. Poradzi sobie i tym razem.

Przedarła się przez krzaki, nie zważając na gałązki drapiące jej policzki ani na konary chwytające ją za włosy. Gorączkowo szukała chłodu i cienia.

Oddychaj głęboko, policz do dziesięciu. Skup się na swoich dłoniach, opanuj ich drzenie. Jesteś twarda. Silna. Dobrze wyszkolona.

Oddychaj, Kimberly. No, kochana, oddychaj.

Wpadła na polanę, wcisnęła głowę między kolana i chwytając ustami powietrze tak długo, aż z głośnym świstem wdarło się do płuc. Wdech. Wydech. O to chodzi, oddychaj...

Spojrzała na swoje dłonie. Przyciśnięte do wklęsłego brzucha, już się tak bardzo nie trzęsły. Oderwała je z wysiłkiem i rozłożyła palce, by sprawdzić, czy nie drżą.

Już lepiej. Zaraz ochłonie i będzie mogła biec dalej. A ponieważ już dawno nabrała w tym wprawy, nikt niczego nie zauważy.

Wyprostowała się. Ostatni głęboki oddech. Odwróciła się... I dopiero teraz zorientowała się, że nie jest sama.

Półtora metra przed sobą zobaczyła wydeptaną ścieżkę. Szeroką i równą, używaną pewnie przez marines. A na samym jej środku leżało ciało młodej dziewczyny. Blond włosy, czarne sandały, rozrzucone opalone ręce i nogi. Miała na sobie białą bawełnianą koszulę i bardzo kusą spódniczkę w niebieskie kwiaty.

Kimberly zrobiła krok. Wtedy zobaczyła twarz dziewczyny i zrozumiała.

Jej ręce znów pokryła gęsia skórka. Po plecach przebiegł dreszcz. W środku gorącego cichego lasu, Kimberly zaczęła rozglądać się gorączkowo, sięgając jednocześnie po schowany

po wewnętrznej stronie uda nóż.

Pierwsza reguła, zabezpiecz miejsce zbrodni.

Druga, wezwij wsparcie.

Trzecia, staraj się nie myśleć, co może oznaczać fakt, iż młode blondynki nie są bezpieczne nawet na terenie akademii. Bo ta dziewczyna była martwa i wszystko wskazywało na to, że zmarła niedawno.

Rozdział 7

Quantico, Wirginia

10.03

Temperatura: 30 stopni

Jeszcze raz, Kimberly. Dlaczego zboczyłaś z trasy? – Złapała mnie kolka. Chciałam ją rozchodzić i... chyba nawet nie zauważyłam, jak daleko zaszłam.

– I zobaczyłaś ciało?

– Zobaczyłam coś – powiedziała Kimberly bez mrugnięcia okiem. – Ruszyłam w tamtą stronę, a potem... Resztę pan wie.

Opiekun grupy, Mark Watson, groźnie zmarszczył brwi i odchylił się na oparcie krzesła. Siedziała naprzeciw niego w jego jasnym przestronnym gabinecie. Poranne słońce wlewało się do środka przez rząd okien. Pomarańczowy motyl trzepotał skrzydłami za szybą. Piękny dzień, w sam raz na rozmowę o śmierci.

Wołanie Kimberly usłyszeli dwaj inni studenci. Zanim do niej przybiegli, zdążyła sprawdzić puls dziewczyny. Oczywiście nie wyczuła go, ale to akurat można było przewidzieć. O tym, że ofiara jest martwa, świadczyły nie tylko jej szeroko otwarte, nie niewidzące brązowe oczy, ale przede wszystkim pobladłe usta, brutalnie zaszyte czarną nicią. Ktokolwiek to zrobił, włożył wiele wysiłku w to, by dziewczyna nie mogła krzyczeć.

Jeden z przybyłych na miejsce studentów natychmiast zaczął wymiotować. Kimberly nie.

Ktoś ściągnął Watsona. Ten, na widok makabrycznego znaleziska, natychmiast skontaktował się z policją FBI i NCIS, Służbą Śledczą Marynarki Wojennej. Najwyraźniej śmierć na terenie akademii była sprawą dla NCIS, nie FBI. To w ich kompetencjach leżała ochrona marines.

Kimberly i jej koledzy zostali natychmiast stamtąd zabrani, a ich miejsce zajęli młodzi marines w ciemnozielonych strojach maskujących i bardziej doświadczeni agenci specjalsi w białych koszulkach. Teraz, gdzieś w głębi lasu, trwa mrówcza praca – robiono zdjęcia, szkice i analizy; lekarz sądowy dokonuje oględzin zwłok, inni zbierają i znakują dowody.

A Kimberly siedzi tutaj. W gabinecie. Tak daleko od miejsca zbrodni, jak tylko mógł ją zabrać troskliwy opiekun z FBI. Jej kolano zadrżało nerwowo. Skrzyżowała nogi w kostkach.

– Co się teraz stanie? – spytała cicho.

– Nie wiem. – Opiekun zawiesił głos. – Będę szczery, Kimberly, nigdy jeszcze nie zdarzyło nam się nic podobnego.

– To dobrze – mruknęła.

Watson uśmiechnął się blado.

– Parę lat temu mieliśmy tu tragedię. Student Akademii Narodowej nagle umarł na strzelnicy. Był dość młody, co wywołało masę spekulacji. Sekcja zwłok wykazała jednak, że przyczyną śmierci był rozległy zawał serca. Owszem, to tragedia, ale nie tak znowu szokująca, biorąc pod uwagę liczbę ludzi, którzy co roku przewijają się przez akademię. Za to

ta sytuacja... Sprawne funkcjonowanie takich ośrodków jak nasz, w dużym stopniu wymaga utrzymywania dobrych stosunków z lokalną społecznością. Kiedy rozejdzie się wieść, że znaleziono tu martwą tutejszą dziewczynę...

– Skąd pan wie, że ona jest tutejsza?

– To logiczne. Jest za młoda na pracownicę, a gdyby była z FBI czy marines, rozpoznałby ją ktoś z obecnych na miejscu zbrodni. Stąd wniosek, że jest z zewnątrz.

– Może spotykała się z kimś? – zasugerowała Kimberly. – Te usta... Może odszczeknęła się o jeden raz za dużo.

– Niewykluczone. – Watson przyglądał się jej badawczo, więc Kimberly brnęła dalej:

– Ale pan tak nie uważa.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Brak śladów przemocy. Gdyby to była kłótnia kochanków, zbrodnia w afekcie, widoczne byłyby ślady pobicia. Sińce, rany, otarcia. A tymczasem... Widziałam jej ręce i nogi. Nie miała nawet najmniejszego zadrapania. Oczywiście, nie licząc ust.

– Może bił ją tak, by nie zostawiać śladów.

– Może. – W jej głosie brzmiało powątpiewanie. – Ale to nie wyjaśnia, dlaczego podrzucił zwłoki do bazy marines.

– A dlaczego w ogóle uważasz, że je tam podrzucił? – spytał Watson, marszcząc brwi.

– Brak śladów walki – odparła Kimberly bez namysłu. – Ziemia była nienaruszona. – Zasepiła się i spojrzała na niego lekko zdziwiona. – Myśli pan, że ofiara żyła, kiedy wwożono ją na teren bazy? To nie takie proste. O ile wiem, w bazie marines obowiązuje stopień gotowości Bravo, co znaczy, że wszystkie bramy są strzeżone i wszyscy goście muszą mieć identyfikatory. Nie każdy może dostać się do akademii, żywy czy martwy.

– Chyba nie powinniśmy...

– Ale to też bez sensu – ciągnęła Kimberly, a zmarszczki na jej czole się pogłębiły. – Gdyby żyła, musiałyby mieć przepustkę, a dwie trudniej zdobyć niż jedną. Może więc była martwa. Schowana w bagażniku. Nigdy nie widziałam, by wartownicy przeszukiwali samochody, więc łatwo byłoby ją wwieźć w ten sposób. Oczywiście, wynikałoby z tego, że morderca świadomie podrzucił zwłoki do Quantico. – Energicznie pokręciła głową. – Bez sensu. Gdyby ktoś od nas popełnił zbrodnię, choćby niechcący, nie zabrałby zwłok do lasu, tylko wywiózł je jak najdalej stąd. Porzucanie ciała tutaj to czysta głupota.

– Myślę, że jest za wcześnie, by snuć jakiegokolwiek przypuszczenia – skwitował Watson cicho.

– Sądzi pan, że facet chce się w ten sposób odegrać na akademii? Albo na marines?

Watson natychmiast uniósł brwi. Kimberly naruszyła pewną niepisaną regułę i jego mina wskazywała na to, że dla niego ta rozmowa jest zakończona. Wprostował się i powiedział:

– Od tej chwili śledztwo prowadzić będzie NCIS. Wiesz coś o Służbie Śledczej Marynarki Wojennej?

– Nie...

– A powinnaś. NCIS ma przeszło ośmuset agentów specjalnych, gotowych do błyskawicznego przeniesienia się w dowolny punkt kuli ziemskiej. Mieli do czynienia z

zabójstwami, gwałtami, przemocą w rodzinie, oszustwami, handlem narkotykami, wymuszeniami, terroryzmem i tak dalej. Mają specjalny wydział zajmujący się nierozwiązanymi sprawami, ekspertów od medycyny sądowej, a nawet laboratoria. Na litość boską, to oni prowadzili śledztwo w sprawie zamachu na okręt USS „Cole”. Na pewno poradzą sobie z jednym ciałem znalezionym w lesie na terenie bazy marines. Zrozumiano?

– Nie chciałam sugerować, że...

– Kimberly, dopiero odbywasz szkolenie. Jesteś agentem nowym, a nie specjalnym. Nie zapominaj o tej różnicy.

– Tak jest – powiedziała zimno, z uniesioną głową, a jej oczy rozbłysły na tę nieoczekiwaną reprimendę.

Głos jej opiekuna złagodniał.

– Oczywiście NCIS zada ci kilka pytań. Będziesz musiała odpowiedzieć najlepiej, jak potrafisz. Współpraca z innymi organami ochrony porządku publicznego jest niezwykle istotna. Ale na tym koniec, Kimberly. Przystaniesz się interesować tą sprawą. Wrócisz do nauki. I, co powinno być zrozumiałe samo przez się, będziesz siedziała cicho jak mysz pod miotłą.

– Jak cię nie pytają, to nic nie mów? – spytała z ironią.

Watson się nie uśmiechnął.

– Każdy agent FBI prędzej czy później znajduje się w sytuacji, która wymaga od niego zachowania całkowitej dyskrecji. Agenci, którzy nie potrafią być rozsądni, długo nie zagrzeją u nas miejsca.

Kimberly wreszcie zrzędnęła mina. Wbiła wzrok w dywan. Ton Watsona był tak surowy, że jego słowa brzmiały niemal jak groźba. Przecież znalazła te zwłoki przypadkiem. A mimo to traktował ją prawie tak, jakby to była jej wina. Jakby ściągnęła nieszczęście na akademię. Najbezpieczniej byłoby zrobić, co każe. Wstać, zasznurować usta i zapomnieć o wszystkim.

Nigdy nie była dobra w wybieraniu najbezpieczniejszych rozwiązań. Podniosła głowę i spojrzała opiekunowi w oczy.

– Chciałabym zwrócić się do NCIS i zaproponować swoją pomoc w dochodzeniu.

– Nie słyszałaś, co mówiłem?

– Mam pewne doświadczenie w takich sprawach...

– Nic nie wiesz o takich sprawach! Nie myl spraw osobistych z zawodowymi.

– Dlaczego? Zabójstwo to zabójstwo. Pomagałam ojcu po tym, jak odnaleziono ciało mojej matki. Brakuje mi siedmiu tygodni do tego, by zostać pełnoprawną agentką FBI. Co mi szkodzi zacząć trochę wcześniej? W końcu to ja ją znalazłam. – W jej głosie zabrzmiała zaborcza nuta. Nie chciała, by tak to wyszło, wiedziała, że to błąd, ale było za późno, by się wycofać.

Twarz Watsona groźnie spochmurniała. Już wcześniej wydawał się surowy, ale teraz budził w niej strach.

– Kimberly... bądźmy ze sobą szczerzy. Jak sądzisz, jak ci idą studia?

– Jakoś sobie radzę.

– Myślisz, że to wystarczy?

– Na ogół.

Uśmiechnął się ponuro i złożył dłonie w daszek na wysokości brody.

– Część instruktorów martwi się o ciebie, Kimberly. Oczywiście, nikt nie ma zastrzeżeń do twojej pracy. Na egzaminach regularnie zdobywasz dziewięćdziesiąt lub więcej punktów na sto. Nieźle radzisz sobie z bronią.

– Ale? – wycodziła.

– Ale masz trudny charakter. Jesteś tu od dziewięciu tygodni i, o ile wiem, nie masz bliskich przyjaciół, sprzymierzeńców czy choćby kolegów. Niczego nie dajesz innym studentom ani niczego od nich nie bierzesz. Jesteś jak wyspa. Jak by na to nie spojrzeć, w organach ścigania pracują ludzie z krwi i kości. Myślisz, że jak daleko zajdziesz bez znajomości? Kto cię będzie wspierał? Jak skutecznie będziesz mogła działać?

– Popracuję nad tym – odparła z bijącym sercem.

– Kimberly... – Jego ton był łagodniejszy, ale ona skrzywiła się jeszcze bardziej. Gniew można odeprzeć. Łagodność budzi lęk. – Wiesz, jesteś bardzo młoda.

– Ale cały czas dorosłeję – wybelkotała.

– Może jeszcze nie czas na to, żebyś wstąpiła do FBI...

– Co masz zrobić jutro, zrób dziś.

– Gdybyś zaczekała jeszcze kilka lat, nabrała większego dystansu do tego, co spotkało twoją rodzinę...

– To znaczy zapomniała o matce i siostrze?

– Tego nie powiedziałem.

– Mam udawać jakąś tam księżową, która chce urozmaicić sobie życie?

– Kimberly...

– Znalazłam zwłoki! O to chodzi? Zaszkoziłam dobremu imieniu akademii, więc chce mnie pan wykopać!

– Przestań! – Powrócił surowy ton. Zaskoczona Kimberly wreszcie zamilkła i dotarło do niej, co przed chwilą powiedziała. Zaczerwieniła się i odwróciła wzrok.

– Chciałabym wrócić na zajęcia – szepnęła. – Obiecuję, że nic nie powiem. Wiem, jak ciężka praca czeka NCIS i nie zrobię niczego, co mogłoby zaszkodzić prowadzonemu śledztwu.

– Kimberly... – W głosie opiekuna wciąż brzmiała irytacja. Wydawało się, że chce coś dodać, ale tylko pokręcił głową. – Wyglądasz okropnie. Widać po tobie, że nie spałaś od kilku tygodni, schudłaś. Może pójdziesz do swojego pokoju i trochę odpoczniesz? Wykorzystaj okazję, by zregenerować siły. Przyhamuj trochę, nie ma w tym nic wstydlwego. I tak jesteś jedną z naszych najmłodszych studentek. Co nie uda ci się teraz, nadrobisz później.

Kimberly nie odpowiedziała. Była zbyt zaabsorbowana powstrzymaniem się od gorzkiego uśmiechu. Nie pierwszy raz słyszała te słowa. Poprzednio też wypowiadał je starszy mężczyzna, mentor, ktoś, kogo uważała za przyjaciela. Dwa dni później przystawił jej pistolet do głowy.

Tylko się nie rozklejaj. Nie będziesz płakała.

– Porozmawiamy za parę dni – powiedział Watson po chwili. – To wszystko.

Kimberly wyszła z gabinetu. Idąc korytarzem, minęła trzy grupki studentów ubranych na niebiesko i usłyszała ich szepty. Czy rozmawiali o jej matce i siostrze? O jej legendarnym ojcu? A może o tym, co zdarzyło się dziś, i o trupie, którego dziwnym zrzędzeniem losu znalazła właśnie ona?

Oczy piekły ją coraz mocniej. Przycisnęła dłonie do skroni. Nie będzie się nad sobą użalała.

Ruszyła do frontowych drzwi. Wyszła na gorące palące słońce. Na jej czoło natychmiast wystąpił pot. Tshirt przykleił się do pleców.

Nie wróciła jednak do swojego pokoju. Ludzie z NCIS będą chcieli z nią porozmawiać. Ale najpierw dokończą oględziny miejsca znalezienia zwłok. Miała więc całą godzinę, zanim ktoś zacznie jej szukać.

To wystarczy.

Skierowała się w stronę lasu.

Rozdział 8

Quantico, Wirginia

11.33

Temperatura: 31,5 stopnia

Czas zgonu? – Trudno powiedzieć. Temperatura ciała wynosi prawie trzydzieści pięć stopni, ale upał spowalnia stygnięcie. Na twarzy i szyi zaczyna się uwidaczniać stężenie pośmiertne. – Lekarz sądowy, cały w bieli, zawiesił głos, lekko przekręcił ciało w lewo i nacisnął palcem w gumowej rękawiczce pokrytą czerwonymi plamami skórę, która zbladła pod jego dotykiem. – Sinica jeszcze się nie utrwałała. – Wyprostował się, coś mu się przypomniało i sprawdził oczy i uszy kobiety. – Brak larw muchy mięsnej, które w takim upale powinny pojawić się błyskawicznie. Inna sprawa, że muchy na ogół zaczynają od ust czy otwartych ran, więc w tym przypadku miały mniejsze pole manewru... – Przemysłał to wszystko raz jeszcze, po czym wydał orzeczenie: – Moim zdaniem, zgon nastąpił cztery do sześciu godzin temu.

Drugi mężczyzna, prawdopodobnie agent specjalny NCIS, zaskoczony, podniósł głowę znad zapisków.

– Tak niedawno?

– Wszystko na to wskazuje. Będzie można powiedzieć coś więcej, kiedy ją pokroimy.

– To znaczy?

– Jutro rano.

Agent specjalny wbił w niego wzrok.

– O szóstej rano? – zasugerował lekarz sądowy. Spojrzenie agenta stało się jeszcze bardziej przenikliwe.

– Dziś po południu – poprawił się lekarz.

Agent wreszcie się uśmiechnął. Lekarz westchnął ciężko. No, nieźle się zapowiada, pomyślał. Śledczy wrócił do swoich notatek.

– Prawdopodobna przyczyna zgonu?

– Z tym jest trochę większy kłopot. Nie ma widocznych ran postrzałowych ani kłutych. Brak krwotoków punkcikowatych, co wyklucza uduszenie. Brak krwawienia z uszu, będącego objawem niektórych urazów mózgu. Na lewym biodrze zaczyna się tworzyć duży siniec. Pewnie skutek urazu odniesionego tuż przed śmiercią. – Lekarz uniósł spódniczkę w niebieskie kwiaty, jeszcze raz obejrzał siniaka. – Po badaniach krwi będziemy mądrzejsi.

Oficer śledczy skinął głową. Drugi mężczyzna, też w spodniach khaki i białej koszuli, wrócił do robienia zdjęć aparatem cyfrowym. Kilku posepnych marines stało na straży przy żółtej taśmie ogradzającej miejsce odnalezienia zwłok. Nawet tu, w lesie, w głębokim cieniu, nie można było uciec od wilgoci i upału. Koszule obu agentów NCIS były prze pocone, a po wyglądających jak wyciosane w kamieniu twarzach młodych wartowników spływały krople potu.

Drugi agent, młodszy mężczyzna o kwadratowej szczęce i standardowej fryzurze „na jeża”, spojrział na przecinającą gęsty las ścieżkę.

– Nie ma śladów wleczenia zwłok – zauważył.

Lekarz potwierdził i podniósł stopę ofiary, oglądając obcas czarnego sandała.

– Brak ziemi czy kamieni. Pewnie ją tu przyniesiono.

– Facet musiał być silny – stwierdził fotograf.

Pierwszy z agentów spojrział na nich znacząco.

– Jesteśmy na terenie bazy marines, obok jest Akademia FBI, wszyscy tu są silni. – Skinął głową w stronę ofiary. – A co z jej ustami?

Lekarz położył dłoń na policzkach ofiary, przekręcił głowę z boku na bok. Nagle podskoczył i cofnął rękę.

– Co jest? – spytał starszy agent.

– Nie... nic.

– Nic? Jak to nic?

– Złudzenie optyczne – mruknął, ale już nie położył dłoni na twarzy dziewczyny. – Wygląda jak nieć krawiecka – stwierdził krótko. – Gruba, może taka, jakiej używają tapicerzy. Na pewno nie chirurgiczna. Profesjoniści nie stosują tak prostych szwów. Widać tylko małe plamki krwi, więc okaleczenie nastąpiło prawdopodobnie po śmierci.

W splątanych jasnych włosach dziewczyny tkwił zielony liść. Lekarz wyciągnął go machinalnie i odrzucił na bok. Podszedł do jej rąk, rozrzuconych nad głową. Jedna była zaciśnięta. Delikatnie odgiął palce. W zagłębieniu dłoni leżał wyszczerbiony zielonoszary kamień.

– Hej – zawołał do młodszego agenta – może pstrykniesz to?!

Chłopak podszedł posłusznie i zrobił zdjęcia.

– Co to?

– Nie wiem. Jakiś kamień. Włóżysz go do torebki i oznakujesz?

– Już się robi. – Chłopak przyniósł pojemnik na dowody, wrzucił kamień do środka i skrupulatnie wypełnił formularz.

– Brak widocznych obrażeń obronnych. O, tu coś mamy. – Kciuk lekarza powędrował w górę lewej ręki do czerwonej nabrzmiałej plamy na ramieniu. – Ślad po zastrzyku. Sądząc po słabym zasinieniu, dostała go tuż przed śmiercią.

– Przedawkowanie? – spytał starszy agent, marszcząc czoło.

– Tak, tylko nie wiadomo czego. Narkotyki rzadko wstrzykuje się domięśniowo, zwykle podawane są dożylnie. – Znów podniósł spódnicę dziewczyny. Popatrzył na wewnętrzną stronę ud, po czym zajrzał między palce u nóg. Wreszcie rzucił okiem na fałd skóry między kciukiem a palcem wskazującym. – Brak innych śladów po ukłuciach. Cokolwiek się stało, nie była narkomanką.

– Znalazła się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym momencie?

– Być może.

Starszy agent westchnął.

– Musimy ją natychmiast zidentyfikować. Można pobrać odciski palców?

– Wolałbym zrobić to w kostnicy, jak już zbadamy palce na obecność śladów krwi i skrawków skóry. Ale jeśli bardzo wam się spieszy, możecie zajrzeć do jej torebki.

– Do czego?

Lekarz sądowy uśmiechnął się szeroko, po czym ulitował się nad agentem.

– Leży tam, na kamieniu, za taśmą. Taka czarna, skórzana, podobna do plecaka. Moja córka też taką ma. Ostatnio są w modzie.

– Banda głupich, nędznych, niekompetentnych... – Agent wyraźnie się rozżłościł. Kazał fotografowi zrobić zdjęcie torebki, a wartownikom powiększyć ogrodzony obszar tak, by znalazła się w jego obrębie. Podniósł ją dłońmi w gumowych rękawiczkach. – Pamiętaj, że musimy sporządzić pełną listę jej zawartości – poinstruował pomocnika. – Zaczniemy od portfela.

Chłopak odłożył aparat i natychmiast chwycił kartkę i ołówek.

– No dobra, jedziemy. Portfel, też czarny i skórzany... Zobaczmy... Karty rabatowe ze sklepu spożywczego, stacji benzynowej, wypożyczalni wideo i drugiego sklepu spożywczego, i... brak prawa jazdy. Są trzydzieści trzy dolary, ale nie ma prawa jazdy, kart kredytowych ani w ogóle żadnych dokumentów z nazwiskiem. Co nam to mówi?

– Że morderca nie chce, byśmy ją zidentyfikowali – powiedział chłopak z ożywieniem.

– No właśnie. – Starszy agent zmarszczył brwi. – No i co z tego wynika? Aha, i wiesz co? Brakuje czegoś jeszcze. Kluczy. – Potrząsnął torbą, ale nie rozległ się charakterystyczny brzęk. – Kto nie nosi kluczy?

– Może zabił ją jakiś złodziej? Wziął prawo jazdy, żeby zdobyć adres, a klucze, żeby dostać się do jej domu... W końcu ona już tam raczej nie wróci.

– Niewykluczone. – Ale oficer NCIS patrzył z zasepioną miną na zaszyte usta. Ze swojej kryjówki za drzewem Kimberly czytała w jego myślach: co to za złodziej, który zaszywa kobiecie usta? No i do tego porzuca ciało na terenie bazy marines.

– Muszę przynieść papierowe torebki na dłonie – zameldował lekarz sądowy. – Są w moim wozie.

– Pójdziemy z tobą. Chcę omówić jeszcze kilka spraw. – Starszy oficer skinął głową na swojego partnera, a ten natychmiast do niego dołączył. Ruszyli ścieżką przez las, zostawiając ciało pod strażą czterech marines.

Kimberly myślała właśnie, jak się ulotnić, kiedy silna ręka złapała ją za nadgarstek. Druga dłoń zakryła jej usta. Kimberly nie traciła czasu na krzyk. Zamiast tego ugryzła napastnika.

– Cholera – usłyszała głęboki głos. – Może czasem uprzedzałabyś ludzi, że zamierzasz atakować? Spotkania z tobą szkodzą zdrowiu.

Kimberly rozpoznała głos. Odprężyła się, choć niechętnie, i oparła o muskularne ciało. Mężczyzna zabrał rękę.

– Co ty tu robisz? – szepnęła, zerkając z niepokojem na wartowników. Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z agentem specjalnym McCormackiem. Zmarszczył brwi.

– Co ci się stało? – Uniósł dłoń, nie dając jej dojść do głosu. – Ciekawe, jak wygląda gość, z którym się biłaś.

Kimberly dotknęła swojej twarzy. Pod palcami poczuła zygzakowate zakrzepłe skaleczenia przecinające nos i policzki. Pamiątka po tym, jak półprzytomna przedzierała się przez las. Nic dziwnego, że Watson próbował odesłać ją do pokoju.

– Co tu robisz? – powtórzyła, zniżając głos, – Usłyszałem pewną plotkę i postanowiłem sprawdzić, ile w niej prawdy. – Prześliznął się wzrokiem po Kimberly. – Mówią, że ciało znalazł któryś z nowych agentów. Zgaduję, że tobie przypadł w udziale ten zaszczyt? Trochę zboczyłaś z trasy, co?

Kimberly tylko przeszła go wściekłym spojrzeniem. Wzruszył ramionami i oboje popatrzyli na polanę.

– Chcę mieć ten liść. – Jego głos zadudnił w jej uchu. – Widzisz go? Ten, który lekarz sądowy wyjął z włosów ofiary...

– To wbrew regułom.

– Ty mu to powiedz, skarbie. Muszę go zdobyć. A skoro już tu jesteś, to możesz mi w tym pomóc.

Odsunęła się od niego.

– Nie zamierzam...

– Odwróć uwagę wartowników, to wszystko. Zagadaj ich, zatrzepocz rzęsami, a ja w minutę zrobię, co trzeba.

Kimberly zmarszczyła brwi.

– To ty odwróć uwagę wartowników, a ja pójdę po liść – zaproponowała.

Spojrzał na nią, jakby była niespełna rozumu.

– Skarbie – wycedził – to ty tu jesteś dziewczyną.

– To znaczy, że nie umiem zabrać głupiego liścia? – Mimo woli podniosła głos.

Znów zasłonił jej usta dłonią.

– Nie, ale podobasz się młodym facetom trochę bardziej niż ja. – Zerknął w stronę, w którą odeszli dwaj agenci NCIS i lekarz sądowy. – No, złotko, szkoda czasu.

Idiota, pomyślała. I w dodatku seksista. Mimo to skinęła głową. Wyjmując liść z włosów dziewczyny, lekarz sądowy popełnił rażące zaniedbanie i przydałoby się, by ktoś je naprawił.

Mac pokazał jej gestem, by odciągnęła dwóch wartowników stojących po lewej stronie na drugi koniec otoczonego żółtą taśmą obszaru. On wtedy zajdzie ich od tyłu.

Pół minuty później, biorąc głęboki oddech, Kimberly ostentacyjnie wyszła z lasu na ścieżkę. Skreśliła w lewo i ruszyła w stronę wartowników.

– Chcę tylko rzucić okiem na zwłoki – powiedziała, jak gdyby nigdy nic.

– Bez zezwolenia wstęp wzbroniony – wyrecytował pierwszy wartownik, wpatrzony w punkt znajdujący się gdzieś nad jej lewym uchem.

– Nie wątpię. – Kimberly niedbale machnęła ręką i zrobiła krok naprzód.

Młody wartownik lekko przesunął się w lewo i zastąpił jej drogę.

– Przepraszam bardzo – rzuciła Kimberly stanowczo. – Pan chyba nie rozumie. Mam zezwolenie. To także moje śledztwo. Na litość boską, to ja znalazłam zwłoki.

Marine popatrzył na nią spode łba, wyraźnie niewzruszony. Dwaj pozostali przysunęli się bliżej, gotowi w razie czego mu pomóc. Kimberly posłała im obrzydliwie słodki uśmiech i

zauważyła agenta McCormacka, który za ich plecami wśliznął się na polanę.

– Proszę odejść – powiedział pierwszy wartownik.

– Gdzie raport z miejsca zbrodni? – spytała Kimberly. – Przynieście go, to pokażę wam, że jest na nim mój podpis.

Marine wyraźnie się zawahał. Instynkt nie zawiódł Kimberly. Ci goście są tylko od wykonywania rozkazów. Nie wiedzą nic o zasadach postępowania w śledztwie ani o jurysdykcji organów ścigania.

– Mówię serio – naciskała. Zrobiła następny krok do przodu, wywołując ogólną nerwowość. – Jestem nowy agent Kimberly Quincy. O ósmej dwadzieścia dwie znalazłam ofiarę i zabezpieczyłam teren w oczekiwaniu na NCIS. To chyba normalne, że nadal interesuje mnie ta sprawa.

Mac był już w połowie drogi do zwłok. Poruszał się zdumiewająco zwinnie, jak na tak potężnie zbudowanego mężczyznę.

– Proszę pani, ten teren jest własnością marines. Tylko oni mają tu wstęp. Moglibyśmy panią przepuścić tylko w towarzystwie upoważnionego oficera.

– To znaczy kogo?

– Proszę pani...

– Drogi panie, znalazłam tę biedaczkę dziś rano. Doceniam pańską sumienność, ale nie zamierzam powierzyć pieczy nad nią grupie mężczyzn w strojach maskujących. Ona potrzebuje pokrewnej duszy. Proste?

Marine patrzył na nią ze złością. Najwyraźniej po tych słowach wyzbył się resztek wątpliwości i uznał, że ma do czynienia z wariatką. Westchnął, z najwyższym trudem zachowując cierpliwość.

Mac był już w miejscu, gdzie w ich oczach liść upadł na ziemię. Ukłękął i zaczął ostrożnie przeszukiwać trawę. Dopiero teraz Kimberly zrozumiała, jak poważny mają problem. Na ziemi leżało mnóstwo suchych liści. Czerwonych, żółtych, brązowych. Jakiego koloru był ten, który tkwił we włosach dziewczyny? O Boże, już zapomniała.

Dwaj pozostali wartownicy podeszli bliżej. Trzymali dłonie na kolbach karabinów. Kimberly hardo uniosła podbródek, jakby rzucała im wyzwanie.

– Proszę odejść – powtórzył pierwszy wartownik.

– Nie.

– Proszę odejść z własnej woli albo pani w tym pomożemy.

Mac wziął do ręki jakiś liść, podniósł do góry i oglądał w skupieniu. Czy on też zastanawia się, jakiego powinien być koloru? Czy to pamięta?

– Dotknijcie mnie, a oskarżę was o molestowanie seksualne.

Marine zamrugał nerwowo. Kimberly też. Ta groźba zabrzmiała naprawdę przekonująco. Nawet Mac popatrzył na nią z podziwem. W dłoni trzymał zielony liść. Odetchnęła z ulgą. To by się zgadzało. Liście na polanie były stare, z zeszłej jesieni. Zielony musiał trafić tu razem ze zwłokami. Udało mu się. Udało się im obojgu.

Druga para wartowników stała już za plecami pierwszej. W Kimberly wpatrywały się teraz cztery pary męskich oczu.

- Proszę odejść – powtórzył pierwszy marine, ale już bez przekonania.
 - Po prostu robię to, co każe mi sumienie – powiedziała Kimberly cicho.
- To rozbroiło go ostatecznie. Spuścił wzrok, a Kimberly ciągnęła:

– Bo widzicie, miałam kiedyś siostrę. Niewiele starszą od tej dziewczyny. Pewnego wieczoru jeden facet upił ją, uszkodził jej pas bezpieczeństwa i wjechał jej wozem prosto w słup telefoniczny. Uciekł i zostawił ją samą, z głową rozbitą o przednią szybę. Nie umarła od razu. Jeszcze przez jakiś czas żyła. Zawsze się zastanawiałam... czy czuła krew spływającą jej po twarzy? Czy wiedziała, że jest sama? Lekarze nie chcieli mi tego powiedzieć, ale jestem ciekawa, czy płakała, czy rozumiała, co ją spotkało. Chyba nie ma nic strasniejszego niż świadomość, że człowiek umiera i że nikt go nie uratuje. Oczywiście, wy nie musicie przejmować się takimi rzeczami. Jesteście marines. Kumple nie zostawią was samych. Za to kobiety nie mogą na to liczyć. Tak jak to było z moją siostrą.

Teraz już wszyscy marines wbili wzrok w ziemię. I dobrze. Głos Kimberly stał się bardziej ochryply, niż zamierzała. Z obawą myślała o tym, jaką teraz musi mieć minę.

– Macie rację – przyznała nagle. – Powinnam sobie pójść. Wrócę później, kiedy będzie tu oficer prowadzący śledztwo.

– Tak byłoby najlepiej, proszę pani – stwierdził z ulgą marine. Wciąż nie mógł spojrzeć jej w oczy.

– Dziękuję za pomoc. – Zawahała się, po czym dodała, nie mogąc się powstrzymać: – Proszę, zaopiekujcie się nią. Zróbcie to dla mnie.

Kimberly odwróciła się szybko i odeszła, by nie zrobić czegoś jeszcze głupszego.

Po dwóch minutach poczuła na ramieniu dłoń Maca. Jedno spojrzenie na jego poważną twarz wystarczyło, by odgadnąć, że wszystko słyszał.

- Masz ten liść?
- Tak jest.
- Może teraz powiesz mi, dlaczego tak naprawdę tu jesteś?
- Bo przez te wszystkie lata na niego czekałem.

Rozdział 9

Quantico, Wirginia

12.33

Temperatura; 35 stopni

Zaczęło się w 1998 roku. Czwartego czerwca. Dwie studentki poszły do knajpy w Atlancie i ślad po nich zaginął. Trzy dni później ciało pierwszej z nich zostało znalezione tuż za miastem, przy autostradzie numer 75. Zwłoki drugiej odnaleziono cztery miesiące później, w oddalonym o sto pięćdziesiąt kilometrów Parku Narodowym w wąwozie Tallulah. Obie były ubrane i miały ze sobą torebki. Nie stwierdzono śladów napaści czy gwałtu. Kimberly zmarszczyła brwi.

– To zmienia postać rzeczy.

Mac skinął głową. Siedzieli w kącie Crossroads Lounge i pochyleni nad małym stolikiem cicho rozmawiali.

– Rok następny, 1999. Pierwsza fala upałów nadciąga dopiero w lipcu. Dwie uczennice szkoły średniej z Macon, Georgia, dziesiątego lipca przychodzą do miejscowego baru. Nigdy więcej nie widziano ich żywych. Ciało pierwszej dziewczyny zostaje odnalezione po czterech dniach, tym razem przy autostradzie numer 441, która, tak się składa, przebiega niedaleko wąwozu Tallulah. Drugą dziewczynę znaleziono...

– W wąwozie? – strzeliła Kimberly.

– Nie. Na polu bawełny w oddalonym o prawie dwieście kilometrów hrabstwie Burke. Tyle że my przeszukaliśmy wąwóz, więc odnaleziono ją dopiero w listopadzie, podczas zbiorów bawełny.

– Chwila. – Kimberly uniosła dłoń. – To aż tak trudno znaleźć ciało dziewczyny na polu?

– Nigdy nie byłeś w hrabstwie Burke. Dwa tysiące kilometrów kwadratowych i wszędzie bawełna. Można tam jeździć przez cały dzień i nie znaleźć utwardzonej drogi. W hrabstwie Burke nie ma nic.

– Oprócz trupa. – Kimberly nachyliła się ku niemu. – I obie dziewczyny były całkowicie ubrane? Żadnych śladów gwałtu?

– Na tyle, na ile potrafimy stwierdzić. W przypadku drugiej ze znalezionych dziewczyn to trudne, zważywszy na stan zwłok. Jednak ogólnie rzecz biorąc, owszem, wszystkie cztery ofiary miały na sobie strój wyjściowy i wyglądały, jakby... zasnęły.

– Przyczyna zgonu?

– Z tym było różnie. W przypadku dziewczyn znalezionych przy autostradach, przedawkowanie benzodiazepinu, dostępnego na receptę środka o nazwie ativan. Morderca wstrzykiwał śmiertelną dawkę w lewą ramię.

– A jak było z kolejnymi ofiarami?

– Nie wiemy. Deanna Wilson mogła zginąć w wyniku upadku z dużej wysokości, Kasey Cooper – wyziębienia organizmu lub odwodnienia.

– Kiedy morderca je porzucił, jeszcze żyły?

– Tak przypuszczamy.

Niezbýt jej się spodobał ton, jakim to powiedział.

– Mówiłeś, że znaleźliście ich torebki. Co z dokumentami? Tym razem to Mac zmarszczył brwi. Najwyraźniej pomyślał o dziewczynie znalezionej tego ranka i braku dokumentów w jej portfelu.

– Miały prawa jazdy – przyznał. – Z identyfikacją zwłok nie było kłopotu. Nie znaleźliśmy za to kluczy. Ani samochodów.

– Serio? – Kimberly zasepiła się jeszcze bardziej. Wbrew sobie, była zafascynowana tą historią. – No dobra, mów dalej.

– Rok 2000 – rzucił Mac i przewrócił oczami. – Zły rok. Potworne upały, brak opadów. Już dwudziestego dziewiątego maja temperatura dochodzi do trzydziestu kilku stopni. Dwie studentki z uniwersytetu stanowego w Augusta jadą do Savannah. Trochę się rozerwać. Nie wracają stamtąd. We wtorek rano kierowca znajduje ciało pierwszej z nich przy autostradzie numer 29 w Waynesboro. Domyślasz się, gdzie jest Waynesboro?

Kimberly zastanawiała się przez chwilę.

– Tam, gdzie pola bawełny? W hrabstwie Burke?

Uśmiechnął się, jego zęby rozbliły bielą na tle ciemnej skóry.

– Szybko chwytasz. Widzisz, to jedna z reguł tej gry: ciało pierwszej z nowo wprowadzonych ofiar porzucane jest blisko miejsca, w którym znaleziono drugą dziewczynę z poprzedniej pary. Może facet chce zachować poczucie ciągłości, a może daje nam szansę odnalezienia drugiego ciała na wypadek, gdybyśmy nie odszukali go rok wcześniej. – Zamilkł na chwilę i spojrzał na nią badawczo. – Jak myślisz, gdzie była druga dziewczyna?

– Na pewno nie w hrabstwie Burke.

– Masz ściągawkę?

– Facet nie działa dwa razy na tym samym obszarze. Dlatego można odrzucić wąwóz i pola bawełny. Drogą eliminacji.

– W Georgii jest przeszło dwadzieścia pięć tysięcy kilometrów kwadratowych gór, lasów, wybrzeży, mokradeł, sadów brzoskwiniowych, plantacji tytoniu i miast. Przydałoby się wyeliminować coś jeszcze.

Kimberly przyznała mu rację lekkim wzruszeniem ramion. Bezwiednie przygryzła dolną wargę.

– Sam mówiłeś, że to gra. Czy facet zostawia jakieś wskazówki?

Odpowiedzią był promienny uśmiech.

– Doskonale. Druga reguła gry: żeby przeciwnik miał szansę, trzeba mu trochę pomóc. Wróćmy do pierwszej dziewczyny, znalezionej pod Atlantą. Leżała przy ruchliwej autostradzie, pamiętasz? Żadnych śladów przemocy ani gwałtu, a więc nie mieliśmy krwi, spermy ani innych dowodów śladowych, znajdowanych na ogół na miejscu zbrodni. Zauważyliśmy jednak coś interesującego. Ciało było czyste. Bardzo czyste. Zupełnie jakby ktoś umył nogi, ręce i buty ofiary. Brakowało nie tylko włosów i włókien, ale także plam po piwie na butach czy choćby orzeszka zaplątanego we włosach. Jakby dziewczyna została...

zdezynfekowana.

– Cała? – spytała Kimberly. – Nie można więc mieć pewności, że nie doszło do gwałtu.

Mac pokręcił głową.

– Nie cała. Tylko części... odsłonięte. Włosy, twarz, kończyny. Co o tym sądzę? Wyciera je gąbką. Zupełnie jak... tablicę. I wtedy bierze się do pracy.

– O mój Boże – jęknęła Kimberly. Nie była pewna, czy chce wiedzieć, co działo się potem.

– Pierwsze ofiary są mapami – ciągnął Mac cicho. – Dlatego właśnie zostają porzucone przy uczęszczanej drodze i łatwo je znaleźć. Być może dzięki temu umierają szybko i stosunkowo bezboleśnie. Nie liczą się dla niego. Są tylko narzędziami wskazującymi miejsca, w których odbywa się właściwa część gry.

Kimberly znów nachyliła się nad stolikiem. Serce zaczęło jej walić, neurony w mózgu obudziły się do życia. Domyślała się dalszego ciągu. Prawie widziała przed sobą ginącą w oddali, ciemną, krętą drogę.

– Jakie są te wskazówki?

– Co do pierwszej dziewczyny, znaleźliśmy pióro w jej włosach, zgnieciony kwiat pod ciałem, skalne okruchy na bucie i wizytówkę w torebce. Zgodnie z przepisami laboratorium pobrało próbki wszystkiego i... nic.

– Nic?

– Nic. Byłaś kiedyś w takim prawdziwym laboratorium policyjnym, Kimberly? Nie chodzi mi o laboratorium FBI. Federalni mają kasę, to jasne jak słońce. Chodzi mi o to, z czego musimy korzystać my, zwykli robole.

Kimberly pokręciła głową.

– Mamy sprzęt. Dużo sprzętu. Ale kiedy nie chodzi o badanie odcisków palców czy DNA, to, jak Boga kocham, wszystko to zda się psu na budę. Nie mamy baz danych. Dlatego, owszem, pobieramy próbki gleby, ale nie możemy przepuścić ich przez jakiś superkomputer, który zrobi hokuspokus i wskaże miejsce, z którego pochodzą, jak to jest w niektórych serialach. Mówiąc wprost, mamy napięty budżet, co zmusza nas do stosowania przestarzałych metod. Pobieramy próbki i dopiero kiedy znajdujemy podejrzanego, mamy je z czym porównać. Zbieramy ziemię z miejsca zbrodni i modlimy się, by pochodziła z ogródka przestępcy. Na więcej nie ma co liczyć. Innymi słowy, pobraliśmy próbkę skały, pióro, kwiat, wiedząc, że do niczego nam się nie przydadzą. Wysłaliśmy je do prawdziwych ekspertów, którzy mogli coś na ich podstawie wywnioskować. I czekaliśmy dziewięć miesięcy. Kimberly zamknęła oczy.

– O nie...

– Kto mógł wiedzieć? – odparł cicho. – Zrozum, nie spodziewaliśmy się, że będziemy mieli do czynienia z kimś takim.

– Drugą dziewczynę porzucił w wąwozie, tak?

– Z czterolitrową butlą wody. W butach na wysokich obcasach. W prawie czterdziestostopniowym upale.

– Ale gdybyście w porę zrozumieli wskazówki...

– To znaczy, gdybyśmy rozpoznali w białym kwiecie trójlist, rzadkie zioło rosnące w Georgii tylko na obejmującym dwanaście kilometrów kwadratowych obszarze w wąwozie Tallulah? Albo gdybyśmy zorientowali się, że pióro należało do sokoła wędrownego, który także żyje na tym terenie? Lub zauważyli, że granit z okruchów skalnych wtartych w jej buty jest identyczny z próbkami pobranymi z urwisk, a na wizytówce znalezionej w torebce widniało nazwisko przedstawiciela Georgia Power, firmy, która dziwnym trafem jest właścicielem wąwozu? Pewnie, gdybyśmy to wszystko wiedzieli, może byśmy ją znaleźli. Ale większość analiz dostaliśmy po kilku miesiącach, kiedy nieszczęsna Deanna Wilson już nie żyła.

Kimberly spuściła głowę. Myślała o dziewczynie, zagubionej w środku nieprzyjaznego lasu. Błąkającej się po nierównym terenie w butach na wysokich obcasach i krótkiej czarnej sukience. W nieznośnym upale. Ciekawe, czy szybko wypła całą wodę, przekonana, że ktoś wkrótce ją znajdzie. Czy też od początku ją oszczędzała, przygotowana na najgorsze.

– A jak było z drugą parą dziewczyn? – spytała cicho.

Mac wzruszył ramionami. Jego oczy były ciemne i ponure. Próbował udawać nonszalanckiego, zahartowanego w bojach zawodowca, ale nie wychodziło mu to najlepiej.

– Nie nauczyliśmy się na własnych błędach. Kiedy tylko pierwsze ciało zostało znalezione w pobliżu wąwozu, wszyscy uznali, że mamy do czynienia z kimś, kto uprowadza dziewczyny i lubi porzucać je akurat w tym miejscu. Było wtedy gorąco jak diabli, więc biuro szeryfa hrabstwa Rabun, zgodnie z nakazami logiki, przeznaczyło wszystkie środki na przeszukanie parku narodowego. Dopiero po tygodniu zrozumieliśmy, że tam jej nie ma, a i wtedy nie mieliśmy całkowitej pewności.

– Jakie były wskazówki?

– Josie Anders miała na czerwonym topie białe kłaczki, na butach wyschnięte błoto, cztery nasiona w torebce i numer telefonu napisany na serwetce wciśniętej do kieszeni.

– Kłaczki i ziarna miały coś wspólnego z bawełną? – domyśliła się Kimberly.

– Po dokładniejszych badaniach kłaczki okazały się puchem bawełnianym z surowych nasion bawełny. Nasiona były nasionami bawełny. Błoto zawierało dużo materii organicznej. A numer telefonu należał do Lyle'a Burke'a, sześćdziesięcioletniego emerytowanego elektryka z Savannah, który nigdy nie słyszał o uprowadzonych dziewczynach ani nawet o barze Roxie's, gdzie po raz ostatni widziano je żywe.

– Hrabstwo Burke.

Mac skinął głową.

– W takim stanie jak Georgia bawełna jest niewiele mówiącą wskazówką. Uprawia się ją raptem w dziewięćdziesięciu siedmiu hrabstwach. Ale dorzucając do tego numer telefonu... myślę, że facet uznał, iż na swój sposób gra fair. Zostało nam do przeszukania tylko dwa tysiące kilometrów kwadratowych. Gdybyśmy byli uważniejsi... – Urwał w pół zdania. Odwrócił się na chwilę, zaciskając i otwierając dłoń w geście frustracji.

– Kiedy zaczęliście kojarzyć te fakty?

– Dwa miesiące po znalezieniu Kasey Cooper. Dostaliśmy ostatnie analizy dowodów i wszystko stało się dla nas jasne, tyle że za późno. Dziewczyny zniknęły parami. W obu

przypadkach pierwsza z nich została znaleziona od razu, przy ruchliwej drodze, a druga po upływie wielu tygodni, i to w odludnym i niebezpiecznym miejscu. Jednak pierwsze ofiary miały przy sobie dowody powiązane z miejscami, w których porzucono ich koleżanki. Trzeba było tylko odpowiednio szybko je zinterpretować. No i tyle. – Mac głośno wypuścił powietrze. Wydawał się zniesmaczony, ale po chwili wzruszył ramionami i mówił dalej: – Powołaliśmy specjalną grupę. W tajemnicy przed opinią publiczną. W tamtym czasie działaliśmy zakulisowo, wyszukiwaliśmy najlepszych znawców Georgii – biologów, botaników, geologów, entomologów – i prosiliśmy, by myśleli o mordercy i o tym, gdzie może uderzyć następnym razem. Chodziło o to, żeby nie siedzieć beczynnienie. W najgorszym razie, w przypadku kolejnego uprowadzenia, przynajmniej moglibyśmy zwrócić się do nich o pomoc.

– I co się stało?

– To było w roku 2000. Myśleliśmy wtedy, że już jesteśmy mądrzejsi. Tymczasem wszystko diabli wzięli. Dwa następne uprowadzenia, trzy zabite dziewczyny. – Mac zerknął na zegarek, pokręcił głową i niespodziewanie wziął Kimberly za rękę. – Ale to stare dzieje. Trzeba myśleć o chwili obecnej. Jeśli to Ekomorderca, mamy mało czasu. Zegar tyka. A teraz posłuchaj, chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła...

Rozdział 10

Quantico, Wirginia

14.03

Temperatura: 37 stopni

Przez agenta Maca McCormacka wylecę z akademii, myślała Kimberly bez emocji, jadąc krętymi drogami Quantico w stronę autostrady. Po rozmowie z nim wzięła prysznic, przebrała się w przepisowy uniform składający się ze spodni khaki i granatowej koszuli z napisem AKADEMIA FBI. Wcisnęła do kabury przy boku starą dobrą podróbkę, a do pasa przypięła kajdanki. Skoro miała wykorzystać fakt, że jest nowym agentem, to czemu nie ubrać się stosownie do tej roli?

Mogła powiedzieć „nie”. W drodze myślała też o tym. Właściwie prawie go nie zna. Oprócz urody i intrygujących niebieskich oczu nic nie świadczyło na jego korzyść. Nawet nie była pewna, czy mu wierzy. Owszem, pewnie w Georgii rzeczywiście grasował jakiś Ekomorderca. Ale to było przed trzema laty. Setki kilometrów stąd. Dlaczego jakiś świr z Georgii miałby nagle pojawić się w Wirginii? I niby po co miałby zostawiać trupa pod nosem FBI?

Nie mogła tego zrozumieć. Mac widział to, co chciał zobaczyć. Nie był pierwszym ani ostatnim gliniarzem, mającym bzika na punkcie jakiejś sprawy.

Co nie wyjaśniało, dlaczego Kimberly właśnie opuściła popołudniowe zajęcia, za co groziła jej nagana. Ani dlaczego jechała do biura okręgowego lekarza sądowego, po tym, jak opiekun grupy wyraźnie zakazał jej interesowania się tą sprawą. Ta drobna niesubordynacja mogła skończyć się wyrzuceniem jej z akademii.

A mimo to bez wahania zgodziła się spełnić prośbę Maca. Chciała porozmawiać z lekarzem sądowym. Chciała uczestniczyć w sekcji zwłok biednej młodej dziewczyny, której nawet nie znała.

Chciała... chciała dowiedzieć się, co się stało. Pragnęła poznać nazwisko dziewczyny i jej marzenia. Była ciekawa, czy cierpiała, czy umarła szybko. Chciała wychwycić błędy niezidentyfikowanego sprawcy i wykorzystując je, znaleźć go i zadośćuczynić tej dziewczynie, która nie zasłużyła na to, by porzucono ją w lesie jak śmieć.

Krótko mówiąc, Kimberly stosowała technikę przeniesienia. Jako studentka psychologii rozpoznała objawy. Jako młoda kobieta, której siostra i matka zostały zamordowane, nie mogła nic na to poradzić.

Znalazła ofiarę. Była z nią sam na sam w głębokim cieniu lasu. Nie mogła jej teraz zostawić, choćby nie wiadomo co.

Kimberly udała się pod adres, który podano jej w bazie marines. Spytała o śledczego z NOS i dowiedziała się, że już poszedł do kostnicy.

Dobra wiadomość była taka, że obecność agenta specjalnego Kapłana dała jej lepszy pretekst, by wkręcić się do kostnicy. Przyszła z nim tylko porozmawiać, no ale skoro już tu

jest...

Zła była taka, że doświadczony agent potraktuje pewnie studentkę, próbującą mieszać się do jego śledztwa, z większą rezerwą niż przepracowany lekarz sądowy.

Dlatego właśnie Mac jej zlecił to zadanie. Nikt nie dopuści drugiego gliniarza do swojego śledztwa. Kiedy jednak chodzi o zwykłego studenta... Wykorzystaj swoje słabe punkty, poradził jej. Nikt nie będzie podejrzewał małego zagubionego żółtodzioba.

Kimberly zaparkowała wóz pod nijakim czteropiętrowym budynkiem. Odetchnęła głęboko. Ciekawe, czy ojciec był kiedykolwiek równie podenerwowany podczas dochodzenia? Z drugiej strony, czy kiedykolwiek zszedł z utartego szlaku? Zaryzykowałby wszystko, by poznać prawdę w imieniu zabitej dziewczyny w świecie, w którym roi się od zamordowanych blondynek?

Jej chłodny nieprzystępny ojciec. Nie mogła sobie tego wyobrazić. Nie wiedzieć czemu, to podniosło ją na duchu. Wyprostowała się i dziarskim krokiem ruszyła przed siebie.

Zaraz za drzwiami poczuła charakterystyczny odór. Zbyt antyseptyczny, zbyt sterylny. Woń miejsca, które miało coś do ukrycia. Weszła do oszklonej recepcji, powiedziała, o co jej chodzi, i odetchnęła z ulgą, kiedy wpuszczono ją do środka.

Przeszła długim korytarzem o nagich ścianach i wyłożonej linoleum podłodze na drugi koniec budynku. Tu i ówdzie stały metalowe wózki. Szare stalowe drzwi prowadziły do kolejnych pomieszczeń, szyfrowe zamki żądały kodów dostępu, których nie знаła. Powietrze było zimniejsze. Jej kroki niosły się echem po korytarzu, a nad głową buczały świetlówki.

Ręce jej drżały, po plecach pociekła pierwsza strużka potu. W panującym tu chłodzie powinna czuć ulgę od duszącego upału, ale nie czuła.

Na końcu korytarza przeszła przez drewniane drzwi do holu. Tu właśnie mieścił się gabinet lekarza sądowego. Wcisnęła dzwonek i nie była szczególnie zaskoczona, kiedy zza uchylonych drzwi wychylił się agent specjalny Kapłan.

– Pani do lekarza sądowego? Jest zajęty.

– Właściwie to szukam pana.

Agent wyprostował się. Z tak bliskiej odległości Kimberly widziała słaby błysk srebra w jego ciemnych, krótko ostrzyżonych włosach. Miał ogorzałą twarz, surowe oczy i wąskie wargi, niezbyt skore do uśmiechu. Nie był okrutnym, lecz hardym człowiekiem. W końcu to on trzymał w ryzach całą marynarkę i marines.

– Nie będzie łatwo.

– Nowy agent Kimberly Quincy – przedstawiła się Kimberly i wyciągnęła rękę.

Mocno uścisnął jej dłoń, ale na jego twarzy malowała się nieufność.

– Ma pani dziś ciężki dzień.

– Słyszałam, że chce mi pan zadać kilka pytań. Biorąc pod uwagę mój rozkład zajęć, uznałam, że łatwiej będzie, jeśli to ja znajdę pana. W bazie marines powiedziano mi, że jest pan tutaj. Dlatego przyjechałam.

– Pani opiekun wie, że opuściła pani akademię?

– Nie powiadomiłam go o tym wprost. Jednak dziś rano w rozmowie ze mną podkreślał wielkie znaczenie pełnej współpracy z NCIS. Oczywiście zapewniłam go, że zrobię, co w

mojej mocy, by państwu pomóc.

– Uhm – mruknął Kapłan. I nic więcej. Stał, patrzył na nią, a cisza przeciągała się w nieskończoność. Jeśli ten człowiek ma dzieci, to na pewno nie wymykają się wieczorami z domu.

Kimberly czuła nieodpartą chęć powykręcania sobie palców. Wcisnęła ręce do kieszeni i znów zaczęła żałować, że nie ma glocka. Trudno emanować pewnością siebie, kiedy człowiek uzbrojony jest tylko w pomalowaną na czerwono zabawkę.

– Słyszałem, że była pani na miejscu zbrodni – powiedział nagle Kapłan.

– Zajrzałam tam.

– Napędziła pani chłopcom niezłego stracha.

– Z całym szacunkiem, pańskich chłopców nietrudno nastraszyć. Na ustach Kapłana wreszcie pojawił się cień uśmiechu.

– To samo im powiedziałem – stwierdził i na chwilę połączyła ich nić porozumienia. Chwila ta jednak szybko minęła. – Dlaczego miesza się pani do mojego śledztwa? Ojciec nie nauczył pani, że tak się nie robi?

Ramiona Kimberly natychmiast zeszywniały. Najwyższym wysiłkiem woli odprężyła się i uspokoiła oddech.

– Zgłosiłam się do akademii nie dlatego, że lubię szydełkować.

– A więc dla pani jest to projekt badawczy?

– Nie.

Zmarszczył brwi. Dobrze, niech ma łamigłówkę.

– Spytam raz jeszcze: dlaczego pani tu przyszła, agentko Quincy?

– Bo ją znalazłam.

– Bo ją pani znalazła?

– Tak jest. A lubię kończyć to, co zaczynam. Ojciec mnie tego nauczył.

– To nie pani śledztwo i nie pani zadaniem jest je zakończyć.

– Nie, to pańskie śledztwo, a ja jestem tylko studentką. Ale mam nadzieję, że będzie pan tak miły i pozwoli mi popatrzeć.

– Miły? Nikt jeszcze nie nazwał mnie miłym.

– Jeśli pozwoli pan żółtodziobowi obejrzeć autopsję i porzygać się jak kot, pański wizerunek na tym nie ucierpi.

Teraz uśmiechnął się naprawdę. Uśmiech zmienił kontury jego twarzy, sprawił, że stał się przystojny, a nawet... miły. Pokazał swoje ludzkie oblicze i Kimberly pomyślała, że nie wszystko stracone.

– Oglądała pani kiedyś sekcję zwłok, agentko Quincy?

– Nie.

– To nie widok krwi jest najgorszy. Najtrudniej znieść zapach. A może wycie piły wrzynającej się w czaszkę. Myśli pani, że da sobie radę?

– Jestem przekonana, że się porzygam.

– No to zapraszam do środka. Czego to człowiek nie robi, żeby nauczyć żółtodziobów fachu – mruknął Kapłan, kręcąc głową. Otworzył drzwi i wpuścił ją do zimnego sterylnego

pomieszczenia.

Tinie było niedobrze. Rozpaczliwie usiłowała powstrzymać odruch wymiotny. Czula ucisk w żołądku, zółć podchodziła jej do gardła. Z najwyższym trudem zmusiła ją do cofnięcia się.

Miała zaklejone taśmą usta. Gdyby zaczęła wymiotować, udusiłaby się.

Skuliła się bardziej. Ucisk w żołądku jakby trochę zelżał. Może zyskała w ten sposób kilka minut. A co będzie potem? Nie miała pojęcia.

Leżała w ciemnym grobie. Nic nie widziała. Słyszała bardzo niewiele. Ręce miała skrępowane za plecami, ale na szczęście nie za mocno. Nogi były chyba związane w kostkach. Kiedy poruszała stopami, słyszała szelest taśmy i robiło się trochę luźniej.

Nie więzy jednak były jej największym problemem. Doszła do tego wniosku już przed wieloma godzinami. Gorsze było to, że została zamknięta w plastikowym pojemniku. Było zbyt ciemno, by mogła być pewna, ale biorąc pod uwagę jego przybliżone rozmiary, metalowe drzwiczki z przodu i otwory na górze, do których mogła przycisnąć policzek, uznała, że jest zamknięta w kojcu dla psa.

Na początku trochę popłakiwała. Potem tak się wściekła, że tłukła się o plastik, rzucała na metalowe drzwiczki. Jedynym skutkiem tego wybuchu były posiniaczony obojczyk i poobijane kolana.

W końcu zasnęła, zbyt wyczerpana strachem i bólem, by wiedzieć, co robić. Kiedy się obudziła, jej usta nie były już zaklejone taśmą, a w skrzyni leżała butelka z wodą i baton energetyczny. Kusilo ją, by na złość jej katowi nie przyjąć tego daru – nie jest tresowaną małpą! Nagle pomyślała o swoim nienarodzonym dziecku i łączywie wypila wodę i zjadła baton.

Do wody jednak był prawdopodobnie dodany jakiś środek nasenny, ponieważ zaraz po jej wypiciu Tina zapadła w głęboki sen. Kiedy się ocknęła, jej usta znów były zaklejone, a papierek z batona został zabrany.

Chciało jej się płakać. Prochy nie mogą być dobre. Nie dla niej. I nie dla jej nienarodzonego dziecka.

Dziwne. Jeszcze przed czterema tygodniami nie była pewna, czy w ogóle chce je urodzić. Wtedy jednak Betsy przyniosła książkę ilustrującą rozwój dziecka i razem obejrzały wszystkie zdjęcia. Teraz już Tina wiedziała, że sześć tygodni po poczęciu płód ma półtora centymetra długości, dużą głowę z oczami bez powiek, małe ręce i małe nogi z przypominającymi płetwy dłońmi i stopami. Jeszcze tydzień i dziecko stanie się dwa razy większe, na jego dłoniach i stopach wykształcą się małe paluszki i będzie wyglądało jak najśliczniejsza fasolka na świecie.

Innymi słowy, jej dziecko jest już dzieckiem. Małą kochaną istotą, którą Tina pewnego dnia weźmie w ramiona. Nie mogła się doczekać tej chwili. Gorzej, że zaraz potem matka ją zabije.

Matka. O Boże, na myśl o niej chciało jej się płakać. Gdyby coś stało się Tinie... Czasami życie było zbyt niesprawiedliwe dla tej kobiety, która pracowała tak ciężko po to, by

zapewnić córce lepsze życie.

Tina musi być bardziej czujna. Uważniejsza. Nie zniknie bez śladu, do licha. Nie zamierzała trafić do jakichś idiotycznych policyjnych statystyk. Znow wyteżyła słuch. Pragnęła zdobyć choćby najmniejszą wskazówkę, która powiedziałaaby jej, co się właściwie dzieje.

Była prawie pewna, że jest w samochodzie. Czowała ruch, ale przez to, że nic nie widziała, nie mogła zorientować się w sytuacji. Być może kojec leżał w pikapie albo furgonetce z zasłoniętymi oknami. Nie sądziła, by była noc, choć nie mogła spojrzeć na zegarek, żeby stwierdzić, ile czasu minęło. Wydawało jej się, że spała bardzo długo. Środki nasenne, a potem strach, zrobiły swoje.

Czowała się osamotniona. Ciemność była zbyt sterylna, nie słychać było nawet cichego oddechu drugiej osoby, a tym bardziej jęków strachu. Była przekonana, że jest tu jedyną żywą istotą. Może to dobrze? Może uprowadził tylko ją?

Wątpiła w to jednak i dlatego chciało jej się płakać.

Nie wiedziała, czemu on to robi. Czy jest zboczeńcem, który uprowadza studentki i wywozi je do obleśnej kryjówki, w której robi z nimi potworne rzeczy? Ale Tina wciąż była ubrana, miała nawet sandały na pięciocentymetrowych koturnach. Zostawił jej też torebkę. Zboczeniec pewnie by tak nie postąpił.

Może to handlarz niewolników? Tina słyszała różne historie. Za białą dziewczynę w odległych krajach można dostać dużo pieniędzy. Może skończy w haremie albo w jakiejś spelunie w Bangkoku? Cóż, to dopiero będzie niespodzianka, kiedy młodej ślicznotce nagle urośnie wielki brzuch. Na przyszłość dobrze się zastanowią, zanim znow kogoś porwą.

Jej dziecko urodzone w niewoli, stykające się na co dzień z prostytutką i pornografią...

Żółć znow podeszła jej do gardła. Z determinacją powstrzymała mdłości.

Nie mogę wymiotować, powiedziała swojemu żołądkowi. Daj mi szansę. Tkwimy w tym razem. Znajdę sposób, by się stąd wydostać. Musisz zatrzymać jedzenie i wodę. Nie mamy zbyt dużego pola manewru. Każda kaloria jest na wagę złota.

Co było bardzo istotne, bo jakkolwiek przewrotnie to brzmiało, im mniej jadła, tym silniejsze czuła mdłości. Krótko mówiąc, od jedzenia było jej niedobrze, a od braku jedzenia jeszcze gorzej.

Nagle Tina zorientowała się, że ruch stał się wolniejszy. Wyteżyła słuch i doszedł ją słaby pisk hamulców. Samochód stanął.

Zesztywniała. Zaczęła macać za plecami. Poczwała pod dłońmi czarną torebkę i ścisnęła ją jak broń. Nie żeby to jej coś dało, przecież miała skrepowane ręce. Ale musiała coś zrobić. Wszystko było lepsze od biernego czekania na to, co się stanie...

Nagle drzwi się otworzyły. Zamrugła, oślepiąca wdzierającym się do wozu jasnym światłem słonecznym, i poczuła niesamowite gorąco. Dobry Boże, co za ukrop. Cofnęła się głębiej, ale nie mogła uniknąć palącego powietrza.

W drzwiach stał mężczyzna. Jego twarz była czarną plamą okoloną słoneczną aureolą. Podniósł rękę i między plastikowe prety wpadła zawinięta w celofan paczka. Potem następna i jeszcze jedna.

– Masz wodę? – spytał.

Próbowała odpowiedzieć, ale przypomniała sobie, że ma zaklejone usta. W butelce było jeszcze trochę wody, ale chciała więcej, więc pokręciła głową.

– Powinnaś oszczędzać prowiant – skarcił ją mężczyzna. Miała ochotę go opluć. Zamiast tego wzruszyła ramionami.

– Dam ci jeszcze jedną butelkę. Ale to wszystko. Zrozumiano?

Co miał na myśli, mówiąc, że to wszystko? Że potem ją uwolni? Czy też zgwałci, zabije albo sprzeda bandzie zboczeńców?

Znów zakotłowało jej się w żołądku. Zamknęła oczy, poczuła mdłości.

Po chwili coś ukłuło ją w rękę. Cholerna igła. Narkotyki, o nie...

Jej mięśnie natychmiast zwiotczały. Osunęła się na ściankę kojca, świat rozmył jej się przed oczami. Drzwi otworzyły się. W skrzyni pojawiła się butelka wody. Dłoń niedbale zerwała taśmę z jej twarzy. Piekły ją wargi. Z kącika ust popłynęła strużka krwi.

– Jedz, pij – rzucił mężczyzna cicho. – Po zmierzchu potrzeba ci będzie dużo siły.

Rozległ się trzask zamykanego kojca. Drzwi furgonetki zasunęły się. Nie było już światła. Ani ciepła.

Tina osunęła się na podłogę. Skuliła się, troskliwie osłaniając brzuch. Potem narkotyki wygrały bitwę i wciągnęły ją w ciemność.

Rozdział 11

Quantico, Wirginia

15.14

Temperatura: 37 stopni

Sekcja zwłok szła jak po grudzie. Kimberly nie była zaskoczona. Autopsję najczęściej przeprowadzano po upływie kilku dni – nie godzin – od odnalezienia ciała. Albo w tej chwili niewiele się działo, albo śledztwo prowadzone przez NCIS miało stosownie wysoką rangę.

Agent Kapłan przedstawił ją lekarzowi sądowemu, doktorowi Corbenowi, a potem jego asystentce, Ginie Nitsche.

– Twoja pierwsza sekcja? – spytała Nitsche, szybko i sprawnie wwożąc zwłoki.

Kimberly skinęła głową.

– Gdyby chciało ci się rzygać, wyjdź bez pytania – powiedziała Nitsche wesoło. – I bez tego będę miała dużo sprzątanina. – Trajkotała dalej, rozsuwając worek na zwłoki i odchylając plastik. – Nazywają mnie tu służącą. Formalnie rzecz biorąc, doktor Corben jest prokuratorem. On zajmie się najważniejszymi czynnościami, ja będę robiła, co mi każe. Zwłoki zwykle dostajemy dzień czy dwa przed sekcją i wprowadzamy je do rejestru w innym pomieszczeniu. Sporządzamy listę ubrań i rzeczy osobistych, ważymy ciało, przydzielamy mu numer identyfikacyjny. Jednak uwzględniając ograniczenia czasowe – Nitsche spojrzała znacząco na Kapłana – tym razem załatwimy to wszystko za jednym zamachem. Aha, póki pamiętam, na bocznym stoliku jest pudełko z rękawicami. W szafce są czepki i fartuchy. Bierz, co chcesz.

Kimberly niepewnie spojrzała na szafkę, a Nitsche, jakby czytając jej w myślach, dodała:

– No wiesz, czasem strasznie chlapie.

Kimberly podeszła do szafki, wyjęła z niej czepki, by przykryć krótkie, podobne do piórek włosy i włożyła fartuch. Zauważyła, że agent Kapłan też wziął strój ochronny, ale rękawiczki miał własne. Ona skorzystała z zapasów lekarza sądowego.

Nitsche skończyła rozpakowywać ciało. Ściągnęła zewnętrzną płachtę grubego plastiku. Odchyliła białe prześcieradło. Na koniec odgarnęła podobną do torby z pralni chemicznej drugą warstwę plastiku, która bezpośrednio stykała się z ciałem. Zdjęte płachty ułożyła wokół wózka. Potem metodycznie spisała wszystkie ubrania i biżuterię, podczas gdy doktor Corben przygotowywał stół do sekcji.

– Przed przyjściem przeszukałam jej torebkę – oznajmiła Nitsche, jak gdyby nigdy nic. – Biedactwo, miała broszury o Hawajach z biura podróży. Zawsze chciałam tam pojechać. Myślisz, że wybierała się tam z chłopakiem? Bo jeśli tak, no to teraz jest już wolny, a ja potrzebuję kogoś, kto by mnie stąd zabrał. No dobra, jesteśmy gotowi.

Pchnęła wózek bliżej stołu. Od razu widać było, że przeprowadzili z doktorem Corbenem niejedną sekcję. On podszedł do głowy dziewczyny, ona stanęła u jej stóp. Policzyli do trzech i zsunęli nagie zwłoki z wózka na metalowy stół. Nitsche wywiozła wózek.

– Próba mikrofonu – powiedział doktor Corben do dyktafonu. Upewniwszy się, że działa

jak należy, wziął się do pracy.

Zaczął od opisanego zwłok. Odnotował płeć, wiek, wzrost, wagę, kolor oczu i włosów. Stwierdził, że ofiara zdaje się być w dobrym zdrowiu (pomijając fakt, że nie żyje, pomyślała Kimberly), zauważył, że ma zdrowe zęby (żaden dentysta nie powie ci, że pewnego dnia jakiś lekarz sądowy może sprawdzić, czy naprawdę używałaś nici dentystycznej). Zwrócił też uwagę na tatuaż w kształcie róży, wielkości mniej więcej dwóch i pół centymetra, na lewej piersi denatki.

Ofiara i denatka. Doktor Corben często używał tych słów. Kimberly stwierdziła, że to właśnie dlatego czuje się tak nieswojo. Nigdy nie myślała w tych kategoriach. Dla niej wciąż była to młoda, ładna, jasnowłosa dziewczyna. Jeśli ona sama miała być chłodnym i cynicznym badaczem śmierci, to jeszcze sporo jej do tego brakowało.

Doktor Corben zajął się oględzinami widocznych obrażeń. Opisał duży sińca na lewym biodrze dziewczyny i nacisnął dłonią bladą skórę.

– Na lewym udzie widoczna duża wybroczyna, o średnicy około dziesięciu centymetrów. Część środkowa, o średnicy około dwóch centymetrów od miejsca nakłucia, jest czerwona i nabrzmiała. Jak na zastrzyk domięśniowy, siniec jest wyjątkowo duży. Może to być skutkiem braku doświadczenia osoby robiącej zastrzyk bądź użycia grubej igły.

Agent Kapłan zmarszczył brwi i skinął ręką. Doktor Corben wyłączył dyktafon.

– Jak to, grubą? – spytał Kapłan.

– Igły różnią się grubością. Na przykład lekarze robią zastrzyki osiemnastką, która bardzo łatwo wchodzi w żyłę. Przy umiejętnym użyciu zostaje stosunkowo niewielki ślad. W tym przypadku siniec jest bardzo duży. I nie tylko na mięśni. Igła przebiła skórę tu, na środku, gdzie mamy zaczerwienienie i opuchliznę. Rozmiar sińca wskazuje na to, że albo wbito strzykawkę z dużą siłą albo igła była wyjątkowo gruba.

Kapłan zmrużył oczy i zamyślił się.

– Po co ktoś miałby stosować większą igłę?

– Różne igły służą do różnych celów. – Doktor Corben zmarszczył brwi. – Czasem, aby szybko wstrzyknąć dużą ilość środka, trzeba użyć większej igły. To samo, kiedy miesza się różne substancje. A tu mamy coś ciekawego. Chodzi o drugi ślad, na ramieniu. Proszę zwrócić uwagę na jego stosunkowo mały rozmiar. Lekka opuchlizna, to wszystko. Typowy ślad po zastrzyku. Zgoda, można to wytłumaczyć faktem, że wykonano go na krótko przed śmiercią denatki, jednak tak czy inaczej, sprawca zrobił go o wiele bardziej umiejętnie. Albo użyto dwóch różnych igieł, albo chodzi o dwie bardzo różne... metody wykonywania zastrzyków domięśniowych.

– A więc najpierw dostała zastrzyk w biodro – myślał Kapłan na głos – wykonany z dużą siłą, przy użyciu bardzo grubej igły, a potem w ramię. Tym razem sprawca był bardziej opanowany, ostrożniejszy. Ile czasu upłynęło między dwoma zastrzykami?

Doktor Corben jeszcze raz pomacał palcami pierwszy siniec.

– Biorąc pod uwagę jego duży rozmiar, rozrastał się dość długo. Proszę jednak zwrócić uwagę na jego kolor, jest fioletowy i ciemnoniebieski. Nie ma zielonych ani żółtych odbarwień, które pojawiają się później. Moim zdaniem, zastrzyk w ramię wykonano od

dwunastu do dwudziestu czterech godzin po zastrzyku w biodro.

– Pułapka – mruknęła Kimberly.

Kapłan odwrócił się do niej. Jego oczy znów nabrały surowego wyrazu.

– Że co proszę?

– Pułapka. – Zmusiła się, by mówić głośniej. – Ten pierwszy siniec... skoro mógł być wynikiem użycia większej siły, powstał może, gdy ofiara wpadła w pułapkę. Tak sprawca zyskał nad nią kontrolę. Potem, kiedy już ją obezwładnił, miał więcej czasu na zrobienie ostatniego zastrzyku.

Przypomniało jej się to, co Mac mówił o zabójstwach z Georgii. O tym, że dziewczyny znajdowane jako pierwsze miały sińce na biodrach i ślad po śmiertelnym zastrzyku na lewym ramieniu. Nigdy dotąd nie słyszała o mordercy działającym w taki sposób. Jak duże jest prawdopodobieństwo, by było ich dwóch, w dwóch różnych stanach?

Doktor Corben włączył dyktafon. Przewrócił ciało na plecy, odnotował brak sińców i stłuczeń, po czym zakończył wstępne oględziny opisem ust. Nitsche podała mu standardowy formularz, na którym szybko i wprawnie naszkicował wszystkie zewnętrzne obrażenia.

Zajęli się dłońmi. Na miejscu znalezienia zwłok nałożono na nie torebki. Nitsche ściągnęła je i oboje z Corbenem nachylili się nad stołem. Lekarz pobrał próbki z za paznokci. Nitsche wzięła je od niego. Corben potarł wacikiem łożyska paznokci, szukając śladów krwi. Podniósł oczy na Kapłana i pokręcił głową.

– Nic nie wskazuje na to, że się broniła – stwierdził. – Brak skrawków skóry czy śladów krwi.

Kapłan westchnął i oparł się o ścianę.

– To nie jest mój dobry dzień.

Ponieważ oględziny dłoni zostały zakończone, Nitsche przyniosła poduszeczkę do tuszu, by pobrać odciski palców. Ciało jednak uległo pełnemu stężeniu pośmiertnemu i zeszywniałe palce stawiały duży opór.

Doktor Corben podszedł, by jej pomóc. Manipulował przy pierwszym stawie palca wskazującego dotąd, aż stężenie z cichym trzaskiem ustąpiło. Nitsche zaczęła pobierać odciski, a doktor Corben zajął się następnymi palcami. Każdy trzask niósł się słabym echem w zimnym pokoju, a Kimberly czuła, jak żółć podchodzi jej do gardła.

Nie porzygam się, postanowiła rozpaczliwie. I przypomniała sobie... O Boże, to dopiero oględziny zewnętrzne.

Po pobraniu odcisków doktor Corben przeniósł się niżej, między nogi dziewczyny. Choć, sądząc po stanie jej ubrania, nie doszło do gwałtu, musiał wszystko dokładnie obejrzeć.

– Brak sińców po wewnętrznej stronie ud, brak uszkodzeń warg sromowych – stwierdził. Przeczesał włosy łonowe, a Nitsche zebrała kosmyki do torebki. Corben wzięł trzy waciki.

Kimberly musiała się odwrócić. Ta młoda dziewczyna nie żyje. Już nic nie może jej zranić. Ona jednak nie była w stanie na to patrzeć. Palce jej zeszywniały, oddychała płytko. Znów poczuła silny zapach wypełniający salę i pot wystąpił jej na plecy. Kątem oka zauważyła, że Kapłan wpatruje się w podłogę.

– Oględziny zewnętrzne – podsumował doktor Corben po chwili – wskazują na to, że nie

doszło do gwałtu. A teraz umyjmy ją.

Kimberly otworzyła szeroko oczy. Nitsche i doktor Corben zaczęli polewać ciało wodą z węża. Zdumienie musiało odmalować się na twarzy Kimberly, bo doktor Corben powiedział, przekrzykując szum wody:

– Po zakończeniu oględzin zawsze myjemy zwłoki, zanim zrobimy pierwsze nacięcie. Nie chcemy, by czynniki zewnętrzne – kurz, włókna, okruchy – zanieczyściły organy wewnętrzne i zafałszowały wyniki badań. Zobaczyliśmy już, co jest na wierzchu. Teraz pora zajrzeć do środka.

Doktor Corben zakręcił, wodę, rozdał wszystkim plastikowe okulary i wziął do ręki skalpel.

Kimberly pozieleniała. Starła się, jak mogła. Do cholery, przecież oglądała zdjęcia z miejsc zbrodni. Gwałtowna śmierć nie była dla niej niczym nowym.

Mimo to ugięły się pod nią kolana. Mówiła sobie, że musi wziąć się w garść, ale kiedy spojrzała na twarz dziewczyny, nie wytrzymała.

– O mój Boże – wydyszała – co ona ma w ustach?

Teraz nikt nie mógł nie zauważyć tego, co już wcześniej zwróciło uwagę doktora Corbena. Najpierw wyrzucił się lewy policzek, bładny i woskowy. Po chwili to samo stało się z prawym. Wyglądało to tak, jakby wydeła usta, wpatrując się w nich martwymi brązowymi oczami.

Kapłan odpiął kaburę. Kimberly też. On wyjął pistolet, a ona czerwoną plastikową zabawkę. Szlag by to. Sięgnęła do lewej kostki, nie odrywając oczu od twarzy dziewczyny.

– Odsuńcie się – powiedział Kapłan.

Doktor Corben i jego asystentka nie potrzebowali dodatkowej zachęty. Nitsche miała szeroko otwarte oczy i była wyraźnie zaintrygowana. Doktor Corben poblądł i miał taką minę, jak przy pierwszych oględzinach zwłok w lesie.

– Może to gazy będące wynikiem rozkładu – zasugerował bez przekonania. – Leżała w upale...

– Ciało dopiero co uległo pełnemu stężeniu. Rozkład nie jest jeszcze tak zaawansowany – mruknął Kapłan ponuro.

Policzki znów się wydeły. Najpierw z jednej, potem z drugiej strony.

– Chyba... – zaczęła Kimberly trochę za cicho. Oblizwała wargi, spróbowała jeszcze raz: – Chyba coś tam jest. W jej ustach. Dlatego je zaszył.

– O w mordę! – Nitsche nie kryła lęku.

– Matko Boska – mruknął Kapłan, nieco bardziej opanowany.

Kimberly spojrzała na doktora Corbena. Jego prawa ręka mocno drżała. Pewnie jeszcze nigdy czegoś takiego nie widział. A jego mina mówiła, że wolałby przejść na emeryturę niż zobaczyć to znowu.

– Proszę pana – powiedziała tak spokojnie, jak potrafiła – ma pan skalpel. Musi pan... musi pan przeciąć szwy.

– Nie ma mowy!

– Cokolwiek tam jest, musi wyjść. Lepiej, żeby stało się to teraz, kiedy mamy to coś na

oku.

Kapłan powoli pokiwał głową.

– Słusznie. Musimy zrobić sekcję. Dlatego cokolwiek tam jest, trzeba to usunąć.

Doktor Corben popatrzył na nich niespokojnie. Szukał w myślach kontrargumentu. Chciał wyrazić sprzeciw. Ale wtedy obudził się w nim naukowiec. Zerknął na zwłoki, przyjrzał się groteskowo wykrzywionej twarzy i powoli, bardzo powoli skinął głową.

– Załóżcie okulary ochronne – powiedział w końcu. – Maski, rękawiczki. Cokolwiek to jest, lepiej być przygotowanym na wszystko. – A po chwili dodał, jakby właśnie coś sobie przypomniał: – Gino, stań obok agenta.

Nitsche pospiesznie schroniła się za potężną sylwetką Kapłana. Kimberly wyprostowała się, usiłując zachować zimną krew. Lekko ugięła kolana, gotowa do działania. Założyła okulary. Ścisnęła w dłoni swój ulubiony nóż myśliwski. Podróbka już od dawna leżała na podłodze.

Doktor Corben ostrożnie podszedł do ciała, na tyle blisko, by sięgnąć skalpelem do zaszytych ust dziewczyny i nie znaleźć się na linii ognia Kapłana.

– Liczę do trzech – powiedział Corben głosem pełnym napięcia. – Raz. Dwa. Trzy.

Ciął skalpelem raz, potem drugi, i odskoczył od ciała, potykając się o własne nogi. Na wolność wyskoczyła ciemna cętkowana wstęga i pomknęła po wyłożonej płytkami podłodze.

W jednej chwili Kimberly znalazła się sama w kącie pomieszczenia. W następnej zobaczyła charakterystyczny, pokryty brązowymi plamami kształt grzechotnika – stanął pionowo i złowieszczo syczał.

W małej sali rozległ się huk wystrzału z glocka Kapłana, a Kimberly cisnęła nożem.

Rozdział 12

Quantico, Wirginia

17.14

Temperatura: 37 stopni

Mac stał pod drzwiami sali i właśnie spytał Genny, czy zna w Wirginii jakiegoś dobrego botanika, kiedy po lewej stronie mignęła mu pędząca korytarzem postać ubrana na niebiesko. Po chwili jego lewe ramię przeszył ostry ból i ledwie zdążył podnieść głowę, a jego ulubiona nowa agentka trzepnęła go po raz drugi.

– Nie było mowy o węzach! – Kimberly Quincy wyprowadziła prawy sierpowy, Mac w ostatniej chwili uchylił się w lewo. – Nie mówiłeś, że wsadza im w usta żywe węże! – Rąbnęła go w żebra. Cofnął się o trzy kroki. Jak na taką kruszynkę, biła mocno.

– Ty kłamliwy, chytry, gruboskórny draniu! – Wzięła potężny zamach, ale Mac odzyskał w końcu zimną krew, zablokował cios, wykręcił jej rękę i przycisnął ją do siebie. Ona oczywiście spróbowała przerzucić go przez plecy.

– Skarbie – szepnął jej do ucha. – Doceniam twój entuzjazm, ale może zaczekasz, aż zostaniemy sami?

Czuł, jak wściekłość przenika jej zeszywniała sylwetkę, ale po chwili jego słowa chyba do niej dotarły. Dopiero teraz przypomniała sobie, gdzie jest. Ponieważ studenci zwykle nie atakowali innych studentów na korytarzach akademii, ściągnęła na siebie powszechną uwagę. Z oczu Genny wyzierało rozbawienie. Patrzyła Macowi w twarz z nieskrywanym zainteresowaniem.

– Tak tylko trenujemy – wycedził Mac głośno. – No wiesz, trzeba pomagać nowym agentom. – Ostrożnie puścił rękę Kimberly. Nie uderzyła go, nie nadepnęła mu na nogę, więc uznał, że nie jest źle. – A teraz, złotko, może wyjdziemy na zewnątrz i tam porozmawiamy o innych metodach obezwładniania podejrzanych?

Szybkim krokiem ruszył w stronę podwójnych drzwi. Po chwili wahania Kimberly rzuciła się za nim. Udało jej się dotrzeć aż za róg budynku, na w miarę osłonięte patio, zanim znów na niego naskoczyła.

– Dlaczego nic nie powiedziałeś o zaszytych ustach! – wrzasnęła.

Podniósł ręce w geście kapitulacji.

– A co miałem powiedzieć? Nie wiem, o co ci chodzi!

– Zostawił w jej ustach grzechotnika. Prawdziwego, żywego!

– A to miałaś atrakcję. Uderzyłaś go tak mocno, jak mnie?

– Rzuciłam w niego nożem!

– No tak...

Zasepiła się.

– Ale chybiłam. Zastrzelił go agent specjalny Kapłan.

Aha, nic dziwnego, że się wkurzyła. Nadszedł jej wielki moment, a ona nie trafiła nożem

atakującego węża. Dziewczyna wysoko zawiesza poprzeczkę.

– Chcę mojego glocka! – wściekała się.

– Wiem, skarbie, wiem. – Opuścił ręce i popadł w zadumę. – Żywy wąż – powiedział w końcu. – Tego nie przewidziałem. Kiedyś zostawił w gardle dziewczyny jajo aligatora. A ostatniej, Mary Lynn, ślimaka. Ale nigdy bym... Żywy grzechotnik! Cholera, dajesz facetowi spokój na trzy lata, a temu do reszty odbija.

To go przeraziło. Boże, strach przeniknął go do szpiku jego grubych kości.

Kimberly zdawała się go nie słuchać. Nerwowo pocierała ramiona, jakby było jej zimno w czterdziestostopniowym upale. Próbowwała zachować spokój, stała sztywno, zgarbiona, jak kobieta ze szkła, która lada chwila może się rozsypać.

To szok, zrozumiał Mac. Najmłodsza twardzielka z Quantico najadła się strachu i jeszcze nie doszła do siebie. Podsunął jej krzesło z kutego żelaza i wskazał je gestem ręki.

– No, siadaj. Odsapnij chwilę. Sekcja już się skończyła, skarbie. Tutaj nic złego ci się nie stanie.

– Powiedz to tej zabitej dziewczynie – mruknęła Kimberly szorstko, ale usiadła. Przez chwilę milczeli.

Kimberly jeszcze o tym nie wiedziała, ale tego popołudnia Mac także nie próżnował. Na początek zasięgnął języka na jej temat. I o rany, ale się nasłuchał. Dobra wiadomość była taka, że jego obecna współpracownica miała prawdziwie policyjny rodowód. Jej ojciec był podobno doskonałym specjalistą od sporządzania portretów psychologicznych. Pomagał przy wielu śledztwach, zamknął wielu bandytów.

Mówiło się, że córka odziedziczyła po nim inteligencję i zdolność wczuwania się w sposób myślenia przestępców. Była też zła wiadomość: dziewczyna uchodziła za lekko stukniętą. Nie lubiła zwierzchników ani innych studentów. W ogóle chyba nie lubiła nikogo, co mogło wyjaśniać, że ile razy Mac na nią wpadał, próbowała go zabić.

No i dochodziło jeszcze to, co spotkało jej rodzinę. Fakt, że psychopata zamordował najbliższe jej osoby, nie mógł nie pozostawić piętna na jej psychice. Może Mac powinien dziękować losowi, że, jak dotąd, nie zrobiła mu większej krzywdy.

Zerknął na nią spod przymkniętych powiek. Kimberly patrzyła w dal niewidzącym wzrokiem. Wyglądała na skrajnie wyczerpaną, pod oczami miała głębokie cienie, a skórę wciąż przecinały czerwone zadrapania.

Widać, że nie śpi po nocach. I to od dawna.

– Zmarła z przedawkowania? – spytał w końcu, wrywając ją z zadumy.

– Nie znam wyników badań toksykologicznych. Ale najpierw została mocno uderzona w lewe udo. Później, po upływie od dwunastu do dwudziestu czterech godzin, wstrzyknięto jej w lewe ramię śmiertelną dawkę leku.

– Zastrzyki domięśniowe? – spytał Mac.

– Tak.

– Jej ubranie było nietknięte? Torebka też? Brak śladów gwałtu?

– Odpowiedź na wszystkie pytania brzmi „tak”.

– Co z obrażeniami obronnymi? Ślady krwi, skrawki skóry czy cokolwiek?

– Nic.

– Cholera – westchnął Mac.

Skinęła głową.

– Zidentyfikowali ją?

– Jeszcze nie. Pobrali odciski palców. Potrzebują trochę czasu, żeby sprawdzić je w komputerze.

– Musimy dowiedzieć się, kim była. Będzie nam potrzebna lista jej przyjaciół i bliskich, trzeba sprawdzić, z kim spędziła wczorajszy wieczór. Dokąd poszli, jakie były marka i model ich samochodu... Jezu. – Przeszedł dłonią włosy, jego umysł zaczynał pracować na przyspieszonych obrotach. – Minęło już co najmniej dwanaście godzin... Jezu. Kto prowadzi dochodzenie?

– Agent specjalny Kapłan.

– Powinienem z nim porozmawiać.

– Powodzenia – prychnęła Kimberly.

– Pozwolił ci oglądać sekcję zwłok.

– Tylko dlatego, że obiecałam, że się porzygam.

– No i jak było?

– Miałam na to ochotę – przyznała. – Do chwili, kiedy pojawił się grzechotnik. Potem Kapłan rozwalił mu łeb i musieliśmy zastanowić się, jak najlepiej sprzątnąć flaki węża, bo można je uznać za dowód w sprawie.

– Nieźle, jak na pierwszą autopsję – powiedział Mac poważnie.

– Taa – westchnęła. Wydawała się zaskoczona jego uwagą. – Następne pewnie będą łatwiejsze.

– Też tak myślę.

Zamilkli. Kimberly nadal żałowała, że nie udało jej się zabić tego węża, Mac wspominał śledztwo sprzed kilku lat, które teraz znów spędzało mu sen z powiek.

Żar zaczął dawać się we znaki, spowił ich jak gruby koc i wcisnął głęboko w krzesła, ubrania lepiły im się do skóry. Kiedyś Mac nie miał nic przeciwko takim upałom. Mógł wtedy siedzieć na dworze, przy basenie rodziców. Nastawić płytę Alana Jacksona, litrami pić lemoniadę domowej roboty. A po zapadnięciu zmierzchu obserwować świetliki śmigające w zabarwionym na fioletowo powietrzu.

Ostatnio nie myślał już o sielankowych letnich dniach. Lato stało się wrogiem. Kiedy nadciągały fale upałów, dziewczęta nie mogły czuć się bezpiecznie, nawet gdy chodziły parami.

Musi zadzwonić do Atlanty i zastanowić się, jak załatwić sprawę z tym Kapłanem. Będą potrzebowali pomocy. I to jak najszybciej. Najlepszych specjalistów. Botanika, biologa, geologa, entomologa i Bóg jeden wie, ilu jeszcze „ologów”. Czy istnieją eksperci od węży? Trzeba by znaleźć kogoś, kto wie wszystko o grzechotnikach i potrafi wyjaśnić, co to znaczy, kiedy grzechotnik wyskakuje z ust martwej dziewczyny.

No i jest jeszcze ten kamyk, którego Mac nawet nie widział na oczy. I liść, tyle że na razie nie udało mu się go zidentyfikować. A to tylko te wskazówki, o których wiedział.

Musi obejrzeć zwłoki i tyle. Dobrze byłoby zobaczyć też ubranie ofiary. I jej torebkę, włosy, sandały. Facet lubi zostawiać wskazówki w najdziwniejszych miejscach i wygląda na to, że cały czas pracuje nad usprawnieniem swoich metod. Żywy grzechotnik wciśnięty do ust...

Cholera... cholera, i tyle.

Gdzieś niedaleko otworzyły się drzwi. Mac usłyszał zbliżające się kroki, po czym na patio padł cień. Przed nimi stał mężczyzna. Mac widział go pierwszy raz w życiu, ale sądząc po minie Kimberly, ona znała go dobrze.

– Kimberly – powiedział mężczyzna cicho.

– Tata – odparła z równą rezerwą.

Brwi Maca uniosły się i zniknęły pod włosami spadającymi na czoło, a mężczyzna, starszy, szczupły i doskonale wyglądający w ciemnoszarym garniturze, zwrócił się do niego:

– A pan to z pewnością agent specjalny McCormack. Pierce Quincy. Bardzo mi miło.

Mac uściśnął dłoń mężczyzny. I zrozumiał. Na jego ustach zaigrał dziwny uśmiech. Ścisnęło go w żołądku i zaczęło mu dzwonić w uszach. A tak się martwił, że NCIS nic nie robiło przez ostatnie osiem godzin. Wychodzi na to, że niepotrzebnie.

Pierce Quincy nie powinien znać jego nazwiska. Ba, nie powinien mieć powodu, by znać kogokolwiek z Akademii Narodowej. Chyba że kazano mu znaleźć Maca. A to mogło oznaczać tylko jedno...

– Chodźcie ze mną, musimy porozmawiać – rzucił Quincy starannie modulowanym głosem.

– Po co tu przyjechałeś? – spytała Kimberly chłodno.

– Zostałem zaproszony.

– Nie przeze mnie!

– Gdzieżbym śmiał cię o to podejrzewać.

– Do diabła, powiedzieli ci o tych zwłokach?

– Kimberly...

– Sama daję sobie radę!

– Kim...

– Nie potrzebuję pomocy, zwłaszcza twojej! Wracaj do domu! Jeśli choć trochę mnie kochasz, na litość boską, odejdz stąd.

– Nie mogę.

– Dlaczego nie?

Pierce Quincy westchnął ciężko, po czym dotknął pokierszowanej twarzy córki. Drgnęła. Natychmiast cofnął dłoń, jakby się oparzył.

– Musimy porozmawiać – powtórzył Quincy, zwracając się w stronę frontu budynku. – Proszę, chodźcie ze mną.

Mac wreszcie wstał. Kimberly niechętnie odsunęła krzesło. Oboje ruszyli w ślad za jej ojcem. Mac delikatnie objął ją w talii.

– Chyba mamy kłopot – szepnął jej do ucha.

A ona odparła gorzko:

– I to jaki.

Rozdział 13

Quantico, Wirginia

17.44

Temperatura: 37 stopni

Quincy zaprowadził ich do gabinetu w głównym skrzydle administracyjnym. Na drzwiach wisiała tabliczka z nazwiskiem Marka Watsona. Gospodarz we własnej osobie stał oparty biodrem o krawędź biurka. Miał dwóch gości. W pierwszym Mac rozpoznał oficera NCIS, którego widział na miejscu odnalezienia zwłok. Drugim, o dziwo, była bardzo atrakcyjna kobieta. Pod czterdziestkę, ocenił Mac. Wspaniałe, długie, kasztanowe włosy. Pociągła twarz o wyrazistych rysach, raczej intrygująca niż klasycznie piękna. Na pewno nie z FBI. Świadczył o tym choćby fakt, że była wściekła na Watsona.

– Kimberly! – wykrzyknęła kobieta. Wstała, gdy tylko Kimberly weszła do gabinetu, i szybko ją uściskała.

– Rainie – przywitała ją Kimberly. Uśmiechnęła się do niej blado, ale kiedy Watson się wyprostował, znów przybrała nieufny wyraz twarzy. To on tu rządzi. Podniósł ręce, pragnąc zwrócić na siebie uwagę zebranych.

Przedstawił swoich gości: Rainie okazała się Lorraine Conner, partnerką Quincy'ego w nowojorskiej firmie Quincy & Conner Investigations, a oficerem NCIS był agent specjalny Thomas Kapłan z biura w Norfolk.

Watson oznajmił, że firma Quincy & Conner Investigations ma pomóc NCIS w śledztwie. Biorąc pod uwagę fakt, że ciało zostało znalezione na terenie bazy marines, niedaleko budynków FBI, władze uznały, iż zatrudnienie niezależnych konsultantów leży w interesie wszystkich. W wolnym tłumaczeniu: wszyscy aż za dobrze wiedzieli, co się stanie, jeśli mordercą okaże się jeden z ich ludzi, a oni będą podejrzewani o próbę zatuszowania sprawy. Jeden zero dla polityków.

Mac zajął miejsce przy drzwiach, które zostały zamknięte. Zauważył, że Kapłan stoi obok Watsona, a Quincy usiadł obok Rainie Conner. Kimberly starała się trzymać jak najdalej od ojca. Stała w przeciwległym kącie, z ramionami skrzyżowanymi na piersi i hardo uniesionym podbródkiem.

A więc wiadomo już, kto z kim trzyma, a kto jest sam. Można przejść do rzeczy.

Mark Watson zwrócił się do Kimberly:

– O ile wiem, widziała się pani dziś z agentem specjalnym Kapłanem, agentko Quincy.

– Tak jest.

– Wydawało mi się, że rano doszliśmy do porozumienia. Ta sprawa leży w gestii NCIS. Pani ma trzymać się od niej z daleka.

– Ponieważ obiecałam, że będę współpracowała z NCIS – odparła Kimberly spokojnie – odszukałam oficera prowadzącego śledztwo, by dobrowolnie złożyć zeznania. Tak się złożyło, że akurat uczestniczył w sekcji zwłok. Spytałam, czy mogłabym popatrzeć. Był tak

dobry, że się zgodził. – Kimberly uśmiechnęła się zimno. – Dziękuję, agencie Kapłan.

Watson spojrział na Kapłana, który wzruszył potężnymi ramionami.

– Podała nazwisko. Poprosiła o zgodę. Pomyślałem, co mi tam, i ją wpuściłem.

– Nie skłamałam – wtrąciła Kimberly. – I nie mataczyłam. – Ściągnęła brwi. – Ale chybiłam węża. Za to przepraszam.

– Rozumiem – powiedział Watson. – A wcześniej, kiedy wbrew mojemu poleceniu próbowała pani wrócić na miejsce zbrodni, czy także miała pani na względzie dobro śledztwa prowadzonego przez NCIS?

– Szukałam agenta specjalnego Kapłana...

– Proszę nie robić ze mnie durnia.

– Byłam ciekawa – poprawiła się Kimberly. – To nieistotne. Marines i tak mnie stamtąd przegonili.

– Rozumiem. A co było po tym, jak nękała pani marines w lesie, agentko Quincy? Czy nie jest prawdą, że przez godzinę rozmawiała pani z agentem specjalnym McCormackiem, mimo że zabroniłem pani opowiadać o jej znalezisku komukolwiek z akademii? Mogłaby pani to jakoś wytłumaczyć?

Kimberly zeszywniała. Niepewnie zerknęła kątem oka na Maca, a on stłumił cisnące mu się na usta przekleństwo. No tak, spotkali się w Crossroads Lounge. Na oczach wszystkich. Głupota, głupota, głupota.

Tym razem Watson nie czekał na odpowiedź Kimberly. Był na fali, a może po prostu zauważył, jak spięty jest siedzący naprzeciw niego Quincy.

– Proszę sobie wyobrazić moje zdumienie – ciągnął Watson – kiedy usłyszałem, że zamiast zgodnie z moją prośbą wrócić do pokoju, moja studentka najpierw zawędrowała do lasu, a potem widziano ją pogrążoną w dyskusji ze studentem Akademii Narodowej, który dziwnym trafem kiedyś prowadził śledztwo w sprawie uderzająco podobnej do zabójstwa wykrytego dziś rano. Czy przekazywała pani informacje agentowi specjalnemu McCormackowi, Kimberly?

– Właściwie to wyciągałam informacje od niego.

– No proszę. Ogromnie to interesujące. Zwłaszcza że przed dziesięcioma minutami agent specjalny Kapłan uznał go za głównego podejrzanego – Och, na litość boską wybuchnął Mac.

– Robię wszystko, co w mojej mocy, by pomóc w wyjaśnieniu sprawy, która jest tylko początkiem długiego gorącego koszmaru. Nie wiecie, że dostaliście się w sam środek...

– Gdzie pan był zeszłego wieczoru? – przerwał mu agent Kapłan.

– Najpierw w meksykańskiej knajpie w Stafford. Potem wróciłem do Quantico, gdzie na strzelnicy natknąłem się na agentkę Quincy. To nie jest istotne...

Kapłan zwrócił się do Kimberly:

– O której widziała go pani na strzelnicy?

– Około jedenastej. Nie patrzyłam na zegarek...

– Widziała pani, jak wrócił do akademika?

– Nie.

– A dokąd poszedł?

– Nie wiem. Ja poszłam do akademika. Nie śledziłam go!

– Innymi słowy – Kapłan utkwiał wzrok w twarz Maca – nikt nie wie, gdzie pan był po wpół do dwunastej w nocy.

– Czy nie jest to nadzwyczajny zbieg okoliczności – zabrał głos Watson – że podczas pańskiego pobytu w akademii przytrafia nam się zabójstwo tak bardzo podobne do tych, w sprawie których prowadził pan śledztwo?

– To nie zbieg okoliczności – powiedział Mac. – To było zaplanowane.

– Co takiego? – wykrztusił Watson. Spojrzał na Kapłana, który wydawał się równie zaskoczony. Najwyraźniej obaj byli gorącymi zwolennikami teorii, według której mordercą był glina z Georgii. Czemu nie? Trup o ósmej rano, zamknięcie śledztwa przed osiemnastą. Jak przyjemnie byłoby czytać nagłówki w gazetach. Kretyni.

– Może – wtrącił Quincy cicho – powinniście dopuścić go do głosu. Oczywiście – dodał z ironią – to tylko sugestia niezależnego konsultanta.

– Tak – poparła go Rainie. – Niech sam się wypowie. Wreszcie zaczyna być ciekawie.

– Dziękuję – powiedział Mac głosem, w którym brzmiało napięcie. Spojrzał z wdzięcznością na Quincy’ego i Rainie, starannie unikając wzroku Kimberly. Co myśli w tej chwili? Czuje się skrzywdzona, dezorientowana, zdradzona? Naprawdę nie chciał jej zranić, ale cóż, stało się.

– Wszystko, co powiem, może potwierdzić mój przełożony, agent specjalny Lee Grogen z biura w Atlancie. Tak, poczynając od dziewięćdziesiątego ósmego mieliśmy serię zabójstw podobnych do tego, które wykryliście dzisiaj. Po trzecim morderstwie powołaliśmy specjalną między agencyjną grupę śledczą. Niestety, po siedmiu następnych człowiek, którego poszukiwaliśmy, znany jako Ekomorderca, nagle zniknął. Nie było nowych uprowadzeń, w ogóle nic się nie działo. Na początku grupa specjalna miała przeszło tysiąc tropów. Minęły trzy lata i nie zostało nam prawie nic. Sytuacja zmieniła się pół roku temu. Wtedy znów zrobiło się gorąco. Ktoś przysłał nam wycinek z listem do redakcji podobnym do tych, jakie poszukiwany przez nas człowiek wysyłał do „Atlanta Journal-Constitution”. Tyle że tym razem listu nie wysłano do gazety z Georgii, tylko do „Virginian-Pilot”. A potem zacząłem dostawać telefony...

– Pan – przerwał mu Quincy – czy grupa specjalna?

– Ja. Na komórkę. Cholera wie dlaczego, ale było ich już sześć. Głos mojego rozmówcy za każdym razem zniekształcony był przez jakieś elektroniczne urządzenie, a on/ona/ono miał mi do przekazania jedną wiadomość: Ekomorderca się obudził. Wkrótce zaatakuje. Tyle że tym razem w Wirginii.

– I pański wydział przysłał tu pana – powiedział Watson. – Po co? W charakterze obserwatora? Ma pan jakimś cudem zapobiec kolejnej zbrodni? Nawet nikomu pan nie powiedział o swoich obawach.

Mac znów zaczął się irytować.

– Tak między nami, o moich obawach mówiłem wszystkim, którzy skłonni byli mnie wysłuchać. Ale spójrzmy prawdzie w oczy, uśpionych spraw jest tu na kopy, każdy, kto tu przychodzi, ma za sobą jakieś śledztwo, które wciąż spędza mu sen z powiek. Jedyne, co

udało mi się zrobić, to spotkać się z lingwistą z BSU, doktorem Ennunzio, i pokazać mu listy do redakcji. Tyle że nie wiem, co o nich myśli, bo od tamtej pory nie odpowiada na moje telefony. No i w końcu wylądowałem tutaj. Mam cholernie dobry trop, a ty czepiasz się niewłaściwego człowieka, paranoiczny kutasie.

– Cóż za zgrabne podsumowanie – mruknęła Rainie.

Twarz Watsona, noszącego regulaminowy czerwony krawat, pokryła się czerwonymi plamami. Mac patrzył mu prosto w oczy. Był bardziej wściekły niż powinien, robił sobie wrogów, choć powinien raczej szukać przyjaciół. Olewał to. Zginęła kolejna dziewczyna, a on miał dosyć gadania o sprawie, której istoty ci ludzie nie są w stanie pojąć.

– Nadal nie widzę związku między tym zabójstwem a wydarzeniami w Georgii – stwierdził Kapłan. – Czy człowiek, który do pana dzwonił, powiedział, że ten tak zwany Ekomorderca uderzy w tym tygodniu?

– Nie wprost.

– Czy powiedział, że zdarzy się to na terenie Akademii FBI?

– Nie.

– Czy podał panu powód, dla którego zabójca nic nie robił przez trzy lata?

– Nie.

– Ani dlaczego przeniósł się z Georgii do Wirginii?

– Nie.

– Innymi słowy, niczego panu nie powiedział.

– Trafił pan w sedno. To nasz główny słaby punkt. Minęło pięć lat, a my nadal nic nie wiemy, i dzisiaj nic się nie zmieniło. Dlatego może skończmy już tę rozmowę, żebym mógł ruszyć w teren i, no wie pan, zacząć działać.

Były marine puścił jego słowa mimo uszu i zwrócił się do pozostałych uczestników spotkania:

– A więc tak naprawdę zostaje nam tylko list do redakcji napisany pół roku przed odnalezieniem ciała. To zbyt naciągane – orzekł beznamietnym tonem. – Jakiś seryjny morderca z Georgii, który siedzi cicho przez trzy lata, nagle podrzuca ciało na terenie Quantico, powiadamiając o tym tylko studenta Akademii Narodowej. To nie trzyma się kupy.

– A co, powinien zadzwonić do pana? – spytała Rainie z lekką ironią.

Mac od razu ją polubił.

– Nie o to mi chodziło...

– A może powinien lepiej wytłumaczyć się w którymś z listów?

– No właśnie! Skoro facet pisze listy, czemu nie zrobił tego tym razem? Rajcuje go przyznawanie się do swoich zbrodni. No to gdzie list?

– Minęły trzy lata – przypomniała Rainie. – Może mu się odmieniło.

– Posłuchajcie mnie – wtrącił Mac. Słyszał w swoim głosie coraz większe zniecierpliwienie. Próbował to ukryć, ale na próżno. Szkoda czasu. Oni nic nie rozumieją. I nigdy nie zrozumieją bez stosownych dokumentów i notatek. Może Ekomorderca wie to lepiej, niż im się wydaje. Wszystkie urzędy, zwłaszcza związane z wymiarem sprawiedliwości, działają powoli, bardzo powoli, muszą postawić kropki nad „i” i pamiętać o

osłanianiu własnych tyłków. A w tym czasie samotna dziewczyna, porzucona w stroju wyjściowym w jakiejś surrealistycznej dziczy, ścisnęła butelkę z wodą i pewnie zastanawiała się, co też dopadnie ją za chwilę.

– Ten cholerny list to nie wszystko. Ekomorderca ma pewne zasady, które nazywam „regułami gry”, i w tym przypadku wszystkie zostały zachowane. Przynajmniej na tyle, by mnie przekonać. – Mac uniósł jeden palec. – Po pierwsze, atakuje tylko podczas upałów.

– W lipcu zdarzają się dość często – zaprotestował Watson.

Mac zignorował agenta FBI.

– Po drugie, pierwsza z ofiar zawsze jest ubrana, a jej torebka nietknięta. Nie ma śladów napadu ani gwałtu. Na ciele widoczny jest jeden siniec, na pośladkach lub udzie, ale przyczyną zgonu jest przedawkowanie środka uspokajającego o nazwie ativan, wstrzykniętego w lewe ramię.

Watson spojrzał przenikliwie na Kimberly.

– Nie pominąłeś żadnego szczegółu, co?

– Sam to sprawdziłem! – wybuchnął Mac. – Do cholery, trzy lata czekałem na tę chwilę. Oczywiście, że byłem na miejscu zbrodni. Nie tylko nowi agenci mogą czaić się w lasach...

– Nie miał pan prawa...

– A właśnie, że miałem! Znam tego człowieka. Rozpracowywałem go przez pięć zaszarych lat. I mówię wam, szkoda czasu na gadanie. Nie rozumiecie? Ta dziewczyna nie jest jedyną ofiarą. Reguła numer trzy: zawsze uprowadza je parami, bo pierwsza z nich jest tylko mapą. Narzędziem, które ma wskazać miejsce, gdzie odbywa się właściwa gra.

– To znaczy? – spytała Rainie.

– To znaczy, że w tej chwili gdzieś tam jest druga dziewczyna. Podróżowała w towarzystwie ofiary, może być jej siostrą, współlokatorką czy przyjaciółką. Była z nią, kiedy wpadły w pułapkę, a teraz została gdzieś zabrana. Morderca wcześniej upatrzył sobie odpowiednie miejsce. Jest geograficznie unikatowe, ale i bardzo, bardzo zdradliwe. W Georgii wybrał granitowy wąwóz, pola bawełny, brzegi rzeki Savannah i przybrzeżne bagna. Szuka odkrytych terenów, zamieszkiwanych przez drapieżniki, takie jak grzechotniki, niedźwiedzie i rysie. Lubi miejsca odludne, gdzie nawet po wielu dniach wędrówki uprowadzone dziewczyny nie mogą znaleźć pomocy. Wybiera obszary istotne dla środowiska naturalnego, ale mało znane. Uwalnia dziewczyny nafaszerowane narkotykami, zamroczone i zdezorientowane, i czeka. W takim upale część z nich pewnie żyje nie dłużej niż kilka godzin. Ale niektóre – te bystre, twarde – mogą przetrwać kilka dni. Nawet tydzień. Długie męczące dni, bez jedzenia, bez wody, spędzone na czekaniu na pomoc.

Rainie patrzyła na niego zaintrygowana.

– Ile razy już to zrobił?

– Cztery. Uprowadził osiem dziewczyn. Siedem nie żyje.

– A więc jedną uratowaliście.

– Nore Ray Watts. Ostatnią. Znaleźliśmy ją w samą porę.

– Jak? – spytał Quincy.

Mac odetchnął głęboko. Jego mięśnie znów się napężyły. Z trudem powstrzymywał

zniecierpliwienie.

– Morderca zostawia przy pierwszej ofierze wskazówki. Ślady, które, właściwie odczytane, zawężają obszar poszukiwań drugiej ofiary.

– Jakie wskazówki?

– Flora i fauna, gleba, osady, kamienie, owady, ślimaki, cokolwiek przyjdzie mu do głowy. Początkowo nie rozumieliśmy ich znaczenia. Zbieraliśmy dowody zgodnie z przepisami, radośnie wysyłaliśmy je do laboratoriów, a potem znajdowaliśmy kolejne zwłoki. No, ale nawet my potrafimy uczyć się na błędach. Po zaginięciu czwartej pary mieliśmy już do dyspozycji zespół doświadczonych specjalistów. Botaników, biologów, geologów, i tak dalej. Najpierw znaleźliśmy siostrę Nory Ray, Mary Lynn. Na jej koszuli była jakaś substancja, na butach próbki roślinności, a w gardle miała obce ciało.

– W gardle? – spytał Kapłan.

Mac skinął głową. Po raz pierwszy agent NCIS wydawał się autentycznie zaniepokojony.

– Substancją na jej koszuli okazała się sól. Rośliną na butach była *Spartina alterniflora*, trawa bagienna. A w obcym ciele biolog rozpoznał muszlę ślimaka pobrzeżka. Wszystko to można znaleźć w słonych błotach. Wysłaliśmy grupy poszukiwawczo-ratownicze na wybrzeże i pięćdziesiąt sześć godzin później śmigłowiec Straży Przybrzeżnej wypatrzył Nore Ray, wymachującą jasnoczerwoną koszulą.

– Nie mogła pomóc wam w zidentyfikowaniu zabójcy? – spytała Rainie.

Mac pokręcił głową.

– Pamiętała tylko, że złapała gumę, a potem ocknęła się spragniona na środku cholernego bagna.

– Była pod działaniem narkotyków? – Tym razem to Watson się odezwał.

– Siniak jeszcze nie zdążył zniknąć z jej lewego uda.

– A więc facet wciąga je w zasadzki?

– Domyślamy się, że obserwuje bary. Wypatruje młodych dziewczyn – kolor skóry jest nieistotny – podróżujących parami. Śledzi je i czeka, aż wsiądą do samochodu. Wtedy podkłada pod tylne koło pinezkę lub dwie. Potem pozostaje mu tylko jechać za nimi. Prędkiej czy później łapią gumę, a on zatrzymuje się przy nich, jakby chciał im pomóc, i ma je w garści.

– Podkrada się do nich ze strzykawką? – spytał Watson z niedowierzaniem.

– Nie. Strzela do nich z pistoletu na naboje ze środkiem usypiającym. Takiego, jakiego używają myśliwi polujący na grubą zwierzynę.

W panującej w gabinecie ciszy rozległy się głębokie wdechy. Mac z kamienną twarzą popatrzył na zgromadzonych.

– Myślicie, że siedzieliśmy z założonymi rękami? Polowaliśmy na tego człowieka przez pięć lat. Mogę przedstawić wam jego portret psychologiczny. Mogę powiedzieć wam, jak łapie swoje ofiary. Mogę was zapewnić, że nie zawsze udaje mu się dopiąć swego. Po fakcie dowiedzieliśmy się o co najmniej dwóch parach dziewczyn, które złapały gumę i podjechał do nich jakiś mężczyzna. One jednak nie otworzyły okien i dzięki temu przeżyły. Badania wykazały w organizmie Mary Lynn obecność drugiego środka, ketaminy, która jest

stosowana przez weterynarzy i hycli z uwagi na jej działanie uspokajające. Można ją dostać na ulicy, bo dzieciaki biorą ją podczas imprez i znają pod nazwą Kit Kat lub Special K. Ativan także jest stosowany przez weterynarzy. Dlatego zainteresowaliśmy się nimi, ale nic z tego nie wynikło. Podobnie było z członkami różnych klubów łowieckich, jak na przykład Klubu Miłośników Appalachów czy Towarzystwa imienia Audubona. Zapewniam was, że w tym człowieku jest coraz więcej agresji. Zaczął od jednej napaści w roku, co u seryjnego zabójcy wymaga niesamowitego panowania nad sobą, a na koniec zaatakował dwa razy w ciągu dwunastu tygodni. I coraz bardziej utrudnia nam zadanie. Gdybyśmy po pierwszym morderstwie byli uważniejsi, zorientowalibyśmy się, że jedną ze wskazówek jest rzadkie zioło występujące tylko na niewielkim obszarze w Georgii, i na pewno ocalilibyśmy dziewczynę. Ostatnim razem, w przypadku Nory Ray Watts, wskazówki doprowadziły nas na słone błota, które w Georgii obejmują prawie sto sześćdziesiąt tysięcy hektarów. Prawdę mówiąc, Nora Ray była przysłowiową igłą w stogu siana.

– A mimo to ją znaleźliście – powiedziała Kimberly.

– To, że przeżyła, zawdzięcza głównie sobie – odparł Mac chłodno.

Quincy jednak patrzył na niego badawczo.

– Sto sześćdziesiąt tysięcy hektarów? Takiego obszaru nie da się szybko przeszukać. Z helikoptera nie można wypatrzeć samotnej dziewczyny na tak rozległym terenie. Wiedział pan coś jeszcze.

– Miałem pewną teorię – przyznał Mac niechętnie. – Nazwijmy to „sporządzaniem portretu geograficznego”.

– Ofiary były ze sobą jakoś powiązane? Pochodziły z tych samych regionów?

– Nie. Chodziło o ciała. Jeśli zaznaczyć miejsce ich odnalezienia na mapie i zidentyfikować wskazywany przez nie kierunek...

– Wykorzystywał je jako kompas – wydyszał Quincy.

– Mapy – sprostował cicho Mac. – Pierwsze dziewczyny są dla niego tylko mapami. Czemu więc nie miałby ułożyć ciała Mary Lynn tak, by wskazywało, gdzie szukać jej siostry? W końcu jest tylko narzędziem. Gra jest najważniejsza.

– Jezu – szepnęła Rainie.

W gabinecie zapadła cisza. Po chwili Kapłan odkaslnął.

– Ofiara znaleziona dziś rano nie była ułożona w określonym kierunku. Jej ręce i nogi były rozrzucone na wszystkie strony.

– Wiem.

– To kolejna sprzeczność.

– Wiem.

– Z drugiej strony, miała w ręku kamyk – powiedział Kapłan, przyglądając się Macowi. – I węża w ustach. To coś nowego.

– I liść we włosach – dodał Mac. – Lekarz sądowy znalazł go i wyrzucił. Teraz mam go ja. Przyniosę go po zakończeniu spotkania.

– To wbrew regułom – zauważył Watson.

– To daj mi klapsa. Chcecie ten liść czy nie?

– To nie trzyma się kupy. – Kapłan był wyraźnie strapiony. – Z jednej strony, wąż. Zdaje się, że to zupełnie nowy element. Z drugiej, jedyne, co łączy te sprawy, to list do redakcji napisany pół roku temu. Poza tym... od ostatniego morderstwa upłynęły trzy lata, a ten pański zabójca do tej pory nie atakował w Wirginii. Może te sprawy rzeczywiście się wiążą. A może pański rozmówca to jakiś palant, który robi sobie jaja, a to zabójstwo to zbieg okoliczności. To jest równie prawdopodobne.

Wszyscy zaczęli powoli kiwać głowami. Kapłan, Quincy, Rainie. Tylko Kimberly nie drgnęła. Mac był z niej dumny.

– Mam pewną teorię – powiedział nagle.

Spojrzeli na niego i uznał to za zachętę.

– Kiedy ten człowiek zaczął działać w dziewięćdziesiątym ósmym, pierwsze wskazówki były oczywiste i łatwe do odczytania. Od tamtej pory podnosił poprzeczkę coraz wyżej. Coraz trudniej było znaleźć wskazówki. Ofiary musiały radzić sobie w coraz cięższych warunkach. Nastąpiła błyskawiczna eskalacja zbrodni. Przewidział, że będziemy wyciągali wnioski, i zawsze wyprzedzał nas o krok, by mieć większe szanse. Aż do roku 2000, kiedy to, siedem trupów później, w końcu dopięliśmy swego. Uratowaliśmy dziewczynę. A on się wycofał. Bo wygraliśmy.

Mac spojrzał na Quincy'ego.

– Seryjni mordercy się nie wycofują – zauważył ojciec Kimberly.

– Tak, ale sami o tym nie wiedzą.

Quincy pokiwał głową w zadumie.

– Czasem próbują. Bundy dwa razy uciekał z więzienia i obiecywał, że przestanie napadać na dziewczyny. Wycofa się, będzie żył spokojnie i wszystko ujdzie mu na sucho. Tyle że nie potrafił. Nie docenił fizjologicznej i emocjonalnej potrzeby zabijania. Im bardziej starał się powstrzymać od zabijania, tym silniejszy był wewnętrzny przymus, by to zrobić. Aż w końcu napadł na pięć dziewczyn w ciągu jednej nocy.

– Myślę, że nasz zabójca próbował z tym skończyć – powiedział Mac i zobaczył, że Rainie i Kapłan zamknęli oczy. – Tyle że pokusa była coraz silniejsza. Aż wreszcie znów musiał zacząć... To nie jest ta sama gra, co trzy lata temu. Tamtą wygraliśmy. Reguły się zmieniły. Kończyny ofiary nie są już igłami kompasu. Wewnątrz mapy czyha żywy, śmiertelnie groźny grzechotnik. A ciało zostaje porzucone w pobliżu Akademii FBI, bo po co wymyślać grę, skoro nie można zagrać z najlepszymi? W roku 2000 ktoś zabił trzy dziewczyny w dwanaście tygodni. Jeśli to ten sam morderca, jeśli to nowa gra, to jakiegokolwiek ma zamiary, zapewniam was, że tym razem będzie o wiele, wiele gorzej. Dlatego przykro mi, jeśli was urażę, panie i panowie, ale nie mogę stać tu dłużej i strzepić języka. O tej sprawie nie można rozmawiać. Nie ma czasu na pisanie raportów czy ustalanie chronologii wydarzeń. W chwili, kiedy znalezione zostaje pierwsze ciało, zegar zaczyna tykać. A teraz, jeśli chcecie mieć choćby cień szansy na znalezienie drugiej ofiary żywej, wierzcie mi, musicie ruszyć tyłki i wziąć się do roboty. Bo ona gdzieś tam jest i mam nadzieję, że jeszcze nie jest za późno.

Rozdział 14

Wirginia

19.52

Temperatura: 33 stopnie

Zmęczenie zaczynało dawać mu się we znaki. Nie zmrzył oka od prawie czterdziestu ośmiu godzin, a od szesnastu siedział za kierownicą. Słońce, świecące jasno przez większość dnia, pomagało mu wytrwać. Światło dnia jednak zaczynało już przygasać. Za nim, na horyzoncie, kładły się jaskraworóżowe i jasnopomarańczowe smugi. Przed nim, w leśnej głuszy, słońce już dało za wygraną.

Ciemność gęstniała pod sklepieniem drzew. Cienie wydłużały się i powiększały, tworząc głębokie czarne dziury, które wchłaniały wszystko w obrębie dwudziestu metrów. Drzewa przybierały groteskowe kształty, prawie nie było widać liści. Na tle krajobrazu odcinały się tylko szerokie przyczepy kempingowe rozkraczone na środku pól, otoczone wypalonymi skorupami samochodów i złomem rozmaitego pochodzenia.

Mężczyzna nie musiał się obawiać, że ktoś go zauważy.

Na tych trawnikach nie bawiły się dzieci. Na tych gankach nie przesiadywali ludzie. Tu i ówdzie widział samotne wynędzniałe psy o spuszczonej pyskach i wystających żebrach, siedzące obojętnie na spróchniałych stopniach werand. Poza tym jego drogę znaczyły tylko rozjechane opsy.

Jednak wciąż toczyło się tu życie. Nie każdego stać było na przeprowadzkę. A niektórzy po prostu przyzwyczaili się do zapachu, który zawsze wisi tu w powietrzu. Mieszanka fetoru zgniłych jaj i płonących śmieci. Silny drażniący smród, od którego starsi ludzie się dusili, a przybyszom napływały do oczu łzy. Nawet miejscowi zastanawiali się, czy duża liczba przypadków raka wśród ich sąsiadów to rzeczywiście tylko zbieg okoliczności.

To także Wirginia. Ale większość mieszkańców stanu wołałaby zapomnieć o istnieniu tych okolic. Wirginia ma być piękna, słynąca z zielonych pasm górskich i cudownych piaszczystych plaż. Wirginia to kraj kochanków, jak mawiają pracownicy biur podróży. Nie ma prawa tak wyglądać.

Mężczyzna skręcił w prawo, na piaszczystą drogę. Furgonetka podskoczyła z głośnym hukiem. Szarpnęło kierownicą ale utrzymał ją bez większego wysiłku, choć jego mięśnie były już zmęczone, a czekało go jeszcze kilka godzin ciężkiej jazdy. Potem napije się kawy. Zrobi chwilę przerwy dla rozprostowania kości. No i będzie mógł zabrać się do pracy.

W życiu chodzi o to, by podjąć wysiłek. Znieść karę jak mężczyzna.

Furgonetka nagle wyskoczyła na polanę, gdzie mroczne niebo nieco się rozjaśniło, oświetlając scenę rodem z koszmaru.

Wznosiły się tu stosy trocin, wciąż parujące od uwięzionego pod nimi sprężonego ciepła i pokryte białym nalotem, wyglądającym jak kurz, a tak naprawdę będącym cienką warstwą grzybów. Po lewej stronie, rozpadające się szopy z powybijanymi oknami i chwiejącymi się

ścianami na próżno próbowały osłonić długie taśmociągi z zardzewiałymi pasami, kończące się ogromnymi piłami. Ich zęby wydawały się czarne w gasnącym świetle. Ubrudzone krwią? Olejem? Któż to może wiedzieć?

Tartak został zamknięty przed kilkoma laty. Za późno. Ukryty na tym zadupiu, przez dwadzieścia ostatnich lat zanieczyszczał strumienie, niszczył rośliny i wyrządzał ogromne szkody pod ziemią.

Mężczyzna widział kiedyś na własne oczy, jak wygląda praca w tartaku. Patrzył, jak robotnicy atakują pnie piłami mechanicznymi. Nikt nie nosił gogli ochronnych. Niewielu pamiętało, by założyć kask. Ludzie chodzili w luźnych flanelowych koszulach, które w każdej chwili mogły zaczepić się o jedno z wygłodniałych ostrzy.

Kubki po kawie lądowały na ziemi. Zgniecione puszki po coli tworzyły coś na kształt pola minowego. Pracownicy bezmyślnie odrzucali na bok zużyte brzeszczoty pił. Chwila nieuwagi mogła skończyć się rozdarciem nogawki. Chwila dużej nieuwagi – utratą nogi.

„A góry trocin mogły w każdej chwili ulec samozapłonowi. Jeśli do tego dojdzie, nic tu nie przetrwa. Ani nikt.

Głupie skurwysyny. Zniszczyli ziemię, poszli sobie i mają czelność myśleć, że wszystko jest w porządku.

Mężczyzna wysiadł z furgonetki, oburzenie dodało mu sił. Natychmiast opadło go robactwo. Komary, muchy. Nadleciały całymi chmurami, zwabione zapachem świeżej krwi i słonego potu. Próbował opędzić się od nich ręką, ale wiedział, że to na nic. Zmierzch jest porą komarów. I nietoperzy, które już krążyły nad jego głową i czekały na ucztę.

Dziewczyna leżała nieruchomo w furgonetce. Przed czterema godzinami zaaplikował jej trzy i pół miligramu ativanu. Powinna być nieprzytomna jeszcze przez dwie godziny, może nawet cztery. To było istotne dla czekającej go wędrowni.

Najpierw zajął się sobą. Włożył gruby niebieski kombinezon. Materiał był syntetyczny, cienki, ale gumowaty w dotyku. Zwykle starał się unikać sztucznych włókien, ale teraz nie miał innego wyjścia. Ostatnie przeprowadzone przez niego badanie wody wykazało, że jej pH wynosi dwa i pół. Innymi słowy, była tak kwasowa, że dosłownie przeżarłaby bawełnę i zniszczyła skórę. Cóż, niech będzie syntetyczny kombinezon.

Na kombinezon mężczyzna włożył masywne płócienne buty i grube rękawice. W wiszącej u pasa torbie miał zapas wody, słone krakersy, wodoodporne zapalki, scyzoryk, czołówkę, kompas, linę i dwa karabinki.

Potem szybko podszedł do dziewczyny. Ta była brunetką. Nie żeby to się liczyło. Miała na sobie skąpą sukienkę w żółte kwiatki, która niezbyt skutecznie osłaniała jej długie opalone nogi. Wyglądała jak biegaczka albo urodzona sportsmenka. Może to pomoże jej w najbliższych dniach. Może nie.

Zacisnął zęby, schylił się i przerzucił ją sobie przez ramię. Od razu rozboleły go ręce i plecy. Nie była ciężka, ale on nie był zbyt silny, a do tego miał za sobą czterdzieści osiem godzin wyczerpującego wysiłku. Z trudem się wyprostował; najgorsze ma już z głowy.

Ona też dostała kombinezon. Bez niego nie dałoby się wejść do środka. Ubierał ją jak lalkę. Włożył jej ręce w rękawy i nogi w nogawki. Dokładnie zasunął suwak.

Kawałkiem liny przywiązał ją do niewielkich noszy. W ostatniej chwili przypomniał sobie o torebce i butelce wody. Kiedy pomyślał o tym, jak blisko kwasowej mazi znajdzie się twarz dziewczyny, lepiej naciągnął jej kaptur.

Wstał i zrobiło mu się ciemno przed oczami.

Co? Gdzie? Musi... musi...

Jest w starym tartaku. Z dziewczyną. Obok stoi jego furgonetka.

Świat znów zawirował, czarna dziura zaczęła go wciągać. Mężczyzna zachwiał się i przycisnął dłonie do skroni. Co? Gdzie? Musi... musi...

Jest w starym tartaku. Zgadza się. Jest z nim dziewczyna. Mocniej potarł skronie, próbując przetrzymać kolejny atak bólu. Skoncentruj się, człowieku, skup się. Stoi obok swojej furgonetki, ma na sobie niebieski kombinezon. Torba spakowana, dziewczyna przypięta do deski. Wszystko gotowe.

Tyle że to jeszcze bardziej zbiło go z tropu. Dlaczego nie pamiętał, jak to przygotowywał? Co się stało?

Czarne dziury, przypomniał sobie jak przez mgłę. Ostatnio pojawiały się coraz częściej. Przyszłość i przeszłość przeciekały mu przez palce z przerażającą szybkością. Jest wykształconym człowiekiem. Szczyci się swoją inteligencją, siłą i opanowaniem. Ale jest też częścią natury. I nic nie żyje wiecznie. Wszystko, co piękne, musi umrzeć.

Ostatnio często śniły mu się płomienie.

Mężczyzna schylił się, przyczepił linę do noszy, drugi koniec przerzucił przez ramię i zaczął ciągnąć.

Po siedemnastu minutach dotarł do małego otworu w ziemi. Niewiele osób by go zauważyło, ot, jeszcze jeden lej, którego wapienne podłoże było bardziej dziurawe niż ser szwajcarski. Ten otwór był jednak wyjątkowy. Mężczyzna znał go od młodości i nawet wtedy zdawał sobie sprawę z możliwości, jakie dawał.

Założył uprzęż, wpiął do niej linę, resztę zawiązał wokół grubego pnia pobliskiego drzewa, zapewniając sobie prowizoryczną asekurację. Stał pewnie na nogach, po czym ostrożnie opuścił nosze przez otwór. Po dziesięciu minutach usłyszał cichy plusk. Korzystając z liny, zaczął schodzić w dół. Po chwili i on zniknął w cuchnącym otworze. Stał po kolana w wodzie. Dziesięć metrów nad jego głową widać było przyćmione światło. Ze wszystkich stron otaczały go nieprzeniknione ciemności.

Większość ludzi zauważała tylko tartak. Nie wiedzieli, że w Wirginii pod ziemią często można znaleźć cały ekosystem.

Włączył czołówkę, wypatrywał wąski korytarz po prawej stronie i zaczął pełzać na kolanach, ciągnąc za sobą dziewczynę. Koniec liny wpiął do upręży na biodrach.

Po kilku minutach korytarz zrobił się niższy. Mężczyzna wyciągnął się w oleistej cuchnącej wodzie. Chroniła go syntetyczna folia, mimo to mógłby przysiąc, że czuje wodę omywającą jego skórę, wypłukującą komórki, zzerającą ciało aż do kości. Niedługo dostanie się do jego mózgu i wtedy nie będzie dla niego nadziei. Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz.

Zapachy stały się intensywniejsze. Warstwy rozkładających się odchodów nietoperzy

tworzyły muliste grzęzawisko, przelewające się z chlupotem wokół jego rąk i kolan. Ostry gryzący odór ścieków i odpadów. Silniejsza, bardziej złowroga woń śmierci.

Powoli posuwał się naprzód, i choć czołówka oświetlała drogę, nie przestawał macać wokół siebie. Nietoperze były bardzo płochliwe i nie chciał, by spanikowane i wściekłe stworzenie wpadło mu na twarz. To samo dotyczyło szopów, ale byłoby dziwne, gdyby w tym korytarzu przetrwał choć jeden. Większość żyjących tu stworzeń pewnie już dawno wyginęła.

Teraz została już tylko ta cuchnąca woda, niszcząca resztki wapiennych ścian i niosąca powolną podstępą śmierć.

Nosze kołysały się, od czasu do czasu stukając go w plecy. I nagle, kiedy sufit znalazł się niebezpiecznie nisko, zmuszając go do opuszczenia głowy tuż nad powierzchnię trującej wody, tunel się skończył. Za nim rozciągała się przestronna grot.

Mężczyzna natychmiast poderwał się na nogi. Było mu głupio, że czuł tak silną potrzebę wyprostowania się, ale mimo to jej uległ. Łapczywie chwycił ustami powietrze, głód tlenu był silniejszy od obawy przed smrodem. Chciał poczuć falowanie klatki piersiowej. Zgiąć palce. Spojrzał w dół i był autentycznie zaskoczony, kiedy zobaczył, jak mocno trzęsą mu się ręce.

Powinien być silniejszy. I twardszy. Ale po czterdziestu ośmiu godzinach bez chwili snu nawet jemu zaczynało być ciężko.

Zanim odzyskał panowanie nad sobą, minęło pół minuty. Choć najgorsze miał już za sobą, znów uświadomił sobie, jak szybko płynie czas.

Podniósł dziewczynę i posadził ją na skalnej półce, odwróconą od ciemnego strumienia, i szybko zdjął z niej kombinezon. Obok niej zostawił torebkę i butelkę wody.

Dziesięć metrów wyżej, rura o średnicy dwunastu centymetrów tworzyła w sklepieniu prowizoryczny świetlik. Kiedy wszędzie słońce, dziewczynę powita wąska smuga światła. Uznał, że to daje jej szansę na przeżycie.

Przywiązał nosze do uprząży i na odchodnym jeszcze raz rzucił okiem na brunetkę.

Siedziała oparta plecami o ścianę przy małym zbiorniku wodnym. Woda w nim nie była tak zanieczyszczona, jak w strumieniu. Jeszcze nie. Dzięki temu, że zasilał go deszcz, zbiornik skuteczniej się bronił.

Tu powierzchnia wody marszczyła się i burzyła, dając nadzieję na przeżycie. Pod nią ruszały się żywe walczące stworzenia. Niektóre z nich pełzały i kąsały. A wielu na pewno nie spodoba się towarzystwo nieproszonego gościa.

Dziewczyna zaczęła jęczeć.

Mężczyzna nachylił się.

– Ciii – szepnął jej na ucho. – Na razie lepiej się nie budź.

Woda znów zaczęła się burzyć. Mężczyzna odwrócił się i odszedł.

Rozdział 15

Quantico, Wirginia

21.28

Temperatura: 33 stopnie

Nie wygląda najlepiej – orzekła Rainie.

– Wiem.

– Co jej się stało w oko? Walczyła z Tysonem, czy jak?

– Raczej ćwiczyła strzelanie ze strzelby.

– Schudła.

– Nikt nie mówił, że będzie lekko.

– A mimo to się o nią martwisz. No, Quincy, przyznaj się, chciałbyś wybić Watsonowi zęby. Proszę, zrób to. Ja go przytrzymam.

Quincy westchnął. Odłożył akta, zapiski dotyczące zabójstw, do których doszło w Georgii przed kilkoma laty. Oczywiście były to tylko wyciągi z najważniejszych dokumentów. Raporty detektywów, listy dowodów i zapisy czynności śledczych zajmowały dość pudeł, by zappełnić mały salon. Ani on, ani Rainie nie znosili pracować na podstawie okrojonych wersji dokumentów. Roilo się w nich od błędnych założeń i wniosków. W tym przypadku jednak nie mieli innego wyjścia.

Akta były otwarte na stronie z nagłówkiem Portret psychologiczny: *Sprawa z Atlanty #832*. Rainie aż zaswędziały dłonie. Bez wątpienia sporządziło go GBI. Chciałaby przeczytać to osobiście, zwłaszcza po tym, co usłyszeli od tego policjanta z Georgii. Ale pierwszy wziął akta Quincy. Pewnie studiował je do późnej nocy, ściskając grzbiet nosa, jak zawsze, kiedy głowa bolała go od zbyt intensywnego myślenia.

– Jeśli cokolwiek powiem, to się wścieknie – mruknął.

– Bo jest twoją córką.

– No właśnie. A moja córka nie życzy sobie, żebym mieszał się do jej spraw. Prędezej uwierzy w Świętego Mikołaja, nim przyjmie ode mnie pomoc.

Rainie spojrziała na niego ze zmarszczonym czołem. Siedziała po turecku na środku przykrytego pomarańczową narzutą łóżka. Była w Quantico dopiero czwarty raz i zawsze czuła się tu cholernie spięta. Wszystko wokół zdawało się sugerować, że jest to miejsce tylko i wyłącznie dla agentów o nieskazitelnej reputacji. Choć była z Quincym już sześć lat, i tak dostali oddzielne pokoje – w końcu nie są małżeństwem, a w akademii obowiązują pewne zasady.

Rainie wiedziała, jak urządzony jest ten świat. Nie zostałyby wpuszczona za te święte mury, gdyby nie poręczył za nią Quincy. Ani wtedy, ani teraz. Dlatego w pewnym stopniu potrafiła zrozumieć, co czuje Kimberly, bo sama długo musiała piąć się na szczyt.

– Nie poradzi sobie – powiedziała beznamiętnym tonem. – Wygląda mizernie, ma podkrążone oczy. Jak pies, który dostał o jednego kopniaka za dużo.

– Ćwiczenia są męczące. Chodzi o to, żeby sprawdzić wytrzymałość.

– Gówno prawda! Myślisz, że Kimberly brakuje wytrzymałości? Boże, trzymała się dzielnie nawet po tym, jak szaleniec zabił Bethie. Dała sobie radę, kiedy ten sam człowiek zaatakował ją. Byłam z nią, nie zapominaj.

Kimberly jest bardzo wytrzymała. Nie potrzebuje bandy półgłówek w garniturach, którzy chcą udowodnić coś wręcz przeciwnego.

– Watsonowi nie spodobałoby się, że nazwałaś go półgłówkiem.

– Ani chybi chcesz mnie wkurzyć.

– Na to wygląda. – Quincy uniósł dłonie. Po spotkaniu z Watsonem i Kapłanem zdjął marynarkę. Za drzwiami swojego pokoju odważył się nawet podwinąć rękawy koszuli i poluzować krawat. Wciąż wyglądał jak agent FBI, a Rainie czuła ogromną pokusę, by pobić się z nim, choćby po to, by zaczął wyglądać choć trochę niechlujnie. – Co mam twoim zdaniem zrobić? – spytał.

– Przestań być agentem.

– Nie jestem agentem!

– Och, na miłość boską. Nie ma bardziej typowego agenta od ciebie. Słowo honoru, krawaty w prążki masz chyba zakodowane w DNA. Kiedy umrzesz, na twojej trumnie napiszą: „Własność FBI”.

– Teraz to wymyśliłaś?

– No, mam wenę. Nie zmieniaj tematu. Kimberly ma kłopoty. Widziałeś ją, widziałeś, jak Watson ją traktuje. To się źle skończy, zobaczysz.

– Rainie... może wolałabyś tego nie słyszeć, ale Watson jest doświadczonym pracownikiem akademii. Może ma trochę racji?

– Co? Pojebało cię?

Quincy westchnął głęboko.

– Nie zastosowała się do rozkazów – przypomniał z właściwym mu irytującym spokojem i rozważą. – Nawet jeśli miała po temu dobry powód, to zrobiła to. Kimberly jest nowym agentem. Takie życie wybrała i jeśli chce do czegokolwiek dojść, przynajmniej na początku musi robić, co jej każą. Jeśli tego nie potrafi, może nie nadaje się do FBI.

– Znalazła zwłoki. Ile trupów znalazłeś, kiedy byłeś tu na szkoleniu? No, widzisz. Tak myślałam. Ma prawo być trochę roztrzęsiona.

– Rainie, obejrzyj zdjęcia z miejsca zbrodni. Powiedz, kogo przypomina ci ta dziewczyna?

Rainie niechętnie spojrzała na zdjęcia rozłożone w nogach łóżka.

– Mandy – powiedziała bez wahania.

Quincy z poważną miną pokiwał głową.

– Otóż to. Od razu to zauważyłem, ty też. A Kimberly nie wspomniała o tym ani słowem.

– Jeśli choćby zasugeruje, że ofiara przypomina jej zmarłą siostrę, zabiorą ją stąd w kaftanie bezpieczeństwa.

– A mimo to ofiara musi przypominać jej siostrę. Nie to jest najważniejsze?

Rainie ściągnęła brwi. Omamiał ją tym swoim psychologicznym bełkotem. Niemal czuła,

jak daje się wciągnąć w pułapkę.

– Ale wzięłaś tę sprawę – odparowała.

– Prowadziłem przeszło trzysta śledztw w sprawie zabójstw. Miałem trochę więcej czasu na nabranie obiektywizmu.

– Ale podobieństwo zauważyłeś.

– Tak.

– I to ci przeszkadza, Quincy?

– Co? Że ofiara jest tak bardzo podobna do Mandy, czy że Mandy odeszła, a ja nie zrobiłem niczego, by jej pomóc? – Jego ton stał się ostrzejszy. Rainie uznała to za zachętę, by zsunąć się z łóżka. Zesztywniał, kiedy położyła mu dłonie na ramionach. Spodziewała się tego. Choć minęło już tyle lat, każde z nich wciąż miało swoje bariery i mechanizmy obronne. Kiedyś tak bardzo jej to nie przeszkadzało. Ostatnio jednak zaczynało ją to smucić.

– Współczujesz jej szepnęła.

– Kimberly? No pewnie. Wybrała trudną drogę. Tyle że czasami... – Głośno wypuścił powietrze.

– Mów dalej.

– Kimberly chce być twarda. Chce być silna. To rozumiałe. Po wszystkim, co ją spotkało, to naturalne, że chce czuć się niezwyciężona. A mimo to... Czy strzelając z pistoletu, stajesz się wszechmocna, Rainie? Czy to, że dzień w dzień zmuszasz się do przebiegnięcia dziewięciu kilometrów, oznacza, że nigdy nie będziesz ofiarą? Czy ćwiczenie wszelkich możliwych sztuk walki sprawi, że nigdy nie przegrasz? – Nie czekał na odpowiedź, nie była konieczna. – Kimberly zdaje się szczerze wierzyć, że jeśli zostanie agentką FBI, już nikt nigdy nie zrobi jej krzywdy. Boże, Rainie, tak trudno jest patrzeć, jak twoje dziecko popełnia ten sam błąd, co ty.

Rainie oplótła rękami jego barki i położyła głowę na jego piersi. A ponieważ nie mogła go w żaden sposób pocieszyć ani zaprzeczyć jego słowom, przeszła na jeden jedyny temat, który zawsze był bezpieczny. Praca. Trupy. Intrygujące śledztwo.

– Myślisz, że ten przystojniak z Georgii ma rację? – spytała.

– Przystojniak z Georgii?

– Mówię tak przez wzgląd na Kimberly. Taka już ze mnie altruistka. Ty pierwszy dorwałeś się do akt. Co sądzisz o jego przypuszczeniu, że Ekomorderca z Georgii teraz poluje na ofiary z Wirginii?

– Jeszcze nie wiem – powiedział Quincy z ociąganiem. Położył dłoń na jej karku. Pogładził ją po włosach. Zamknęła oczy i przez chwilę myślała, że może wszystko będzie dobrze. – Sprawa Ekomordercy jest interesująca i niezwykła bardziej z uwagi na to, czego śledczy nie wiedzą o zabójcy, niż na to, co wiedzą. Na przykład, po siedmiu morderstwach nie znaleźli narzędzia ani miejsca zbrodni i nie mają żadnych dowodów śladowych, żadnych włosów, włókien, krwi czy spermy. Wygląda na to, że zabójca spędzał z każdą ofiarą możliwie najmniej czasu, dzięki czemu uniknął pozostawienia śladów. Facet po prostu atakuje, zabija i ucieka.

– Ma hopla na punkcie skuteczności.

Quincy tylko wzruszył ramionami.

– Większość zabójców działa powodowana żądzą krwi. Chcą nie tylko zabić, ale i rozkoszować się bólem i cierpieniem ofiar. Tymczasem tu mamy do czynienia z tak zimnym mordercą, z jakim jeszcze nigdy się nie zetknąłem. Najwyraźniej nie bawi go stosowanie przemocy, a mimo to jest wyjątkowo brutalny.

– Lubi rywalizację – dodała Rainie. – Największą frajdę sprawia mu nie zabijanie, tylko obmyślanie zagadek. A potem pisze listy, by zbrodnia została przypisana właśnie jemu.

– Pisze listy – przytaknął Quincy – które mają sprawić wrażenie, że prowadzona przez niego gra ma podtekst ekologiczny. Mamy więc wierzyć, że naprawdę przejmuję się stanem środowiska, czy to tylko kolejny aspekt tej gry? Za mało wiem, ale jestem prawie pewien, że nawet te listy to także tylko rekwizyt. Facet ustawia dekoracje. Jest jak Czarnoksiężnik z krainy Oz, chowa się za zasłoną i pociąga za sznurki. Ale w jakim celu? Czego tak naprawdę chce i jakie ma korzyści z tego, co robi? Tego jeszcze nie wiem.

– A jakie są podobieństwa między tą sprawą a zabójstwami z Georgii? – drażyła temat Rainie.

– Przyczyna zgonu – odparł Quincy bez namysłu. – Niewielu seryjnych morderców, zwłaszcza płci męskiej, zabija przy użyciu środków uspokajających.

– Kobiety kochają trucizny – powiedziała Rainie znacząco.

– No właśnie. Swoją drogą, twój ulubieniec Watson też poruszył parę interesujących kwestii. Po pierwsze, Ekomorderca z Georgii zawsze porzucał pierwszą ofiarę przy ruchliwej drodze, gdzie ta swojego rodzaju „mapa” mogła być łatwo znaleziona. Zgodnie z tą regułą, owszem, zamordowana dziewczyna mogła zostać porzucona na terenie bazy marines, ale raczej w pobliżu którejś z dróg, na przykład MCB4 czy MCB3. Ścieżka do joggingu to nie to samo. Po drugie, niepokoją mnie te zaszyte usta. Wskazuje to na wzmożoną potrzebę stosowania przemocy, pośmiertnego okaleczenia zwłok, no i w aż nadto wyraźny sposób symbolizuje fakt, że ofiara ma mieć usta zamknięte.

– Albo zabójca rozpoczął bardziej niebezpieczną grę, jak przypuszcza agent McCormack.

– To prawda. Niepokoi mnie też zmiana rejonu jego działania. Właściwie tylko rzuciłem okiem na portret psychologiczny przygotowany w Georgii, ale główne założenie jest takie, że facet był miejscowy. Zbyt dobrze znał pewne tereny, by mógł być spoza stanu. Na podstawie prowadzonej przez niego gry można stwierdzić, że jest przywiązany do swoich okolic. Tacy ludzie raczej niechętnie się przeprowadzają.

– Może czuł, że policja jest na jego tropie?

– Niewykluczone. Ale żeby kontynuować grę w Wirginii, musiał się dobrze przygotować.

– Co z tymi telefonami? – Rainie zmieniła temat. – To chyba coś więcej niż tylko zbieg okoliczności, że McCormack zaczął dostawać anonimowe ostrzeżenia tuż przed odnalezieniem zwłok kolejnej ofiary. Wygląda na to, że jego rozmówca coś wie.

– I przez to właśnie ta sprawa jest tak ciekawa. – Quincy znów westchnął i potarł skroń. – Jak by na to nie spojrzeć, mamy sześć powodów, dla których te zabójstwa nie powinny być ze sobą powiązane, i sześć powodów świadczących o tym, że związek istnieje. – Spojrzał na nią. – Wiesz co? Musimy poznać tożsamość ofiary. W tej chwili mamy jedno morderstwo, które

może przypominać inne albo i nie. Gdybyśmy jednak zdobyli namacalny dowód, że uprowadzone zostały dwie dziewczyny...

– To wskazywałoby na to, że rzeczywiście zrobił to Ekomorderca – dokończyła za niego Rainie.

– Wtedy uważniej przyjrzałbym się śledztwu z Georgii.

– Czy Kapłan sprawdził raporty o osobach zaginionych?

– Kazał komuś przejrzeć akta. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin nie było żadnych zgłoszeń. Przynajmniej dotyczących młodych kobiet.

– Jakie to smutne – szepnęła Rainie. – Człowiek zostaje porwany i zabity, a nikt jeszcze nie zauważył jego zniknięcia.

– Na większości uczelni są wakacje. – Quincy wzruszył ramionami. – Jeśli zamordowana jest studentką, brak regularnych zajęć może sprawić, że minie sporo czasu, zanim ktoś zauważy, że jej nie ma.

– Może dlatego nie znaleźliśmy przy niej dokumentów – powiedziała Rainie po chwili. – Jeśli nie wiemy, kim jest, nie możemy stwierdzić, czy ona, lub jej towarzyszka, trafiła na listę osób zaginionych. Ekomorderca chce zyskać na czasie.

Quincy spojrzał na nią w zamyśleniu.

– Ale czy to nie działa w obie strony?

– Albo rzeczywiście jest Ekomordercą i na razie nie chce, żebyśmy się tego domyślili – powiedziała powoli.

– Albo człowiek, który to zrobił, dobrze się przygotował – dokończył Quincy cicho. – Zabił człowieka i teraz próbuje zatrzeć ślady, podsuwając nam fałszywy trop.

Kiedyś, w czasach, gdy Rainie była zastępcą szeryfa w małym miasteczku, odrzuciłaby takie przypuszczenie, uznając je za wytwór zbyt bujnej wyobraźni. To jednak było przed zabójstwem, które odcisnęło się trwałym piętnem na lokalnej społeczności. Minęło sześć lat od chwili, gdy pomagała Quincy'emu bronić członków jego rodziny przed psychopatą. Teraz już dobrze wiedziała, że wielu drapieżcom nie chodzi tylko o zabicie ofiary – równie wielką przyjemność sprawiają im łowy i wyzwanie, jakim jest umiejętnie prowadzona gra.

– Od czego chcesz zacząć? – spytała.

– Zaczniemy jak zawsze, czyli od tego, co jest najbliżej. – Wreszcie objął ją w talii i przytulił. – No, Rainie – szepnął jej do ucha. – Powiedz prawdę. Zawsze chciałaś roznieść Akademię FBI w puch, nie?

– I to jak. A po chwili:

– Staram się – szepnął.

– Wiem – powiedziała i zamknęła piekące od łez oczy.

Rozdział 16

Quantico, Wirginia

21.46

Temperatura: 33 stopnie

Kimberly siedziała sama w pokoju. Lucy wróciła na chwilę, rzuciła na zagracone biurko jeden stos książek i złapała drugi.

- O rany, wyglądasz jeszcze gorzej niż rano – powiedziała na powitanie.
- Pracowałam nad tym cały dzień – zapewniła ją Kimberly.
- Przykra sprawa z tym trupem.
- A więc już wiesz.
- Jak wszyscy, moja droga. To temat numer jeden. To twój pierwszy trup?
- Nie licząc mojej matki i siostry?

Lucy znieruchomiała przed biurkiem. Cisza przedłużała się w nieskończoność.

– No dobra, idę się pouczyć z ludźmi z grupy – powiedziała w końcu. Odwróciła się i zapytała łagodnie: – Idziesz ze mną? Wiesz, że jesteś mile widziana.

– Nie – odparła Kimberly chłodno.

Lucy wyszła.

Powinna się przespać. Watson miał rację. Jej nerwy są napięte jak postronki, a zasoby adrenaliny wyczerpały się, przez co teraz czuła się ociężała i pusta jednocześnie. Miała ochotę osunąć się na wąskie łóżko. Pograć w cudownym odrętwieniu, które przynosi sen.

Śniłaby o Mandy. Albo o matce. Nie była pewna, co byłoby bardziej bolesne.

Mogłaby odszukać ojca w Akademiku imienia Jeffersona. Porozmawiałby z nią, jak zawsze. Wiedziała jednak, jaką będzie miał minę. Lekko strapioną, lekko zakłopotaną. Jak człowiek, który właśnie dostał ważne zadanie i, słuchając żalów córki, myśli jednocześnie o zdjęciach z miejsca zbrodni, aktach sprawy, raportach śledczych. Ojciec ją kocha. Jednak szybko z Mandy zrozumiały, że swoje życie poświęcił głównie umarłym.

Nie mogła wysiedzieć w tym pustym pokoju. Drażnił ją odgłos kroków na korytarzu. Ludzie spotykali się z przyjaciółmi, śmiali się, rozmawiali o tym i owym, dobrze się bawili. Tylko Kimberly siedziała sama, jak wyspa, którą tak bardzo usiłowała się stać.

Wyszła z pokoju. Wzięła nóż i zniknęła w głębi korytarza.

Na dworze było gorąco. Uderzyła w ścianę żaru. Dziesiąta wieczorem, a nadal tak parno. Aż strach pomyśleć, co będzie jutro.

Brnęła naprzód, czując, jak na jej Tshircie rozlewają się ciemnoszare plamy, a po plecach spływają strużki potu. Oddychała płytko, jej płuca ciężko pracowały, by wydobyć tlen z powietrza w dziewięćdziesięciu procentach nasyconego parą wodną.

Wciąż słyszała odległe śmiechy. Odwróciła się i skierowała ku pograżonym w nęcącej ciemności strzelnicom. O tej porze nikt tu nie przychodził. No, prawie nikt.

Ledwie ta myśl przemknęła jej przez głowę, Kimberly zorientowała się, w jak duże

wpakowała się kłopoty.

– Czekałem na ciebie – powiedział agent McCormack cicho, odpychając się od wejścia na teren strzelnic.

– Nie powinienes.

– Nie chciałem sprawić zawodu takiej lasce.

– Wzięłeś strzelbę? No cóż, szkoda.

W odpowiedzi tylko się uśmiechnął.

– Myślałem, że spędzisz więcej czasu z ojcem.

– Nie mogę. Prowadzi śledztwo, a mnie nie wolno.

– To, że jesteś jego córką, nie daje ci jakichś specjalnych uprawnień?

– Na przykład do rzucenia okiem na zdjęcia zwłok? Raczej nie. Mój ojciec to profesjonalista. Poważnie podchodzi do swojej pracy.

– Ile lat terapii było trzeba, żebyś nauczyła się mówić to z takim spokojem?

– Więcej niż się wszystkim wydaje – przyznała niechętnie.

– No, chodź, skarbie, usiądźmy. – Nie oglądając się, wyszedł na łąkę na terenie strzelnicy.

Aż dziwne, jak łatwo było Kimberly pójść za nim.

Trawa była wilgotna. Czula jej chłodny dotyk na nagich spoconych nogach. Osunęła się na plecy, z uniesionymi ku niebu kolanami i krótkim nożem myśliwskim schowanym po wewnętrznej stronie lewej nogi. Mac położył się obok. Blisko. Stykali się ramionami. Jego bliskość trochę ją zaniepokoiła, ale Kimberly mimo to nie odsunęła się.

Po spotkaniu z Kapłanem i Watsonem wziął prysznic. Pachniał mydłem i jakimś ostrym płynem po goleniu. Pewnie jeszcze ma wilgotne włosy. W świetle latarni zauważyła, że jego policzki są świeżo ogolone. Wszystko to specjalnie dla niej? A jeśli nawet, to co z tego?

Uznała, że jego mydło ładnie pachnie. I tyle.

– Gwiazdy świecą powiedział.

– Jak co noc.

– Zauważyłaś? No proszę, a myślałem, że wy, nowi agenci, jesteście zbyt zaharowani, żeby zwracać uwagę na takie rzeczy.

– Na zajęciach z walki wręcz spędzamy dużo czasu, leżąc na plecach. To pomaga.

Musnął dłonią jej policzek. Uchyliła się, zaskoczona.

– Żdźbło trawy – powiedział spokojnie. – Przykleiło ci się do policzka. Nie bój się, skarbie. Nie rzucę się na ciebie. Wiem, że jesteś uzbrojona.

– A gdybym nie była?

– To oczywiście przeleciałbym cię tu i teraz, jak przystało na nabuzowanego testosteronem samca.

– Nie to miałam na myśli.

– Nie lubisz dotykania, co? Nie mówię o gryzieniu, rzucaniu na ziemię i objaniu mi gęby.

– Nie jestem do tego... przyzwyczajona. Moja rodzina nigdy nie była zbyt wylewna.

Zamyślił się.

– Nie obraż się, ale twój ojciec rzeczywiście wydaje się trochę sztywny.

– Mój ojciec jest bardzo sztywny. A moja matka pochodziła z wyższych sfer. Jak się pewnie domyślasz, w czasie wakacji mieliśmy w domu ubaw po pachy. Nie uwierzyłbyś, jakie wykręcaliśmy numery.

– Moja rodzina jest hałaśliwa – powiedział mimochodem. – Nieduża, ale za to bardzo lubiąca ujawniać uczucia. Do dziś zdarza się, że ojciec nagle obejmuje matkę i próbuje zaciągnąć ją w ciemny kąt. Jako człowiek dorosły, cieszę się, że ich związek jest udany. W dzieciństwie... kurczę, kiedy na korytarzu było ciemno, to woleliśmy już z daleka krzyczeć, że idziemy.

Kimberly uśmiechnęła się blado.

– To dostałeś niezłą szkołę.

– O tak. Ale to urocze. Mój ojciec jest inżynierem, projektuje drogi. Mama uczy angielskiego w liceum. Kto by pomyślał, że będą ze sobą tacy szczęśliwi?

– Masz rodzeństwo?

– Siostrę. Młodszą, oczywiście. Terroryzowałem ją, aż strach. Z drugiej strony, ile razy zasypiałem przed telewizorem, robiła mi makijaż i mnie fotografowała. A więc byliśmy kwita. Poza tym, dzięki temu jestem chyba jedynym mężczyzną, który wie, jak trudno jest zmyć wodoodporny tusz do rzęs. No i pewnie nigdy nie wystartuję w wyborach. Same zdjęcia wystarczyłyby, by mnie skompromitować.

– Czym ona się teraz zajmuje?

– Marybeth pracuje w przedszkolu, a więc jest twardsza od większości gliniarzy. Inaczej nie dałaby rady utrzymać w ryzach tych wszystkich fafli. Może kiedy zasypiają, im też robi makijaż? Boję się spytać.

– Jesteś jedynym policjantem w rodzinie?

– Mój kuzyn jest strażakiem. To prawie to samo.

Znow się uśmiechnęła.

– Fajną masz rodzinę.

– To prawda. W jego głosie zabrzmiała ciepła nuta. – To znaczy, mogliby się trochę podszkolić i w ogóle. Ale nie zamieniłbym ich na nikogo innego. Brakuje ci matki i siostry? – spytał nagle.

– Tak.

– Mam się zamknąć?

– A posłuchałbyś, gdybym powiedziała, że tak?

– Nie. Pewnie i ja powinienem trochę się podszkolić. Poza tym, świecą gwiazdy. Leżąc pod gwiazdami, trzeba rozmawiać.

– Pierwsze słyszę – mruknęła Kimberly, ale popatrzyła w niebo i poczuła na twarzy gorące powietrze. – Moja rodzina nie była szczęśliwa. Nie w normalnym znaczeniu tego słowa. Ale staraliśmy się. Trzeba to docenić. Chcieliśmy być szczęśliwi, więc próbowaliśmy. Można powiedzieć, że podchodziliśmy do tego na poważnie.

– Twoi rodzice się rozwiedli?

– W końcu tak. Kiedy byliśmy nastolatkami. Ale kłopoty zaczęły się o wiele wcześniej. Typowe dla rodzin gliniarzy. Ojciec ciężko pracował, późno wracał do domu. A mama...

została tak wychowana, że oczekiwała czegoś innego. Powinna była chyba wyjść za bankowca. Czy choćby za lekarza. Też pracowałby długo i ciężko, ale przynajmniej cieszyłby się jakim takim szacunkiem. Tymczasem mój ojciec był specjalistą od sporządzania portretów psychologicznych. Każdego dnia miał do czynienia ze śmiercią, brutalną śmiercią. Mama chyba nigdy do tego nie przywykła. Myślę, że zawsze się tym brzydziła.

– To dobry fach – powiedział Mac cicho.

Odwróciła się do niego. Była zaskoczona swoim poważnym tonem.

– Też tak myślę. Zawsze byłam z niego dumna. Nawet kiedy musiał wychodzić z domu w środku przyjęć urodzinowych albo w ogóle się na nich nie zjawiał. Jego praca wydawała mi się niesamowita, godna superbohatera. Ktoś robił ludziom krzywdę, a ojciec wyruszał im na ratunek. Brakowało mi go, na pewno się awanturowałam, ale pamiętam, że byłam z niego dumna. Mój tatuś był super. Tyle że nie dla mojej siostry.

– Starszej czy młodszej?

– Mandy była starsza. Była też... inna. Nerwowa. Krucha. Trochę szalona. Chyba moim pierwszym związanym z nią wspomnieniem jest to, jak rodzice skrzyczeli ją, bo coś potłukła. Walczyła z nimi. I to nie na żarty. Oni sztywno trzymali się reguł, ona je łamała. Życie było dla niej trudniejsze też z innych powodów. Za bardzo brała wszystko do siebie. Jedno ostre słowo i przez kilka dni nie mogła się pozbierać. Jedno krzywe spojrzenie i była zdruzgotana. Śniły jej się koszmary, często dostawała ataków płaczu. Praca ojca ją przerażała. Rozwód rodziców był dla niej wstrząsem. A kiedy już dorosła, wcale nie było jej lżej.

– Musiała być niezwykle wrażliwa.

– To prawda. – Kimberly zamilkła na chwilę. – A wiesz, co mnie najbardziej w tym wszystkim boli? Co jest prawdziwą ironią losu?

– Co?

– Potrzebowała nas. Takich właśnie ludzi jak ona przyrzekaliśmy chronić. Nie była twarda. Podejmowała błędne decyzje. Za dużo piła, spotykała się z nieodpowiednimi facetami, była łatwowierna. Boże, rozpaczliwie potrzebowała kogoś, kto uratowałby ją przed nią samą. A nam się to nie udało. W dzieciństwie strasznie mnie wkurzała. Zapłakana marudna Mandy, która ciągle się czymś przejmowała. Teraz zastanawiam się, dlaczego lepiej się nią nie opiekowaliśmy. Była członkiem naszej rodziny. Jak mogliśmy tak bardzo ją zawieść?

Mac nie odpowiedział. Znowu dotknął jej policzka. Delikatnie. Czują, jak jego szorstki kciuk sunie powoli do jej podbródka. Przeszedł ją dreszcz. Miała ochotę zamknąć oczy i wyprężyć szyję jak kot.

– Znowu źdźbło? – szepnęła.

– Nie.

Odwróciła twarz w jego stronę, świadoma, że jej oczy mówią zbyt wiele, że powinna schować się głębiej w swojej skorupie, ale w tej chwili jakoś nie mogła tego zrobić.

– Oni ci nie wierzą – powiedziała łagodnie.

– Wiem. – Jego palce przesunęły się po jej policzku i zatrzymały przy uchu.

– Mój ojciec jest dobry w swoim fachu. Nawet bardzo. Ale jak wszyscy śledczy, jest też

skrupulatny. Zacznie od samego początku i będzie musiał krok po kroku dojść do tych samych wniosków, co ty. Może w innym śledztwie nie miałyby to znaczenia, ale jeśli masz rację, jeśli gdzieś tam jest jeszcze jedna dziewczyna...

– Zegar tyka – szepnął Mac. Twarde opuszki jego palców zsunęły się po jej policzkach i musnęły szyję. Jej oddech stał się szybszy. Jakby znów biegła przez las. Czy i tym razem ku czemuś biegnie? Czy przed czymś ucieka?

– Widzę, że podchodzisz do tego na dużym luzie – powiedziała szorstko.

– Do śledztwa? Nie, skąd. – Jego palce zatrzymały się. Objęły jej obojczyk, wyczuwając mocno bijący puls. Wpatrywał się w nią przenikliwym wzrokiem. Jak mężczyzna, który zaraz pocałuje kobietę? Policjant mający obsesję na punkcie trudnego śledztwa? Nie znała się na takich sprawach. Kobiety z rodziny Quincy nie miały szczęścia w miłości. Ostatni mężczyzna, którego kochały jej matka i Mandy, a przynajmniej tak im się wydawało, zabił je. To się nazywa kobieca intuicja.

Nagle pomyślała, że nie powinna tyle myśleć o swojej rodzinie. Chciałaby stać się samotną wyspą, narodzić się na nowo bez żadnych więzi, żadnej przeszłości. Jak wyglądałoby jej życie, gdyby członkowie jej rodziny nie zostali wymordowani? Jaka byłaby wtedy Kimberly Quincy?

Milsza, łagodniejsza, bardziej delikatna? Zdolna do tego, by pod gwiazdami całować się z przystojnym mężczyzną? Może nawet potrafiłaby się zakochać?

Odwróciła głowę i odsunęła się nieznacznie. Ból był zbyt silny, by mogła patrzeć mu w oczy.

– Będziesz dalej zajmował się tą sprawą? – spytała.

– Dziś po południu trochę sobie poczytałem o Wirginii – powiedział spokojnie, jakby nie zauważył jej reakcji. – Wiesz, że jest tu przeszło sto sześćdziesiąt tysięcy hektarów plaż, gór, rzek, jezior, zatok, bagien i jaskiń? W grę wchodzi kilka dużych pasm górskich z paroma tysiącami kilometrów szlaków turystycznych. Osiemset tysięcy hektarów terenów publicznych. No i zatoka Chesapeake, największe przybrzeżne zlewisko rzek w Stanach Zjednoczonych. Do tego cztery tysiące jaskiń i kilka zbiorników wodnych powstałych w wyniku zatopienia całych miast. Szukasz obszarów unikatowych i zagrożonych? W Wirginii jest takich sporo. Szukasz terenów niebezpiecznych? Też ich nie brakuje. Krótko mówiąc, Wirginia jest idealna dla Ekomordercy i owszem, zamierzam sprawdzić parę rzeczy.

– Nie masz uprawnień.

– W miłości i na wojnie wszystkie chwytaki są dozwolone. Rozmawiałem z moim szefem. Obaj jesteśmy przekonani, że to pierwszy dobry trop, jaki mamy od kilku miesięcy. Jeśli zerwę się z akademii, żeby rozejrzeć się tu i ówdzie, nie będzie płakał. Poza tym, twój ojciec i NCIS działają za wolno. Zanim dojdą do tego, co my już wiemy, druga dziewczyna będzie martwa. Nie chcę tego, Kimberly. Mam dość spóźniania się.

– Co zrobisz?

– Jutro z samego rana jestem umówiony z botanikiem z Wydziału Badań Geologicznych. Potem pomyślę.

– Po co spotykasz się z botanikiem? Przecież nie masz już tego liścia.

– Oryginału nie – powiedział cicho. – Ale mogłem go zeskanować. Odwróciła głowę.

– Skopiowałeś dowód?

– Uhm.

– Co jeszcze?

– Polecisz na skargę do tatusia?

– Chyba znasz mnie na tyle, żeby wiedzieć, że tego nie zrobię!

– Próbuję w to uwierzyć.

– Wiesz, naprawdę masz obsesję. Przecież możesz się mylić. Ta sprawa może nie mieć nic wspólnego z Ekomordercą i tymi dziewczynami z Georgii. Facet ci się wymknął, a teraz widzisz to, co chcesz zobaczyć.

– Możliwe. – Wzruszył ramionami. – Ale co to ma za znaczenie? Dziewczyna nie żyje. Ktoś ją zabił. Czy to mój morderca, czy ktoś inny, świat bez tego sukinsyna będzie lepszy. Szczerze mówiąc, mnie to wystarczy.

Trudno zbić takie argumenty. Kimberly powiedziała tylko:

– Chcę z tobą pojechać.

– Watson da ci w kość. – Mac usiadł, strzepnął trawę z rąk i pokręcił głową. – Wykopie cię stąd tak szybko, że dopiero po kilku dniach poczujesz siniaka na tyłku.

– Mogę wziąć urlop. Porozmawiam z psychologiem. Powiem, że jestem w szoku po znalezieniu trupa.

– A wtedy wywalą cię na sto procent. Skarbie, to jest Akademia FBI. Jeśli nie możesz znieść widoku trupa, to wybrałaś zły zawód.

– Nie do niego należy decyzja. Psycholog się zgodzi, a ja wyjadę i tyle.

– A jeśli dowiedzą się, co tak naprawdę robisz?

– Będę na urlopie. Moja sprawa, co robię w wolnym czasie. Watson nie ma nade mną władzy.

– Niezbyt długo jesteś w FBI, co, Kimberly? – spytał Mac z ironią. Kimberly uniosła podbródek. Rozumiała, co ma na myśli, zgadzała się z nim, i właśnie dlatego serce tak mocno waliło jej w piersi. Jeśli zajmie się tą sprawą, zrobi sobie pierwszego wroga. Nie wspominając o tym, że nie będzie to zbyt imponujący początek kariery. Czekala dwadzieścia sześć lat na to, by zostać agentem FBI. Aż dziw bierze, jak łatwo jej było to wszystko przekreślić.

– Kimberly – powiedział nagle Mac, jakby czytał jej w myślach – wiesz, że w ten sposób nie wskrzesisz matki ani siostry? Że bez względu na to, ilu morderców złapiesz, nie zmieni to faktu, że one nie żyją, a ty nie uratowałaś ich w porę?

– Odwiedzam ich groby, Mac. Wiem, że nie żyją.

– I jesteś nowicjuską – nie ustępował. – Nic nie wiesz o tym człowieku, nie skończyłaś nawet szkolenia. Twoje wysiłki pewnie na nic się nie zdadzą. Przemyśl to, zanim przekreślisz swoją karierę.

– Chcę z tobą pojechać.

– Dlaczego?

Wreszcie uśmiechnęła się do niego, choć wiedziała, że musi to wyglądać sztucznie. To było pytanie za milion dolarów. I szczerze mówiąc, mogła udzielić na nie wielu odpowiedzi.

Na przykład: dlatego że Watson miał rację, po dziewięciu tygodniach spędzonych w akademii nie ma tu przyjaciół ani sojuszników. Właściwie najsilniejsza więź łączy ją z martwą dziewczyną znaną w lesie.

Albo dlatego że nie potrafiła zrozumieć, czemu to właśnie ona przeżyła, i że miała dość wakacji spędzanych wśród białych krzyży. Mogła też powiedzieć, że czuła chorą potrzebę pościgu za śmiercią, której palce już kiedyś prześliznęły się po jej karku. Albo że mimo wszystko jest taka, jak ojciec. Nie czuje się dobrze wśród żywych, jest rozpaczliwie przywiązana do zmarłych, zwłaszcza kiedy chodzi o kogoś tak podobnego do Mandy. Tak wiele możliwych odpowiedzi. Dlatego zaskoczyła sama siebie, kiedy wybrała tę, która była najbliższa prawdy.

– Bo chcę.

Mac patrzył na nią przez chwilę, po czym nagle skinął głową w ciemnościach.

– No dobrze. Szósta rano. Spotkamy się pod Jeffersonem. Weź ze sobą sprzęt wspinaczkowy. – Aha, Kimberly, jeszcze jedno – dodał, kiedy wstali i otrzepali się z trawy. – Nie zapomnij glocka.

Rozdział 17

Albany, Georgia

1.36

Temperatura: 29,5 stopnia

Matka Nory Ray oglądała telewizję. Siedziała rozparta na starej brązowej sofie, w tym samym wyblakłym różowym szlafroku, który nosiła przez ostatnie trzy lata. Jej twarz okalały krótkie ciemne włosy, które sterczały na wszystkie strony i miały pozostać w nieładzie do czasu, aż znów przyjdzie babcia Nory Ray i weźmie córkę w ryzy. Na razie jednak Abigail Watts rzadko wstawiała z sofy. Siedziała zgarbiona, z lekko otwartymi ustami, patrząc tępo przed siebie. Niektórzy szukają pociechy w butelce, pomyślała Nora Ray. Jej matka miała gazetę z programem telewizyjnym.

Nora Ray pamiętała jeszcze czasy, kiedy matka była piękna. Wstawiała co rano o szóstej, nakręcała włosy na gorące wałki i czekając, aż fryzura się ułoży, robiła sobie makijaż. Kiedy Nora Ray i Mary Lynn schodziły na dół na śniadanie, krzątała się już po kuchni w ładnej kwiecistej sukience, nalewała ojcu kawę, wsypywała płatki owsiane do ich talerzy i trajkotała wesoło aż do siódmej pięć, kiedy to łapała torebkę i wychodziła do pracy. Była sekretarką w kancelarii adwokackiej. Nie zarabiała dużo, ale lubiła tę pracę i swoich szefów. Poza tym, przydawało jej to prestiżu w małej robotniczej dzielnicy, w której mieszkali. Praca w kancelarii adwokackiej... to się nazywa dobra posada.

Ale już od lat nie zaglądała do swojego biura. Nora Ray nawet nie wiedziała, czy złożyła wymówienie. Najprawdopodobniej po prostu pewnego dnia dostała telefon z policji, wyszła z pracy i już nie wróciła.

Prawnicy z kancelarii byli dla niej bardzo dobrzy. Zaproponowali, że będą ją reprezentowali podczas procesu, który nigdy się nie odbył, bo sprawca nie został schwytany. Przez jakiś czas oficjalnie nadal ją zatrudniali. Potem dali jej urlop. A teraz? Nora Ray nie wierzyła, by po trzech latach jej matka nadal miała pracę. Nikt nie jest aż tak dobry. Nikt nie może tak długo pozostawać w stanie zawieszenia.

Oczywiście, z wyjątkiem rodziny Nory Ray. W ich domu czas się zatrzymał. Pokój Mary Lynn, pomalowany na słoneczny żółty kolor i ozdobiony niebieskimi wstążkami i pucharami za zwycięstwa w zawodach jeździeckich, nie zmienił się ani trochę. Ciśnięte w kącie dzinsy wciąż czekały, aż ich osiemnastoletnia właścicielka wróci do domu i wrzuci je do kosza z brudami. Na toaletce leżała szczotka, w której tkwiły długie ciemne włosy. Obok niej stała na wpół otwarta tubka z różowym błyszczkiem do ust. I tusz do rzęs.

A do lustra nad toaletką przyklejony był list z uniwersytetu stanowego w Albany.

Mamy zaszczyt poinformować Panią Mary Lynn Watts, że została oficjalnie przyjęta na studia w roku akademickim 2000/2001...

Mary Lynn chciała studiować weterynarię. W przyszłości mogłaby profesjonalnie zająć się ratowaniem koni, które tak bardzo kochała. Nora Ray zamierzała zostać adwokatem. Kupiłyby sąsiadujące ze sobą farmy i co rano, przed wyjściem do pracy, jeździłyby konno. Obie zarabiałaby duże pieniądze i na pewno byłyby zadowolone z tego, co robią. O tym właśnie rozmawiały tamtego lata. I chichotały. Zwłaszcza tego ostatniego wieczoru, kiedy było tak cholernie gorąco, że postanowiły wyskoczyć na lody.

Na początku, zaraz po tym, jak Nora Ray wróciła do domu, a Mary Lynn nie, wszystko wyglądało inaczej. Choćby dlatego, że zaglądali do nich ludzie. Kobiety przynosiły gulasz, ciastka i placki. Mężczyźni przychodzili z kosiarkami do trawy i młotkami i bez słowa dokonywali różnych drobnych napraw. Ich domek był pełen życia, wszyscy próbowali pomagać, wszyscy starali się, by Nora Ray i jej rodzina czuli się jak najlepiej.

W tamtych czasach matka jeszcze się myśla i ubierała. Po stracie córki ratowała się powtarzaniem codziennego rytuału. Wstawała, nakręcała włosy na wałki i parzyła kawę.

Z ojcem było gorzej. Snuł się po domu z nieobecny wyrazem oczu, zaciskając wielkie, zgrubiałe od ciężkiej pracy dłonie. Był złotą rączką. Któregoś lata dobudował do domu taras, miał się różnych drobnych prac, by stać go było na wysłanie Mary Lynn na obóz jeździecki. Regularnie co trzy lata malował dom, który dzięki jego zabiegom był najschludniejszy w okolicy.

Wielki Joe potrafił wszystko. Wszyscy tak mówili. Aż do tamtego dnia w lipcu.

W końcu ludzie przestali tak często przychodzić. Jedzenie nie pojawiała się już w kuchni jak za skinieniem czarodziejskiej różdżki. Trawnik nie był regularnie strzyżony. Mama Nory Ray przestała się przebierać. A ojciec wrócił do pracy w sklepie z narzędziami i każdego wieczoru po przyjściu do domu siadał obok matki na kanapie i jak para zombi tępo gapili się w telewizor, do późnej nocy oblewający ich twarze jasną poświatą.

Chwasty zarastały trawnik. Zaniebany ganek się zapadał. Nora Ray nauczyła się gotować, a jej marzenia o studiach prawniczych coraz bardziej się oddalały.

Po okolicy zaczęły krążyć plotki. „Ta biedna rodzina z tego ponurego domku na rogu. Słyszałeś, co spotkało ich córkę? To ci opowiem... „

Czasem Nora Ray myślała, że powinna chodzić ze szkarłatną literą przyczepioną do ubrania, jak bohaterka książki, którą czytała w ostatniej klasie liceum. Tak, to ja straciłam siostrę, a moi rodzice córkę. Tak, to my byliśmy ofiarami zbrodni. Tak, was też to może spotkać, więc dobrze robicie, odwracając się od nas, kiedy przechodzimy za blisko, i szepcząc za naszymi plecami. Może morderstwo jest zaraźliwe, kto wie? Nasz dom już został zaatakowany. Teraz kolej na was.

Nie mówiła jednak tego na głos. Nie mogła. Była ostatnim jako tako funkcjonującym członkiem rodziny. Musiała się trzymać. Musiała udawać, że jedna córka wystarczy.

Głowa jej matki zaczynała się kiwać, jak zawsze tuż przed zaśnięciem. Ojciec już spał. Co rano chodził do pracy, a to wносиło trochę normalności w ich pokręcone życie.

Abigail w końcu dała za wygraną. Głowa opadła jej na oparcie. Ramiona zagłębiły się w miękką sofę, kupioną w lepszych czasach z myślą o szczęśliwszych chwilach.

Nora Ray weszła do pokoju. Nie wyłączyła telewizora. Wiedziała, że nie może tego

zrobić. Jego nagłe zamknięcie budziło matkę skuteczniej niż wyjący alarm. Zamiast tego wyciągnęła pilota z kieszeni wyblakłego szlafroka matki i powoli ściszyła dźwięk.

Matka zaczęła chrapać, cicho, jak kobieta, która nie ruszyła się z miejsca od wielu miesięcy, a mimo to wciąż była nad wiek wyczerpana.

Nora Ray zacisnęła dłonie. Chciała pogłodzić ją po twarzy, powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Chciała błagać, by wróciła jej prawdziwa matka, bo miała już dość tego, że to ona musi być tą silną. Też czasem chciałyby skulić się i popłakać.

Położyła pilota na stoliku. Wróciła na palcach do swojego pokoju, w którym klimatyzacja była ustawiona na zaledwie piętnaście stopni, a przy łóżku stał dzbanek pełen wody.

Wsunęła się pod miękką grubą kołdrę, ale nie od razu zasnęła.

Znów myślała o Mary Lynn, o ich ostatnim wspólnym wieczorze, o tym, jak wracały z T. G. I. Friday's, a Mary Lynn trajkotała wesoło na fotelu kierowcy.

„Oho, mówiła jej siostra. Chyba mamy kapcia. A, zaraz. Dobra wiadomość. Ktoś się zatrzymał. Jak to miło, co, Noro Ray? Świat jest pełen dobrych ludzi”.

Mężczyzna był zmęczony. Bardzo, bardzo zmęczony. Zaraz po drugiej nad ranem wykonał ostatnie zadanie i uznał, że na dziś koniec. Odstawił furgonetkę tam, gdzie było jej miejsce, i choć bolały go mięśnie, dokładnie ją umył, w środku i z zewnątrz, w relaksującym blasku latarni. Nawet wszedł pod wóz i polał podwozie wodą z węża. Z brudu można wiele wyczytać. Wiedział o tym aż za dobrze.

Wyciągnął kojec. Wyszorował go amoniakiem, którego ostry gryzący zapach otrzeźwił go, jednocześnie niszcząc wszelkie odciski palców.

Zastanowił się, czy to już wszystko. Powinien na wszelki wypadek umyć akwarium, choć właściwie co można było na jego podstawie wywnioskować? Że kiedyś hodował węża? Przecież to nie przestępstwo. Mimo to lepiej nie ryzykować.

Lepiej nie być jednym z tych palantów, o których mówił jego ojciec, tych, co to nie potrafiliby znaleźć własnej dupy, nawet gdyby dać im latarkę.

Świat zawirował mu przed oczami. Czuł, że w jego głowie gromadzą się ciemne chmury. Kiedy jest zmęczony, ataki są gwałtowniejsze. Czarne dziury rozrastają się do gigantycznych rozmiarów, pochłaniają nie tylko godziny i minuty, ale czasem nawet całe dni. Teraz nie może sobie na to pozwolić. Musi być skoncentrowany i czujny.

Znów pomyślał o matce i o tym, jak smutną miała minę, kiedy patrzyła na gasnące słońce. Czy wiedziała, że planeta umiera? Czy już wtedy rozumiała, że wszystko, co piękne, nie może długo istnieć na tym świecie?

A może po prostu bała się wejść do domu, gdzie czekał jego porywczy ojciec, z zaciśniętymi wielkimi pięściami?

Mężczyzna nie lubił tych myśli. Nie chciał dłużej uczestniczyć w tej grze. Wyszarpnął akwarium z furgonetki. Wysypał trawę i ściółkę w krzaki. Wlał do środka pół butelki amoniaku i zaczął je czyścić gołymi rękami. Czuł, jak żrący płyn pali jego skórę.

Później resztką amoniaku dostanie się do jakiegoś strumienia i zabije żyjące w nim algi, bakterie i śliczne małe rybki. Cóż, mężczyzna wiedział, że nie jest lepszy od innych.

Cokolwiek robił, pozostawał człowiekiem, który jeździł samochodem, miał lodówkę i pewnie kiedyś pocałował dziewczynę, która spryskiwała włosy aerozolem. Tak właśnie postępują ludzie. Zabijają. Niszczą. Biją żony, znęcają się nad dziećmi i zmieniają planetę tak, by odzwierciedlała ich chore rojenia.

Miał załzawione oczy. Lało mu się z nosa, ciężko sapał i czuł się, jakby jego pierś przygniatał ogromny ciężar. Ostry zapach amoniaku, pomyślał. Ale wiedział, że to nie to. Znowu myślał o pobladłej twarzy swojej samotnej matki.

Powinni byli z bratem wrócić z nią do środka. Mogli pójść przodem, sprawdzić, jaka jest atmosfera, i gdyby przyszło co do czego, znieść swoją karę jak mężczyźni. Nie robili jednak tego. Kiedy przychodził ojciec, uciekali do lasu, gdzie żyli jak bogowie, żywiąc się szkarłatkami, dzikimi malinami i delikatnymi liśćmi młodych paproci.

Szukali schronienia w głuszy i próbowali nie myśleć o tym, co dzieje się w małej chatce w lesie.

Mężczyzna zakreślił wodę. Furgonetka była umyta, akwarium wyszorowane, wszystko zostało zdezynfekowane. Skończył to, co zaczął przed czterdziestoma ośmioma godzinami.

Znowu był zmęczony. Tak znużony może być tylko człowiek, który wie, co się czuje, gdy się kogoś zabija. Ale teraz jest już po wszystkim. Nareszcie skończył.

Zabrał ze sobą teczkę z narzędziami zbrodni. Wcisnął ją pod materac.

Położył się do łóżka. Pomyślał o tym, co zrobił. Wysokie obcasy, jasne włosy, niebieskie oczy, zielona sukienka, związane ręce, ciemne włosy, brązowe oczy, długie nogi, drapiące paznokcie, błyskające białe zęby.

Mężczyzna zamknął oczy. Już dawno tak dobrze nie spał.

Rozdział 18

Quantico, Wirginia

5.36

Temperatura: 29 stopni

Ze snu wyrwał Quincy'ego dzwonek telefonu. Odruchowo sięgnął do stolika przy łóżku. Przywykł do odbierania niezliczonych nocnych telefonów. Wtedy rozległ się następny dzwonek, wysoki i przenikliwy, i Quincy przypomniał sobie, że jest w Akademii FBI, a telefon stoi na biurku na środku pokoju.

Zerwał się szybko, ale nie było to już konieczne. Kiedy podniósł słuchawkę po trzecim dzwonku, Rainie usiadła na łóżku. Jej twarz okalały potargane kasztanowe włosy, podkreślając wydatne kości policzkowe i długą łabędzią szyję. Boże, pięknie wyglądała z samego rana. Zresztą, wieczorem też wyglądała cudownie. Minęło tyle lat, a jemu wciąż na jej widok zapierało dech.

Spojrzał na nią i wtedy, co ostatnio zdarzało mu się za często, poczuł ostry ból w piersi. Odwrócił się, trzymając telefon między obojczykiem a uchem.

– Pierce Quincy.

A po chwili:

– Jesteś pewna? Nie o to mi chodzi... Kimberly... cóż, jak chcesz. Kimberly... – Kolejne głębokie westchnienie. Zaczynało łupać go w skroniach. – Jesteś dorosła, Kimberly. Uszanuję to.

To nie pomogło. Poprzedniego wieczoru córka była na niego zła, a tego ranka najwyraźniej jej nastrój jeszcze się pogorszył. Rzuciła słuchawką. On odłożył swoją o wiele bardziej delikatnie, próbując nie zwracać uwagi na to, że drżą mu ręce. Od sześciu lat usiłował pojednać się ze swoją impulsywną córką. Na razie nie szło mu to najlepiej.

Początkowo Quincy myślał, że Kimberly po prostu potrzebuje czasu. Trudno się dziwić, że po tym, co przeżyła, miała w sobie dużo gniewu. Jej ojciec był agentem FBI, świetnie wyszkolonym profesjonalistą, a mimo to nie zrobił nic, by ocalić Bethie i Amandę. Jeśli Kimberly go nienawidzi, nie może mieć jej tego za złe. W końcu długo nienawidził samego siebie.

Teraz jednak, gdy mijały kolejne lata i ból spowodowany stratą i świadomością klęski zaczynał słabnąć, Quincy zastanawiał się, czy nie chodzi o coś więcej. Przeżyli koszmar. Wspólnymi siłami przechytrzyli polującego na nich psychopatę. Takie doświadczenie zmienia ludzi. Zmienia relacje między nimi.

I budzi skojarzenia. Może Kimberly po prostu nie potrafi widzieć w nim ojca? Powinien być dla niej oparciem, zapewniać jej schronienie w trudnych chwilach. W oczach córki Quincy nie spełniał tych warunków. Swoją obecnością stale przypominał jej o tym, że człowiek nawet w domu nie może czuć się bezpiecznie. Że prawdziwe potwory nie mieszkają pod łóżkiem. Mogą być bardzo atrakcyjnymi przykładnymi obywatelami, a kiedy wezmą cię

na muszkę, nawet mądry, silny, profesjonalnie wyszkolony ojciec ci nie pomoże.

Quincy wciąż nie mógł nadziwić się temu, jak łatwo jest zawieść tych, których się kocha.

– To Kimberly? – spytała Rainie zza jego pleców. – Czego chciała?

– Dziś rano wyjeżdża z akademii. Namówiła jednego z psychologów, by przyznał jej urlop z powodu rozstroju nerwowego.

– Kimberly? – W głosie Rainie brzmiało niedowierzenie. – Kimberly, która przeszłaby boso przez ogień, zanim poprosiłaby o buty czy choćby gaśnicę? Niemożliwe.

Quincy milczał. Nie musiał długo czekać. Rainie zawsze była wyjątkowo domyślna. Po chwili zrozumiała.

– Zajmie się tą sprawą! – krzyknęła nagle. Tyle że zareagowała zupełnie inaczej niż on. Odchyliła głowę i wybuchnęła śmiechem. – No proszę. A nie mówiłam, że ten gość z Georgii to przystojniak?

– Jeśli Watson się o tym dowie – powiedział Quincy poważnie – to będzie koniec jej kariery.

– Jeśli Watson się dowie, to najwyżej będzie mu głupio, że to nie on uratował tę drugą dziewczynę. – Rainie wyskoczyła z łóżka. – No i co zamierzasz?

– Wziąć się do pracy. Chcę poznać tożsamość ofiary – odpowiedział Quincy spokojnie.

– Tak jest!

– I może – myślał na głos – nie zaszkodziłoby zajrzeć do tego lingwisty, doktora Ennunzio.

Rainie spojrzała na niego zdumiona.

– Czyżby Pierce Quincy zaczynał wierzyć w Ekomordercę?

– Nie wiem. Ale jedno jest pewne, moja córka za bardzo się w to angażuje. Dlatego bierzmy się do roboty, Rainie. Musimy się spieszyć.

W drodze do Richmond Kimberly i Mac prawie się do siebie nie odzywali. Dowiedziała się tylko, że jego ulubionymi stacjami radiowymi są te, które nadają muzykę country. Ona sama natomiast dała mu do zrozumienia, że nie jest w stanie dobrze funkcjonować bez porannej kawy.

Pojechali jego samochodem, bo wynajęta toyota camry wyglądała lepiej od jej starej mazdy. Mac schował do bagażnika plecak ze sprzętem. Kimberly dorzuciła swoje buty górskie i torbę z kilkoma ciuchami.

Z samego rana odebrała pistolet i oddała plastikową podróbkę i kajdanki. Podpisała kilka papierków, zostawiła identyfikator i to wszystko. Oficjalnie była na urlopie. Po raz pierwszy, odkąd skończyła dziewięć lat, robiła coś, co mogło jej przeszkodzić w przyjęciu do FBI.

Powinna mieć wyrzuty sumienia, być zdenerwowana i przerażona. Przekreślała tyle lat swojego życia, ot tak, dla kaprysu. Pierwszy raz zdarzyło jej się zrobić coś pod wpływem impulsu. Jeszcze nigdy nie pozwoliła sobie na choćby odrobinę improwizacji.

A mimo to nie czuła się źle. Nie miała zadyszki zapowiadającej atak lęku. Jej mięśnie nie były napięte, nie bolała ją głowa. Prawdę mówiąc, od wielu tygodni nie czuła się tak lekko. Może nawet, mimo niewyspania, trochę szumiało jej w głowie.

Nie chciała wiedzieć, co to oznacza.

Szybko dotarli do Richmond. Mac dał jej wydruk z Internetu z instrukcjami, więc pilotowała go w drodze do siedziby Wydziału Badań Geologicznych, znajdującej się w dzielnicy biurowców na północ od miasta. Kiedy dotarli na miejsce, Kimberly była zaskoczona. Nie tego się spodziewała. Po pierwsze, biurowce stały na przedmieściu. Po drodze minęli college, osiedle mieszkaniowe i szkołę. Były tu ładne chodniki ocienione smukłymi drzewami, duże zielone trawniki i obsypane jasnymi kwiatami mirty.

Biurowiec USGS też był inny, niż sobie wyobrażała. Parterowy budynek z cegły i szkła. Nowszy od pozostałych. Dużo okien. Obok niego rosły mirty i jakieś krzewy, których nazwy nie знаła. W niczym nie przypominał typowych, szarych, rządowych gmachów.

Tak ładny budynek, w tak ładnym miejscu. Kimberly była ciekawa, czy Mac wie, że kawałek dalej jest siedziba miejscowego FBI.

Wysiedli z wozu, przeszli przez masywne szklane drzwi i zaraz za nimi powitała ich recepcjonistka.

– My do Raya Lee Chee – powiedział Mac.

Recepcjonistka uśmiechnęła się promiennie i poprosiła, by poszli za nią.

– To botanik? – spytała Kimberly, idąc za Makiem szerokim słonecznym korytarzem.

– Właściwie geograf.

– To znaczy?

– No, wiesz, zajmuje się mapami.

– Chcesz pokazać nasz liść kartografowi?

– To znajomy Genny. Chodził do tej samej szkoły, co jej brat, czy coś w tym stylu. Podobno zna się na botanice i powiedział, że może pomóc. – Mac wzruszył ramionami. – Nie mam uprawnień, nie mogę ot tak zażądać spotkania z każdym ekspertem, z jakim bym chciał.

Recepcjonistka wskazała im uchylone drzwi i odeszła. Kimberly zaczęła się zastanawiać, czy cała ta ekspedycja nie okaże się niewypałem.

– Pan Chee? – spytał Mac, wsadzając głowę w drzwi. Niski, dobrze zbudowany Azjata natychmiast odsunął krzesło od biurka i wstał, by się z nimi przywitać.

– O Boże, nie nazywajcie mnie tak. Mówcie mi Ray, bo inaczej ciągle będę się rozglądał za moim ojcem.

Ray energicznie potrząsnął dłonią Maca, po czym przywitał Kimberly z takim samym entuzjazmem. Okazał się młodszy, niż przypuszczała i w niczym nie przypominał typowego zasuszonego naukowca. Miał na sobie szorty khaki i przeciwpotową koszulkę z krótkim rękawem, jaką zwykli nosić turyści i wpinacze.

Zaprosił ich gestem do zasypanego papierami biura, po czym wskoczył z powrotem na krzesło z co najmniej cztery razy za dużym impetem. Nawet kiedy siedział, przeżył bicepsy, a jego dłonie śmigały po biurku, szukając nie wiadomo czego.

– Genny mówiła, że potrzebujecie mojej pomocy – zaczął z uśmiechem.

– Chcemy zidentyfikować pewien liść. Słyszałem, że znasz się na takich rzeczach.

– Studiowałem botanikę, ale potem przerzuciłem się na geografię. Studiowałem też zoologię i krótko automechanikę. Wtedy wydawało mi się to odlotowe. Z drugiej strony,

kiedy w trasie nawala wóz, wszyscy cieszą się z mojego towarzystwa. – Zwrócił się do Kimberly: – Umiesz mówić?

– Nie, zanim nie napiję się kawy.

– To się dobrze składa, bo pół godziny temu zaparzyłem najmocniejszą kawę na świecie. Nie dość, że odechce ci się spać, to jeszcze dostaniesz kopa jak diabli. – Uniósł dłonie, drżące od nadmiaru kofeiny. – To jak, napijesz się?

– Mmm, chyba się wstrzymam.

– Jak sobie życzysz, ale po wypiciu pierwszego pół litra nie jest już tak źle. – Zwrócił ciemne oczy na Maca. – No, to gdzie ten liść?

– Cóż, właściwie to mamy jego zdjęcie. – Mac wyjął z teczki kartkę.

– I to wszystko? Zdjęcie?

– Zeskanowany obraz. Naturalnych rozmiarów. Przód i tył. – Ray patrzył wyczekująco i w końcu Mac żałośnie wzruszył ramionami. – Przykro mi, stary. To wszystko.

– Wiesz, oryginał byłby lepszy. O wiele lepszy. Przypomnijcie mi, po co wam to?

– To dowód w sprawie.

– Znaczący, z miejsca zbrodni? – Ray się rozchmurzył. – Jeśli to zidentyfikuję, to dzięki temu można będzie złapać bandytę albo znaleźć zwłoki? Jak w *Kryminalnych zagadkach Las Vegas*?

– Dokładnie tak – zapewnił Mac.

– Super. – Ray wziął kartkę z większym entuzjazmem. – Skoro macie tylko zdjęcie, będzie trudniej, ale lubię wyzwania. Zobaczmy, co my tu mamy.

Wyjął lupę i obejrzał zdjęcie.

– Zacznijmy od podstaw. To roślina okrytozalążkowa, czyli w tłumaczeniu na ludzki język drzewo liściaste. Liść jest owalny, zaokrąglony na końcu i ma szorstkie krawędzie, co wskazuje na to, że pochodzi z drzewa należącego do rodziny *Betula*, czyli jakiegoś gatunku brzozy. – Podniósł głowę. – Gdzie go znaleźliście?

– Niestety, tego nie mogę powiedzieć.

Ray znów zaczął oglądać zdjęcie. Zmarszczył brwi.

– To naprawdę wszystko, co macie? Ani skrawka kory, żadnych kwiatów czy gałęzi?

– Tak.

– A więc także lubicie wyzwania. – Ray odsunął się z krzesłem od biurka. Podeszedł do półki i szybko przejrzał stojące na niej książki. Jego palce spoczęły na dużym tomie zatytułowanym *Podręcznik botaniki*. – Mam dobrą i złą wiadomość. W Wirginii rośnie wiele gatunków brzozy. Jeśli interesuje was historia, górale z Appalachów warzyli piwo z soków brzozy cukrowej, w smaku przypominające gaulterię* [Gaulteria (*Gaultheria*) – roślina z rodziny wrzosowatych, ozdobna i lecznicza, wyrabia się z niej olejek eteryczny (przyp. red.)]. Niewiele brakowało, a wycięliby wszystkie brzozy cukrowe w górach, ale kiedy zaczęto produkować syntetyczny olej z gaulterii, przerwali się na produkcję bimbrow. Wszystko dobre, co się dobrze kończy.

Z prędkością małego samochodu pomknął na krzesło do biurka i szybko przejechał palcem po grubym indeksie. Kimberly zajrzała mu przez ramię i zobaczyła kartki wypełnione kolorowymi zdjęciami liści podpisanymi listami słów, które wyglądały na łacińskie. Na

pewno nie była to lektura na plażę.

– No, dobra, na początek mamy *Betula lenta*, znaną też jako brzoza cukrowa lub wiśniowa. Jej liście mają od ośmiu do dziesięciu centymetrów długości. Ten na waszym zdjęciu ma na oko sześć centymetrów, ale może być jeszcze nie do końca rozwinięty, więc na razie nie można wykluczyć możliwości, że pochodzi właśnie z tego drzewa.

– Gdzie rosną te brzozy? – spytał Mac.

– Och, właściwie wszędzie. W górach na zachodzie stanu, nad zatoką Chesapeake, w pobliżu strumieni... Pasuje?

– Jeszcze nie wiem. Mac zmarszczył brwi. – Inne możliwości?

– *Betula alleghaniensis*, czyli brzoza żółta, która na ogół rośnie w wyższych partiach gór. Jest jednak zdecydowanie większa, osiąga dwadzieścia pięć metrów wysokości i ma dwunastocentymetrowe liście, więc chyba jest za duża, by włączyć ją do kręgu podejrzanych. Zobaczmy...

Ray szybko przerzucił kartki.

– No dobra, jest jeszcze *Betula papyrifera*, czyli brzoza papierowa. Liście dochodzą do pięciu centymetrów długości, a więc rozmiar mniej więcej się zgadza. Też rośnie w górach, głównie na wykarczowanych lub wypalonych terenach. Aha, no i *Betula nigra*, czyli brzoza czarna, która występuje na nizinach, nad rzekami, strumieniami, stawami, jeziorami. Też nie jest duża, liście mają trzy do pięciu centymetrów długości. A więc może chodzić o nią. – Nagle podniósł głowę i spojrzał na nich. – Nie macie bazi?

– Bazi?

– Kwiatów, które zwykle znajdowane są razem z liśćmi. Brzozowe na ogół są długie, stożkowate, zwisają wśród liści. Ich wielkość jest bardzo zróżnicowana w zależności od gatunku, a to pomogłoby nam zawęzić krąg poszukiwań. A jeszcze lepiej byłoby, gdybyście mieli gałązkę z kawałkiem kory. Jak się zapewne domyśliliście na podstawie nazw, jedną z charakterystycznych cech każdego gatunku brzozy jest barwa kory.

– Mam tylko liść – powiedział Mac, po czym mruknął pod nosem: – Bo facet, którego szukamy, też lubi wyzwania. – Odwrócił się do Kimberly, mimo woli napinając mięśnie ramion.

– Musiał zrobić coś innego niż zwykle – powiedziała cicho. – Nie zostawił kompasu, pamiętasz? Dlatego tym razem wskazówki muszą dotyczyć określonego regionu. Inaczej gra nie miałaby sensu.

– Fakt. – Mac spojrzał na geografa. – Mówiłeś, że brzozy występują w całej Wirginii. A może są jakieś mniej pospolite? Jakiś rzadki lub zagrożony gatunek?

Ciemne oczy Raya rozblęły. Podrapał się po podbródku.

– Dobre pytanie... Nie, nic z tego nie będzie. – Zamknął książkę, zamyślił się, po czym odwrócił się do komputera i zaczął stukać w klawisze. – Tak naprawdę potrzeba wam dendrologa. Ja jestem tylko skromnym geografem, który przez jakiś czas bawił się w botanika. Za to dendrolog...

– Fajniej się nazywa? – podsunęła Kimberly.

– Nie, jest specjalistą od drzew. Widzicie, ja interesuję się wszystkim po trochu.

Zapytajcie mnie o jakiś kwiat. Na kwiatach to się znam. I na paprociach. Za to dendrolog powie wam o drzewach, co tylko zechcecie.

– Mój Boże, wszystko ma swojego „ologa” – mruknęła Kimberly.

– A żebyś wiedziała – powiedział Mac.

– Chodzi o to, że tu, w Richmond, pracują głównie geografowie i hydrologi. Większość z nas studiowała też inne dziedziny – botanikę, biologię, geologię i tak dalej, i chętnie wam pomożemy, ale pewnie nie na tyle, na ile byście chcieli. Za to w Reston, w naszej głównej siedzibie, mamy botaników, palinologów, geologów, specjalistów od krasu, co tylko dusza zapragnie. Tam właśnie urzędują największe mądrale.

– Gdzie jest Reston? – spytał Mac.

– Dwie godziny jazdy na północ.

– Nie mam tyle czasu.

– Skoro tak mówisz... – Palce Raya zatańczyły na klawiaturze. – A zatem dla badaczy oszczędnie gospodarujących czasem, oto największy cud dwudziestego wieku. Hokuspokus! Internet, w którym znaleźć można strony poświęcone prawie każdej „ologii”. Spójrzmy prawdzie w oczy. My, jajogłowi, uwielbiamy technologię. – Wcisnął „enter” i na ekranie pojawiła się strona Departamentu Rolnictwa zatytułowana *Dendrologia w Wirginii*.

– Oczom nie wierzę – mruknęła Kimberly.

– Nie ty jedna – zawtórował jej Mac.

– A oto ostatni z podejrzanych – oznajmił Ray. – Droga pani, drogi panie, mam zaszczyt przedstawić *Betulapopulifolia*, znana też jako brzoza topololistna. Ten mniejszy przedstawiciel rodziny brzoz osiąga tylko dziesięć metrów wysokości, jego liście mają około pięciu centymetrów długości. Kora na pierwszy rzut oka wydaje się brązowa, ale tak naprawdę jest szarobiała. Poza tym jest gładka i nie obłazi z pnia, w odróżnieniu od kory brzozy żółtej i papierowej, które, szczerze mówiąc, wyglądają, jakby piorun w nie strzelił. Drewno jest lekkie i miękkie, wykorzystywane głównie do produkcji papieru i jako opał. W dodatku występuje tylko w jednej części stanu. Hm, jest jeden kłopot. Nie piszą, w której.

Ray zmarszczył nos i wpatrzył się w ekran. Mac nachylił się nad nim, a jego twarz przybrała wyraz skupienia, który Kimberly już tak dobrze знаła.

– To znaczy, że to może być brzoza, o którą nam chodzi?

– Tak.

– I rośnie tylko w jednym miejscu na obszarze całej Wirginii?

– Tak mówią dendrologi.

– Muszę dowiedzieć się, co to za miejsce. – Mac zawiesił głos. – Natychmiast.

– Mmm. Coś mi przyszło do głowy. – Ray postukał ołówkiem w monitor. – Popatrzcie na inne obszary występowania tej brzozy. Nowy Jork, Pensylwania, New Jersey. Stany na północ od nas. To znaczy, że prawdopodobnie woli chłodniejszy klimat. A więc jeśli rośnie gdzieś w Wirginii...

– To raczej w górach – wyręczyła go Kimberly.

Skinął głową.

– Tak. Pytanie brzmi: o które pasmo chodzi? Góry Blue Ridge, Shenandoah czy

Appalachy? Zaraz, mam pomysł. – Jego krzesło znów przemknęło przez pokój. Wziął z regału książkę telefoniczną, przerzucił kilka kartek, złapał słuchawkę i wykręcił numer. – Poproszę z Kathy Levine. Wyszła? A kiedy wróci? Zostawię wiadomość. – A po chwili: – Kath, tu Ray Lee Chee z USGS. Mam pytanie dotyczące brzozy topololistnej. Gdzie można ją znaleźć w Wirginii? To naprawdę ważne, mówię ci, sprawa dla Sherlocka Holmesa. Jak przyjdiesz, przekreśl do mnie. Czekamy. Na razie.

Odłożył słuchawkę i napotkał ich niecierpliwie spojrzenia.

– Kathy jest botanikiem w Parku Narodowym Shenandoah. Lepiej ode mnie zna się na rosnących tam drzewach i jeśli ktokolwiek wie coś o brzozie topololistnej, to właśnie ona. Niestety, w tej chwili jest w terenie.

– Kiedy wróci? – rzucił Mac.

– Za cztery dni.

– Nie mamy tyle czasu! Ray uniósł dłoń.

– Wiem, wiem, wiem. Zauważyłem. Dajcie jej czas do południa. W porze lanczu odslucha wiadomości, zadzwoni do mnie, a ja wtedy skontaktuję się z wami. Do południa zostały jeszcze tylko cztery godziny.

– Cztery godziny to może być za dużo – stwierdził Mac ponuro.

– Co mam powiedzieć? Nie jest łatwo, jak ma się tylko fotografię liścia.

– Jedno pytanie – włączyła się Kimberly. – Wedle twojej wiedzy... możesz stwierdzić, czy istnieje jakiś związek między Wirginią a Hawajami?

– Wirginią a Hawajami?

– Tak.

– Hm. Cholera wie. Co do roślinności, to nic nie przychodzi mi do głowy. Jak wiecie, Hawaje leżą w strefie tropikalnej, Wirginia nie. No, w tym tygodniu akurat tak... Każda reguła ma wyjątki.

– Nie ma innych podobieństw? – naciskała Kimberly.

Ray znów zmarszczył nos.

– Spytajcie geologa. U nas są góry, u nich też. Mamy zatokę Chesapeake z mnóstwem wysp barierowych* [Wyspy barierowe – łańcuchy wysp powstałe w strefach subdukcji, czyli podsuwania płyty oceanicznej pod kontynentalną. Oddzielają ocean właściwy od morza wewnętrznego (przyp. red.)], może te na Hawajach są podobne. Ale jeśli chodzi o florę i faunę, to nie widzę związku.

– A gdzie w tym budynku możemy znaleźć geologa?

– Nigdzie, musicie pojechać do Reston. Chwilę! – Widząc jej minę, od razu podniósł rękę. – Wiem, wiem, nie macie czasu. No dobra... Jennifer York. Zajmuje się próbkami rdzenia i zdaje się, że studiowała geologię.

– Gdzie jest jej gabinet?

– Po drugiej stronie budynku, trzecie drzwi na lewo.

– Dzięki. – Zwróciła się do Maca, który patrzył na nią ze zdziwieniem: – Słyszałeś? Idziemy poszukać geologa.

Rozdział 19

Richmond, Wirginia

8.31

Temperatura: 29,5 stopnia

Dlaczego interesują nas Hawaje? – spytał Mac pół minuty później, kiedy szli korytarzem.

– Ponieważ asystentka lekarza sądowego znalazła w torebce ofiary broszurę o Hawajach.

Złapał ją za rękę i zatrzymali się w pół kroku. Mac miał kamienną twarz. Kimberly oddychała ciężko i patrzyła z żądzą mordu w oczach na jego palce zaciśnięte na jej nadgarstku.

– Nie przypominam sobie, żebyś mi o tym wczoraj mówiła – wycedził.

– Zapomniałam. Asystentka tylko o tym napomknęła, więc nie przywiązywałam do tego większej wagi. Ale wczoraj wieczorem przypomniałam sobie, co mówiłeś. Że morderca w torebkach niektórych ofiar chował różne drobiazgi – wizytówkę, serwetkę z nazwiskiem. To dało mi do myślenia.

Mac powoli ją puścił.

– Może przypomniało ci się coś jeszcze?

– Tak, że muszę wziąć nóż.

Uśmiechnął się szeroko.

– Gdzie go trzymasz tym razem? Na kostce? Po wewnętrznej stronie uda? Słowo honoru, to była pierwsza myśl, jaka przyszła mi do głowy, kiedy zobaczyłem cię dziś rano. Tak skąpy strój, a mimo to w którymś z zakamarków tego zgrabnego ciała kryje się pięciocentymetrowe ostrze. Skarbie, przysięgam, że nigdy jeszcze nie spotkałem kobiety, która tak jak ty potrafiłaby skłonić faceta do myślenia o nożach.

Mac nachylił się ku niej. Znów pachniał mydłem. Czysta mocna woń. Kimberly od razu cofnęła się o krok. Dziwne, czuła się, jakby z płuc uciekło jej całe powietrze.

– Jeśli będę grzeczny – szepnął Mac – pozwolisz, żebym cię potem przeszukał? A może wolałabyś, żebym był niegrzeczny?

– Hejże! – Kimberly wreszcie się opanowała i zdecydowanym ruchem podniosła dłonie, jakby chciała go odepchnąć. – Nie flirtuję z tobą!

– Oczywiście, że nie.

– A co to niby miało znaczyć?

– Nie lubisz nic nieznaczących towarzyskich gier, Kimberly. Wiem. Nie, ciebie trzeba traktować poważnie. – Skinął głową, a jego niebieskie oczy nagle spoważniały. Ich spojrzenie poruszyło ją o wiele bardziej niż wszelkie jego docinki. Wyprostował się i odwrócił w stronę korytarza. – No, to gdzie ten geolog?

Ruszył naprzód, a Kimberly musiała szybko przebierać nogami, by za nim nadążyć.

Pięć minut później Mac zapukał do zamkniętych drzwi z tabliczką z nazwiskiem Jennifer York. Otworzyły się niemal natychmiast.

– Tak? – spytała młoda kobieta. Podobnie jak Ray Lee Chee, była ubrana w szorty khaki, białą koszulkę i buty turystyczne.

Mac błysnął uśmiechem i przeszedł do rzeczy.

– Jennifer York, jak sądzę. Agent specjalny McCormack, a to... detektyw Quincy. Przyszliśmy zadać pani współpracownikowi, Rayowi Lee Chee, kilka pytań w związku z prowadzonym przez nas śledztwem, a on polecił nam panią jako specjalistkę w dziedzinie geologii.

Kobieta zamrugnęła szybko. Początkowo patrzyła na twarz Maca, ale jej wzrok zsunął się na jego szeroką pierś i tam już pozostał.

– Agent specjalny? Taki z policji?

– Tak, proszę pani. To bardzo pilna sprawa. Chodzi o uprowadzenie, jeśli to panią interesuje. Mamy kilka dowodów znalezionych na miejscu zdarzenia – liście, skały – które musimy zidentyfikować, by znaleźć ofiarę. Czy możemy zabrać pani chwilę?

Mac posłał kobiecie jeszcze jeden rozbijający uśmiech, a ona rzuciła się do drzwi, o mało nie przewracając się o własne nogi. Nawet jeśli zauważyła Kimberly, to nie zwróciła na nią większej uwagi, bo ani na chwilę nie odrywała oczu od Maca. Facet działa na kobiety, trzeba mu to przyznać.

Jej gabinet był bardzo podobny do tego, w którym urzędował Ray Lee Chee: skromny wystrój, regały zastawione książkami, wypchane papierami szafki i funkcjonalne biurko. York oparła się jedną ręką o blat, a drugą schowała za plecami, które wyprężyła, niezbyt subtelnie próbując uwydatnić biust.

– A więc – zaczęła Kimberly szorstko, wreszcie ściągając na siebie jej uwagę – jesteśmy ciekawi, czy cokolwiek łączy Hawaje z Wirginią.

– Chodzi o te dwa stany?

– Tak, o ile wiem, to są stany. Jest między nimi jakiś związek czy nie?

Brunetka jeszcze chwilę patrzyła na Kimberly, po czym wreszcie przestała się wdzięczyć i usiadła za biurkiem.

– Z punktu widzenia geologa, związek jest, i to dość ścisły. Często porównujemy góry Blue Ridge w Parku Narodowym Shenandoah z Hawajami, bo jedno i drugie zostały częściowo utworzone przez lawę bazaltową. Krótko mówiąc, przed miliardem lat góry, znane pod nazwą Blue Ridge, były górami Grenville, które prawdopodobnie ciągnęły się od Nowej Fundlandii do Teksasu, a wysokością dorównywały współczesnym Himalajom. To pasmo górskie ulegało stopniowej erozji i sześćset milionów lat temu na jego miejscu zostały już tylko wzgórza. Wtedy jednak doszło do erupcji wulkanu Catoctin.

– Wulkan? – zdziwił się Mac. – W Wirginii?

– Mniej więcej. W dolinie utworzyła się duża rozpadlina i bazaltowa magma z płaszcza ziemi wypłynęła na powierzchnię, zalewając dolinę i tworząc Formację Catoctin, którą można oglądać w północnej części parku.

– Formacja Catoctin nadal istnieje? – spytał Mac. – I w budowie podobna jest do Hawajów?

– Tak, istnieje – potwierdziła Jennifer, obdarzając go ciepłym uśmiechem. – Ale są pewne

różnice. Na Hawajach występuje czarny bazalt, a skały w Parku Narodowym Shenandoah są ciemnozielone. Proces zwany metamorfizmem sprawił, że bazalty z Shenandoah uległy rekrytalizacji z udziałem nowych minerałów, jak chloryt, epidot i albit, którym skały zawdzięczają zielonkawy odcień. Z tego powodu skał z Shenandoah nie nazywamy bazaltami, tylko metabazaltami.

Mac odwrócił się do Kimberly. Wyczytała z jego oczu pytanie. Ofiara trzymała w ręku kamyk. Czy był zielonkawy? Nie pamiętała. Nie zdążyli dobrze mu się przyjrzeć, a lekarz sądowy dołączył go do reszty dowodów przed jej przyjściem do kostnicy.

– Czy metabazalty są rzadkością w parku? – spytał Mac.

– Nie, skądże znowu. Ciągną się wzdłuż drogi prowadzącej od północnej bramy parku do przełęczy Thornton, no i jeszcze przez jakieś trzydzieści kilometrów od Stony Man do przełęczy Swift Run, a stamtąd do południowego krańca parku.

– A czy są jakieś skały, które w parku rzadko występują? – spytała Kimberly.

York zamyśliła się.

– Cóż, w Shenandoah mamy trzy rodzaje skał macierzystych. Metabazalty występują na północy i południu, jak już mówiłam. Ale są też silikoklasty, które można zobaczyć w południowej części parku i wokół przełęczy Thornton. W środkowej części dominują granity. Silikoklasty, które są skałami osadowymi o dużej zawartości krzemionki, występują prawdopodobnie na najmniejszym obszarze. Za to najłatwiej wyznaczyć jest obszar występowania granitów. Obejmuje on środkową i północną część parku. Każdy typ skały macierzystej ma różne odmiany. Na przykład granity różnią się między sobą zawartością pewnych minerałów, w zależności od miejsca, w którym występują. To samo dotyczy metabazaltów i silikoklastów.

– Nie wszystkie skały są jednakowe? – spytał Mac.

– Otóż to. – Posłała mu kolejny ciepły uśmiech, jak nauczyciel chwalać ulubionego ucznia. – Geolodzy badają skały praktycznie non stop. Jak to się robi? Bierze się próbkę pobranej próbki i ogląda pod mikroskopem polaryzacyjnym. Gdyby rozłożyć kamień na składniki mineralne, można by dokładniej wskazać, z której części parku pochodzi. Niektóre ze skał mogą występować na bardzo małych obszarach. Oczywiście, nie mamy tu odpowiedniego sprzętu, ale gdybyście mieli ze sobą kamyk, wykonałabym kilka telefonów...

– Cóż, kamyka to właściwie nie mamy...

Uniosła brew.

– Nie macie?

– Nie. – Po chwili dodał: – Za to mamy broszurę o Hawajach z biura podróży.

York zamrugała nerwowo, najwyraźniej próbując zrozumieć tok jego myślenia, po czym dała za wygraną.

– Cóż, bez próbki skały nie wiem, co wam powiedzieć. Tak, w Parku Narodowym Shenandoah jest dużo skał. I owszem, są wśród nich podobne do tych, które występują na Hawajach. Ale nie jestem w stanie podać więcej szczegółów. Dzikie obszary w parku obejmują ponad trzydzieści tysięcy hektarów. Można tam znaleźć wiele rodzajów skał i terenów interesujących z geologicznego punktu widzenia.

– Ma pani jakąś książkę o skałach, którą mogłaby nam pożyczyć? – spytała Kimberly. – Gdyby w końcu udało nam się zdobyć próbkę, mielibyśmy przynajmniej gdzie szukać informacji.

– To za mało. Gołym okiem będziecie mogli co najwyżej stwierdzić, czy jest to bazalt, granit czy silikoklast. To zmniejszy obszar poszukiwań co najwyżej o połowę, a więc zostanie wam jeszcze piętnaście tysięcy hektarów. Nie, żeby dokładnie zidentyfikować skałę, musicie obejrzeć jej składniki przez mikroskop.

– To może pożyczycie nam go pani? – spytała Kimberly bez przekonania.

– Taki sprzęt trochę kosztuje. Nasz rząd mógłby mieć obiekcje.

– Cholerny rząd.

– Zdobądźcie ten kamyk – powiedziała York. – Zadzwońcie. Chętnie wam pomogę. – Znów gapiała się na Maca.

– Postaramy się – odparł skwapliwie, ale Kimberly wiedziała, że to tylko z uprzejmości. Za żadne skarby nie dostaną kamienia, który ścisła ofiara! Jako outsiderzy, nie mają dostępu do tak przydatnych drobiazgów jak oryginalne dowody.

– Jeszcze jedno pytanie – powiedziała Kimberly. – Czy w Parku Narodowym Shenandoah żyją grzechotniki?

York była wyraźnie zaskoczona.

– I to sporo. Czemu pani pyta?

– A, tak na wszelki wypadek. Chyba powinnam włożyć grubsze buty.

– Proszę uważać na głązy – poradziła York. – Grzechotniki lubią chować się w szparach między nimi. A po zmierzchu śpią nawet na nagranych od słońca kamieniach.

– Rozumiem.

Mac uściśnął jej dłoń. York obdarzyła go promiennym uśmiechem i znów wypięła pierś. Kimberly musiała zadowolić się bardziej chłodnym pożegnaniem. Najwyraźniej tak to jest, jak się nie ma południowego akcentu ani takiej muskulatury jak Mac.

Ruszyli do frontowych drzwi. Za szybą widać było pogodne błękitne niebo i mocno prażące słońce.

– Nie wyszło to najlepiej – stwierdził Mac i przystanął, jakby chciał przygotować się psychicznie do wyjścia z chłodnego klimatyzowanego wnętrza na nieznośny skwar.

– Ale coś już wiemy – powiedziała Kimberly zdecydowanym tonem. – Wszystkie ślady prowadzą do Parku Narodowego Shenandoah.

– To tylko trzydzieści tysięcy hektarów. Masz rację, znajdziemy tę dziewczynę raz dwa. – Pokręcił głową z niesmakiem. – Potrzebujemy śmigłowców. Cholera, przydałaby się też grupa poszukiwawcza, Gwardia Narodowa i kilka psów. Ta biedna kobieta...

– Wiem – powiedziała Kimberly cicho.

– To nie fair, co? Ofiara uprowadzenia zasługuje na najlepszą możliwą pomoc, a zamiast tego...

– Ma nas.

Skinął głową. Widząc zmarszczki frustracji, które pojawiły się na jego opalonej twarzy, o mało nie wyciągnęła do niego ręki. Była ciekawa, kogo taki spontaniczny gest zaskoczyłyby

bardziej, ją czy jego?

– Potrzebny nam będzie prowiant – powiedział Mac. – A potem ruszamy w drogę. Do Shenandoah jest daleko, tym bardziej że na razie nie wiemy, dokąd jechać.

– Znajdziemy ją – zapewniła go Kimberly.

– Potrzeba nam więcej informacji. Cholera, dlaczego nie zabrałem tego kamyka?

– Bo to byłoby poważnym naruszeniem przepisów. Co innego liść, wyrzucił go lekarz sądowy. Za to kamyk...

– Został zgodnie z przepisami oznakowany i dołączony do dowodów i w tej chwili leży bezużytecznie w jakimś laboratorium – dokończył Mac gorzko.

– Znajdziemy ją – powtórzyła Kimberly.

Jego niebieskie oczy nadal były mroczne, rzucały błyski złości i determinacji. Za to jego rysy na chwilę złagodniały.

– Jak zawsze poważna Kimberly – szepnął.

– Tak.

– Obyś miała rację. – Spojrzał na zegarek. – Dziesiąta. Pchnął ciężkie drzwi. – O rany, robi się gorąco.

Tina ocknęła się powoli. Najpierw poczuła dokuczliwe pragnienie. Jej język był spuchnięty i wysuszony. Potem usłyszała uporczywe bzyczenie dochodzące ze wszystkich stron.

Otworzyła oczy, ale nic nie widziała przez gęste jasne włosy, nieprzyjemnie przyklejone do jej spoconej twarzy. Odgarnęła je gwałtownym gestem i zobaczyła czarną mgłę. I wtedy zorientowała się, skąd to bzyczenie.

Zerwała się na równe nogi i zaczęła wymachiwać rękami. W jej gardle narastał krzyk. Komary. Od stóp do głów pokryta była setkami rojących się, bzyczących, kąsających komarów.

Malaria, pomyślała od razu. Wirus gorączki zachodniego Nilu. Cholera wie, może nawet dzuma. Nigdy w życiu nie widziała tylu owadów, szamotały się w jej włosach, kąsały skórę. O Boże, o Boże, o Boże.

Nogi w sandałach na pięciocentymetrowych podszwach zagłębiły się w wodnistej mazi. Chłodny muł omywający jej stopy przyniósł chwilową ulgę, ale popełniła błąd i spojrzała w dół. Tym razem krzyknęła. Obok jej kostki wił się długi czarny wąż.

Wdrapała się z powrotem na skalną półkę. Żarłoczne komary nie przestawały atakować. Zauważyła też innych drapiezców. Najprzeróżniejsze bzyczące stworzenia we wszystkich możliwych rozmiarach. Obsiadły jej głowę, barki, każdą odsłoniętą część ciała, kąciki ust i powieki. Świeże ukąszenia pojawiały się na jej uszach i policzkach. Jej nogi pokryte były czerwonymi śladami, z niektórych płynęła krew, wabiąca komary swoim zapachem. Zaczęła klaskać, a potem klepać się po całym ciele.

– A macie, a macie! – wydyszała. Czuła, jak tłuste, nażarte do przesyty cielska pękają między jej palcami, plamiąc dłonie jej własną krwią. Zabiła dziesiątki komarów, ale na ich miejsce pojawiło się setki następnych, boleśnie kąsających jej delikatną skórę.

Rozplakała się. Dyszała ciężko. I nagle, podczas tego ataku furii, stało się to, co było nieuniknione. Zakotłowało jej się w żołądku, padła na kolana i wymiotowała do cuchnącej mazi.

Woda. Zielona żółć. Bardzo mało jedzenia. Mimo to szarpały nią torsje. Komary skorzystały z okazji, by obsiąć jej barki, łokcie, łydki. Była pożerana żywcem i w żaden sposób nie mogła się przed tym uchronić.

Mijały minuty. Ucisk w żołądku zelżał. Mdłości ustąpiły. Wyprostowała się, dygocząc, i odgarnęła mokre włosy. Czuła, że na jej uszach tworzą się nowe bąble.

Komary tańczyły jej przed oczami. Odpędzała je, ale bez przekonania, jakby zrozumiała, że w walce z nimi nie ma szans. Mogła zabić setki owadów. Na ich miejsce zjawi się tysiące. O Boże...

Paliło ją w gardle, a skóra piekła żywym ogniem. Podniosła drżące dłonie do twarzy i zobaczyła, że też pokryte są czerwonymi paskudnymi bąblami. Spojrzała w górę, na rozgrzane do białości niebo, na którym już zaczynało płonąć słońce. Kojec zniknął. Wyglądało na to, że została wrzucona do jakiegoś bagnistego siedliska owadów, węży i Bóg raczy wiedzieć, czego jeszcze.

– Dobra wiadomość – szepnęła do siebie. – A jednak nie jest zboczeńcem. I wybuchnęła śmiechem. A potem się rozplakała. I szepnęła tak cicho, że pewnie usłyszały ją tylko komary i węże:

– Przepraszam, mamó. Niech mi ktoś pomoże, błagam.

Rozdział 20

Quantico, Wirginia

10.08

Temperatura: 33 stopnie

O ósmej rano agent specjalny Kapłan zaprowadził Rainie i Quincy'ego na ogrodzone żółtą taśmą miejsce, gdzie zeszłego ranka odnaleziono ofiarę. O ósmej dziesiątej poszedł zająć się swoimi sprawami i zostawił ich samych. Quincy był z tego zadowolony. Wolał obejrzeć miejsce zdarzenia w samotności, bez rozpraszającego uwagę szmeru głosów, nieustannego pstrykania aparatów fotograficznych czy skrobania ołówków o papier. Śmierć, można by powiedzieć, żyje swoim życiem, a Quincy wolał ciszę po burzy. Kiedy inni śledczy sobie szli, a on mógł zostać sam ze swoimi myślami.

Rainie stała dziesięć metrów od niego i bezszelestnie krążyła po skraju lasu. Zdążyła przyzwyczać się do jego nawyków i pracowała tak cicho, jak on. Byli tu już dwie godziny i od razu zaczęli działać według ustalonego schematu, powoli, centymetr po centymetrze przeszukując ogrodzony teren, a potem, jako że nawet najlepsi policjanci mogli coś przeoczyć, wyszli poza wyznaczony obszar i zaczęli szukać tego, co mogło ująć uwagi innych, jednego jedyne śladu, który wszystko wyjaśni. Jeśli coś takiego w ogóle istnieje.

W cieniu pięknych dębów upał atakował bez litości. Wypili jedną butelkę wody, potem drugą i teraz kończyli trzecią, już ciepłą. Biała koszula Quincy'ego, nienagannie wyprasowana tego ranka, przyłgnęła do jego piersi, po jego twarzy ściekały strużki potu. Dłonie zostawiały wilgotne plamy na małym notesie, a ołówek ślizgał się w palcach.

To był ciężki poranek, ciężki początek niewątpliwie ciężkiego dnia. Czy tego właśnie chciał morderca? Spoconych stróżów prawa, usiłujących jako tako funkcjonować w wilgotnym nieznośnym upale, który przyklejał im mundury do pleców i pozbawiał tchu? Niektórzy zabójcy porzucali ciała w trudno dostępnych lub budzących odrazę miejscach, ponieważ bawiła ich wizja detektywów przeszukujących pojemniki na śmiecie czy brnących przez bagna. Najpierw upokarzali ofiary. Potem napawali się myślą o tym, co mogą zrobić policjantom.

Quincy przystanął i raz jeszcze obejrzał się za siebie. Zmarszczył brwi. Chciał dobrze poznać to miejsce. Poczuc jego atmosferę. Choć częściowo zrozumieć, dlaczego, ze wszystkich możliwych miejsc na terenie zajmującej blisko sto sześćdziesiąt hektarów bazy, morderca tu właśnie postanowił zostawić zwłoki.

Teren był osłonięty, w nocy ścieżka ginęła pod gęstym sklepieniem drzew. Była dość szeroka, by zmieścić się na niej samochód, ale cztery koła pozostawiłyby jakieś ślady, a żadnych śladów nie było. Nie, sprawca wybrał punkt oddalony o kilkaset metrów od drogi, a potem przeszedł ten dystans w całkowitej ciemności, uginając się pod ciężarem ważącego pięćdziesiąt pięć kilogramów ciała. Na pewno było dziesiątki łatwiej dostępnych miejsc, w które dotarłby bez takiego wysiłku.

A więc jeszcze raz: dlaczego sprawca wybrał właśnie to miejsce?

Quincy zaczynał nabierać pewnych podejrzeń. Gotów był się założyć, że Rainie ma też coś do powiedzenia.

– Jak wam idzie?! – zawołał Kapłan, nadchodząc ścieżką.

Wyglądał bardziej świeżo niż oni, więc przez cały ten czas musiał przebywać w jakimś klimatyzowanym pomieszczeniu. Od razu zaczął działać Quincy’emu na nerwy.

– Przyniosłem środek przeciw owadom – dodał Kapłan wesoło.

– Cześć ci i chwała – burknął Quincy. – A teraz się obejrzyj.

Kapłan posłusznie zatrzymał się i odwrócił.

– Nic nie widzę.

– No właśnie.

– He?

– Spójrz w dół – powiedziała Rainie ze zniecierpliwieniem. – Na swoje ślady.

Rainie związała swoje gęste kasztanowe włosy w koński ogon, który przed jakąś godziną rozsypał się i spocone kosmyki przykleiły się do jej szyi. Wyglądała jak dzikuska, włosy kręciły jej się od wilgoci, a szare oczy były niemal czarne od gorąca. W Oregonie, nad morzem, gdzie spędziła dzieciństwo, panował stosunkowo łagodny klimat, nic więc dziwnego, że nie cierpiała upału i wilgotnego powietrza. Quincy szacował, że ma jeszcze jakąś godzinę, zanim Rainie stanie się agresywna.

– Nie ma śladów – stwierdził Kapłan.

– No właśnie. – Quincy westchnął i wreszcie przestał wpatrywać się w miejsce znalezienia zwłok. – Na Weather Channel mówili, że pięć dni temu spadło tu pięć centymetrów deszczu. Jeśli zejdziesz się ze ścieżki w las, tu i ówdzie można znaleźć miejsca, gdzie ziemia nadal jest rozmiękła. Grube drzewa osłaniają ją od słońca, a poza tym, przy takiej wilgotności powietrza, szybko nie wyschnie.

– Ale ścieżka jest twarda.

– Tak. Najwyraźniej nie tak skutecznie nie ubija ziemi jak buty kilkuset marines i agentów FBI. Jest twarda jak kamień. Wążący sto kilo mężczyzna, niosący pięćdziesięciokilogramowy ciężar, nie zostawiłby na niej najmniejszego wgłębienia.

Kapłan patrzył na nich ze zmarszczonym czołem, wyraźnie zbity z tropu.

– Przecież mówiłem, że nie ma żadnych śladów. Sprawdzaliśmy. Quincy znów miał ochotę westchnąć. Zdecydowanie wolał pracować z Rainie, która patrzyła na agenta NCIS z coraz większą irytacją.

– Gdybyś zszedł ze ścieżki do lasu, co by się stało?

– Ziemia jest rozmiękła, zostawiłbym ślad.

– A więc ktoś, kto nie zna terenu, pomyślałby, że w lesie jest błoto?

– No, chyba tak...

– A co jest dziesięć metrów po mojej lewej stronie? – spytał Quincy wprost.

– Tor przeszkód.

– Wylany asfaltem.

– Oczywiście. Gdybyś chciał zanieść trupa do lasu, nie wybrałbyś asfaltowej drogi,

zapewniającej pewniejsze oparcie dla nóg? Na której na pewno nie zostawiłbyś śladów, bo wszędzie wokół widać rozmiękłą ziemię?

– Na ścieżce prowadzącej przez las jest mniejszy ruch – powiedział Kapłan powoli. – Można się lepiej ukryć.

– Według ekspertyzy lekarza sądowego, sprawca prawdopodobnie podrzucił zwłoki nad ranem. Pora była późna, więc i tak nikt by go nie zobaczył. Po co miałby iść ścieżką? I ryzykować, że zostawi ślady?

– Może nie jest zbyt bystry? – Ale Kapłan nie był już tak pewny swego.

Rainie pokręciła głową ze zniecierpliwieniem i podeszła do nich.

– Sprawca znał tę ścieżkę. Wiedział, że jest twarda i na tyle szeroka, by nie zawadzić trupem o drzewo czy zahaczyć ubraniem o jakąś gałąź.

Spójrz prawdzie w oczy, Kapłan. Sprawca nie jest jakimś tam przypadkowym facetem. Zna tę bazę. Cholera, pewnie biegał po torze przeszkód w ciągu ostatnich kilku dni.

Kiedy powłócząc nogami, wracali do akademii, Kapłan był wyraźnie przybity.

– Rozmawiałem z czterema marines, którzy pełnili wartę we wtorek wieczorem – oznajmił. – Nie zauważyli niczego nadzwyczajnego. Żadnych podejrzanych samochodów ani kierowców. Pamiętali tylko, że mieli dużo pracy. Sporo studentów Akademii Narodowej wyskoczyło do klimatyzowanych barów, więc do drugiej w nocy przy bramie był duży ruch w obie strony, ale wszyscy mieli wymagane dokumenty. Nic szczególnego nie zwróciło ich uwagi.

– Zapisują przyjeżdżających i wyjeżdżających? – spytała Rainie, idąca obok Quincy'ego.

– Nie, ale wszyscy kierowcy muszą okazać przepustkę. Wartownicy mogą też zażądać prawa jazdy i spytać o cel wyjazdu.

– Jak wygląda przepustka?

Kapłan wskazał plastikową białą kartę, zwisającą z kołnierza koszuli Rainie.

– Tak jak ta, tylko różnią się kolorami. Mogą być niebieskie, białe lub żółte. Kolor zależy od posiadanych uprawnień. Żółta karta pozwala na swobodne poruszanie się bez eskorty po całym terenie bazy. Mamy też karty z napisem „Tylko z eskortą”. Osoby, które je dostają, nie mogą wejść do bazy bez upoważnionej osoby towarzyszącej. I tak dalej.

Rainie spojrzała na swoją przepustkę.

– Nie jest to zbyt misterna robota. Nie można by czegoś takiego po prostu ukraść?

– Przy wjeździe i wyjeździe trzeba się podpisać. I wierzcie mi, FBI zwraca uwagę na takie rzeczy. Byłoby nam dość głupio, gdyby byle kto mógł zwinąć kartę.

– Tak tylko pytam – mruknęła Rainie.

Mimo to Kapłan spojrzał na nią spode łba. Jej uwagi najwyraźniej mocno go ubodły.

– Nie można ukraść odznaki ani ot, tak sobie, wejść na teren bazy. Na litość boską, do takich spraw podchodzimy poważnie. Owszem, pewnie macie rację, zrobił to ktoś stąd. Co mnie głęboko smuci, choć nie wiem czemu. W końcu gdyby wśród nas byli sami dobrzy ludzie, nie miałbym pracy, nie?

– Nie brzmi to zbyt optymistycznie – oceniła Rainie.

– To najsmutniejsza myśl na świecie. – Zerknął na Quincy'ego. – Tak sobie myślę...

skoro nie doszło do gwałtu, a narzędziem zbrodni, że tak powiem, był narkotyk, czy morderca nie mógł być kobietą?

– Nie – powiedział Quincy.

– Ale to właśnie kobiety na ogół posługują się trucizną. W dodatku ofiara nie została zgwałcona... To nie daje mi spokoju. Jaki facet dałby kobiecie śmiertelną dawkę narkotyku, a potem porzucił jej ciało w lesie? Mężczyźni to seksualni drapieżcy. Zauważyliście, jak ta dziewczyna była ubrana?

Quincy wyprostował się.

– Ofiara – odparł szorstko – miała na sobie krótką spódniczkę, co nie powinno dziwić o tej porze roku. Sugerowanie, że jakiś sposób ubierania się jest zaproszeniem do gwałtu...

– Nie to chciałem powiedzieć! – przerwał mu Kapłan.

– Żadnemu mordercy nie chodzi o seks – ciągnął Quincy, jakby go nie usłyszał. – Najważniejsze jest poczucie mocy. Wielu seryjnych zabójców nie kierowało się popędem seksualnym. Taki Berkowitz był tylko, że tak powiem, cynglem. Wybierał ofiary, podchodził do ich samochodu, strzelał i odchodził. Kaczyńskiemu wystarczyło zabijanie i okaleczanie na odległość. A snajperzy z Waszyngtonu terroryzowali prawie całe Wschodnie Wybrzeże, strzelając do ludzi z bagażnika swojego wozu. W morderstwie nie chodzi o seks. Chodzi o poczucie mocy. I w tym kontekście narkotyki sprawdzają się doskonale, bo dzięki nim morderca ma władzę nad ofiarą.

– Poza tym – dodała Rainie – wykluczone, by kobieta niosła ciało kilkaset metrów przez las. Nie mamy wystarczająco silnych barków.

Wyszli spod drzew, zapewniających jakie takie schronienie przed upałem. Słońce uderzyło w nich jak młot, rozgrzane powietrze falowało nad asfaltem.

– Dobry Boże – jęknął Kapłan. – A jeszcze nie ma dwunastej.

– Będzie gorąco – mruknął Quincy.

A Rainie stwierdziła:

– Pieprzyć akademię, wkładam szorty.

– Jeszcze jedna sprawa – rzucił Kapłan, podnosząc dłoń. – Muszę wam coś powiedzieć.

Rainie zatrzymała się i westchnęła z irytacją. Quincy czekał, tknięty przecuciem, że zaraz usłyszy coś znaczącego.

– Dostaliśmy wyniki badań toksykologicznych ofiary. W jej organizmie znaleziono dwa narkotyki. Małą dawkę ketaminy i znacznie większą, bez wątpienia śmiertelną, benzodiazepinu, ativanu. Innymi słowy...

– Agent McCormack wymienił wczoraj oba te środki – mruknął Quincy.

– Tak – powiedział Kapłan powoli. – McCormack znał te narkotyki. No i co wy na to?

Rozdział 21

Quantico, Wirginia

11.48

Temperatura: 35 stopni

Betonowe kolumny Richmond zostały za nimi. Mac jechał na zachód autostradą numer 64. Majestatyczne ciemnozielone góry ostro kontrastowały z bezchmurnym błękitnym niebem i przyciągały ich do siebie.

Zatankowali paliwo na stacji Texaco. Potem pojechali do supermarketu po podstawowy ekwipunek: środek przeciw owadom, apteczkę, skarpety, batony energetyczne, czekoladę, zapasowe butelki i całą skrzynkę wody. Na wszelki wypadek kupili też kompas, scyzoryk i wodoodporne zapalniczki dla Kimberly. Mac już to wszystko miał.

Kiedy wrócili do wynajętej toyoty, Mac zauważył, że Ray Lee Chee zostawił mu wiadomość w poczcie głosowej. Botanik, Kathy Levine, zgodziła się spotkać z nimi o wpół do drugiej w schronisku Big Meadows Lodge w Parku Narodowym Shenandoah. Bez słowa ruszyli w dalszą drogę.

Zostawiali za sobą kolejne miasta. Przy drodze wyrastały duże osiedla, jednak z czasem było ich coraz mniej. Kierowali się coraz dalej na zachód, gdzie ziemia rozpościerała się przed nimi niczym szmaragdowe morze. Macowi ten widok zapierał dech w piersi.

„Ziemia Boga”, jak mawiał jego ojciec. Niewiele jest już takich miejsc.

Pilotowany przez Kimberly, skręcił z autostrady na krętą drogę U. S. 15, dochodzącą do U. S. 33. Mijali rozległe łąki, na każdej stał czerwony domek z cegły ze świeżo pomalowanym białym gankiem. Widzieli gospodarstwa mleczarskie, stajnie, winnice i pola uprawne.

Łagodnie pofałdowane kwadratowe łąki poprzedzielane były kępami ciemnozielonych drzew. Tu i ówdzie pasły się konie i krowy. Przejeżdżali przez miasteczko z charakterystycznymi niszczącymi sklepami, starymi stacjami benzynowymi i schludnymi kościołami baptystów. Nagle, w mgnieniu oka, miasteczka zniknęły i samochód wjechał w cień rzucany przez majestatyczne pasmo górskie. Powoli, ale systematycznie pięli się coraz wyżej.

Od spotkania z panią geolog Kimberly prawie się nie odzywała. Opuszczona osłona przeciwsłoneczna rzucała cień na połowę jej twarzy i trudno było zobaczyć, jaką ma minę.

Mac niepokoił się o nią. Kiedy wcześniej rano zjawiała się w umówionym miejscu, miała zapadnięte policzki i błyszczące oczy świadczące o tym, że źle spała. Była ubrana w płócienne spodnie, białą koszulę i żakiet. Wyglądała elegancko i profesjonalnie, ale tak naprawdę spodnie włożyła pewnie po to, by schować nóż, a żakiet, by nie widać było charakterystycznego wybrzuszenia, jakie tworzył glock przypięty do pasa. Innymi słowy, wyruszała na wojnę.

Przypuszczał, że często jej się to zdarzało. Prawdopodobnie od śmierci matki i siostry

życie było dla niej jedną nieustającą bitwą. Ta myśl sprawiła mu niespodziewanie silny ból.

– Pięknie tu – powiedział.

Wreszcie się poruszyła, zerknęła na niego i wyprostowała nogi.

– Tak.

– Lubisz góry, czy jesteś typowym mieszczuchem?

Pokręciła głową.

– Mieszczuchem. Chociaż dzieciństwo spędziłam w Alexandrii, u podnóża tych gór. Ale Alexandria to raczej przedmieście dystryktu Kolumbii niż Richmond. I można by powiedzieć, że moją matkę bardziej interesował Instytut Smithsonian niż góry Shenandoah. No a potem wyjechałam na studia do Nowego Jorku. A ty?

– Kocham góry. Zresztą kocham też rzeki, łąki, sady, strumienie, lasy, w ogóle wszystko. W dzieciństwie miałem szczęście. Moi dziadkowie, rodzice mojej mamy, mieli czterdziestohektarowy sad brzoskwiniowy. Wszyscy synowie i córki po ślubie dostawali od nich po hektarze ziemi, na której stawiali domy, i dzięki temu cała rodzina nadal mieszkała blisko siebie. W gruncie rzeczy dorastaliśmy z siostrą na zadupiu, otoczeni przez kilkunastu kuzynów i kilometry otwartej przestrzeni. Codziennie rano mama wyrzucała nas z domu, mówiła, żebyśmy broń Boże się nie zabili, i kazała wrócić na kolację. A my jej słuchaliśmy.

– Musiałeś lubić swoich kuzynów.

– Gdzie tam, wkurzali mnie jak diabli, ja ich też. Ale na tym polegała cała przyjemność. Wymyślaliśmy różne zabawy, szukaliśmy guza. Były z nas niezłe dzikusy. A wieczorem – spojrzał na nią z ukosa – graliśmy w gry planszowe.

– Cała rodzina? Co wieczór? – W jej głosie brzmiało niedowierzenie.

– No. Codziennie w domu innego wujka czy ciotki. Pomysł wyszedł od mojej mamy. Nie znosi telewizji, uważa, że robi ludziom papkę z mózgu. Idiowizja, tak na nią mówi. Po moich dwunastych urodzinach wyrzuciła telewizor. Ojciec chyba nigdy nie doszedł do siebie po tej stracie, ale chcąc nie chcąc, musieliśmy wymyślić jakiś sposób zabicia czasu.

– Stąd te gry?

– I to same fajne. Monopol, scrabble i moja ulubiona, ryzyko.

Kimberly uniosła brew.

– I kto wygrywał?

– Ja, oczywiście.

– Wierzę. Zgrywasz wyluzowanego południowca, ale w głębi duszy jesteś stworzony do rywalizacji. Widać to po tobie, ile razy zaczynasz mówić o tej sprawie. Nie lubisz przegrywać.

– Ten, kto powiedział, że w sporcie nie ma zwycięzców ani przegranych, najwyraźniej przegrał.

– Nie mówię, że to nieprawda.

– Tak też myślałem – uśmiechnął się.

– Moja rodzina nie grała w gry planszowe – wyznała Kimberly. – Czytaliśmy za to książki.

– Poważne czy do śmiechu?

– Oczywiście, że poważne. Przynajmniej na oczach mamy. Ale wieczorami Mandy przemyślała do domu harlequiny. Czytałyśmy je pod kocem w świetle latarki. Mówię ci, zaśmiewaliśmy się do łez.

– Harlequiny? No proszę, a myślałem, że powieści detektywistyczne byłyby bardziej w twoim stylu.

– Lubiłam je, ale Mandy była lepsza w przemyśnianiu dóbr zakazanych i wołała romansidła. Alkohol zresztą też, ale to już inna historia.

– Ty buntowniczo.

– Każdy miewa chwile słabości. No dobra. – Odwróciła się do niego. – Silny szarmancki południowiec. Byłeś kiedyś zakochany?

– Oho, zaczyna się.

Wpatrywała się w niego przenikliwie, aż w końcu nie wytrzymał i westchnął.

– Taa, raz. W koleżance siostry. Umówiła nas ze sobą, polubiliśmy się i przez jakiś czas było nam ze sobą całkiem nieźle.

– I co się stało?

– Nie wiem.

– To żadna odpowiedź.

– Skarbie, od mężczyzny innej nie usłyszysz.

Znów zaczęła się w niego wpatrywać. Teraz też dał za wygraną.

– Pewnie byłem głupi i tyle. Rachel była miłą dziewczyną. Miała poczucie humoru, była wysportowana, urocza. Uczyła w drugiej klasie podstawówki i dobrze sobie radziła z dziećmi. Mogłem trafić gorzej.

– Zerwałeś z nią i zламаłeś jej serce?

Wzruszył ramionami.

– Raczej pozwoliłem, żeby związek umarł śmiercią naturalną. Rachel byłaby doskonałą żoną. Nic, tylko wziąć ślub, ustatkować się i wychować dwa i dwie dziesiąte dziecka. A ja... Dla mnie było za wcześnie. Wiesz, jak to jest w tym fachu. Dostajesz telefon i musisz jechać. Bóg raczy wiedzieć, kiedy wrócisz. Wyobrażałem ją sobie, coraz dłużej czekającą i coraz smutniejszą. Uznałem, że tak być nie może.

– Brakuje ci jej?

– Szczerze mówiąc, od lat o niej nie myślałem.

– Dlaczego? Z tego, co mówisz, była ideałem.

Mac spojrział na nią z irytacją.

– Nikt nie jest doskonały, Kimberly, i jeśli to cię naprawdę interesuje, to mieliśmy pewien kłopot. I to, jak dla mnie, dość poważny. W ogóle się nie kłóciliśmy.

– W ogóle?

– Tak. A mężczyzna powinien kłócić się z kobietą. Co pół roku powinni brać się za łby, a potem rznąć się tak, żeby wióry leciały. Przynajmniej takie jest moje zdanie.

– Cóż... nigdy o tym nie myślałam w takich kategoriach.

– Twoja kolej. Jak miał na imię?

– Nijak. Nie było nikogo.

– Skarbie, ktoś być musiał. Chłopak, za którym siedziałaś na matmie. Kapitan drużyny uniwersyteckiej, którego nie udało ci się usidlić. Narzeczony twojej siostry, w którym się skrycie podkochiwałaś. No, gadaj. Wyznania przynoszą ulgę duszy.

– Naprawdę nikogo nie miałam. Słowo honoru. Nigdy w życiu się nie zakochałam. To chyba nie w moim stylu.

Zmarszczył brwi.

– Każdy się kiedyś zakochuje.

– Nieprawda – odparowała bez namysłu. – Miłość nie jest dla wszystkich. Niektórzy są samotni przez całe życie i dobrze im z tym. Zakochując się... człowiek musi coś dać drugiej osobie. Staje się słabszy. Ja się do tego nie nadaję.

Mac długo na nią patrzył.

– A tam, skarbie, po prostu nie poznałaś jeszcze właściwego faceta. Kimberly poczerwieniała. Odwróciła się od niego i wyjrzała przez okno.

Droga stała się stroma, byli już w górach Blue Ridge i z mozołem piełi się przełęczą Swift Run. Kiedy samochód wchodził w ostre zakręty, przed oczami migały im wspaniałe widoki. Wreszcie dotarli na szczyt, na wysokość ośmiuset metrów, i panorama rozpostarła się przed nimi jak ciemnozielony koc. Zielone doliny zanurzały się w ziemi, szary granit wzbijał ku niebu, a błękitne niebo rozciągało po horyzont.

– O rany! – wyrwało się Kimberly, a i Mac nie potrafił znaleźć lepszych słów.

Przy bramie Parku Narodowego Shenandoah zapłacił za wstęp i dostał mapę z zaznaczonymi punktami widokowymi. Skierowali się Skyline Drive na północ, ku Big Meadows.

Musieli zwolnić, obowiązywało tu bowiem ograniczenie prędkości do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, ale tak było nawet lepiej, bo mieli za dużo do zobaczenia i za mało czasu. Kręta droga biegła wśród dzikiej trawy obficie upstrzonej żółtymi i białymi kwiatami, a w głębi lasu paprocie słały się na ziemi gęstym zielonym dywanem. Strzeliste dęby i majestatyczne buki kołysały gałęziami, rozpraszając blask słońca na milion okruchów złota. Za szybą przemknął żółty motyl. Kimberly zapało dech, a Mac odwrócił się i zobaczył przechodzącą przez drogę łąnię z jelonkiem.

Zauważył też dwa żółte ptaki ganiające się w kępie sosen. Po chwili znaleźli się na pierwszym punkcie widokowym, gdzie spomiędzy drzew wyłoniło się pół Wirginii.

Mac zatrzymał wóz. Otwarta przestrzeń nie była dla niego niczym nowym, ale czasem człowiek po prostu musi patrzeć i podziwiać. Sycili więc oczy widokiem szmaragdowego lasu poprzetykanego szarymi skałami i jasnymi kwiatami. Góry Blue Ridge naprawdę wiedziały, jak pokazać się od najlepszej strony.

– Myślisz, że naprawdę jest ekologiem? – szepnęła Kimberly.

Mac nie musiał pytać, kogo ma na myśli.

– Nie jestem pewien. Miejsca wybiera wspaniałe.

– Ziemia ginie – powiedziała cicho. – Zobacz, tam po prawej stronie są całe połacie martwych drzew. Pewnie zaatakowały je mszyce, ostatnio pełno ich w lasach. A choć góry są pod ochroną jako część parku narodowego, jak długo jeszcze ta dolina przed nami pozostanie

dzika? Któregoś dnia te łąki staną się osiedlami, a na miejscu tamtych drzew pojawią się centra handlowe dla nienazartych konsumentów. Kiedyś prawie całe Stany wyglądały tak, jak ta okolica. Teraz trzeba przejechać setki kilometrów, by znaleźć takie piękno.

– To cena postępu.

– Kiepski argument.

– I nie – odparł Mac – i tak. Wszystko się zmienia. Wszystko umiera. Pewnie powinniśmy martwić się, co czeka nasze dzieci. Ale nadal nie wiem, jak to się ma do faceta, który zabija niewinne kobiety. Może chce myśleć, że jest inny? Cholera, może nawet ma coś w rodzaju sumienia i dręczy go to, że zabija dla samego zabijania. Ale te listy, ta gadanina o środowisku... Moim zdaniem, to tylko pieprzenie w bambus, które ma dać Ekomordercy przyzwolenie na to, co tak naprawdę chce robić – uprowadzać i zabijać kobiety.

– Psychologia uczy, że ludzkie zachowania mają bardzo różne motywy – powiedziała Kimberly. – Dotyczy to też morderców. Niektórzy działają pod wpływem ego, przerośniętego id, które na pierwszym miejscu stawia ich potrzeby i nie uznaje żadnych norm. Jak seryjny morderca, który zabija, bo lubi czuć się silny. Jak makler, który morduje kochankę grożącą ujawnieniem ich związku jego żonie, ponieważ szczerze wierzy, że jego pragnienie bezpieczeństwa jest ważniejsze od życia drugiej osoby. Jak gówniarz, który pociąga za spust dla kaprysu.

Ale są też inni mordercy. Ci, dla których najważniejsza jest moralność. Jak fanatyk wchodzący do synagogi i zaczynający strzelać na oślep, bo wierzy, że to jego obowiązek. Jak człowiek, który zabija lekarzy dokonujących aborcji, bo uważa ich za grzeszników. Ci ludzie nie zabijają, by zaspokoić wewnętrzne potrzeby, ale dlatego, że wierzą, iż postępują słusznie. Może Ekomorderca należy do tej kategorii.

Mac uniósł brew.

– A więc taki mamy wybór? Niedojrzały świr lub świr świętoszkowaty?

– Teoretycznie tak.

– No dobra. Chcesz posłuchać prawdziwego psychobełkotu? Ja też tak potrafię. Zdaje się, że to Freud powiedział, że wszystko, co robimy, coś o nas mówi.

– Znasz Freuda?

– No, skarbie, nie daj się zwieść mojej urodzie. Wbrew pozorom, mam trochę oleju w głowie. Więc według Freuda, krawat, który wybierasz, pierścionek, który nosisz, koszula, którą kupujesz, wszystko to coś o tobie mówi. Nic nie jest dziełem przypadku, wszystko, co robisz, ma jakiś cel. Przyjrzyjmy się postępowaniu tego mordercy. Uprowadza kobiety podróżujące parami. Zawsze są to młode dziewczyny wychodzące z knajpy. Dlaczego to robi? Taki na przykład terrorysta atakuje ludzi określonego wyznania – wszystko jedno, czy są to mężczyźni, kobiety, czy dzieci. Zabójca moralista napada na lekarza dokonującego aborcji z uwagi na jego zawód, nie płeć. No a teraz weźmy tego naszego mordercę. Osiem ofiar w Georgii, dziesięć, jeśli przyjąć, że tu także zaczął działać, i wszystkie były młodymi dziewczynami wychodzącymi z knajpy. Co nam to o nim mówi?

– Nie lubi kobiet – odparła Kimberly cicho. – Zwłaszcza tych, które piją. – Nienawidzi ich – sprecyzował Mac beznamyślnie. – Łatwych kobiet, szybkich kobiet, nie wiem, jak je

określa, ale w każdym razie nienawidzi. Nie wiem, czemu. Może on sam tego nie wie. Może szczerze wierzy, że chodzi mu o ochronę środowiska. Ale gdyby tak było, jego ofiary byłyby bardziej zróżnicowane. A tak nie jest. Atakuje tylko kobiety. Koniec, kropka. A moim zdaniem oznacza to, że jest tylko kolejnym bardzo niebezpiecznym świrem.

– Nie wierzysz w portrety psychologiczne?

– Kimberly, portret to my mamy od czterech lat. Spytaj tej biednej dziewczyny, która leży w kostnicy, czy nam w czymkolwiek pomógł.

– Jesteś zgorzkniały.

– Nie, jestem realistą – odparował. – Tej sprawy nie rozwiąże jakiś facet w garniturze, siedzący w ciasnym pokoiku. Żeby to zrobić, trzeba być tutaj, chodzić po górach, pocić się jak diabli i uskakiwać przed grzechotnikami. Bo tego właśnie chce Ekomorderca. Nienawidzi kobiet, ale ile razy porzuca je w niebezpiecznych miejscach, nas także bierze na cel. Policjanci, ratownicy – to my musimy łązić po tych górach i się męczyć. Myślisz, że on tego nie wie?

– Czy któremuś z ratowników coś się stało?

– Jasne. W wąwozie Tallulah kilka osób spadło z urwiska i połamało sobie kości. Na polu bawełny dwaj ochotnicy dostali udaru ciepłego. A nad rzeką Savannah też poszło nam doskonale: jeden facet musiał walczyć z aligatorem, a dwóch ukąsiły wodne mokasyny.

– Ktoś zginął? – spytała ostro.

Mac wyrzwał na rozległy, opadający ku horyzontowi teren.

– Jeszcze nie, skarbie.

Rozdział 22

Park Narodowy Shenandoah, Wirginia

13.44

Temperatura: 36 stopni

Kathy Levine była drobną rzeczową kobietą o krótko ostrzyżonych rudych włosach i piegowatym nosie. Kiedy tylko weszli do zbudowanego ze szkła i belek Big Meadows Lodge, przywitała się z nimi bez ceregieli i od razu zaprosiła ich do gabinetu na tyłach.

– Ray mówił, że macie zdjęcie liścia. Nie sam liść, tylko zdjęcie.

– Tak, proszę pani. – Mac skwapliwie podał jej kartkę. Kathy położyła ją na biurku i włączyła lampę. Jej światło było niemal niezauważalne w pokoju wypełnionym słonecznym blaskiem.

– To może być brzoza topololistna – orzekła botaniczka po dłuższej chwili. – Byłoby lepiej, gdybyście mieli liść.

– Jest pani dendrologiem? – zainteresowała się Kimberly.

– Nie, ale wiem, co rośnie w moim parku. – Kobieta wyłączyła światło i spojrzała na nich przenikliwie. – Słyszeliście o refugiach?

– Refu... czym? – powiedział Mac.

– Tak myślałam. Refugiami określa się rośliny, które po zakończeniu epoki lodowcowej nadal rosły w nieodpowiednim dla siebie klimacie. Krótko mówiąc, przed milionami lat cały ten obszar pokryty był lodem, który potem stopniał, pozostawiając pewne gatunki roślin. Większość z nich przeniosła się w wyższe partie gór w poszukiwaniu niższych temperatur niezbędnych do przetrwania. Występującymi w tym parku refugiami są jodła balsamiczna i czerwony cedr. Podobnie jak brzoza topololistna.

– Ray mówił, że rośnie tylko w jednej części parku. – Mac był bardzo rzeczowy.

– Tak. I to tu, zaraz za drzwiami. Chwileczkę, wezmę mapę. – Botaniczka wstała i przeszukała regał. Po chwili rozłożyła największą mapę, jaką Kimberly widziała w życiu. Napis na niej głosił MAPA GEOLOGICZNA HRABSTWA SHENANDOAH i pokrywało ją tyle jasnofioletowych, ciemnoczerwonych i pomarańczowych plam, że oczy bolały.

– To mapa geologiczna pokazująca tę część parku. My jesteśmy tu. – Levine rzuciła ogromny arkusz na biurko i zastukała w żółtozielony punkt na dole. – Najwięcej brzoź topololistnych rośnie na bagnistej równinie obok kempingu Big Meadows, ale można je też spotkać tu, na obszarze o średnicy półtora kilometra. Jeśli więc szukacie jedyne miejsce występowania brzozy topololistnej w Wirginii, to jesteście w samym jego centrum.

– Doskonale – szepnął Mac. – Gdybyśmy tylko byli pewni, że rzeczywiście chodzi o brzozę topololistną. Jak dużo jest tu ludzi o tej porze roku?

– Ma pan na myśli turystów? W tej chwili zarejestrowało się około trzydziestu osób. Normalnie byłoby ich więcej, ale wielu odstraszył upał. Sporo osób chce tylko pochodzić parę godzin po górach i wrócić do domu. Inna sprawa, że przy takiej pogodzie większość pewnie

przejeżdża przez park, nie wychylając nosa z klimatyzowanych samochodów.

– Wasi goście muszą się rejestrować?

– Nie.

– A są tu jacyś strażnicy lub obserwatorzy?

– Mamy wystarczająco liczny personel w razie kłopotów, ale ich nie szukamy, rozumie pan.

– A więc ktoś mógłby tu przebywać bez waszej wiedzy?

– Jak większość turystów.

– Cholera.

– O co wam właściwie chodzi? – Levine wskazała ruchem głowy Kimberly. – Już zauważyłam, że pani jest uzbrojona. Pan może wyjaśnić mi resztę.

Mac zastanowił się. Spojrzał na Kimberly, ale nie wiedział, co powiedzieć. Może i przebywa na terenie niepodlegającym swojej jurysdykcji, ale przynajmniej jest agentem specjalnym. Ona od szóstej rano jest nikim.

– Prowadzimy dochodzenie – zaczął Mac ostrożnie. – Mamy powód, by sądzić, że ten liść może mieć związek ze zniknięciem pewnej dziewczyny. Jeśli dowiemy się, skąd się wziął, znajdziemy ją.

– To znaczy, że ta dziewczyna może być gdzieś na terenie mojego parku? Zabłąkana? W takim upale?

– Niewykluczone.

Levine skrzyżowała ramiona na piersi i wbiła w niego wzrok.

– Chciałabym zobaczyć wasze dokumenty – powiedziała w końcu.

Mac sięgnął do tylnej kieszeni i wyjął papiery. Kimberly stała bez ruchu.

Nie miała nic do pokazania ani do powiedzenia. Dopiero teraz dotarło do niej, na co się poważyła. Przez całe życie chciała tylko jednego. A teraz?

Odwróciła się od nich. Jasne światło słoneczne wlewające się przez okna raziło ją w oczy. Zacisnęła je mocno, próbując skupić się na ciepłe spowijającym jej twarz. Gdzieś tam jest dziewczyna. Dziewczyna, która jej potrzebuje.

A matka i siostra nadal nie żyją. Mac miał rację. Cokolwiek zrobi, niczego nie zmieni, więc co tak naprawdę próbuje udowodnić? Że może zniszczyć samą siebie tak skutecznie jak Mandy?

A może, że ten jeden jedyny raz chce zrobić coś tak, jak należy. Znaleźć tę dziewczynę, ocalić ją. Bo nic nie jest gorsze od bólu, który dręczy ją od sześciu lat.

– Tu jest napisane „Biuro Śledcze Georgii” – powiedziała Levine do Maca.

– Tak, proszę pani.

– O ile dobrze pamiętam, jesteśmy w Wirginii.

– Zgadza się.

– Ray nie był zbyt dociekliwy, co?

– Bardzo nam pomógł. Doceniamy to, co dla nas zrobił, i cieszymy się, że mogliśmy z panią porozmawiać.

Levine nie dała się zwieść. Popatrzyła na Kimberly.

– Niech zgadnę. Pani nie ma żadnych dokumentów?

Kimberly odwróciła się do niej.

– Nie – odpowiedziała spokojnie.

– No to słuchajcie. Jest pewnie ze czterdzieści stopni w cieniu, i choć w takim upale praca na powietrzu to mordęga, taki los przypadł mi w udziale. Dlatego lepiej zaczniście mówić, bo nie podoba mi się to, że zostałam oderwana od obowiązków służbowych przez dwóch, pozał się Boże, policjantów, którzy poważnie przekroczyli swoje uprawnienia.

– Prowadzę dochodzenie – powtórzył Mac. – Zaczęło się w Georgii. Morderca napadł tam na dziesięć dziewczyn. Chce pani zobaczyć zdjęcia, mogę pani pokazać tyle, ile wytrzyma pani żołądek. Mam powód, by sądzić, że człowiek ten przeniósł się teraz do Wirginii. FBI zajęło się tą sprawą, ale zanim dojdą do tego, kto komu co zrobił, dziewczynę pożąra niedźwiedzie. Ja prowadzę to śledztwo od pięciu lat. Znam tego człowieka. I mam podstawy, by przypuszczać, że uprowadził młodą kobietę i porzucił ją w środku pani parku. Tak, jest gorąco. Tak, dziewczyna gdzieś się błąka. I nie, nie zamierzam siedzieć i czekać, aż federalni wypełnią wszystkie papierki. Chcę znaleźć tę dziewczynę, pani Levine, a pani Quincy zgodziła się mi pomóc. Dlatego właśnie tu jesteśmy i taki mamy cel. A jeśli pani czuje się urażona, to bardzo mi przykro. Bo ta dziewczyna prawdopodobnie jest na terenie pani parku i bardzo potrzebuje pomocy.

Kathy Levine była wyraźnie strapiona.

– Ma pan jakieś referencje? – spytała w końcu.

– Mogę podać pani nazwisko mojego przełożonego z Georgii.

– Zna sprawę?

– Przysłał mnie tu z jej powodu.

– Jeśli pójde na współpracę z panem, co to będzie oznaczało?

– Ten teren nie podlega mojej jurysdykcji. Oficjalnie nie mogę pani o nic prosić.

– Ale myśli pan, że ta dziewczyna może tu być. Od jak dawna?

– Prawdopodobnie porzucił ją wczoraj.

– Wczoraj było prawie czterdzieści stopni – przypomniała Levine szorstko.

– Wiem.

– Czy ta dziewczyna ma odpowiedni ekwipunek?

– Podobnie jak inne ofiary, została porwana po wyjściu z baru. Jedyne, co ma, to torebka i strój wyjściowy.

– Słodki Jezu. I facet robi to nie pierwszy raz?

– Uprowadził osiem dziewczyn, przeżyła tylko jedna. Chciałbym dziś uratować drugą.

– W parku jest grupa poszukiwawczo-ratownicza – powiedziała Levine z zapalem. – Gdyby... gdyby miał pan podstawy, by przypuszczać, że w okolicach Big Meadows, powiedzmy, zabłądził jakiś turysta, i złożył pan doniesienie w tej sprawie, miałabym prawo wezwać ich na pomoc.

Mac znieruchomiał. Propozycja była zarazem nieoczekiwana i bardzo potrzebna. Grupa poszukiwawczo-ratownicza. Wielu ludzi. Specjalistów. Innymi słowy, pierwszy tego dnia promyk nadziei.

- Jest pani pewna? Może się okazać, że szukamy wiatru w polu. Mogę się mylić.
 - A często się to panu zdarza?
 - Nie w tej sprawie.
 - W takim razie...
 - Chciałbym złożyć doniesienie o zagubionym turyście – powiedział Mac bez namysłu.
- A Kathy Levine odparła:
- Muszę zadzwonić.

Rozdział 23

Quantico, Wirginia

14.23

Temperatura: 37 stopni

Kapłan umówił się z doktorem Ennunzio o wpół do trzeciej, by wyciągnąć z niego coś więcej, niż to się udało Macowi. Rainie podejrzewała jednak, że bardziej zależy mu na tym, by wypytać nowego świadka o postęпки agenta specjalnego McCormacka.

Mimo to ona i Quincy poszli z Kapłanem. On miał swoje pytania, oni też. Poza tym, w wydziale nauk behawioralnych temperatura pewnie nie przekracza dwudziestu kilku stopni, a więc jest o wiele przyjemniej niż we wszystkich pomieszczeniach, w których dotąd przebywali.

Siedziba Wydziału Nauk Behawioralnych mieściła się w podziemiach krytej strzelnicy. Do tej pory Rainie była tam tylko raz, ale zawsze wydawało jej się, że to dziwne miejsce. Nie tylko dlatego, że dwa piętra wyżej ludzie strzelają z prawdziwej broni, co każdego powinno zaniepokoić, ale i przez to, że szyby windy znajdują się tuż przy pralni. Pracownicy wydziału muszą więc każdego ranka przechodzić obok koszy z brudną bielizną i zużytymi kamizelkami kuloodpornymi.

Windą zjeżdżało się do wyłożonego drewnianą boazerią holu, z którego na wszystkie strony rozchodziły się korytarze. Goście mogli usiąść na skórzanej sofie i podziwiać rozmaite plakaty reklamujące projekty badawcze prowadzone przez wydział. PRZEMOC W RODZINACH POLICJANTÓW, głosił jeden, zapowiadający mające się odbyć wkrótce seminarium. SAMOBÓJSTWA W POLICJI, widniało na drugim. FUTURYSTYKA A ORGANY ŚCIGANIA: KONFERENCJA MILENIJNA, obwieszcział trzeci.

Kiedy przed siedmioma laty Rainie poznała Quincy'ego, właśnie prowadził badania finansowane przez ten wydział. Próbował stworzyć schemat sporządzania portretów psychologicznych młodocianych masowych morderców. Niech nikt sobie nie myśli, że badacze z wydziału nauk behawioralnych to banda miernot.

Aby się przekonać, że nie pracują tu same ponuraki, wystarczyło spojrzeć na zdjęcie dołączone do zdobiących ścianę wizerunków agentów. Ostatnia fotografia w środkowym rzędzie, z pietyzmem oprawiona w ramkę, przedstawiała ufoludka. O stożkowatej głowie i wielkich czarnych oczach. Tak naprawdę było to najładniejsze zdjęcie ze wszystkich.

Kapłan ruszył środkowym korytarzem, a Rainie i Quincy poszli za nim.

- Stęskniłeś się? – szepnęła Rainie Quincy'emu do ucha.
- Ani trochę.
- Nie jest tu tak ponuro, jak można by się spodziewać.
- Popracuj tydzień bez światła dziennego, to zobaczysz.
- Maruda.
- Zachowuj się, bo cię zamknę w schronie.

– Obiecanki cacanki – mruknęła Rainie.

Quincy ścisnął jej dłoń. To był ich pierwszy kontakt fizyczny tego dnia.

Z tego, co mogła stwierdzić, podziemia tworzyły duży kwadrat, podzielony na trzy części korytarzami, przy których mieściły się wąskie gabinety. Kapłan podszedł do ostatnich drzwi w środkowym korytarzu i zapukał dwa razy. Otworzył im mężczyzna, tak szybko, jakby na nich czekał.

– Agent specjalny Kapłan? – spytał.

Rainie w samą porę ugryzła się w język. O rany, pomyślała. Klon Quincy’ego.

Doktor Ennunzio był ubrany w idealnie skrojony granatowy garnitur i czerwony krawat, jakiego nie powstydziliby się największy konserwatysta. Wyglądał na czterdzieści kilka lat, był szczupły, jakby regularnie uprawiał jogging, i miał przenikliwy wzrok naukowca, który co wieczór zabiera pracę do domu. Jego krótko przycięte ciemne włosy zaczynały srebrzyć się na skroniach. Nie ukrywał lekkiego zniecierpliwienia; Rainie czuła, że uważa to spotkanie za stratę niezwykle cennego czasu.

Kapłan przedstawił ich sobie. Ennunzio wymienił krótki uścisk dłoni z Rainie, ale Quincy’ego powitał z nieskrywaną serdecznością. Najwyraźniej jego dokonania nie były mu obce.

Rainie wodziła wzrokiem od lingwisty do Quincy’ego i z powrotem. Może takie są wymogi FBI, pomyślała. Żeby dostać tu pracę, musisz nosić takie garnitury i mieć tak przenikliwe spojrzenie. Kto wie?

Ennunzio gestem ręki wskazał swój ciasny gabinet, o wiele za mały, by zmieściło się w nim czworo dorosłych ludzi, po czym zaprowadził ich korytarzem do pustej sali konferencyjnej.

– Dawniej miał tu swoje biuro szef – wyjaśnił, patrząc na Quincy’ego. – W pańskich czasach. Teraz to sala konferencyjna, grube ryby urzędują po drugiej stronie. Nietrudno znaleźć ich nowe biura. Wystarczy iść tropem plakatów *Milczenia owiec*.

– Wszyscy kochają Hollywood – mruknął Quincy.

– No dobrze. – Ennunzio usiadł i położył przed sobą teczkę. – Zdaje się, że macie pytania dotyczące agenta specjalnego McCormacka z GBI?

– Tak – odparł Kapłan. – Z tego, co wiemy, miał się pan z nim spotkać.

– We wtorek po południu. Nic z tego nie wyszło. Byłem na konferencji w Instytucie Lingwistyki w Waszyngtonie i trochę się przeciągnęła.

– Konferencja lingwistyczna – mruknęła Rainie. – Ale musiała być zabawa.

– Prawdę mówiąc, było bardzo ciekawie – powiedział Ennunzio. – Mielśmy prezentację dotyczącą kopert z węglikami przesłanych senatorowi Tomowi Daschle i Tomowi Brokaw. Czy ojczystym językiem nadawcy był angielski czy arabski? To niezwykle interesująca analiza. Wbrew sobie, Rainie była zaintrygowana.

– No i jaki wysnuliście wniosek?

– Autor niemal na pewno był Anglosasem, próbującym podszyć się pod Araba. Nazywamy to „trikiem pocztowym”. Polega on na tym, że nadawca stosuje pewne zabiegi mające zmylić odbiorcę. W tym przypadku najważniejszym dowodem była bezładna na

pierwszy rzut oka mieszanina dużych i małych liter na kopercie. Choć miało to wyglądać niechlujnie, tak jakby autor nie opanował podstaw składni języka angielskiego, tak naprawdę wskazywało na to, że jest wystarczająco dobrze obeznany z alfabetem rzymskim, by manipulować nim do woli. W przeciwnym razie trudno byłoby mu stworzyć tak zróżnicowaną kombinację stylów liter. I choć oba listy są krótkie i pełne błędów, to też jest tylko zmyłka. By napisać krótki list, trzeba umieć zwięźle się wyrażać, a to łatwiej przychodzi osobom z wyższym wykształceniem. W sumie była to pierwszorzędną prezentacją.

Rainie spojrzała bezradnie na Kapłana.

– A więc we wtorek nie widział się pan z agentem McCormackiem? – spytał Kapłan.

– Nie.

– Ale wcześniej pan z nim rozmawiał?

– Zaraz po przyjeździe do Akademii Narodowej agent McCormack poprosił mnie o konsultację w sprawie starego śledztwa. Miał kopie listów do redakcji jakiejś gazety i chciał, żebym spróbował wyciągnąć na ich podstawie wnioski.

– Zostawił je panu? – spytał Quincy.

– Dał mi to, co miał. Niestety, GBI zdobyło oryginał tylko ostatniego listu, a z opublikowanych wersji niewiele da się wyczytać. Gazety za bardzo wszystko wygładzają.

– Chciał pan zobaczyć, czy autor też mieszał duże litery z małymi? – spytała Rainie.

– Coś w tym stylu. Powiem wam to samo, co powiedziałem agentowi McCormackowi. Lingwistyka to złożona dziedzina. Ja zajmuję się badaniem języka, składni, ortografii, gramatyki. Nie analizuję charakteru pisma – do tego trzeba grafologa – ale podstawę moich badań stanowi technika przygotowania dokumentu i jego wygląd, te sprawy więc interesują mnie najbardziej. Każdy z lingwistów specjalizuje się w czymś innym. Niektórzy szczycą się tym, że sporządzają coś w rodzaju portretów psychologicznych – dajecie im do ręki dokument, a oni mogą z dużym prawdopodobieństwem określić kolor skóry, płeć, wiek, wykształcenie i adres autora. Ja też to w pewnym stopniu potrafię, ale moją specjalnością jest stwierdzanie autorstwa. Jeśli dacie mi dwie próbki tekstu, to powiem wam, czy list z pogrozkami i kartkę z pozdrowieniami dla mamusi napisała jedna i ta sama osoba.

– Jak pan to robi? – chciała wiedzieć Rainie.

– Po części, porównując format. Więcej jednak mówi mi dobór słownictwa, budowa zdań i powtarzane błędy lub zwroty. Wszyscy mają jakieś ulubione wyrażenia, które pojawiają się we wszystkich pisanych przez nich tekstach. Znacie kreskówkę *Simpsonowie*?

Rainie skinęła głową.

– Gdyby zatem była pani szefem policji w Springfield i dostała list z żądaniem okupu, w którym często powtarzałby się zwrot 'D' oh!, głównym podejrzanym zostałby Homer Simpson. Gdyby natomiast list zawierał wyrażenie „Spadaj na szczaw”, należałoby zwrócić uwagę na młodszego Simpsona, Barta. Wszyscy mają ulubione powiedzonka, które często powtarzają a tym bardziej, kiedy coś piszą. To samo dotyczy błędów gramatycznych i ortograficznych.

– A jak to jest w przypadku Ekomordercy? – spytał Quincy.

– Mam za mało danych. Agent McCormack pokazał mi trzy kopie listów i jeden oryginał.

Nie mogłem zatem porównać charakteru pisma, użytego atramentu czy rodzaju papieru. Jeśli chodzi o treść, wszystkie cztery listy są identyczne: „Zegar tyka... planeta umiera... zwierzęta płaczą... rzeki krzyczą. Nie słyszycie? Żar zabija...” Aby stwierdzić, czy pisał je ten sam człowiek, potrzebuję dodatkowych materiałów, na przykład innego listu, który mógł zostać napisany przez podejrzanego, lub dłuższego dokumentu. Słyszeliście o Tedzie Kaczyńskim?

– Unabomberze? Pewnie.

– Tamta sprawa została rozwiązana głównie dzięki tekstom pana Kaczyńskiego. Mieliśmy nie tylko ręcznie pisane adresy na przesyłkach z bombami, ale i kilka dołączonych do nich anonimów, listy wysyłane do gazet, no i manifest, którego publikacji zażądał. A mimo to najważniejszego odkrycia dokonał nie lingwista, tylko rodzony brat Kaczyńskiego. Zauważył, że listy, które od niego dostawał, zawierały te same sformułowania, które potem znalazły się w manifestie. Bez tak dużej ilości materiałów do analizy, kto wie, czy w ogóle kiedykolwiek udałoby się nam namierzyć Unabombera.

– Ale w tym przypadku materiałów jest niewiele – zauważyła Rainie. – Czy to nie niezwykle? To znaczy, nawet na podstawie podanego przez pana przykładu można stwierdzić, że mordercy, jeśli już się odezwą, mają wiele do powiedzenia. Ale człowiek, którego szukamy, choć sugeruje, że leży mu na sercu dobro środowiska naturalnego, to tak naprawdę niewiele mówi na ten temat.

– To właśnie rzuciło mi się w oczy. – Ennunzio przeniósł wzrok na Quincy’ego. – Pan pewnie wie to lepiej niż ja, ale rzadko zdarza się, by morderca wysyłał cztery krótkie identyczne wiadomości. Zwykle, kiedy już nawiąże kontakt z prasą lub władzami, stopniowo staje się coraz bardziej gadatliwy. Byłem trochę zaskoczony, że przynajmniej ten ostatni list do redakcji nie był obszerniejszy.

Quincy skinął głową.

– Mordercom, którzy kontaktują się z prasą czy detektywem prowadzącym śledztwo, prawie zawsze chodzi o pokazanie swojej mocy. Wysyłanie listów i słuchanie relacji w mediach przyprawia niektórych o taki sam dreszczyk emocji, jaki inni odczuwają, wracając na miejsce zbrodni lub dotykając czegoś, co należało do którejś z ofiar. Na ogół zaczynają nieśmiało, od krótkiego anonimu lub telefonu, ale kiedy wiedzą, że zwrócili na siebie uwagę, zaczynają się przechwalać i stale szukają potwierdzenia tego, że panują nad sytuacją. Dają się ponieść próżności. Za to ta wiadomość... – Quincy zmarszczył brwi. – Jest inna.

– Autor dystansuje się od swoich czynów – zauważył Ennunzio. – Zwróćcie uwagę na wyrażenie „żar zabija”. Nie on, lecz żar. Zupełnie, jakby nie miał z tym nic wspólnego.

– A mimo to wiadomość składa się z krótkich zdań, co, według pana, wskazuje na jego wysoką inteligencję.

– Jest bystry, ale ma skrupuły. Nie chce zabijać, ale czuje wewnętrzny przymus i dlatego próbuje zrzucić z siebie winę. Może dlatego nie napisał nic więcej. Nie chce pokazać, jaką ma moc, tylko pragnie rozgrzeszenia.

– Jest jeszcze jedna możliwość – wtrącił Quincy. – Berkowitz także pisał długie listy do gazet, w których próbował wyjaśnić motywy swoich zbrodni. On jednak był chory psychicznie i dlatego należy zaliczyć go do innej kategorii. Ludzie cierpiący na takie

zaburzenia psychiczne jak urojenia czy schizofrenia...

– Często powtarzają pewne zwroty – dokończył Ennunzio. – Objaw ten może też występować u ludzi po wylewie i chorych na raka mózgu. Czasem jest to jedno słowo, a czasem powtarzana w nieskończoność mantra.

– A więc facet jest niepoczytalny? – zapytała Rainie ostro.

– Nie można tego wykluczyć.

– Ale jeśli jest świrem, to jak mu się udało porwać i zabić osiem kobiet, i uniknąć aresztowania?

– Nie powiedziałem, że jest głupi – odparował Quincy łagodnym tonem. – Możliwe, że jest w stanie całkiem normalnie funkcjonować. Jednak ludzie z jego otoczenia wiedzą, że coś z nim jest „nie tak”. Pewnie jest samotnikiem i źle się czuje w towarzystwie. Może dlatego spędza tyle czasu na powietrzu i atakuje z zaskoczenia. Zabójca w typie Teda Bundy’ego wykorzystałby swój urok osobisty, by złamać opór ofiary. Ten człowiek wie, że jemu to się nie uda.

– Przygotowuje skomplikowane zagadki – powiedziała Rainie beznamiętnie. – Atakuje obcych, jest w kontakcie z prasą i bawi się w kotka i myszkę z policją. Jak dla mnie, to stary dobry psychopata i tyle.

Kapłan uniósł dłoń.

– Dobrze, już dobrze. Trochę odeszliśmy od tematu. Ten tak zwany Ekomorderca to kłopot policji z Georgii. My jesteśmy tu z powodu agenta specjalnego McCormacka.

– To znaczy? – Doktor Ennunzio zmarszczył brwi.

– Myśli pan, że te listy mógł napisać McCormack?

– Nie wiem. Musiałby pan dać mi jakiś inny napisany przez niego tekst. Dlaczego interesuje się pan agentem McCormackiem?

– Nie słyszał pan?

– A co miałem słyszeć? Byłem na konferencji, nie zdążyłem jeszcze nawet odsłuchać poczty głosowej.

– Wczoraj znaleziono zwłoki – powiedział Kapłan bez ogródek. – Młodej dziewczyny. Na torze przeszkód. Mamy podstawy, by przypuszczać, że McCormack może być w to zamieszany.

– Istnieją pewne podobieństwa do sprawy Ekomordercy – dodała Rainie, udając, że nie zauważyła chmurnego spojrzenia Kapłana. – Agent specjalny McCormack sądzi, że zabójcą jest właśnie Ekomorderca, który wznowił swoją działalność tu, w Wirginii. Z kolei agent Kapłan podejrzewa, że to McCormack jest winny i tak zainscenizował zbrodnię, by przypominała zabójstwa sprzed kilku lat.

– Znaleziono zwłoki? Tutaj? W Quantico? Wczoraj? – Ennunzio był wyraźnie zaszokowany.

– Od czasu do czasu powinien pan wyjść na dwór – poradziła mu Rainie.

– To potworne!

– Ofiara też pewnie nie była zachwycona.

– Nie, nic pani nie rozumie. – Ennunzio gorączkowo przebiegał wzrokiem po swoich

zapiskach. – Miałem pewne podejrzenia, o których przy najbliższej okazji chciałem powiedzieć agentowi McCormackowi. Właściwie to tylko takie luźne przemyślenia, ale...

– Co? – spytał Quincy w skupieniu. – Proszę nam powiedzieć.

– Agent specjalny McCormack wspomniał mimochodem, że dostaje telefony w związku ze sprawą. Jakiś anonimowy rozmówca próbuje mu pomóc. Agent McCormack przypuszcza, że może to być ktoś z bliskiego otoczenia mordercy, jego krewny lub żona. Mnie przyszło do głowy inne wytłumaczenie. Biorąc pod uwagę fakt, że listy do redakcji były tak krótkie, a większość morderców z czasem ma coraz więcej do powiedzenia...

– O nie – mruknął Quincy i zamknął oczy, najwyraźniej podążając tym tokiem myślenia.

– Jeśli sprawca czuje się winny, jeśli odcina się od swoich czynów...

– Poprosiłem agenta McCormacka, by spróbował nagrać te rozmowy albo spisać je słowo w słowo zaraz po ich zakończeniu – ciągnął Ennunzio pośpiesznie. – Wtedy mógłbym porównać słownictwo jego rozmówcy z językiem używanym w listach. Ponieważ, moim zdaniem, dzwoniącym nie jest nikt z otoczenia mordercy. Być może... z agentem specjalnym McCormackiem kontaktuje się sam morderca.

Rozdział 24

Wirginia

15.13

Temperatura: 36,5 stopnia

Tinie śnił się ogień. Była przywiązana do pala i obłożona chrustem, czuła, jak płomienie pełzną po jej nogach. Tłum gapiów wiwatował. „Moje dziecko, krzyczała na nich, nie róbcie krzywdy mojemu dziecku!”

Nikt na to nie zważał. Wszyscy tylko się śmiali. Ogień spowijał jej ciało. Zaczął parzyć czubki palców, doszedł do łokci. Zajął się jej włosy, płomienie lizały uszy i przypalały rzęsy. Żar wciskał się do ust i trawił płuca. Gałki oczne roztopiły się. Czuła, jak spływają po jej twarzy. Ogień wdarł się do oczodołów i chciwie pożerał ciało, mózg zagotował się i skóra twarzy zaczęła schodzić płatami...

Tina ocknęła się. Poderwała głowę i zdała sobie sprawę z dwóch rzeczy. Po pierwsze, miała tak spuchnięte oczy, że nie mogła ich otworzyć, a po drugie, skóra paliła ją żywym ogniem.

Wokół niej nadal krążyły setki komarów. I much. Próbowwała je odpędzić, ale była za słaba. Nie miała już w sobie chyba ani kropli krwi. Powinny zostawić ją w spokoju i poszukać nowej ofiary, na co im wyczerpana, bliska odwodnienia dziewczyna? Była jednak cała złana potem, co w świecie owadów najwyraźniej czyniło z niej królewskie danie.

Gorąco, tak gorąco. Słońce wisiało dokładnie nad jej głową. Czuła, jak spływa na nią żar, palący obolałą od ukąszeń skórę i spierzchnięte wargi. Jej gardło było opuchnięte i wyschnięte. Skóra rąk i nóg kurczyła się w ostrym blasku i naciągała nieprzyjemnie na stawach. Tina była jak kawałek mięsa zbyt długo trzymany na słońcu.

Musisz się ruszyć. Musisz coś zrobić.

Tina już wcześniej słyszała ten wewnętrzny głos. Na początku dawał jej nadzieję. Teraz budził rozpacz. Nie mogła się ruszyć, nie mogła nic zrobić. Była tylko pożywieniem komarów, a jeśli zejdzie z tej półki, na pewno dobiorą się do niej węże. Zanim oczy zapuchły jej od komarzego jadu, próbowała zorientować się w swoim położeniu. Była w jakiejś jamie o kilkumetrowej średnicy, z szerokim wylotem na wysokości co najmniej sześciu metrów. Miała kamień, torebkę i butelkę wody, którą ten sukinsyn zostawił pewnie tylko po to, żeby zabawić się jej kosztem.

I to wszystko. Jama, skała, woda. A poza tym jeszcze tylko cuchnący muł wyciekający spod skalnej półki, na której siedziała. Nie miała najmniejszego zamiaru do niego wejść. Widziała, jak coś się w nim ruszało. Jakieś ciemne, oślizłe stwory, które chętnie nasyciłyby się ludzkim mięsem. Stwory, które ją przerażały.

Pić.

Nie mogę. Jeśli skończy mi się woda, to umrę.

I tak umierasz. Napij się.

Wymacała butelkę. Była gorąca w dotyku. Zaraz po przebudzeniu upiła łyk, ale szybko zakręciła korek. Musi oszczędzać. W torebce miała paczkę gum do żucia i sześć krakersów z masłem orzechowym. Był tam też woreczek ze słonymi ciasteczkami – jako kobieta w ciąży, mogła sobie na to pozwolić.

Jest w ciąży. Powinna pić co najmniej osiem szklanek wody dziennie, by pomóc w rozwoju nowego życia, które powstało w jej brzuchu. Powinna też jeść trzysta kalorii więcej niż zwykle i dużo odpoczywać. W poradniku dla przyszłych matek nie było mowy o tym, jak przeżyć, mając trzy łyki wody i kilka krakersów. Jak długo będzie w stanie to wytrzymać? A jej dziecko?

Ta myśl jednocześnie zniechęciła ją i dodała jej sił. Wewnętrzny głos miał rację. Nie przetrwa w tej zapomnianej przez Boga i ludzi jamie. Skoro i tak umiera, to przynajmniej nie podda się bez walki.

W skupieniu odkręciła spuchniętymi palcami plastikową nakrętkę, która wyskoczyła jej z rąk i wylądowała gdzieś w mule. Nieważne. Podniosła butelkę do ust i piła łapczywie. Woda była gorąca i miała smak gotowanego plastiku. Wypiła ją z radością, każdy duży łyk przynosił ukojenie jej obolałemu gardłu. Mijały kolejne cudowne, błogie sekundy. W ostatniej chwili oderwała butelkę od warg, łapiąc powietrze, i niemal od razu znów zachciało jej się pić.

Jej pragnienie było jak bestia, rozbudzona i wygłodniała.

– Krakersy – powiedziała sobie stanowczo. – Sól jest dobra.

Ostrożnie odstawiła butelkę, wymacawszy wśród kamieni kawałek równej powierzchni. Znalazła torebkę i otworzyła ją po kilku bolesnych minutach manipulowania przy suwaku.

Komary wróciły, zwabione zapachem świeżej wody. Muchy opadły jej wargi, jakby chciały pić prosto z jej ust. Tłukła je z furją i z zadowoleniem czuła, jak tłuste owadzie ciała pękają pod jej palcami. Ale w ślad za nimi nadlatywały następne, chodziły po wargach, powiekach, wlażyły do uszu. Wiedziała, że musi zostawić je w spokoju. Ignorować nieustające ukłucia i to straszne brzęczenie. Opuścić sobie tę bitwę, by nie przegrać wojny.

Z determinacją wzięła się do przeszukania torebki. Wymacała woreczek ze słonymi ciasteczkami. Odliczyła sześć. Kilkanaście kęsów i już było po nich. Słony smak od razu wzmógł pragnienie.

Tylko jeden łyk, pomyślała. Żeby popić ciastka. Uśmierzyć ból, bo, o Boże, te muchy, te muchy. Były wszędzie, bzycały i kąsały, a im usilniej starała się ignorować, tym więcej ją opadało. Nie da rady. Zaraz zwariuje, a szalenciec przynajmniej może się napić.

Sięgnęła po butelkę i zaraz cofnęła dłoń. Nie, już się napiła. Niedużo, ale wystarczy. W końcu nie wie, jak długo tu jest. Wcześniej krzyczała przez całą godzinę i nic. Z tego, co widziała, ten szcur porzucił ją na jakimś odludziu. Jeśli tak, może polegać tylko na sobie. Musi zachować rozsądek i spokój. Musi coś wymyślić.

Przetarła oczy. Błąd. Od razu zaczęły ją piec. Jak miło byłoby ochlapać twarz wodą. Oplukałaby oczy, może nawet udałoby jej się uchylić powieki. A gdyby zmyła z siebie pot, może komary zostawiłyby ją w spokoju.

Bzdury. Marzenie ściętej głowy. Pociła się obficie, zielona sukienka lepiała się do jej

skóry, a bielizna była przesiąknięta na wylot. Nie było jej tak gorąco od czasu wizyty w saunie. Oplukanie twarzy przyniosłoby jej ulgę najwyżej na dwie sekundy. A potem znów byłaby spocona i załamana.

Przede wszystkim musi obejrzeć swój dobytek i oszczędnie z niego korzystać.

I schronić się przed słońcem. Znaleźć ocienione i w miarę chłodne miejsce. A z nadejściem nocy uciec.

Przypomniała jej się prognoza pogody. Upał ma być jeszcze większy. Pod koniec tygodnia temperatura może sięgnąć czterdziestu stopni. Zostało niewiele czasu, tym bardziej że już teraz jest kompletnie wyczerpana.

Musi się ruszyć. Wydostać się z tej jamy albo tu umrzeć.

Nie była jeszcze gotowa na śmierć.

Palcami rozchyliła obolałe opuchnięte powieki. Po jej twarzy spłynęła jakaś gęsta ciecz. Nie zamykała jednak oczu, pozwalając sobie tylko na kilka krótkich mrugnięć.

Początkowo nic. I nagle... kleista breja ściekła jej z oczu i świat powoli nabrał kształtów. Jasne, ostre, bolesne światło.

Tina rozejrzała się. W dole gęste błoto. W górze, pięć, sześć metrów nad jej głową widniał wylot z jamy. A dalej? Nie miała pojęcia. Nie widziała żadnych krzaków ani drzew. Jednak cokolwiek tam jest, musi być lepsze od tego, co otacza ją tutaj.

Teraz zajęła się ścianami. Ostrożnie wychyliła się za krawędź półki, policzyła do trzech, po czym osunęła się do przodu. Jej czerwone zaognione dłonie mocno uderzyły w twardą powierzchnię. Przeszył ją dotkliwy ból. Ale udało się. Nogi spoczęły na kamieniach, oparła się o ścianę jamy.

Była chłodniejsza, niż się tego spodziewała. Mokra od jakiejś dziwnej substancji. Zielona, uznała po dłuższym czasie. Śliska. Jakby pokryta algami czy pleśnią. Tina miała ochotę cofnąć rękę. Zamiast tego, zmusiła się, by rozłożyć palce i poszukać chwytów dla dłoni.

Po chwili stwierdziła, że to nie skała. Była zbyt regularna, bez żadnych wypukłości czy zygzakowatych szczelin, i zwirowata, lekko ocierała dłonie. Beton, uświadomiła sobie nagle. O Boże, to ludzie wykopali tę jamę. Sukinsyn wrzucił ją do piekła, które sam stworzył!

Czy to znaczy, że jest w czymś ogródku? Zaczęła gorączkowo myśleć. Może to jakieś osiedle? Gdyby więc jakoś udało jej się wydostać na powierzchnię...

No, ale jeśli jest na zamieszkanym terenie, to dlaczego nikt nie zareagował na jej wołanie? I skąd ten muł? Gęste błoto, pełne stworów, których wołała nie oglądać...

Pewnie facet ma domek na wsi albo w głębi lasu. Gdzieś z dala od cywilizacji, gdzie nikt mu w niczym nie przeszkadza. To bardziej prawdopodobne, biorąc pod uwagę to, co lubi robić.

Mimo to, gdyby udało jej się stąd wydostać... Mogłaby uciec, ukryć się, znaleźć jakąś drogę, pójść z biegiem jakiegoś strumienia... Nawet gdyby była na zupełnym odludziu, na górze miała szansę, a tu – żadnej.

Wróciła do obmacywania szorstkich ścian. Robiła to szybciej. Bardziej zdecydowanie. Po chwili znalazła to, czego szukała. Pnącze. Długie, zielone i splecione. Potem następne, i jeszcze jedno. Jakiś inwazyjny gatunek, albo pragnący sięgnąć błota, albo próbujący od niego

uciec. Wszystko jedno.

Tina owinęła trzy pnącza wokół dłoni i pociągnęła je na próbę. Wydawały się mocne i sprężyste. Mogła posłużyć się nimi jak sznurem. Zaprzeć się stopami o ścianę i podciągnąć. Czemu nie? Widziała to dziesiątki razy w telewizji.

Postanowiła działać. Odchyliła się na skalisty występ i obejrzała swój dobytek. Torebka będzie jej potrzebna. Jest w niej żywność i inne rzeczy, które mogą się przydać. Z nią nie będzie kłopotu. Przewiesiła ją przez ramię i skrzywiła się, kiedy pasek otarł się o jej spaloną słońcem skórę. Z wodą było trudniej. Butelka nie mieściła się w torebce, a Tina nie miała wolnej ręki.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie wypić reszty wody. Czemu nie? Tak przyjemnie byłoby poczuć ją w gardle. Tę cudowną wilgoć. A poza tym, przecież zaraz stąd ucieknie. Z tego piekła. Jeśli jej się uda, nie będzie już potrzebowała zapasów, prawda?

Oczywiście nie może tego wiedzieć. Nie ma nawet pojęcia, co ją czeka na górze. Nie, dość już picia. Musi zabrać butelkę ze sobą. Nawet jeśli jest ciężka i gorąca w dotyku. To cały zapas wody.

Sukienka. Materiał jest cienki i lekki. Może porwać go na paski i przywiązać butelkę do torebki. Szarpnęła rąbek obiema rękami. Materiał od razu wysunął jej się z dłoni, nietknięty. Spuchnięte palce odmawiały posłuszeństwa. Próbowwała raz po raz, ciężko dysząc, wpadając w złość.

Cholerny materiał nie chciał się porwać. Potrzebowała nożyczek. Że też akurat nie ma ich w torebce.

Słumiła szloch. Znów poczuła się pokonana, a komary, korzystając z jej bezruchu, wróciły do przerwanej uczty. Musi się ruszyć, musi coś zrobić!

Biustonosz. Może go zdjąć, przewlec przez uchwyt butelki i nieść, trzymając za ramiączka. Albo jeszcze lepiej: obwiązać biustonoszem pasek torebki, niech butelka na niej wisi. Wtedy będzie miała wolne obie ręce. Doskonale.

Uniosła rąbek sukienki i odkleiła ją od skóry. Muchy i komary natychmiast się ożywiły. Świeże białe ciało. Nowe, nietknięte jeszcze miejsca. Próbowwała o tym nie myśleć, kiedy zdejmowała przepocony biustonosz. Był lepki. Skrzywiła się i w końcu ściągnęła go z westchnieniem.

Włożenie z powrotem mokrej śmierdzącej sukienki będzie torturą. Czy nie lepiej pozostać naga w tym upale? Przynajmniej żaden materiał nie będzie ocierał się boleśnie o jej podrażnioną, słoną skórę. Delikatny podmuch muskał jej piersi, plecy...

Zacisnęła zęby i zmusiła się do włożenia sukienki. Materiał marszczył się i zawijał, kiedy próbowała się w nią wcisnąć. Nagle pośliznęła się na kamieniu. Zachwiała się niepewnie, patrząc w dół na gęstą maź. Padła na półkę i mocno się jej przytrzymała.

Serce łomotało jej w piersi. Och, jak bardzo chciała, żeby już było po wszystkim. Żeby mogła wrócić do domu i zobaczyć mamę. Marzyła o cudownej zimie w Minnesocie, o tym, by wybiec na dwór i dać nura w głęboką zaspę. Przypomniała sobie smak płatków śniegu, to, jak roztopiały się w ustach, jak osiadały na rzęsach i lekko ją łaskotały.

Czy zaczęła płakać? Trudno było to stwierdzić – twarz miała zlaną potem, a w kącikach

oczu siedziały muchy.

– Kocham cię, mamó – szepnęła. Musi odpędzić tę myśl, bo inaczej na pewno się popłacze.

Owinęła biustonoszem uchwyt butelki, przywiązała ją do torebki i przesunęła na plecy. Ciężar ścigał ją w dół, a woda chlupotała niebezpiecznie blisko niezatkanej szyjki, ale nic lepszego nie mogła wymyślić. Miała już wszystko, co trzeba. Co teraz?

Złapała równowagę, po czym rzuciła się do przodu, na przeciwległą ścianę. Oparła się dłońmi o szorstką powierzchnię. Zaczęła szukać pnączy. Znalazła sześć. Owinęła po trzy wokół każdej dłoni, czując, jak wrzynają się w spaloną skórę. Trzeba zacisnąć zęby i nie dać się.

Zdjęła niepraktyczne buty. Jeszcze jeden głęboki oddech. Słońce prażyło niemiłosiernie. Pot spływał po policzkach. Owady bzycały, bzycały, bzycały.

Tina pociągnęła pnącza obiema rękami, jednocześnie wyrzucając prawą nogę do przodu. Wymacała stopą nieco bardziej suchy fragment śliskiej powierzchni i zaparła się o ścianę. Policzyła do trzech i podciągnęła się.

I od razu poczuła, że pnącza nie wytrzymały. Zaczęła spadać. Odruchowo cofnęła nogę, szukając skalnej półki. Butelka zakołysała się gwałtownie, jeszcze bardziej wytrącając ją z równowagi. Nie ma szans, zaraz spadnie w mulistą breję.

Odbiła się desperacko od ściany i puściła pnącza. Poleciała z powrotem na półkę. Przekreśliła się, wymachując rękami, i nagle, ku swojej uldze, wylądowała na równej powierzchni. Woda, woda, woda. Szybko chwyciła butelkę, która jakimś cudem nie przewróciła się i wciąż zawierała resztki życiodajnego płynu.

Jest z powrotem na swojej półce, ma trochę wody, jest bezpieczna.

Pnącza spadły w błoto. Wtedy zobaczyła, że zostały przecięte w połowie długości. A zaraz za nimi sfrunęła biała kartka.

Tina wyciągnęła ciężką ze zmęczenia rękę i poczuła, jak kartka ląduje na jej dłoni.

Podsunęła ją do oczu.

Widniały na niej dwa słowa:

Żar zabija.

– Ty sukinsynu – próbowała krzyknąć, ale miała zbyt wyschnięte gardło i z jej ust wyrwał się tylko chrapliwy szept. Oblizła wargi. Nie pomogło. Opuściła głowę, zmęczona, i poczuła, jak ulatują z niej resztki sił.

Potrzebuje więcej jedzenia. Więcej wody. Chwili wytchnienia od tego potwornego upału. Inaczej nie przeżyje. W dodatku wróciły robale, komary, muchy, uczujące, uczujące, uczujące.

– Nie zdechnę tutaj – mruknęła stanowczo, próbując zebrać resztki sił. – Do cholery, nie dam się.

Ale jeśli nie może wydostać się z jamy...

Wzrok Tiny bardzo powoli powędrował do gęstego, leniwie płynącego mułu.

Rozdział 25

Park Narodowy Shenandoah, Wirginia

16.25

Temperatura: 37 stopni

Rejon poszukiwań został podzielony na dziesięć sektorów. Wszystkie dwuosobowe zespoły mają obejrzyć przydzielone im tereny na mapie, a potem przeczesać je zgodnie ze standardową procedurą. Dobra wiadomość jest taka, że ponieważ turystka zaginęła niecałe dwadzieścia cztery godziny temu, prawdopodobnie nie wyszła poza obszar o promieniu czterdziestu kilometrów, co trochę ułatwia nam zadanie. Jest też zła wiadomość: obszar ten obejmuje najtrudniejsze, najbardziej strome tereny w całym parku. Oto, co musicie wiedzieć: po pierwsze, zabłąkani turyści na ogół schodzą z gór. Są zmęczeni i kiedy tracą orientację, idą w dół, choć pomoc może czekać kilka metrów dalej, za szczytem. Po drugie, na ogół kierują się ku strumieniom. Wszyscy wiedzą, jak ważna jest woda, zwłaszcza dla kogoś, kto zabłądził. Jeśli w waszych sektorach są jakieś strumienie, uważnie przeszukajcie ich brzegi i idźcie z ich biegiem tak długo, jak się da. Po trzecie, po zejściu ze szlaków turystycznych robi się niebezpiecznie. Poszycie jest gęste, ziemia pełna dziur. Wypatrujcie poruszonych kamieni, złamanych gałęzi i zdeptanych roślin. Gdyby ta kobieta pozostała na szlaku, do tej pory pewnie ktoś by ją zauważył. Dlatego najprawdopodobniej jest gdzieś w lesie, a nas czeka ciężkie zadanie.

Kathy Levine zamilkła na chwilę, patrząc ponuro na dwudziestu ochotników zgromadzonych w Big Meadows Lodge.

– Jest gorąco. Jak byśmy nie wiedzieli, myślicie sobie. Ale mówię serio. Przebywanie na takim upale grozi odwodnieniem. Uważa się, że aby temu zapobiec, wystarczy wypić ze dwa litry wody dziennie. Tyle że w takich warunkach możecie tracić przez płuca i skórę litr wody na godzinę, więc dwa litry to za mało. Szczerze mówiąc, każdy z was powinien zabrać ze sobą dziewięć litrów wody, ale ponieważ byłby to za duży ciężar, wszystkie zespoły mają wziąć tabletki albo filtr do oczyszczania wody. Wtedy będziecie mogli uzupełniać jej zapas przy wszystkich napotkanych strumieniach. Nie pijcie prosto z nich. Jasne, woda wydaje się czysta i ładna, ale może w niej żyć *Giarda lamblia* – pasożyt, który wywołuje tygodniową sraczkę. Pijcie często, ale z głową. Zakładając, że nie ulegniecie odwodnieniu, nie spadniecie ze stromego zbocza i nie natkniecie się na śpiącego niedźwiedzia, jest jeszcze parę rzeczy, o których musicie pamiętać. Na przykład, grzechotniki. Mamy ich od pioruna. Od czasu do czasu widzieć będziecie łąki ze stosami gałęzi pozostałymi po ostatniej lawinie. Nic, tylko usiąść, pomyślicie. Błąd. Węże też lubią takie miejsca i na ogół tam mają swoje kryjówki. Nie wchodźmy im w drogę. Po drugie, są tu szerszenie. Zwykle zakładają gniazda w zagłębieniach w ziemi lub w przegniłych kłodach. Jeśli zostawicie je w spokoju, nie zrobią wam krzywdy. Jeśli jednak wdepniecie w gniazdo... Proponuję, żebyście nie biegli w stronę partnera. Wciągniecie go tylko w ten bajzel, a jeden z was musi być w stanie wrócić po

pomoc. No i wreszcie pokrzywy. Sięgają mniej więcej ud, mają szerokie zielone liście. Co ciekawe, po ugotowaniu można je podawać jako zieleninę do obiadu. Jeśli jednak w nie wejdziecie, to przekonacie się, że są roślinnym odpowiednikiem włókna szklanego. Kolce od razu wbijają się w skórę i wydzielają truciznę, która na długo pozostaje w organizmie. Minie pół godziny, godzina, zanim ślad zniknie, a do tego czasu będziecie już mieli wszystkiego dosyć. Ten park jest piękny. W ciągu ostatnich pięciu lat poznałam prawie wszystkie jego zakątki i nie znam cudowniejszego miejsca na ziemi. Ale przyroda żąda od nas szacunku. Musimy być skoncentrowani. Musimy działać szybko. Ale w tych warunkach trzeba też zachować rozsądek. Naszym celem jest znalezienie jednego człowieka, a nie strata kilku innych. Jakies pytania? – Nikt się nie zgłosił. – No dobra, do roboty. Do zachodu słońca zostało jeszcze cztery i pół godziny.

Grupa rozproszyła się, każdy odszukał swojego partnera i wszyscy wyszli z domku. Znali swoje zadania i większość wiedziała, co ma robić. Mac i Kimberly prawdopodobnie byli tu najmniej doświadczeni. On miał już za sobą parę akcji ratunkowych, za to po Kimberly widać było, że czuje się niepewnie. Miała ekwipunek, była w dobrej kondycji, jednak, jak sama przyznała, rzadko chodziła do lasu.

Jeśli sprawdzi się to, co mówiła Kathy Levine, czeka ich niesamowita przygoda.

– Jak myślisz, o co jej chodziło z tymi szerszeniami? – zapytała Kimberly, kiedy wyszli z cudownie klimatyzowanego wnętrza na straszliwy upał. – Jeśli budują gniazda w ziemi, po której chodzimy, to jak mamy ich unikać?

– Patrz, gdzie stawiasz nogi – poradził Mac. Zatrzymał się, rozłożył mapę, którą dostali, i próbował zorientować się w terenie. Oficjalnie byli Zespołem D i, co logiczne, mieli przeszukać obejmujący siedem kilometrów kwadratowych Sektor D.

– Ale jeśli patrzę pod nogi, to jak mam szukać zabłąkanej kobiety, złamanych gałęzi czy czegoś takiego?

– To tak jak przy prowadzeniu samochodu. Sprawdzasz sytuację na jezdni, a potem możesz się spokojnie rozejrzeć, no i zaraz znów patrzysz, co masz przed sobą. I tak przez cały czas: spoglądasz na przemian w przód i w bok. No dobra, według mapy, tu mamy wejść na szlak.

– Myślałam, że nie idziemy szlakiem. Levine mówiła, że jesteśmy w „dziczy”, cokolwiek to, do cholery, znaczy.

– I miała rację – przyznał Mac spokojnie. – Ale pierwsze pół kilometra przejdziemy szlakiem. Dopiero potem zboczymy na manowce.

– Skąd będziemy wiedzieli, którądy iść?

– Dzięki kompasowi. Zajmie nam to trochę czasu, ale przynajmniej nie zabłądzimy.

Kimberly niemal niezauważalnie skinęła głową. Patrzyła z niepokojem na ciemny las przed nimi, mieniący się dziewięcioma chyba odcieniami zieleni. Mac widział piękno. Ona widziała grozę.

– Przypomnij mi, jakie masz w tym doświadczenie? – szepnęła.

– Pomagałem przy dwóch akcjach w Georgii.

– Mówiłeś, że mieliście rannych.

– Uhm.

– I że on specjalnie tak to wszystko urządza, żeby nas torturować.

– Uhm.

– Kawał sukinsyna, co?

– O, tak.

Kimberly skinęła głową. Wyprostowała ramiona i uniosła podbródek z hardą miną, którą już tak dobrze zdążył poznać.

– No dobrze – powiedziała zimno. – Znajdziemy tę dziewczynę, uratujemy ją, a potem wyjdziemy z tego parku i dorwiemy skurwysyna. Umowa stoi?

– Jesteś kobietą w moim typie – odparł z powagą.

Ruszyli naprzód, w gęsty ciemny las.

Ścieżka była stroma, ale w miarę wygodna, ze skalnymi występami i starymi korzeniami drzew tworzącymi naturalne stopnie. Tonęła w cieniu gęstych koron drzew, które zasłaniały słońce. Trudniej było ochronić się od gorąca. Macowi już brakowało tchu, jego płuca pracowały ze wzmożonym wysiłkiem. Nie minęło kilka minut, a jego twarz pokryła się potem i poczuł nieprzyjemną wilgoć między łopatkami, gdzie plecak przylgnął do koszulki. Słońce mocno dawało się we znaki, ale prawdziwym wrogiem było wilgotne powietrze. To ono sprawiało, że górskie lasy, zamiast dawać wytchnienie od upału, zmieniały się w parującą dżunglę, w której każdy krok kosztował mnóstwo wysiłku, a cztery godziny wędrówki to o jakieś trzy godziny za dużo.

Mac i Kimberly przebrali się przed wymarszem. Kimberly miała na sobie szorty khaki i bawełniany Tshirt, standardowy strój turystki amatorki. Mac, bardziej doświadczony, włożył nylonowe szorty i przeciwpotową koszulkę. Kiedy się pocił, syntetyczny materiał wchłaniał wilgoć, przynosząc pewną ulgę. Tymczasem bawełniany Tshirt Kimberly już się do niej lepił. Wkrótce i koszulka, i szorty zaczną boleśnie ocierać jej skórę. Był ciekaw, czy zacznie marudzić. Nie, to mało prawdopodobne.

– Myślisz, że jeszcze żyje? – spytała. Też była zasapana, ale dzielnie dotrzymywała mu kroku.

Kiedy sytuacja tego wymaga, można na Kimberly polegać, pomyślał Mac.

– Kiedyś czytałem raport na temat akcji poszukiwawczo-ratunkowych – odparł Mac. – Spośród ofiar śmiertelnych, siedemdziesiąt pięć procent umarło w ciągu pierwszych czterdziestu ośmiu godzin. Zakładając, że dziewczyna została porzucona wczoraj, mamy jeszcze dwadzieścia cztery godziny, by ją znaleźć.

– Co... uf, uf, najczęściej zabija, uf, uf, zabłąkanych ludzi?

– Hipotermia. A w taki dzień jak dziś, udar cieplny. Czyli wystawienie na działanie szkodliwych czynników. A teraz ciekawostka: wiesz, że największą szansę przeżycia w dziczy mają dzieci w wieku poniżej sześciu lat?

Kimberly pokręciła głową.

– Dzieci bardziej polegają na swoim instynkcie – wyjaśnił. – Kiedy są zmęczone, śpią. Kiedy się boją, szukają schronienia. Za to dorośli są przekonani, że w każdej chwili mogą odzyskać panowanie nad sytuacją. Dlatego zamiast schować się przed deszczem, mrozem czy

słońcem, idą dalej, przekonani, że ratunek jest tuż-tuż. Tak właśnie nie należy robić. Twoje szanse rosną, jeśli zachowujesz spokój i nie ruszasz się z miejsca. Przeciętny człowiek może wytrzymać pięć dni bez wody i miesiąc bez jedzenia. Jeśli jednak zmęczysz się chodzeniem, możesz dostać udaru, spaść z urwiska czy wpakować się do niedźwiedziej nory. No i skutek jest taki, że zabłąkany turysta umiera po czterdziestu ośmiu godzinach, choć byle osioł powinien być w stanie przetrwać cały tydzień.

Mac zatrzymał się w pół kroku. Spojrzał na mapę, a potem na kompas.

– Chwila. Tak. Tu schodzimy ze szlaku.

Kimberly stanęła obok niego i czuł, że narasta w niej niepokój. Przed nimi nie było żadnej wyraźnie wytyczonej ścieżki. Zamiast tego widzieli strome zbocze, pokryte głązami, krzakami i trawą. Przejście blokowały przewrócone pnie, porośnięte mchem i połyskującymi paprociami. Postrzępione gałęzie sterczały niebezpiecznie nisko, a połowę drzew oplatało jakieś grube zielone pnącze.

Las był gęsty, ciemny i zielony. Kathy Levine miała rację: krył w sobie tajemnice, które były piękne i śmiertelnie groźne zarazem.

– Jeśli stracisz mnie z oczu – powiedział Mac cicho – zostań na miejscu i zagwiżdż. Znajdę cię.

Wszyscy uczestnicy akcji dostali plastikowe gwizdki. Jeden gwizd oznaczał przywołanie partnera. Dwa – odnalezienie poszukiwanej dziewczyny. Trzy – wezwanie pomocy.

Kimberly utkwiała wzrok w ziemię. Mac widział, jak jej oczy wypatrują wśród kamieni i krzaków grzechotników i szerszeni. Jej dłoń spoczęła na lewym udzie. Tam ma nóż, pomyślał i natychmiast poczuł ucisk w żołądku. Obudziło się w nim stare, dobre, męskie pożądanie. Nie wiedział, dlaczego uzbrojona kobieta miałaby go aż tak podniecać, ale, o rany, tej tutaj się udało.

– Nic nam nie będzie – powiedział.

Kimberly wreszcie na niego spojrzała.

– Nie składaj obietnic, których nie możesz dotrzymać – rzuciła i zeszła ze ścieżki w zarośla.

Wkrótce teren stał się trudny. Kimberly dwa razy pośliznęła się i zjechała po stromym zboczu. Długa gęsta trawa nie zapewniała oparcia dla nóg, a głązy i korzenie drzew wystawały z ziemi w najmniej oczekiwanych miejscach. Kiedy patrzyła w dół, wpadała na wysoko sterczące konary. Kiedy podnosiła głowę, potykała się o leżące kłody. Kiedy starała się patrzeć wszędzie naraz, przewracała się, i skutki tego najczęściej były bolesne i krwawe.

Po dwóch godzinach nogi miała poprzecinane zadrapaniami, doskonale pasującymi do tych, które jeszcze nie zagoiły się na jej twarzy. Uniknęła szerszeni, ale weszła w kępę sumaków jadowitych. Nie wpadała już na przewrócone pnie, ale dwa razy wykręciła kostkę na śliskich głązach.

Ogólnie rzecz biorąc, las jej się nie podobał. Pewnie powinna uważać, że jest piękny, ale dla niej wcale taki nie był. Czowała, jak bardzo człowiek jest tu samotny; nawet odgłos kroków towarzysza tłumiony był przez porośnięte mchem głązy i mimo że wiedziała, iż parę kilometrów dalej jest następny zespół poszukiwawczy, z tamtej strony nie dochodził żaden

dźwięk. Strzeliste drzewa zasłaniały słońce, przez co traciła orientację i nie mogła stwierdzić, w którym kierunku idzie. Teren był dziki i pofałdowany, więc często szli w dół, by dostać się na górę, lub odwrotnie. Gdzie północ, południe, wschód, zachód? Tego Kimberly już nie wiedziała, a to budziło w niej niepokój, którego nie potrafiła w pełni oddać słowami.

Las wchłonał ją jak ocean. Tonęła w zieleni, niepewna, jak się wynurzyć ani z której strony jest brzeg. Była dziewczyną z miasta, która porwała się na coś, co ją przerastało. Tak wiele złego mogło ją tu spotkać; mogła przepaść bez śladu i nawet nie odnaleziono by jej ciała.

Próbowała odpędzić czarne myśli, skupiając się na zaginionej dziewczynie. Jeśli tamtej nocy była w barze, pewnie miała na nogach sandały. Czy od razu poszła po rozum do głowy i je zdjęła? Kimberly była w butach górskich, a mimo to już kilka razy się poślizgnęła. W sandałach w ogóle nie dałoby się tu chodzić. Boso też nie byłoby najwygodniej, ale przynajmniej można by sobie jakoś poradzić.

W którą stronę się skierowała? Kathy Levine mówiła, że w dół. Zabłąkani turyści wybierają najprostsze rozwiązanie. Tyle że Kimberly wcale nie wydawało się ono takie proste. Szukanie miejsc, w których można było bezpiecznie stawiać nogi, wymagało czasu i wysiłku. Może nie męczyło tak jak wspinaczka, ale bolały ją mięśnie, a serce waliło jak młotem.

Czy dziewczyna spróbuje znaleźć schronienie? Jakies miejsce, gdzie byłoby chłodno i mogłaby odpocząć? Mac przekonywał, że w takiej sytuacji najlepiej jest siedzieć na tyłku i czekać. Zachować spokój, nie chodzić w kółko.

Kimberly popatrzyła na powyginane drzewa, groźne cienie i głębokie szczeliny, w których Bóg raczej wiedzieć, co się kryło.

Była przekonana, że na początku dziewczyna biegła na oślep przed siebie. Przedzierała się przez zarośla, rozpaczliwie szukając jakichś śladów cywilizacji. Spragniona kontaktu z ludźmi, pewnie krzyczała całymi godzinami, aż ochrypla. A kiedy zapadła noc, kiedy las wypełnił się donośniejszymi odgłosami dużych zwierząt i bzyczeniem owadów...

Wtedy dziewczyna pewnie znów zaczęła biec. Potykała się. Przewracała. Może nawet wpadła w sumaki jadowite albo gniazdo szerszeni. I co wtedy się z nią stało? Pokąsaną, przerażoną, półnągą i zagubioną w ciemnościach?

Pewnie szukała wody, która schłodziłaby jej rany. A poza tym cokolwiek czaiło się w strumieniach, musiało być mniej groźne od zwierząt buszujących w lesie.

Kimberly zatrzymała się w pół kroku i uniosła dłoń.

– Słyszysz? – spytała Maca ostro.

– Woda – przytaknął. Wyjął z plecaka mapę. – Na zachód stąd płynie strumień.

– Powinniśmy iść z jego biegiem. Tak mówiła Levine, nie? Turyści szukają wody.

– Słusznie.

Kimberly zrobiła krok w lewo...

Straciła równowagę, przewróciła się i zjechała na siedzeniu po śliskim trawiastym zboczu. Uderzyła biodrem w głaz. Otarła udo o przewrócony pień. Gorączkowo próbowała włożyć ręce pod siebie. Słyszała wołanie Maca:

– Kimberly!!!

– Aaaaaaaach. – Łup. Łup. Dostrzegła następną kłodę i wpadła na nią z wdziękiem nosorożca. Zobaczyła wszystkie gwiazdy. Dzwoniło jej w uszach. W ustach miała smak krwi z przygryzionego języka. I wtedy poczuła pieczenie, które w mgnieniu oka objęło całe jej ciało.

– Cholera! Szlag by to! Co to, do diabła?! – Zerwała się z ziemi, bijąc się po rękach i nogach. Ból, ból, ból, jakby kąsało ją setki małych czerwonych mrówek. Wskoczyła z krzaków i zaczęła wdrapywać się z powrotem, łapiąc się pni i młóćąc nogami trawę.

Weszła pięć metrów wyżej, ale to nic nie pomogło. Skóra ją paliła. Krew wrzała w jej żyłach. Patrzyła bezradnie, jak jej ciało pokrywa jasnoczerwona wysypka.

Mac wreszcie znalazł się przy niej.

– Nie drap się, nie drap się, nie drap się.

– Co to jest, do cholery?! – krzyknęła z rozpaczą.

– Moje gratulacje, skarbie. Zdaje się, że właśnie znalazłaś pokrzywy.

Rozdział 26

Quantico, Wirginia

20.05

Temperatura: 36,5 stopnia

No i co my tu mamy? – spytał Quincy. Było już po ósmej. On, Rainie, agent specjalny Kapłan i Watson spotkali się w wolnej sali wykładowej. Atmosfera była dość ciężka. Po pierwsze, Quincy i Rainie jeszcze nie zdążyli odpocząć po oględzinach miejsca zbrodni. Po drugie, po czternastu godzinach pracy nie posunęli się ani o krok naprzód.

– Wciąż myślę, że powinniśmy dokładniej przyjrzeć się McCormackowi – upierał się Kapłan. – W tej branży wszyscy wiedzą, że nie istnieje coś takiego, jak zbieg okoliczności. A fakt, że on jest tu w tym samym czasie, kiedy uaktywnia się ścigany przez niego morderca... Jak dla mnie to zbyt duży zbieg okoliczności.

– To nie przypadek, to było zaplanowane – powiedziała Rainie z irytacją. Miała na ten temat jasno określone zdanie i pokręciła głową z niesmakiem, patrząc na Kapłana. – Rozmawiałeś z jego szefem. Wiesz, że McCormack mówił prawdę.

– Osłania kumpla i tyle.

– A więc zamieszane w to jest całe GBI? Właśnie przeszliśmy od zbiegu okoliczności do spiskowej teorii dziejów.

Quincy uniósł dłoń, chcąc przerwać tę kłótnię, zanim rozgorzeje na dobre. Znowu.

– Co z tym ogłoszeniem? – spytał Kapłana.

– Kierownik działu public relations powiedział, że przyszło wczoraj z instrukcją, iż ma zostać opublikowane w dzisiejszym numerze gazety. Tyle że „Quantico Sentry” to tygodnik. Następny numer ukaze się dopiero w ten piątek. Poza tym, ogłoszenie nie spodobało się kierownikowi. Wyglądało na napisane jakimś szyfrem, pomyślał, że może w grę wchodzi narkotyki, więc mi je podrzucił.

Kapłan pchnął kopię ogłoszenia przez stół. Było małe, o wymiarach pięć na pięć centymetrów, z czarną ramką, zawierające jeden akapit. Jego treść brzmiała:

Droga redakcjo, Zegar tyka... planeta umiera... zwierzęta płaczą... rzeki krzyczą. Nie słyszycie? Żar zabija...

– Dlaczego ogłoszenie? – spytał Watson.

– „Quantico Sentry” nie prowadzi rubryki z listami do redakcji.

– Jakie są wymogi co do ogłoszeń? – zainteresował się Quincy.

Kapłan wzruszył ramionami.

– Gazeta jest przedsięwzięciem cywilnym, publikowanym we współpracy z działem public relations naszej bazy, więc pisze o sprawach lokalnych. Reklamuje się tu wielu miejscowych handlowców, zakłady świadczące usługi dla personelu wojskowego, organizacje

charytatywne proszące o datki, i tak dalej. W gruncie rzeczy niczym nie różni się od innych małych lokalnych pism. Dostarczane ogłoszenia muszą być gotowe do publikacji, opłata pobierana jest z góry. To wszystko.

– A więc nasz podejrzany znalazł czas na to, by poznać warunki publikacji ogłoszenia, ale nie wiedział, że dziś się nie ukáže? – spytał Watson sceptycznie. – Bystrzacha to on nie jest.

– Dostał to, czego chciał – powiedział Quincy cicho. – Minął dzień, a my czytamy jego wiadomość.

– Przypadek – zbył go Watson.

– Nie. Ten człowiek działa z rozmysłem. „Quintico Sentry” to najstarsze pismo marines. Jest częścią ich tradycji i dumy. Zamieszczenie w nim tego listu to to samo, co porzucenie zwłok na terenie bazy. Zaczyna działać pod naszym nosem. Chce zwrócić na siebie uwagę.

– Wszystko pasuje – wtrąciła Rainie. – Jak dotąd, mamy ten sam sposób działania jak w przypadku Ekomordercy, a teraz dochodzi jeszcze ten list. Moim zdaniem, nasz następny krok jest oczywisty.

– To znaczy? – spytał Watson.

– Trzeba wezwać McCormacka! Włączyć go do śledztwa. Zna tego człowieka lepiej niż my. A ponieważ gdzieś tam prawdopodobnie jest następna dziewczyna, przydałoby się, żeby specjaliści jeszcze raz obejrżeli zwłoki, a przede wszystkim te drobiazgi, to znaczy grzechotnika, liść i kamień. No, do roboty. Jak facet napisał w ogłoszeniu, „zegar tyka”, a my już straciliśmy cały dzień.

– Wysłałem wszystkie dowody do laboratorium – przyznał się Kapłan cicho.

– Co zrobiłeś? – spytała Rainie z niedowierzaniem.

– Wysłałem kamyk, liść, no i szczątki węża do laboratorium w Norfolk.

– A co oni tam, do cholery, z tym wszystkim zrobią? Pobiorą odciski palców?

– To nie jest zły pomysł...

– To beznadziejny pomysł! Nie słyszałeś, co mówił McCormack? Musimy znaleźć tę dziewczynę!

– Hej! – Ręka Quincy’ego znów powędrowała w górę i w sali rozbrzmiał jego donośny, nieznoszący sprzeciwu głos. Nie żeby to coś dało. Rainie już zerwała się z krzesła, z zaciśniętymi pięściami. A Kapłan wydawał się równie skory do walki. To był długi dzień. Gorący i wyczerpujący. W taki upał zwiększała się liczba bójek w barach, nic więc dziwnego, że i członkowie grupy dochodzeniowej nie bardzo mogli się dogadać.

– Musimy działać dwutorowo – ciągnął Quincy stanowczym tonem. – Dlatego zamknijcie się, usiądźcie i słuchajcie uważnie. Rainie ma rację, trzeba się spieszyć.

Rainie powoli usiadła. Kapłan niechętnie odwrócił się w jego stronę.

– Po pierwsze, założmy, że ten człowiek to rzeczywiście Ekomorderca. No no no! – Kapłan już otwierał usta, by zaprotestować. Quincy posłał mu to samo miażdżące spojrzenie, które dawniej stosował wobec podwładnych, i agent NCIS natychmiast się zamknął. – Choć nie możemy być tego w stu procentach pewni, pozostaje faktem, że mamy do czynienia z zabójstwem podobnym do tych, które zdarzyły się w Georgii. Dlatego musimy rozważyć możliwość, że uprowadzona została jeszcze jedna kobieta. Jeśli tak rzeczywiście się stało, to

podobnie jak to było w Georgii, musimy potraktować dowody znalezione przy zwłokach jak elementy geograficznej układanki. – Spojrzał na Kapłana.

– Zwrócę się do ekspertów od botaniki, biologii i geologii, żeby rzucili okiem na to, co mamy – powiedział agent z ociąganiem.

– Byle szybko – dodała Rainie.

Kapłan spojrział na nią spode łba.

– Tak jest, psze pani.

Rainie tylko uśmiechnęła się do niego. Quincy wziął kolejny głęboki oddech.

– Po drugie – kontynuował – musimy zbadać sprawę w szerszym kontekście. Po lekturze zapisków ze śledztwa prowadzonego w Georgii jest dla mnie oczywiste, że tamtejsza policja w gruncie rzeczy niewiele wiedziała o mordercy. Sporządzili portret psychologiczny i listę przypuszczeń, z których żadnego nie udało się potwierdzić. Myślę, że powinniśmy zacząć od zera i wyciągnąć własne wnioski tylko na podstawie ostatniego zabójstwa. Na przykład, dlaczego zabójca zostawił ciało na terenie bazy? Wydaje się, że w ten sposób rzuca wyzwanie władzom. Jest tak pewny siebie, że nie boi się działać pod nosem elitarniej amerykańskiej agencji śledczej. Mamy też pisane przez sprawcę listy do redakcji i jego telefony do agenta McCormacka. W związku z tym nasuwają się następne pytania. Czy chce w ten sposób uzyskać potwierdzenie swojej mocy i panowania nad sytuacją? A może to człowiek rozdarty, który wyciąga dłoń do policji w nadziei, że zostanie schwytany? No i czy ten anonimowy rozmówca to rzeczywiście nasz morderca, czy też ktoś zupełnie inny? Jest też trzecia kwestia, którą powinniśmy rozważyć. Może przeciwnikiem mordercy w tej grze nie są marines ani FBI, tylko agent specjalny McCormack?

– Chyba żartujesz – burknął Kapłan.

Quincy spojrział na niego zimno.

– Na razie założmy, że anonimowym rozmówcą agenta McCormacka jest sam morderca. To jego sugestie sprawiły, że McCormack przyjechał do Wirginii. Stąd wniosek, że już wtedy planował atak w tej okolicy. Co więcej, znał miejsce pobytu agenta McCormacka i dlatego tu właśnie rozpoczął swoją grę. Ogłoszenie w „Quantico Sentry” dobrze wpisuje się w tę taktykę. W piątek gazeta będzie dostępna na terenie całej bazy. McCormack na pewno zrozumie aluzję.

Rainie miała zafrasowaną minę.

– To brzmi coraz bardziej niesamowicie – powiedziała cicho.

– Fakt. Mordercy rzadko biorą na cel określonego policjanta. Ale zdarzały się już dziwniejsze rzeczy, a jako prowadzący śledztwo, McCormack był najbardziej znanym członkiem grupy specjalnej z Georgii. Gdyby sprawca miał identyfikować się z określonym przeciwnikiem, logiczne, że byłby to właśnie on.

– Więc są dwie możliwości – mruknęła Rainie. – Psychopata prowadzący grę z McCormackiem albo niespokojny, dręczony poczuciem winy świr, który zabija dziewczyny, ale okazuje pewne skrupuły. Dlaczego żadna z tych teorii nie nastraja mnie optymistycznie?

– Bo tak czy inaczej, ten człowiek jest śmiertelnie groźny. – Quincy zwrócił się do Kapłana: – Domyślam się, że wysłał pan już do analizy ogłoszenie z „Quantico Sentry”?

– Próbowałem – odparł Kapłan. – Ale właściwie nie ma czego analizować. Znaczek i koperta są samoprzylepne, więc nadawca nie zostawił na nich śliny. Odcisków palców brak, ogłoszenie jest wydrukowane, więc charakteru pisma też nie można sprawdzić.

– A jak zostało opłacone?

– Gotówką. Nie powinno się jej wysyłać pocztą, ale najwyraźniej nasz morderca jest z natury ufny.

– Stempel pocztowy?

– Stafford.

– To ta sąsiednia miejscina?

– Uhm, list nadano wczoraj. Gość załatwił wszystko za jednym zamachem. Był w okolicy, by zamordować kobietę, co mu szkodziło wysłać przy okazji liścik?

Quincy uniósł brew.

– Jest cwany. Dobrze się przygotował. W zasadzie można zacząć od tej przesyłki. Doktor Ennunzio mówił, że dostał z Georgii oryginał listu. Dajcie mu też to ogłoszenie. Będzie miał więcej danych.

Kapłan musiał to przemyśleć.

– Ale tylko na tydzień – uległ wreszcie. – Potem ogłoszenie ma wrócić do mojego laboratorium.

– Doceniamy twoją gotowość do współpracy – zapewnił go Quincy.

Rozległo się pukanie do drzwi. Quincy zacisnął usta, zirytowany, że ktoś im przeszkadza w chwili, kiedy wreszcie zaczynają jakoś się dogadywać, ale Kapłan już zerwał się na nogi.

– To pewnie jeden z moich agentów – wyjaśnił. – Mówiłem mu, że tu będę.

Otworzył drzwi i do sali wszedł młody mężczyzna ostrzyżony na jeża. Trzymał w ręku kartkę i był tak podekscytowany, że nie mógł ustać na miejscu.

– Pomyślałem, że powinien to pan jak najszybciej zobaczyć – powiedział.

Kapłan wziął kartkę, rzucił na nią okiem i szybko uniósł głowę.

– To pewne?

– Tak jest. Piętnaście minut temu uzyskałem potwierdzenie.

– Co jest? – spytała Rainie.

Nawet Watson wyprostował się na krześle. Kapłan powoli odwrócił się w ich stronę.

– Zidentyfikowaliśmy tę dziewczynę – powiedział i jego wzrok powędrował do Quincy'ego. – A jednak nie wygląda to tak, jak w Georgii. Słodki Jezu, jest o wiele, wiele gorzej.

– Przerwa na łyk wody.

– Zaraz.

– Kimberly, przerwa na łyk wody.

– Chcę zobaczyć, co jest tam, za zakrętem...

– Skarbie, stań na chwilę i napij się wody, bo zatrzymam cię siłą.

Kimberly spojrzała na niego gniewnie. Mac nawet nie mrugnął okiem.

Stał trzy metry za nią, przy głazie wystającym ze spływającego stromym zboczem

strumienia, wzdłuż którego szli.

Po trzech godzinach trudnego marszu połowę ciała miała obsypaną jasnoczerwoną wysypką – sumaki jadowite, pokrzywy, weszła już we wszystko. Jej koszula była przepocona, podobnie jak szorty. Nawet skarpetki były mokre. No, a włosy zmieniły się w przesiąkniętą na wylot ciasną czapkę.

Tymczasem Mac stał spokojnie na dużym głazie, z nogą zgiętą w kolanie. Wilgotna szara koszulka opinała jego muskularną pierś. Odgarnięte do tyłu włosy podkreślały opaloną wyrazistą twarz. Nie był zdyszany. Nie miał ani jednego zadrapania. Po trzech godzinach ciężkiej wędrówki facet wyglądał jak cholerny model z żurnala.

– Goń się – syknęła Kimberly, ale w końcu zatrzymała się i z ociąganiem wyjęła butelkę. Woda była letnia i miała smak plastiku. Mimo to piła ją z prawdziwą rozkoszą. Ciężko dyszała. Nogi jej drżały. Nawet tor przeszkód nie był tak męczący.

– W takim upale przynajmniej nie ma dużo kleszczy – zauważył Mac od niechcienia.

– Czego?

– Kleszczy. Nie lubią takiego gorąca. Za to gdyby teraz była wiosna albo jesień...

Kimberly z niepokojem obejrzała swoje nogi. Czy niektóre z widocznych pod wysypką piegów ruszają się? Jeszcze tylko pasożytów krwiopijców brakuje jej do szczęścia... Wtedy dotarło do niej, że Mac stroi sobie żarty.

– Doigrasz się – burknęła.

W odpowiedzi tylko uśmiechnął się szeroko.

– Co, rzucisz się na mnie z nożem? Cały dzień na to czekam.

– Nie żebym chciała wybić ci z głowy robaczywe myśli, ale żałuję, że go wzięłam. Startł mi całą skórę z uda, zaraz mnie szlag trafi.

– Chcesz go zdjąć? Chętnie pomogę.

– Och, na litość boską.

Odwróciła się do niego i przeczesала palcami krótkie włosy. Jej dłoń od razu pokryła się obrzydliwą słoną wilgocią. Musi wyglądać strasznie. A mimo to facet z nią flirtuje. Naprawdę mu odbiło.

Spojrzała w słońce. Wisiało nisko nad horyzontem. O dziwo, łatwo tu było zapomnieć o nadciągającej nocy. Wszystko i tak ginęło w cieniu drzew, a w dodatku upał ani trochę nie zelżał. Ale słońce opadało coraz niżej, robiło się późno.

– Mamy mało czasu – powiedziała cicho.

– Fakt – przytaknął równie poważnym tonem.

– Trzeba ruszać. – Pochyliła się, by schować butelkę.

Podszedł do niej i złapał ją za ramię.

– Musisz wypić więcej.

– Dopiero co piłam!

– Za mało. Wypiłaś tylko litr. Słyszałaś, co mówiła Kathy Levine? W tych warunkach tyle wypacasz w godzinę. Wypij więcej, Kimberly. To ważne.

Nie puszczał jej ramienia. Nie ścisnął mocno, a już na pewno nie zadawał jej bólu. Mimo to czuła jego dotyk wyraźniej, niż powinna. Miał twarde opuszki palców i wilgotną dłoń,

pewnie cały był spocony. Mimo to nie odsunęła się.

I po raz pierwszy...

Pomyślała, czy się do niego nie zbliżyć. Czy go nie pocałować. Taki mężczyzna jak on na pewno świetnie całuje. Wyobrażała sobie, że robiłby to powoli, z namaszczeniem. Pocałunek byłby dla niego czymś takim jak flirt, zabawną grą wstępną, którą ćwiczył pewnie przez całe życie.

A dla niej?

Przejawem desperacji. Wiedziała to, nie musiała nawet myśleć, dlaczego. W jej pocałunku byłyby potrzeba, nadzieja i gniew. Byłaby to daremna próba wyrwania się ze swojej skorupy, wyzwolenia od lęku, który nie odstępował jej na krok. Zapomnienia choć na chwilę, że gdzieś tu jest zagubiona dziewczyna, a ona bardzo pragnęła jej pomóc, co jednak mogło nie wystarczyć. Nie uratowała siostry ani matki. Dlaczego tym razem miałyby jej się udać?

Zbyt wiele potrzebowała. Za bardzo chciała. Ten mężczyzna mógł przejść przez życie z uśmiechem na ustach. Dla Kimberly byłby to trud ponad siły.

Cofnęła się. Podniosła butelkę do ust i upiła duży łyk.

– W takich sytuacjach – powiedziała po chwili – powinieneś zdobyć się na większy wysiłek.

W jej głosie zabrzmiała nagła nuta, ale Mac tylko uniósł brew.

– Sugerujesz, że się objam?

Wzruszyła ramionami.

– Sugeruję, że zaraz zrobi się ciemno. Powinniśmy więcej iść, a mniej mówić.

– Kimberly, która jest godzina?

– Parę minut po ósmej.

– A gdzie jesteśmy?

– Pewnie gdzieś w naszym sektorze.

– Skarbie, od trzech godzin schodzimy w dół i zejdziemy jeszcze niżej, bo tak jak ty, chcę zobaczyć, co jest za następnym zakrętem strumienia. A teraz może mi powiesz, jakim cudem po trzech godzinach marszu mamy wrócić do bazy przed zmierzchem, do którego została jeszcze godzina?

– Nie... nie wiem.

– To niewykonalne – orzekł beznamiętnym tonem. – Po zmroku nadal będziemy w lesie, to jasne. Dobra wiadomość jest taka, że według mapy niedaleko stąd przebiega ścieżka prowadząca na zachód. Proponuję, żebyśmy dokończyli przeszukiwanie tej okolicy, zostawili tu jakiś znak i przed zmrokiem znaleźli ścieżkę. Wrócimy nią na górę, będzie się nam wygodniej szło. W razie czego mam latarkę. Owszem, będzie ciężko i niebezpiecznie, ale przynajmniej są szanse, że nam się uda. I nie myśl, że nie potrafię ryzykować, skarbie. Po prostu miałem kilka lat więcej niż ty, żeby dojść w tym do perfekcji.

Kimberly popatrzyła na niego uważnie. I nagle skinęła głową. Narazał życie ich obojga i, o dziwo, to jej się podobało.

– Dobrze. – Założyła plecak. Ruszyła z biegiem strumienia i rzuciła przez ramię: – Stary

pryk.

Natychmiast podbiegł do niej. Uśmiechnęła się. Już w lepszym humorze minęła następny zakręt strumienia i wtedy po raz pierwszy tego dnia dopisało im szczęście.

Zobaczyła to pierwsza.

– Gdzie jesteśmy? – spytała z ożywieniem.

– W naszym sektorze, nie powinien się nakładać na inne...

Kimberly wskazała drzewo z niedawno złamaną gałęzią. Potem zobaczyła zgniecioną paproć, a za nią zdeptaną trawę. Przyspieszyła kroku, idąc po śladach bez wątpienia pozostawionych przez człowieka. Wydeptana ścieżka zaczęła biec zygzakiem wśród drzew. Była szeroka i wyraźnie widoczna. Jeden człowiek na oślep przedzierający się przez zarośla. A może uginający się pod ciężarem uśpionej kobiety?

– Mac... Nie starała się nawet ukryć podniecenia. Patrzył w słońce.

– Kimberly, biegniemy.

Rzuciła się ścieżką przed siebie, a Mac popędził w ślad za nią.

Rozdział 27

Wirginia

20.43

Temperatura: 34,5 stopnia

Muł budził w niej odrazę. Przelewał się, bulgotał i cuchnął. Jego powierzchnia marszczyła się, a w głębi wiły się stwory, których Tina nie widziała i nie chciała zobaczyć. Falował jak żywa istota, czekająca na kolejną ofiarę.

Nie miała wyboru. Była niebezpiecznie wyczerpana i odwodniona. Skóra piekła ją od nadmiaru słońca i ukąszeń owadów. Z jednej strony miała wrażenie, że cała płonie. Z drugiej, wstrząsały nią dreszcze, co i rusz dostawała gęsiej skórki.

Umiera i tyle. Czy człowiek nie składa się w osiemdziesięciu procentach z wody? Jest jak wysychający staw.

Skulona na gorącej skale, pomyślała o matce. Może powinna powiedzieć jej, że jest w ciąży? Pewnie, mama wkurzyłaby się, ale tylko dlatego, że dobrze wiedziała, jak trudne jest życie młodej samotnej matki. Kiedy minąłby szok, pomogłaby Tinie, udzieliłaby jej wsparcia.

To by dopiero było coś. Dać początek nowemu życiu, zobaczyć pomarszczoną, wykrzywioną twarz dzidziusia i małe machające rączki. Wyobrażała sobie siebie i mamę, płaczące razem w sali porodowej, wyczerpane i dumne. Już widziała, jak kupują śliczne dziecięce ubranka i wstają w środku nocy, by nakarmić dziecko. Może urodziłaby córeczkę, następne niezłe ziółko, które kontynuować będzie tradycje rodzinne. Ród Krahnów zapanuje nad światem. Minnesota niech lepiej ma się na baczności.

Tak bardzo starałaby się być dobrą matką. Może by jej się nie udało, ale na pewno by próbowała.

Tina spojrzała na niebo. Przez szparki w zapuchniętych powiekach widziała niebieskie sklepienie swojego więzienia. Robiło się chyba ciemniej, słońce wreszcie zniknęło z pola widzenia, zabierając ze sobą oślepiający blask. Dziwne, wcale nie było chłodniej. Wilgotne powietrze nadal spowijało ją jak mokry duszący koc, tak uciążliwy jak rój komarów i much krążący wokół jej twarzy.

Znów opadła jej głowa. Spojrzała na swoją dłoń, oddaloną o centymetry od twarzy. Była cała pokrwawiona od rozdrapanych ukąszeń komarów. W jej oczach mucha wsunęła się w otwartą ranę i złożyła w niej małe białe jajeczka.

Zaraz zwymiotuje. Nie, nie może tego zrobić. Byłaby to niepotrzebna strata wody, której i tak miała mało. Tak czy inaczej, zaraz zwymiotuje. Jeszcze żyje, a już lęgną się w niej robaki. Jak długo ma to znosić. Biedne dziecko. Biedna mama.

I wtedy znów odezwał się spokojny, praktyczny, wewnętrzny głos: „Wiesz co, młoda? Lepiej weź się w garść. Bo albo zaraz coś zrobisz, albo naprawdę czeka cię wieczny odpoczynek”.

Wzrok Tiny powędrował do sączącego się czarnego mułu.

„Zrób to, Tino. Bądź twarda. Pokaż temu szczurowi, co potrafisz. Ani mi się waż poddawać się bez walki”.

Usiadła. Świat zawirował jej przed oczami, zółć podeszła do gardła. Odkasznęła i powstrzymała mdłości. Podciągnęła się powoli do skraju skały i spojrzała na muł. Wygląda jak budyń. Pachnie jak...

Żadnego rzygania!

– No dobra – szepnęła Tina z determinacją. – Dam radę. No, to jazda!

Wsunęła prawą nogę w muł. Coś prześliznęło się po jej kostce. Przygryzła dolną wargę, by powstrzymać się od krzyku i zmusiła się, by wsadzić nogę głębiej. Czowała się, jakby wchodziła do zgniłych flaków. Muł był ciepły, oślizły, lekko zestalony...

Żadnego rzygania!

Włożyła lewą nogę do mazi, zobaczyła wyraźny kształt uciekającego czarnego węża i tym razem krzyknęła, długo, przeciągle, ochryple i bezradnie. Bała się, czowała się okropnie i, o Boże, dlaczego ten człowiek jej to zrobił? Nikogo nie skrzywdziła. Nie zasługiwała na to, by wrzucić ją do jamy, w której piekła się żywcem, podczas gdy muchy składały błyszczące białe jajeczka w jej głębokich ranach.

Żałowała, że uprawiała seks i że lepiej się nie zabezpieczyła, i że spała sobie młodość, ale na pewno nie zasłużyła na takie męczarnie. Ona i jej dziecko chyba powinni dostać szansę na lepsze życie.

Komary krążyły wokół niej. Odpędzała je bez przerwy, stojąc po łydki w mule i krztusząc się. Zapach, dotyk. Zapach, dotyk.

Zanurz się, Tino. To tak, jakbyś wskakiwała do zimnego basenu. Zaciśnij zęby i wskocz w tę maź. To jedyne wyjście.

I wtedy...

Gdzieś w oddali. Jakiś dźwięk. Po chwili usłyszała go znowu. Kroki? Nie, nie. Głosy. Ktoś był w pobliżu.

Tina podniosła głowę ku wylotowi jamy.

– Hej – próbowała krzyknąć. – Hej hej.

Z jej wyschniętego gardła wydobył się tylko skrzek. Głosy cichły. Byli tu jacyś ludzie, ale się od niej oddalali, to pewne.

Tina złapała opróżnioną do połowy butelkę. Piła łapczywie, wielkimi łykami, nadzieja na ratunek była silniejsza od przezorności. Potem, ze świeżo zwilżonym gardłem, odchyliła głowę i krzyknęła na cały głos:

– Hej hej! Jestem tu, na dole! Halo! Proszę, pomóżcie...

Kimberly biegła. Palily ją płuca, dostała kolki. Mimo to pędziła śliskim zboczem w dół, przedzierając się przez gęste krzaki, przeskakując gnijące pnie, omijając głazy. Słyszała ciężkie dyszenie Maca, który biegł obok niej.

Narzucili sobie zabójcze tempo. Mogli skrócić kostki, spaść ze skały, zderzyć się z drzewem, nie wspominając o wielu innych, większych zagrożeniach.

Ale słońce szybko zachodziło i światło dzienne przeciekało im przez palce, a na jego miejsce nadciągał płomienny zmierzch, barwiący niebo na krwistoczerwony kolor. A ścieżka,

jeszcze piętnaście minut temu tak wyraźnie widoczna, ginęła w cieniu, rozmywała się w ich oczach.

Mac wyrwał się naprzód. Kimberly spuściła głowę i zmusiła się do szybszego biegu.

Nagle wypadli z gęstego lasu na dużą polanę. Na miejscu ciernistych krzewów i ciasno skupionych drzew pojawiła się sięgająca kolan trawa. Teren stał się płaski, wreszcie można było pewniej stawiać nogi.

Kimberly nie zwolniła kroku. Wciąż pędziła, ile sił, wypatrując ścieżki w gasnącym świetle, kiedy zauważyła dwie rzeczy: po lewej stronie wznosił się stos usypany z setek głazów, a na nim, na wysokości pięciu metrów, leżało coś czerwonego. Spódniczka, pomyślała. I... ludzkie ciało. To ta dziewczyna!

Znaleźli ją!

Kimberly rzuciła się w stronę głazów. Mac próbował ją powstrzymać, ale jego głos zdawał się dochodzić z bardzo daleka. Złapał ją za nadgarstek. Wyrwała mu się.

– To ona! – odrzyknęła triumfalnie i wskoczyła na stos. – Hej, ty! Hej hej hej!

Za jej plecami rozległy się trzy gwizdnięcia. Wezwanie pomocy. Nie miała pojęcia, po co. Przecież ją znaleźli. Wszystko dobrze się skończyło. Postąpiła słusznie, opuszczając akademię. Wreszcie coś jej się udało.

I wtedy zobaczyła dziewczynę wyraźnie i radość prysnęła jak bańka mydlana. Kimberly znieruchomiała.

To, co wzięła za czerwoną bawełnianą spódniczkę, okazało się białymi szortami, poplamionymi zakrzepłą krwią. Dziewczyna nie położyła się, by odpocząć. Jej ciało było posiniaczone i opuchnięte, a twarz potwornie zniekształcona. I nagle, w oczach Kimberly, trup poruszył ręką, a przynajmniej takie miała wrażenie w gęstniejącym mroku.

I wtedy usłyszała ten dźwięk. Narastające dudnienie. Silne wibracje wywołane przez dziesiątki grzechotników.

– Kimberly – powiedział cicho Mac, stojący za nią na ziemi. – Na miłość boską, proszę, nie ruszaj się.

Kimberly nie mogła nawet skinąć głową. Zastygła w bezruchu, a wokół niej z cienia skał wyłoniły się kształty węży.

– Ona nie żyje – powiedziała w końcu Kimberly. Jej głos był chrapliwy i słaby, jak u człowieka, który jest w szoku. Mac podszedł bliżej głazów. Po trzech krokach znów usłyszał głośny grzechot i stanął jak wryty.

Dźwięk zdawał się dochodzić ze wszystkich stron. Dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści węży. Wydawało się, że są wszędzie. Słodki Jezu, pomyślał Mac i powoli sięgnął po broń.

– Musiała być zmęczona i oszołomiona – stwierdziła Kimberly. – Zobaczyła głazy. Weszła na nie, żeby rozejrzeć się po okolicy.

– Wiem.

– Mój Boże, chyba nie ma miejsca, w które by jej nie ukąsiły. Nigdy... nigdy jeszcze nie widziałam czegoś takiego.

– Kimberly, mam w ręku pistolet. Jeśli tylko coś się ruszy, będę strzelał. W razie czego nie odskakuj.

– Nic z tego nie będzie, Mac. Jest ich za dużo.

– Zamknij się, Kimberly – warknął.

Odwróciła się do niego i nawet uśmiechnęła.

– No i kto teraz jest poważny?

– Węże lubią nas nie bardziej niż my je. Jeśli zachowasz spokój i będziesz stała nieruchomo, większość wróci pod skały. Wezwałem pomoc, niedługo ktoś się zjawi.

– Kiedyś byłam bliska śmierci. Mówiłam ci o tym? Przez człowieka, którego myślałam, że dobrze znam. Okazało się, że posłużył się mną, by dopaść mojego ojca. Dorwał mnie i Rainie w pokoju hotelowym. Przystawił mi pistolet do głowy. Rainie nic nie mogła zrobić. Do tej pory pamiętam dotyk lufy. Była ciepła, nie zimna. Jak żywa istota. To dziwne uczucie być tak bezbronnym. Wiedzieć, że człowiek, który trzyma cię w ramionach, zaraz cię zabije.

– Ale ty żyjesz, Kimberly.

– Tak, ojciec go zaskoczył. Strzelił mu w pierś. Pół minuty później karta się odwróciła i to ja wciąż żyłam, miałam krew tego człowieka na włosach. A ojciec mówił mi, że wszystko będzie w porządku. To miło z jego strony, że mnie okłamał.

Mac nie wiedział, co powiedzieć. Światło szybko gasło, stos głazów zmieniał się w inny świat, tonący w gęstych ciemnościach.

– Nie miała szans. – Kimberly spojrzała na ciało kobiety. – Zobacz, była w szortach i jedwabnej bluzce. Strój w sam raz do zabawy w knajpie, a nie do walki o przetrwanie w dziczy. To gorzej niż okrutne.

– Znajdziemy go.

– Jak zginie następna dziewczyna.

Mac zamknął oczy.

– Kimberly, świat nie jest tak zły, jak ci się wydaje.

– Oczywiście, że nie. Jest jeszcze gorszy.

Przełknął ślinę. Czuł, że traci Kimberly. Była coraz bardziej zrezygnowana; raz już uciekła przed śmiercią i nie liczyła na to, że znów dopisze jej szczęście. Chciał wrzasnąć na nią, żeby wzięła się w garść. Ale chciał też wziąć ją w ramiona i obiecać, że wszystko będzie dobrze.

Miała rację, kiedy mężczyźni próbują chronić osoby im najbliższe, zawsze uciekają się do kłamstw.

– Widzisz węże? – spytał po chwili.

– Jest za ciemno. Zlewają się z głazami.

– Nie słyszę ich.

– Siedzą cicho. Może są zmęczone. Miały dziś dużo pracy.

Mac przysunął się do rumowiska. Nie był pewien, jak blisko może podejść. Na razie nie słyszał syku. Podkraślił się na odległość półtora metra, po czym wyjął latarkę i oświetlił nią stos głazów. Trudno było cokolwiek stwierdzić. Niektóre kamienie wydawały się wolne od węży.

Na innych widać było wyrzuszenia, które mogły okazać się grzechotnikami.

– Dałabyś radę tu doskoczyć? – spytał.

Była co najmniej sześć metrów od niego, odwrócona pod dużym kątem. Może gdyby szybko przeskakiwała z kamienia na kamień...

– Jestem zmęczona – szepnęła Kimberly.

– Wiem, skarbie, ja też. Ale musimy cię stamtąd ściągnąć. Przywiązałem się do twojego promiennego uśmiechu i łagodnego usposobienia. Chyba tym razem mnie nie zawiedziesz?

Nie odpowiedziała.

– Kimberly – powiedział ostrzejszym tonem. – Słuchaj mnie. Jesteś silna, jesteś bystra. A teraz skoncentruj się na szukaniu wyjścia z tej sytuacji.

Utkwiła wzrok gdzieś w oddali. Jej ramiona zdrząły. Nie wiedział, o czym myśli, ale w końcu spojrzała na niego.

– Ogień – powiedziała cicho.

– Ogień?

– Wężę boją się ognia, nie? A może oglądałam za dużo filmów z Indianą Jonesem? Gdybym miała pochodnię, może dałoby się je przepłoszyć.

Mac nie zwlekał ani sekundy. Niewiele wiedział o wężach, ale jej pomysł wydawał się rozsądny. Dobry Boże, wszystko jest lepsze od tej cholernej bezradności. W świetle latarki znalazł solidny konar.

– Gotowa?

– Tak.

Rzucił gałąź do góry. Wpadła jej w dłonie z głuchym odgłosem. Wstrzymali oddech. Gdzieś po prawej stronie rozległ się cichy grzechot.

– Nie ruszaj się – ostrzegł ją Mac.

Kimberly posłusznie znieruchomiła i po kilku długich minutach dźwięk ucichł.

– Resztę musisz wyjąć z plecaka – poinstruował ją. – Jeśli masz zapasowe wełniane skarpety, weź jedną i owiń nią koniec gałęzi. W kieszeni na przedzie znajdziesz mały pojemnik na film. Ja go tam włożyłem. W środku są trzy waciki nasączone wazeliną. Doskonale nadają się na rozpałkę. Wsuń je do skarpety i podpal.

Poświecił latarką, a ona wzięła się do roboty. Jej ruchy były powolne i ostrożne, starała się nie zwracać na siebie uwagi węży.

– Nie mogę znaleźć skarpet! – krzyknęła. – Może być Tshirt?

– Tak.

Musi odłożyć plecak. Mac na chwilę oświetlił skały wokół niej. Węży ani śladu. Ostrożnie opuściła plecak. Natychmiast rozległ się syk; wężę wyczuły, że coś się dzieje, i to im się nie spodobało. Znieruchomiła, wyprostowała się i Mac zauważył krople potu na jej czole.

– Już prawie ci się udało – powiedział.

– Pewnie. – Gałąź o mało nie wysunęła się z jej drżących rąk i w ciemnościach znów rozbrzmiał głośny grzechot. Zacisnęła oczy. Mac patrzył, jak walczy ze swoją słabością, i był ciekaw, czy z tamtego zdarzenia w pokoju hotelowym zapamiętała coś jeszcze – to, że kiedy ten człowiek przystawił jej pistolet do głowy, jej pierwszą myślą było, że nie chce umrzeć.

– No, Kimberly, zachęcał ją w duchu. Wróć do mnie.

Obwiązała Tshirtem koniec kija. Wcisnęła waciki do środka. Znalazła zapalki. Drżącą ręką wyciągnęła pierwszą. Potarła nią o draskę i zapalka rozbłysła. Kimberly przytknęła ją do wacików i ciemności rozświetliła pochodnia.

W jej blasku pojawiły się niejeden, ale cztery zwinięte grzechotniki.

– Mac – powiedziała wyraźnie. – Przygotuj się, żeby mnie złapać.

Szybkim ruchem wysunęła pochodnię do przodu. Węże zasyczały i cofnęły się, a Kimberly skoczyła z pierwszego głazu na drugi, a potem z drugiego na trzeci i z trzeciego na czwarty. Ze szczelin dobywał się cichy grzechot, a oślizłe kształty zsuwały się z rumowiska, uciekając od ognia. Kamienie żyły, syczały, pełzały, grzechotały. Kimberly przedzierała się przez ten wijący się chaos.

– Mac! – krzyknęła i skoczyła prosto w jego ramiona.

– Mam cię. – Złapał ją i wyjął pochodnię z jej drżącej dłoni.

Przez chwilę stała bez ruchu, blada i oszołomiona. Potem osunęła się na jego pierś, a on przytulił ją, z większą ulgą i wzruszeniem, niżby wypadało.

– Mandy – szepnęła Kimberly. I rozplakała się.

Rozdział 28

Park Narodowy Shenandoah, Wirginia

23.51

Temperatura: 33 stopnie

W krotce zjawili się profesjonaliści, którzy zabezpieczyli okolicę. Przyniesiono latarnie i reflektory. Ochotnicy z kijami zajęli się odganianiem węży, a ludzie w ciężkich butach i grubych spodniach wdrapali się na stos głazów i znieśli ciało na noszach.

Kathy Levine przysłuchiwała się, jak Mac zgłaszał swoje znalezisko władzom. Jako park narodowy, Shenandoah był pod jurysdykcją FBI, a zatem Watson dostanie swoje upragnione śledztwo, a Mac i Kimberly znów zostaną zdegradowani do roli obserwatorów.

Kimberly miała to gdzieś. Siedziała samotnie na chodniku przed Big Meadows Lodge i patrzyła na gromadzące się na parkingu samochody. Karetki, które nie miały kogo ratować. Wozy strażackie, które nie ugaszą żadnego pożaru. I furgonetka lekarza sądowego, jedynego specjalisty, który tego wieczoru będzie miał zajęcie.

Było gorąco. Po twarzy Kimberly spływały krople potu. A może łzy? Trudno powiedzieć. Jeszcze nigdy nie czuła się tak pusta. Jakby wszystko, czym była, nagle zniknęło, przepadło jak kamień w wodę. Gdyby nie miała kości, nic by nie ważyła. Gdyby nie miała skóry, straciłaby ludzką postać. Wiatr zdmuchnąłby ją jak kupkę popiołu i może tak byłoby najlepiej.

Samochody przyjeżdżały i odjeżdżały. Półżywi ze zmęczenia ochotnicy od razu po powrocie kierowali się do prowizorycznej kantyny, gdzie łączywie pili lodowatą wodę, po czym zatapiaли zęby w soczystych pomarańczach. Sanitariusze opatrywali drobne skaleczenia i zwichnięcia. Większość po prostu padała na metalowe składane krzesła; byli wyczerpani fizycznie ciężką wędrówką i psychicznie akcją, która skończyła się gorzkim rozczarowaniem.

Jutro wszystko to zniknie. Ochotnicy rozejdą się i wrócą do normalnego życia, pełnego banalnych rytuałów i rutynowych trosk, do swoich rodzin, kółek turystycznych, oddziałów straży pożarnej.

A Kimberly? Czy wróci do akademii? Będzie strzelała do tarczy i udawała, że dzięki temu jest twarda. Albo bawiła się w przebieranki na Hogan's Alley, uchylała przed pociskami z farbą i rywalizowała z przepłacanymi aktorami? Mogłaby zdać końcowe egzaminy, zostać pełnoprawną agentką i przez resztę życia udawać, że kariera nadaje sens jej życiu. Czemu nie? Jej ojcu się to udało.

Miała ochotę położyć głowę na twardym chodniku, wtopić się w cement i więcej nie oglądać świata. Marzyła, by cofnąć się w czasie do momentu, kiedy nie wiedziała tak wiele o śmierci ani o tym, co kilkanaście grzechotników może zrobić z ludzkim ciałem.

Powiedziała Macowi prawdę. Była zmęczona. Sześć lat nieprzespanych ciężkich nocy. Chciała zamknąć oczy i nigdy ich nie otworzyć. Chciała zniknąć.

Usłyszała zbliżające się kroki. Między nią a reflektorami ambulansu na ziemię padł cień.

Podniosła głowę i zobaczyła ojca w nienagannie skrojonym garniturze, idącego przez tonący w kłębach pary parking. Jego szczupła twarz była zacięta, a oczy nieprzeniknione. Szedł ku niej długimi krokami, twardy groźny człowiek, który przybył po swoje.

Nie miała sił, by się tym przejmować.

– Nic mi nie jest – zaczęła.

– Zamknij się – powiedział Quincy szorstko. Złapał ją za ramię, podniósł z chodnika i mocno objął. Wtulił policzek w jej włosy. – Mój Boże, tak się o ciebie bałem. Kiedy zadzwonił Mac... Kimberly, ty mnie wpędzisz do grobu.

A wtedy ona wybuchnęła płaczem.

– Nie zdążyliśmy. Byłam pewna, że tym razem się uda. Ale byliśmy za wolni, a ona już nie żyła. O Boże, tatusiu, jak to jest, że zawsze przychodzę za późno?

– Ciii...

Odchyliła się lekko, by spojrzeć na jego zrytą zmarszczkami twarz. W dzieciństwie wydawał jej się chłodny, odległy. Szanowała i podziwiała go. Starła się zasłużyć na jego pochwały. Ale on pozostawał poza jej zasięgiem, jak superbohater, który zawsze wybiegał z domu, by pomóc innym rodzinom i rzadko znajdował czas dla swojej. Teraz nagle stało się dla niej ogromnie ważne, by ją zrozumiał.

– Gdybym tylko szła szybciej. Nie mam doświadczenia w chodzeniu i po górach. Jak to możliwe, że spędziłam dzieciństwo w tych okolicach i nic nie wiem o lasach? Ciągle się potykałam i przewracałam, tato, a potem wlałam w pokrzywy i, Boże, dlaczego nie mogłam iść szybciej?

– Rozumiem cię, kochanie, rozumiem. – Poglądził ją kciukiem po policzku, ocierając zabłąkane łzy.

– Mac miał rację. Chciałam uratować Mandy i mamę, a że im nie mogę już pomóc, myślałam, że ocalenie tej dziewczyny coś zmieni. Ale one nie żyją i ona też, i Boże, po co to wszystko?

– Kimberly, w tym, co spotkało twoją matkę i Mandy, nie było twojej winy...

Oderwała się od niego. Zaczęła krzyczeć, jej głos niósł się po parkingu, ale miała to gdzieś.

– Przestań tak mówić! Zawsze to powtarzasz! Oczywiście, że to była moja wina. To ja mu zaufałam. To ja powiedziałam mu wszystko o mojej rodzinie. Beze mnie nie wiedziałby, jak do nich dotrzeć. Beze mnie nie mógłby ich zabić! Dlatego przestań mnie okłamywać, tato. To, co spotkało mamę i Mandy, stało się z mojej winy. Pozwoliłam ci, żebyś wziął to na siebie, bo wiem, że jest ci z tym lżej!

– Przestań! – Quincy ujął jej twarz w obie ręce, tak, żeby nie mogła się od niego odwrócić. – Miałas tylko dwadzieścia lat. Byłaś młodą dziewczyną. Nie możesz brać na swoje barki takiego ciężaru.

– Dlaczego? Ty to robisz.

– No to oboje jesteśmy idiotami. I tyle. To, co spotkało twoją mamę i Mandy... Oddałbym za nie życie, Kimberly. Gdybym wiedział, gdybym mógł zapobiec temu, co się stało, oddałbym za nie życie. – Jego oddech stał się chrapliwy. Ku jej zaskoczeniu, w jego oczach

rozbłyśły łzy.

– Ja też – wyszeptała.

– No to zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy. To on był wrogiem, Kimberly. To on odebrał im życie. I niech Bóg ma nas w swojej opiece, ale czasem wróg po prostu jest za dobry.

– Chcę, żeby wróciły.

– Wiem.

– Ciągle za nimi tęsknię. Nawet za Mandy.

– Wiem.

– Tato, nie wiem, dlaczego jeszcze żyję...

– Bo Bóg się nade mną zlitował, Kimberly. Bo bez ciebie chyba bym oszalał.

Przytulił ją mocno. Szlochała mu w pierś coraz gwałtowniej. I czuła, że on także płacze, jego łzy kapały na jej włosy. Dotąd nie płakał nawet na pogrzebach, zawsze zachowywał stoicki spokój.

– Tak bardzo chciałam ją uratować – szepnęła Kimberly.

– Wiem. To dobrze, że przejmujesz się losem innych. Pewnego dnia to będzie twoim atutem.

– Ale to boli. I nic mi już nie zostało. Gra skończona, wygrał nie ten, co trzeba, a ja nie umiem ot tak, wrócić do domu i czekać na następną partię. To kwestia życia i śmierci. Nie powinno się tego tak lekko traktować.

– To jeszcze nie koniec, Kimberly.

– Jak to nie? Nie znaleźliśmy drugiej dziewczyny. Teraz możemy tylko czekać.

– Nie. Nie tym razem. – Ojciec odetchnął głęboko, po czym delikatnie odsunął się od niej. Patrzył na nią przez mrok, a jego twarz była rozdzierająco smutna. – Kimberly – powiedział cicho. – Tak mi przykro, kochanie, ale tym razem nie zaginęły tylko dwie dziewczyny. Tym razem było ich cztery.

Rainie zdyszana, dotarła do miejsca zbrodni. Drogę wskazywały latarnie, więc szło się w miarę wygodnie, ale Jezu, to było strasznie daleko. A tak w ogóle, to choć minęła już północ i księżyc niepodzielnie panował na niebie, najwyraźniej nikt nie poinformował o tym upału. Jej Tshirt i szorty były przepocone, co oznaczało, że tego dnia zużyła już trzy zmiany ciuchów.

Nie cierpiała takiej pogody. Nie cierpiała tego miejsca. Chciała wrócić do domu. I nie miała na myśli mieszkania, które dzieliła z Quincym w centrum Manhattanu, tylko dom w Bakersville w stanie Oregon. Rosły tam olbrzymie jodły, a znad oceanu wiała orzeźwiająca bryza. Wszyscy znali wszystkich i nawet jeśli przez to trudno było uciec od przeszłości, to przynajmniej dawało to oparcie w teraźniejszości. Bakersville, jej miasto, jej społeczność, miejsce, gdzie czuła się jak w domu...

Tęsknota ścisnęła jej serce. Ostatnio często jej się to zdarzało. Ból wywołany wspomnieniami, budzący w niej coraz trudniejszy do ukrycia niepokój. Quincy go wyczuwał. Czasami patrzył na nią pytająco. Bardzo chciała dać mu odpowiedź, ale jak mogła, skoro sama jej nie znała?

Czasami pragnęła czegoś, czego sama nie potrafiła nazwać. A kiedy myślała o tym, jak

bardzo kocha Quincy'ego, ból stawał się jeszcze silniejszy.

Zobaczyła Maca stojącego przy zwłokach z trójką ludzi. Pierwszy wyglądał na lekarza sądowego, drugi – na jego asystenta. Trzecią osobą była piegowata kobieta o krótkich rudych włosach, zbudowana jak petarda, o muskularnych nogach i szerokich barach alpinisty. Nie była z biura lekarza sądowego. Pewnie kierowała akcją ratunkową.

Pół minuty później Mac przedstawił ich sobie i Rainie z zadowoleniem stwierdziła, że przecucie jej nie zawiodło. Lekarz sądowy nazywał się Howard Weiss, jego asystent – Dan Lansing, a rudowłosą kobietą była Kathy Levine, botaniczka z parku, i rzeczywiście to ona zorganizowała poszukiwania.

Levine wciąż rozmawiała z lekarzem sądowym, więc we trójkę odeszli na bok, zostawiając Maca i Rainie z częściowo zakrytym ciałem.

– Gdzie Quincy? – spytał Mac.

– Powiedział, że musi porozmawiać z Kimberly jak ojciec z córką. Kiedy zobaczyłam jego minę, postanowiłam nie protestować.

– Często się kłóć?

– Często. Ale to dlatego, że są tak bardzo do siebie podobni. – Wzruszyła ramionami. – Kiedyś to zrozumieją.

– A co z Kapłanem i Watsonem? Dołączą do nas, czy nie wolno im opuszczać bazy?

– Jeszcze nie wiadomo. Watson pracuje na cały etat w akademii, więc choć FBI na pewno powoła grupę śledczą, on raczej do niej nie trafi. Za to Kapłan prowadzi śledztwo w sprawie zabójstwa w Quantico, więc czasu ma dużo, tyle że brakuje mu uprawnień. Ale jest zaradny, więc myślę, że za godzinę, dwie rozgryzie ten problem i zjawi się tu ze swoim orszakiem z NCIS. Nic, tylko się cieszyć, co?

Zajrzała do czarnego plastikowego worka, którego zawartość oświetlał jeden z reflektorów.

– O w mordę.

– Dwadzieścia kilka ukąszeń – powiedział Mac. – A jeszcze nie skończyliśmy liczyć. Biedactwo, musiała wejść prosto w kłębówisko węży. Nie miała szans.

– A torebka? Butelka z wodą?

– Na razie nie znaleźliśmy. Tyle że nie wiemy, gdzie ją porzucono. Za dnia poszukamy jej śladów i po nich wrócimy do punktu wyjścia. Pewnie po drodze znajdziemy jej rzeczy.

– Dziwne, że wyrzuciła wodę.

Wzruszył ramionami.

– W tym upale cztery litry wystarczą na dwie do czterech godzin. Ona jest tu od co najmniej dwudziestu czterech, więc...

– Nawet gdy ten facet robi coś dobrego, to tylko z czystej złośliwości. – Rainie wyprostowała się. – No, to jak, chcesz najpierw dobre czy złe wiadomości?

Mac milczał. Na jego czole pojawiły się świeże zmarszczki, twarz była zacięta. Miał za sobą ciężki dzień i było to po nim widać. Mimo to nawet nie mrugnął okiem.

– Jeśli to ci nie robi różnicy, wolałbym zacząć od tych dobrych.

– Prawdopodobnie znamy jej nazwisko. – Rainie wyjęła z saszetki notes i zaczęła

przerzucać kartki. Jeszcze raz zerknęła na zwłoki. – Brunetka, wiek dwadzieścia lat, brązowe oczy, charakterystyczne znamię na lewej piersi. – Pochyliła się i znieruchomiała, po czym spojrzała znacząco na Maca, ale on już wcześniej taktownie odwrócił się do niej plecami. Godne pochwały. Niektórzy obchodzili się z ciałami jak z lalkami. Rainie nigdy się to nie podobało. To dziewczyna. Miała rodzinę, swój świat, ludzi, którzy bardzo ją kochali. Nie należy poniewierać nią bardziej, niż to konieczne.

Delikatnie uniosła jej bluzkę. Musiała przesunąć głowę, by nie zasłaniała światła. Wtedy wyraźnie zobaczyła wystające spod czarnego atlasowego stanika ciemnobrązowe znamię w kształcie koniczyny.

– Tak – powiedziała Rainie cicho. – To Vivienne Benson, studentka Mary Washington College w Fredericksburgu. W czasie wakacji pracowała u wujka. Kiedy wczoraj nie zjawiała się w pracy, zadzwonił do jej gospodyni. Ta w mieszkaniu Vivienne zastała tylko psa, który wył, żeby wypuścić go z kojca. Zlitowała się nad zwierzakiem, a potem zadzwoniła na policję. Twierdzi, że Vivienne i jej współlokatorka, Karen Ciarence, nie miały zwyczaju znikać na całe noce. Głównie z powodu psa, którego obie kochają do szaleństwa.

– Karen jest blondynką?

– Nie, brunetką.

Mac zmarszczył brwi.

– Kobieta, którą znaleźliśmy w Quantico, miała jasne włosy.

– Tak.

– To nie Karen Ciarence?

– Nie. Betsy Radison. Kilka godzin temu zwłoki zidentyfikował jej brat.

– Rainie, skarbie, jestem trochę zmęczony. Mogłabyś zlitować się nad padającym z nóg agentem GBI i opowiedzieć mi wszystko od początku, tak, żebym cokolwiek zrozumiał?

– Z rozkoszą. Gospodyni okazała się prawdziwą skarbnicą informacji. Dwa dni temu, kiedy wieczorem siedziała przed domem, Vivienne i Karen zeszły na dół. Po jakimś czasie przyjechały po nie dwie koleżanki z college'u. Podobno wybierały się do baru w Stafford. Wszystkie cztery.

– Cztery?

– Z Betsy Radison i Tiną Krahn, również mieszkającymi we Fredericksburgu, słuchaczkami kursów wakacyjnych. Wyjechały we wtorek wieczorem saabem Betsy i tyle je widziano. Dziś policja z Fredericksburga przeszukała mieszkanie Betsy i Tiny. Znaleźli tylko kilkanaście wiadomości od matki Tiny Krahn na automatycznej sekretarce. Najwyraźniej nie spodobała jej się ostatnia rozmowa z córką. Od tamtej pory usilnie stara się z nią skontaktować.

– Muszę usiąść – sapnął Mac. Odszedł od ciała Vivienne Benson i zwałił się ciężko na stojący w pobliżu pniak, jakby nagle stracił władzę w nogach. Przeczesał dłonią wilgotne włosy raz, potem drugi. – Złapał cztery dziewczyny naraz – powiedział wreszcie, powoli cedząc słowa, jakby oswajał się z tą potworną myślą. – W Quantico porzucił Betsy Radison, Vivienne Benson tutaj. Zostają nam Karen Ciarence i Tina Krahn, które mógł zabrać... Cholera... Liść brzozy. A myślałem, że jak na niego to za łatwe. Miałem rację. To nie był

koniec, tylko dziwny początek.

– Jak mówił Quincy, seryjni zabójcy z czasem stają się coraz brutalniejsi.

– Znaleźliście list do redakcji? – spytał ostro.

– Nie list. Ogłoszenie w „Quantico Sentry”.

– Piśmie marines? – Mac zmarszczył brwi. – Tym, które można kupić na terenie bazy?

– Tak. Mamy oryginał, ale niewiele nam to dało. Quincy zostawił go doktorowi Ennunzio.

– Udało wam się spotkać z tym lingwistą? Cholera, widzę, że nie próżnowaliście.

– Robimy, co możemy – powiedziała Rainie skromnie. – Ty też niedługo znów się z nim spotkasz. Quincy poprosił o włączenie Ennunzia do śledztwa. Mają teorię, że twój rozmówca to nie jakiś anonimowy informator, tylko morderca we własnej osobie. Nie jesteśmy tylko pewni, dlaczego.

– Nie przechwała się. Gdyby to był Ekomorderca, chyba sobie przypisałby te morderstwa?

– Może tak, może nie. Jedna teoria jest taka, że ma wyrzuty sumienia, więc okrężną drogą próbuje doprowadzić do tego, żebyś go złapał. Możliwe też, że jest psychicznie chory i dlatego za każdym razem wysyła tę samą wiadomość. A poza tym, teraz ty też uczestniczysz w jego grze i dlatego zwabił cię na odludzie, jak te dziewczyny. Spójrz na to ciało, Mac. Jesteś w stu procentach pewien, że nie mógłbyś znaleźć się na jej miejscu?

– Nie ja – zniżył głos. – Kimberly. Niewiele brakowało.

Rysy Rainie złagodniały.

– A wtedy też wygrałby, zgadza się, Mac? Tak czy inaczej, byłby górą.

– Sukinsyn.

– No.

– Za stary na to jestem, Rainie – powiedział. I wtedy, jak na zawołanie, zadzwoniła jego komórka.

Rozdział 29

Park Narodowy Shenandoah, Wirginia

1.22

Temperatura: 32 stopnie

Agent specjalny McCormack.

– Żar zabija.

– Zamknij mordę. Naprawdę myślisz, że to jakaś gra? Twoja ostatnia ofiara zginęła od dwudziestu kilku ukąszeń grzechotników. Co, od razu ci się humor poprawił? Podnieca cię rzucanie dziewczyn na pastwę węży? Jesteś chory, sukinsynu, i nie chcę więcej z tobą rozmawiać!

Mac się rozłączył. Był wściekły, jak jeszcze nigdy dotąd. Serce mu waliło, słyszał szum swojej krwi. Chciał zrobić coś więcej niż tylko wrzeszczeć do komórki. Chciał znaleźć tego człowieka i stłuc go na krwawą miazgę.

Rainie patrzyła na niego z lekkim niepokojem.

– Choć muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem, to czy aby na pewno to był dobry pomysł?

– Moment. – Telefon znów zadzwonił. Spojrzał na nią znacząco. – Kontaktuje się z policją po to, żeby pokazać, że panuje nad sytuacją, zgadza się? Nie dopuści, żebym to ja był górą. Co nie znaczy, że zamierzam ułatwić mu zadanie.

– Co znowu? – rzucił do telefonu. Tej nocy nie zamierzał udawać dobrego policjanta.

– Ja tylko próbuję pomóc – powiedział zniekształcony głos z irytacją.

– Jesteś kłamcą i mordercą. Dlatego daj mi spokój, kutasie, szkoda mi dla ciebie czasu. I wiesz co? Wszyscy tu uważamy, że co noc szczasz w łózko.

– Nie jestem mordercą!

– Widziałem dwa ciała, które świadczą o czymś innym.

– Znów zaatakował? Myślałem... myślałem, że będziecie mieli więcej czasu.

– Koleś, przestań wciskać mi kit. Wiem, że ty to zrobiłeś. Chcesz się pochwalić? O to ci chodzi? Uśpiłeś dwie młode dziewczyny, a potem je zabiłeś. Tak, jesteś największym twardzielem w okolicy.

Rainie wytrzeszczyła na niego oczy i energicznie pokręciła głową. Oczywiście miała rację. Jeśli ten człowiek rzeczywiście chciał poczuć się pewniej, lepiej go nie podpuszczać.

– Nie jestem mordercą! – zaprotestował głos piskliwie, a po chwili zabrzmiała w nim złość. – Próbuję pomóc. Albo mnie posłuchasz, albo dalej będziesz grał sam.

– Kim jesteś?

– On coraz bardziej się wścieka.

– Co ty powiesz. Skąd dzwonicz?

– Zaatakuj znowu. Wkrótce. Może już to zrobił.

Mac zaryzykował.

– Wiemy. Tym razem porwał cztery, nie dwie dziewczyny. No i co w związku z tym?

Nastąpiła przerwa, jakby jego rozmówca był autentycznie zaskoczony.

– Nie zdawałem sobie sprawy... nie sądziłem, że...

– Dlaczego przeniósł się do Wirginii?

– Tu spędził dzieciństwo.

– Jest z Wirginii? – Mac podniósł głos.

Wymienili z Rainie zaniepokojone spojrzenia.

– Mieszkał tu przez szesnaście lat.

– Kiedy przeniósł się do Georgii?

– Nie wiem. Minęło wiele... lat. Jedno musisz zrozumieć. On chyba tak naprawdę nie chce krzywdzić swoich ofiar. Chce, by zrozumiały. Gdyby tylko zachowały spokój, rozsądek, pokazały, że mają w sobie choć trochę siły...

– Na litość boską, to tylko dzieci.

– Jak kiedyś on.

Mac pokręcił głową. Morderca jako ofiara. Nie chciał słuchać tych bzdur.

– Słuchaj no, mam dwie martwe dziewczyny, dwóm innym grozi niebezpieczeństwo. Podaj mi jego nazwisko, kolego. Skończ to. To jest w twojej mocy. Możesz zostać bohaterem. Tylko podaj mi jego cholerne nazwisko.

– Nie mogę.

– No to przyślij je pocztą!

– Czy pierwsze ciało doprowadziło cię do drugiego?

– Podaj mi jego cholerne nazwisko!

– No, to drugie ciało doprowadzi cię do trzeciego. Pospiesz się. Nie... nie jestem pewien, co on teraz zrobi.

Połączenie zostało przerwane. Mac zaklął i cisnął telefon w krzaki, płosząc buszującego tam szopa. Chciał pobiec z powrotem w góry. Zanurzyć się w lodowatym strumieniu. Wyć do księżycy. Wykrzyzczyć wszystkie przekleństwa, jakich nauczył się w dzieciństwie. Skulić się i rozplakać.

Za długo pracował nad tą sprawą, by dopuścić do tylu śmierci.

– Cholera – powiedział wreszcie. – Cholera, cholera, cholera.

– Nie podałeś ci nazwiska?

– Zarzeka się, że nie jest mordercą. Mówi, że tylko próbuje pomóc.

Rainie spojrzała na zwłoki.

– Bo mu uwierzę.

– No, właśnie. – Mac westchnął, wyprostował się i pewnym krokiem podszedł do ciała. – Wszystkie cztery dziewczyny zniknęły jednocześnie, z tego samego samochodu?

– Tak zakładamy.

– To mamy mało czasu. – Przykucnął i rozchylił czarny worek.

– Co robisz?

– Szukam wskazówek. Bo jeśli pierwsza dziewczyna doprowadziła nas do drugiej, to druga doprowadzi nas do trzeciej.

– O w mordę – mruknęła Rainie.

– Właśnie. Wiesz co? Poszukaj Kathy Levine. Będziemy potrzebowali pomocy. A, i przydałoby się wiadro kawy.

– Zmęczeni nie zaznają spokoju?

– Przynajmniej nie tej nocy.

Nora Ray znów miała sen. Była w krainie szczęścia, gdzie jej rodzice uśmiechali się, jej martwy pies tańczył, a ona unosiła się w chłodnej jedwabistej wodzie, delikatnie omywającej jej ciało. Kochała to miejsce, pragnęła jak najczęściej tu przychodzić.

Mogła słyszeć śmiech rodziców. Patrzeć w błękitne niebo, na którym nigdy nie było płonącego słońca. Czuć, jak krystalicznie czysta woda pieści ręce i nogi.

Odwróciła głowę. Drzwi się otworzyły. Bez wahania wyszła z basenu.

Mary Lynn jechała na koniu. Galopowała na Śnieżynce po wielkiej zielonej łące, wśród dzikich stokrotek, przeskakiwała nad przewróconymi kłodami; wychylona w siodle, lekko, ale pewnie trzymała lejce. Drobną, lecz proporcjonalnie zbudowaną, wyglądała jak dżokej. Koń wzbił się w niebo, a ona razem z nim. Jakby byli jednością.

Nora Ray podeszła do ogrodzenia. Na górnej poręczy siedziały dwie dziewczyny. Blondynka i brunetka.

– Wiesz, gdzie jesteśmy? – spytała blondynka.

– W moim śnie.

– To my cię znamy? – zdziwiła się brunetka.

– Chyba miałyśmy wspólnego znajomego.

– Będziemy mogły pojeździć na koniu? – spytała brunetka.

– Nie wiem.

– Dobra jest – powiedziała blondynka.

– Moja siostra umie jeździć na wszystkim – odparła Nora Ray z dumą.

– Ja też mam siostrę – powiedziała brunetka. – Będzie o mnie śniła?

– Co noc.

– To bardzo smutne.

– Wiem.

– A nie mogłabym czegoś zrobić?

– Nie żyjesz – wyjaśniła Nora Ray. – Nie możesz nic zrobić. Wychodzi na to, że wszystko zależy ode mnie.

Wtedy jej siostra zniknęła, łąka też, a wir porwał Norę Ray znad stawu, choć jeszcze nie była gotowa. Obudziła się w swoim łóżku i otworzyła szeroko oczy; jej serce biło za szybko, a dłonie ścisnęły koldrę.

Usiadła powoli. Nalała sobie wody z dzbanka stojącego na nocnym stoliku. Upiła duży łyk i chłodny płyn spłynął jej przez gardło. Czasami znów czuła sól zbierającą się na twarzy jak szron, pokrywającą podbródek i wargi. Pamiętała głębokie, niedające się ugasić pragnienie, które przenikało ją do szpiku kości, podczas gdy słońce prażyło, soli było coraz więcej, a ona odchodziła od zmysłów. Woda, wszędzie woda, i ani kropli do picia.

Dopiła resztkę wody. Delektowała się wilgocią na ustach, która była niczym rosa na płatkach róży. Wyszła z pokoju.

Matka spała na kanapie, z głową niewygodnie przechyloną na bok, a w telewizji Lucille Bali weszła do kadzi winogron i jak gdyby nigdy nic odeszła różnym krokiem. W sypialni obok Nora Ray zobaczyła ojca, drzemiącego samotnie w wielkim łóżku.

W domu panowała cisza, wzmagająca poczucie osamotnienia, od którego omal nie pękło jej serce. Minęły trzy lata, a oni jeszcze nie doszli do siebie. Nic się nie poprawiło. Wciąż pamiętała szorstkie grudki soli wysysające z jej ciała resztki wilgoci. Pamiętała też swój gniew i oszołomienie, gdy kraby kąsały jej palce u nóg, i to, jak bardzo pragnęła przetrwać ten koszmar i wrócić do rodziny. Gdyby tylko mogła zobaczyć ich raz jeszcze, paść im w ramiona...

Tyle że rodzina do niej nie wróciła. Ona przeżyła. Oni nie.

A teraz, na łące z jej snów, pojawiły się dwie nowe dziewczyny. Wiedziała, co to oznacza. Od niedzieli panowały upały i mężczyzna z jej koszmarów wznowił swoją śmiertelną grę.

Fosforyzujący zegar wskazywał, że zbliża się druga nad ranem. Nora Ray nie przejęła się tym. Podniosła słuchawkę i wykręciła numer, który znała na pamięć. Po chwili powiedziała:

– Muszę się skontaktować z agentem specjalnym McCormackiem. Nie, nie chcę zostawić wiadomości. Muszę się z nim zobaczyć. I to szybko.

Tina nie śniła o niczym. Jej wyczerpany organizm dał za wygraną i leżała w błocie, pogrążona we śnie graniczącym ze śpiączką. Jedną ręką dotykała kamienia, zapewniającego jakieś takie bezpieczeństwo. Resztę jej ciała wchłonął muł. Sączył się między jej palcami, oblepiał włosy, wlewał się do gardła.

Wokół pojawiały się coraz to nowe stworzenia. Niektórych nie interesowała tak duża zwierzyna. Inne nie miały ochoty na martwą już ofiarę. Nagle wysoko w górze, nad krawędzią jamy wyrósł wielki cień. Ogromna głowa pochyliła się, ciemne ślepie rozblęły w ciemnościach. Nozdrza wciągnęły zapach świeżego mięsa, wykwintnego, smacznego i obfitego posiłku.

Węszył dalej. Dwie wielkie łapy zaczęły drapać ścianę jamy. Było za głęboko, żeby zejść na dół. Niedźwiedź mruknął i ruszył dalej. Spróbuje znowu, kiedy to stworzenie stamtąd wylezie. Na razie w mroku jest mnóstwo innych przysmaków.

Mężczyzna nie spał. O drugiej nad ranem się spakował. Musi działać szybko. Czuł, że w jego głowie znów zaczyna gromadzić się ciemność. Czas stawał się bardziej rozmyty, chwile przeciekały mu przez palce i znikaly w otchłani.

Ucisk z tyłu głowy był coraz silniejszy. Jakby tkwiła tam jakaś żywa istota, sięgająca macką aż do lewego ucha. Był pewien, że to nowotwór. Taki jak kiedyś, przed wieloma laty, gdy zdarzył mu się pierwszy „epizod” znikającego czasu. Czy wtedy były to tylko minuty? Nawet tego już nie pamiętał.

Czas stał się płynny, jego życiem zawładnęły czarne dziury. Jeden nowotwór został

usunięty. Teraz następny zżera mu mózg. Pewnie osiągnął już wielkość grejpfruta. Może nawet arbuza. Może jego mózg w ogóle nie jest już mózgiem, tylko wielką złośliwą masą stale dzielących się komórek. Nie wątpił w to. To wyjaśniałoby złe sny, niespokojne noce. I dlaczego ostatnio tak często widział ogień, który kazał mu robić to, czego nie powinien?

Zauważył, że coraz częściej myśli o matce. Jej bladej twarzy, chudych zgarbionych ramionach. Myślał też o ojcu, chodzącym wielkimi krokami po ich małej chatce w lesie.

„Mężczyzna musi być twardy, chłopcy, mężczyzna musi być silny. Nie słuchajcie tych z rządu, chcą nas zastraszyć i uzależnić od siebie tak, żebyśmy nie mogli żyć bez ich pomocy. Nam to nie grozi, chłopcy. Mamy ziemię. I dopóki jest w naszych rękach, będziemy silni”.

I był silny. Bił żonę, maltretował dzieci i skręcił kark kotu. Żył tak, jak mu się podobało, bez żadnych sąsiadów, którzy mogliby usłyszeć krzyki.

Ciemne chmury gromadziły się i kłębiły wśród huku piorunów. Mężczyzna widział kolejne obrazy: siedzi przywiązany do krzesła, matka zmywa naczynia, a ojciec tłucze pasem jego brata i mówi, że zaraz przyjdzie kolej na nich.

Skuleni z bratem pod gankiem planują ucieczkę, podczas gdy matka płacze nad ich głowami, a ojciec każe jej pójść do domu i zetrzeć krew z twarzy.

Późnym wieczorem wymykają się z bratem z domu, ale w ostatniej chwili odwracają się i widzą matkę, bladą i milczącą w blasku księżyca. Idźcie, mówią jej oczy. Uciekajcie, dopóki możecie. Po jej posiniaczonych policzkach spływają łzy. Chłopcy wracają. A ona przyciska ich do piersi, jakby byli jej ostatnią nadzieją.

I wtedy zrozumiał, że nienawidzi swojej matki tak bardzo, jak dotąd ją kochał, a ona nienawidzi ich. Byli jak kraby uwięzione na dnie wiadra i ściągające się nawzajem na dół, by żadnemu nie udało się wyjść na wolność.

Mężczyzna zachwiał się. Czuł, że nadciąga ciemność, a on sam balansuje na krawędzi otchłani... Czas przecieka mu przez palce.

Odwrócił się. Z całej siły uderzył pięścią w ścianę, ból przywrócił mu poczucie rzeczywistości. Wszystko znów stało się wyraźne. Mroczki zniknęły sprzed oczu. Już lepiej.

Podszedł do szafki. Wyjął pistolet.

Przygotował się do tego, co nieuniknione.

Rozdział 30

Park Narodowy Shenandoah, Wirginia

2.43

Temperatura: 31 stopni

Rainie i Mac nadal oglądali ciało ofiary, kiedy wyrósł przed nimi Quincy. Jego wzrok powędrował od nich do Kathy Levine i z powrotem.

– Jest jedną z nas – powiedziała Rainie w odpowiedzi na niezadane pytanie.

– Definitywnie?

– Na własne ryzyko podjęła decyzję o rozpoczęciu poszukiwań wyłącznie na podstawie przeczcucia Maca, a teraz wyciąga ryż z kieszeni trupa.

Quincy uniósł brew i znów zerknął na Levine.

– Ryż?

– Surowy, biały – powiedziała z ożywieniem. – Długoziarnisty. Z drugiej strony, jestem botanikiem, nie kucharzem, więc może przydałoby się z kimś skonsultować.

Quincy spojrział na Maca, który uważnie oglądał lewą stopę dziewczyny.

– Dlaczego ryż?

– Cholera wie.

– Coś jeszcze?

– Ma naszyjnik z fiolką wypełnioną jakimś przezroczystym płynem. To może być wskazówka. Jest też około dziewięciu kawałków różnych liści, cztery czy pięć próbek ziemi, kilka gatunków traw, zgniecione płatki kwiatu i mnóstwo krwi. – Mac wskazał na stos pojemników na dowody. – Do wyboru, do koloru. Może tobie uda się stwierdzić, czy zostawił je morderca, czy to tylko ślady wędrowki przez las. Powodzenia. Ta jego nowa taktyka nie ułatwia nam życia. Co zrobiłeś z Kimberly?

– Federalni ją zabrali.

Wszyscy troje popatrzyli na Quincy'ego zdziwieni.

– Zdaje się, że nastąpiła zmiana planów – uśmiechnął się ponuro.

– Quincy – głos Maca był szorstki – o czym ty, do cholery, mówisz?

Quincy nie patrzył na niego, tylko na Rainie.

– Przyjechała grupa śledcza FBI. Nie ma w niej ani Kapłana, ani Watsona. Prawdę mówiąc, nie znam żadnego z tych ludzi. Jak tylko zobaczyli Kimberly, od razu zabrali ją na przesłuchanie. Kazali mi czekać pod schroniskiem.

– Banda palantów! – wybuchnęła Rainie. – Najpierw nie chcą mieć z tym nic wspólnego, a nagle okazuje się, że to ich działka, i cała reszta może spadać. Co chcą zrobić? Zacząć od zera? Na tym etapie.

– Wydaje mi się, że taki mają plan. Wiesz, FBI może całkiem nieźle zorganizować akcję ratunkową. Ściągną informatyków, stenografów, psy, ekspertów od topografii, pilotów i ratowników. W ciągu dwudziestu czterech godzin założą centrum operacyjne, ich samoloty

zaczną przeszukiwać okolicę przy użyciu aparatów na podczerwień, a ochotnicy będą w pogotowiu. Coś z tego może być.

– O tej porze roku ze zdjęć w podczerwieni gówno wyjdzie – rzekł Mac z irytacją. – Próbowaliśmy już tego. Każdy cholerny głaz, zabłąkany niedźwiedź, czy nawet jelen, wygląda na nich jak człowiek. Skończyło się tak, że mieliśmy do sprawdzenia setki obiektów i żadnym z nich nie była zaginiona. Poza tym FBI zakłada, że następna ofiara jest gdzieś w tej okolicy, a ja już wiem, że to wykluczone. Ten człowiek nie wybiera dwa razy tego samego miejsca i w jego grze chodzi o to, by dawać nam coraz trudniejsze zadania. Następna dziewczyna jest daleko stąd i to, wierzcie lub nie, gdzieś gdzie jest o wiele bardziej niebezpiecznie.

– Sądząc z tego, co widziałem do tej pory, prawdopodobnie masz rację. – Quincy odwrócił się i spojrzał na tonącą w ciemnościach ścieżkę. – Ci nowi federalni pewnie będą tu za dziesięć minut, a opóźnienie to zawdzięczamy tylko Kimberly, która obiecała, że nie będzie zbyt rozmowna. Dla niej to pestka. – Skrzywił się. – No dobra, jeszcze przynajmniej przez dziesięć minut prowadzę to dochodzenie i mam dostęp do dowodów. Pani Levine, jest pani botanikiem, proszę mi więc powiedzieć, czy któraś z tych próbek zdecydowanie nie pasuje do pozostałych?

– Ryż – odparła bez namysłu.

– Wezmę połowę.

– Może fiolka z płynem. Choć mogła należeć do niej.

– Wiadomo jak ubrane były te dziewczyny, kiedy widziano je ostatnio?

– Nie – odparła Rainie.

Quincy zastanowił się.

– Wezmę połowę płynu.

Mac skinął głową i wyjął z zestawu do analizy dowodów szklaną fiolkę. Quincy zauważył, że lekko trzęsą mu się ręce. Może to ze zmęczenia. Może z wściekłości. Quincy wiedział z własnego doświadczenia, że to nie ma znaczenia, dopóki człowiek robi to, co do niego należy.

– Dlaczego tylko połowę? – spytała Levine.

– Bo gdybym wziął wszystko, inni agenci mogliby zauważyć, że czegoś brakuje, i o to spytać, a wtedy mógłbym poczuć się w obowiązku im to oddać. Z drugiej strony, jeśli na pierwszy rzut oka niczego nie brakuje...

– Nikt o nic nie pyta.

– A ja nic nie powiem – powiedział Quincy z ponurym uśmiechem. – Co jeszcze?

Levine bezradnie machnęła ręką w stronę sterty plastikowych torebek.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Oświetlenie jest kiepskie, nie mam przy sobie szkła powiększającego. Biorąc pod uwagę stan, w jakim jest połowa tych śmieci, pewnie przyczepiły się do niej, kiedy przedzierała się przez chaszczki. Ale potrzeba więcej czasu na analizę...

– Facet zwykle zostawia trzy, cztery wskazówki – powiedział Mac cicho.

– A więc coś przeoczyliśmy.

– Albo postanowił utrudnić nam zadanie – skwitowała Rainie.

Mac wzruszył ramionami.

– A to, że mamy całą stertę fałszywych dowodów, nie wystarczy?

Quincy rzucił okiem na zegarek.

– Macie pięć minut. Dokończcie oględziny, a potem wynocha. Aha, Rainie, kochanie, lepiej wyłącz komórkę.

Mac skończył oglądać stopę dziewczyny i przesunął wzrok wyżej. Odchylił jej głowę, otworzył usta i wsunął do środka palec w rękawiczce.

– Dwom ofiarom zostawił coś w gardle – wyjaśnił. Przekręcił dłoń w lewo, potem w prawo, a w końcu westchnął i pokręcił głową.

– Mam coś. – Rainie nagle podniosła wzrok. – Możecie coś zrobić, żeby było jaśniej? Nie wiem, czy to tylko łupież, czy...

Quincy wyregulował latarkę, a ona rozchyliła włosy dziewczyny. Był na nich jakiś proszek. Rainie pokręciła jej głową i osad wpadł do podstawionego pod nią plastikowego woreczka.

Levine podeszła do niej, wzięła na palec trochę proszku i powąchała go.

– Nie wiem. To nie łupież. Jest za twardy. Prawie jak... sama nie wiem.

– Pobierzcie próbkę – uciał Quincy i spojrzał na ścieżkę. Znow to usłyszał. Kroki. Coraz bliżej.

– Rainie... – szepnął nerwowo.

Pospiesznie zgarnęła część proszku do szklanego pojemnika, zakorkowała go i wrzuciła do saszetki. Kathy dodała trochę ryżu, a Mac już odlał połowę płynu z fiołki.

Na odchodnym Quincy zwrócił się do Levine:

– Gdyby ktoś pytał, na moje polecenie zaczęła pani zabezpieczać miejsce zbrodni. Tu jest wszystko, co pani znalazła, zinwentaryzowane jak należy. Kiedy pani widziała mnie ostatnio, właśnie się stąd oddalałem. Proszę wierzyć, to nie będzie kłamstwo.

Kroki były coraz bliżej. Quincy uściśnął dłoń botaniczki.

– Dziękuję.

– Powodzenia.

Quincy ruszył z boczem w dół, a Rainie i Mac szybko poszli za nim. Na oczach Levine rozplynęli się w ciemnościach.

– Pytam po raz ostatni, skąd wiedzieliście, że musicie przyjechać do parku? Co sprowadziło panią i agenta McCormacka prosto do Big Meadows i jakim cudem udało wam się znaleźć ciało tej dziewczyny?

– Nie wiem, co sobie myślał agent McCormack, musi pan jego o te spytać. Jeśli o mnie chodzi, po prostu chciałam pochodzić sobie po górach.

– I, ot tak, przypadkiem natknęła się pani na zwłoki? Drugie w ciągu dwudziestu czterech godzin?

– Widać mam do tego dar.

– Poprosi pani o następny urlop? Nie przydałoby się pani więcej czasu na żałobę między znajdowaniem kolejnych trupów?

Kimberly zacisnęła usta. Już od dwóch godzin tak się męczyli, ona i agent Sztywniak, który przedstawił jej się, ale już dawno zapomniała, jak ma na nazwisko. On zadawał ciosy, ona je parowała. On atakował, ona robiła uniki. Nie bawili się najlepiej i, prawdę mówiąc, późna pora i brak snu powodowały, że oboje coraz bardziej się wkurzali.

– Chcę wody – powiedziała.

– Zaraz.

– Szłam pięć godzin w prawie czterdziestostopniowym upale. Daj mi wody, bo jeśli ulegnę odwodnieniu, podam cię do sądu, zniszczę ci karierę i będziesz mógł pożegnać się z emeryturą. Rozumiemy się?

– To postawa niegodna kandydatki na agenta – stwierdził Sztywniak szorstko.

– Taa, w akademii ciągle mi to mówili. A teraz chcę wody.

Sztywniak wciąż siedział ze ściągniętymi brwiami i najwyraźniej zastanawiał się, czy ustąpić, kiedy otworzyły się drzwi i wszedł ojciec Kimberly. Dziwne, po raz pierwszy od lat szczerze ucieszyła się na jego widok, choć rozstali się zaledwie przed paroma godzinami.

– Sanitariusze mogą cię już obejrzeć – powiedział Quincy.

Kimberly zamrugła zdezorientowana. Po chwili zrozumiała, o co chodzi.

– No, dzięki Bogu. Boli mnie... wszystko.

– Chwileczkę... – zaczął Sztywniak.

– Moja córka ma za sobą bardzo ciężki dzień. Nie dość że przyczyniła się do odnalezienia zaginionej kobiety, to jeszcze, jak widać po jej rękach i nogach, słono za to zapłaciła.

Kimberly uśmiechnęła się do Sztywniaka. To była prawda. Wyglądała okropnie.

– Weszłam w kępę pokrzyw – oznajmiła wesoło. – I w sumaki jadowite. No i wpadłam na kilkanaście drzew. Wolę nawet nie mówić, jak wyglądają moje kostki. Zdecydowanie potrzebuję fachowej pomocy lekarskiej.

– Mam jeszcze kilka pytań.

Sztywniak nie dawał za wygraną.

– Jestem pewien, że po założeniu opatrunków moja córka chętnie panu pomoże.

– Na razie nie pomaga!

– Kimberly – rzucił ojciec karcącym tonem.

Wzruszyła ramionami.

– Jestem zmęczona, jest mi gorąco, wszystko mnie boli. Jak mam jasno myśleć, kiedy odmawia mi się wody i opieki medycznej?

– No tak. – Quincy przeszedł przez pokój i pomógł jej wstać ze składanego metalowego krzesła. – Agencie, moja córka jest nadzwyczaj silną młodą kobietą, ale nawet pan powinien wiedzieć, że przesłuchanie można prowadzić dopiero po udzieleniu pomocy medycznej. Zabieram ją do lekarza. Potem będzie pan mógł znów z nią porozmawiać.

– Nie wiem...

Quincy już prowadził Kimberly do drzwi, prawą ręką obejmując ją w talii, a lewą przytrzymując jej rękę, którą zarzuciła mu na barki, jakby bez jego pomocy nie mogła ustać na nogach.

– Proszę przyjść do punktu medycznego za pół godziny. Jestem pewny, że wtedy będzie

już gotowa kontynuować przesłuchanie.

I wyszli. Quincy ją podtrzymywał, a Kimberly bardzo przekonująco udawała, że utyka.

Na wypadek, gdyby Sztywniak ich obserwował, Quincy zaprowadził ją najpierw do punktu medycznego. Kimberly przy okazji napiła się wody, zjadła cztery pomarańcze i została zbadana przez lekarza, co trwało około pół minuty. Dostała od niego maść na bąble, po czym razem z Quincym szybko poszli w odległy zakątek parkingu.

Czekała tam Rainie. I Mac. Oboje w samochodach.

– Wsiadaj – powiedział Quincy. – Pogadamy w drodze.

Rozdział 31

Park Narodowy Shenandoah, Wirginia

3.16

Temperatura: 31 stopni

Mac nie spuszczał z oczu tylnych reflektorów wozu Quincy'ego. Krętą drogą, oświetloną tylko przez księżyc i gwiazdy, oddalali się od chaosu panującego w Big Meadows.

Początkowo Kimberly milczała. Mac także. Wróciło zmęczenie, ale teraz już inne. To było zwyczajne wyczerpanie spowodowane długą męczącą podróżą i zbyt małą ilością snu. Takie zmęczenie bardziej jej odpowiadało. Dobrze je знаła. Było nawet przyjemne. Często poddawała swój organizm ciężkim próbom i szybko odzyskiwała siły. Co innego jej zmaltretowane uczucia... Mac wziął ją za rękę. Ścisnęła jego palce.

– Napiłbym się kawy – powiedział. – Jakies dziesięć litrów.

– A mnie przydałby się urlop. Jakies dziesięć lat.

– A co powiesz na przyjemny chłodny prysznic?

– Albo klimatyzację?

– Czyste ubranie.

– Miękkie łóżko.

– Wielki talerz herbatników i mleko.

– Dzban lodowatej wody z cytryną.

Westchnęła. On też.

– Nieprędko pójdziemy spać, co? – spytała cicho.

– Na to wygląda.

– Co się stało?

– Sam nie wiem. Przyszedł twój ojciec, powiedział, że przyjechała grupa śledcza FBI i że nie jesteśmy już mile widziani. Szlag by trafił tych federalnych.

– Odebrali sprawę tacie i Rainie? – spytała Kimberly z niedowierzaniem.

– Jeszcze nie. Pewnie dlatego, że oboje wyłączyli komórki i szybko się stamtąd zwinęli.

Ale wygląda na to, że federalni chcą wszystko zaczynać od początku, a nawet twój ojciec już wie, że to bez sensu. Próbowaliśmy z pomocą Kathy Levine stwierdzić, które z dowodów znalezionych przy zwłokach mogą być wskazówkami pozostawionymi przez mordercę, a potem zabraliśmy połowę wszystkiego. A teraz, żeby nie było wątpliwości, zdaje się, że oficjalnie jesteśmy wyrzutkami. Jak bardzo chciałaś zostać agentką FBI, Kimberly? Bo po tym...

– Pieprzyć FBI. Jaki jest plan?

– Współpracujemy z twoim ojcem i Rainie. Spróbujemy znaleźć pozostałe dwie dziewczyny. Potem wytropimy sukinsyna, który to zrobił, i damy mu popalić.

– Dziś jeszcze nikt nie powiedział mi czegoś tak miłego.

– Cóż – odparł skromnie – staram się, jak mogę.

Wkrótce potem Quincy skreślił na punkt widokowy, a Mac pojechał za nim. O tej porze nie stały tu żadne samochody, a miejsce to było na tyle osłonięte od strony Skyline Drive, by mogli pozostać niezauważeni. Wyszli i zbrali się przy masce wozu Maca.

Noc była gorąca i duszna. Rozlegało się cykanie świerszczy i rechot żab, ale nawet te dźwięki były dziwnie stłumione, jakby cała natura na coś czekała. Niebo powinny przecinać błyskawice. Powinna nadejść gwałtowna lipcowa burza, niosąca oczyszczający deszcz i chłodniejsze temperatury. Tymczasem upał wciąż dotkliwie dawał się we znaki, okrywając świat duszącą wilgocią i uciszając zwierzęta polujące nocą.

Quincy zdjął marynarkę, poluzował krawat i podwinął rękawy.

– Mamy więc trzy możliwe wskazówki – zagaił. – Fiolkę z płynem, ryż i pył z włosów ofiary. Jakież pomysły?

– Ryż? – spytała Kimberly zaskoczona.

– Surowy, biały, długoziarnisty – poinformował ją Mac. – Przynajmniej tak przypuszcza Levine.

Kimberly pokręciła głową.

– To bez sensu.

– Facet lubi utrudniać nam zadanie – westchnął Mac. – Takie są reguły tej gry.

– Jak myślicie, jak daleko stąd są dwie pozostałe ofiary? – spytała Rainie. – Skoro uprowadził ich kilka, może pierwsza wskazuje miejsce ukrycia wszystkich trzech. W końcu gość działa w pojedynkę i ma niewiele czasu, by wszystko zorganizować.

Mac wzruszył ramionami.

– Oczywiście nie wiem, na ile zmienił reguły gry. W Georgii dużo podróżował. Zaczął w parku stanowym słynącym z granitowego wąwozu, potem były pola bawełny, brzegi rzeki Savannah, a na koniec słone błota na wybrzeżu. Cztery zupełnie różne regiony. Tym razem jednak masz rację, z rozmieszczeniem ofiar na obszarze całego stanu, zwłaszcza w dwadzieścia cztery godziny lub mniej, mogą być pewne kłopoty.

– Trudno pozbyć się kilku ciał – skwitował Quincy.

– Facet pewnie jeździ furgonetką. Dzięki temu ma gdzie trzymać porwane kobiety, wstrzykiwać im truciznę i czym je wozić. W tym przypadku potrzebował dużo miejsca, skoro uprowadził aż cztery.

– Cztery naraz? Jak to możliwe? – mruknęła Kimberly. – Chyba choć jedna z nich mogłaby stawić mu opór?

– Raczej nie miały szans. Jego ulubiona broń to pistolet na pociski ze środkiem usypiającym; pozwala mu atakować z zaskoczenia. Podchodzi do samochodu, strzela do kobiet nabojami z szybko działającą ketaminą, a one przenoszą się do krainy snów, zanim którakolwiek zdąży zaprotestować. Gdyby nagle ktoś się zjawił, morderca powiedziałby, że odwozi cztery pijane dziewczyny do domu i tyle. Potem, kiedy droga jest wolna, zabiera je do swojej furgonetki, podaje im następną dawkę ketaminy, żeby były nieprzytomne tak długo, jak to konieczne, i przechodzi do drugiego etapu swojego planu. Może nie działa efektywnie, ale skutecznie.

Wszyscy ponuro pokiwali głowami. Tak, morderca jest nad wyraz skuteczny.

– Rainie mówiła, że znów do ciebie dzwonił – powiedział Quincy do Maca.

– I to kiedy byłem przy zwłokach. Facet twierdzi jednak, że to nie on jest mordercą. Wściekł się, kiedy go o to oskarżyłem, przysięgał, że próbuje tylko pomóc, i mówił, że mu przykro, że zginęły następne dziewczyny. Nie żeby podał nazwisko swoje albo zabójcy, ale zarzeka się, że jest czysty.

– Kłamie – powiedział Quincy beznamiętnym tonem.

– Tak myślisz?

– Zwróć uwagę na to, w jakich momentach do ciebie dzwoni. Po raz pierwszy na dzień przed odnalezieniem pierwszej ofiary – nawiasem mówiąc, pewnie w tym czasie morderca przygotowywał już zasadzkę, o ile jeszcze nie uprowadził tych czterech dziewczyn. Drugi telefon dostałeś dziś, kiedy byłeś przy drugiej z ofiar. Agent Kapłan pewnie nazwałby coś takiego podejrzanym zbiegiem okoliczności.

– Myślisz, że Ekomorderca jest blisko? – spytał Mac ostro.

– Mordercy lubią obserwować. Dlaczego ten miałby być inny? Zostawia dla nas trop z okruszków chleba. Może lubi patrzeć, jak nam idzie. – Quincy westchnął i ścisnął grzbiet nosa.
– Opowiadałeś o tym, jak GBI próbowało znaleźć Ekomordercę. Sprawdzaliście, skąd pochodzą stosowane przez niego leki. Sporządzaliście portrety psychologiczne ofiar, szukaliście go wśród weterynarzy, turystów, ornitologów i wszelkiego rodzaju miłośników aktywnego wypoczynku.

– Tak.

– I przygotowaliście portret psychologiczny mordercy. Biały mężczyzna o ponadprzeciętnej inteligencji, jednak prawdopodobnie zatrudniony na niskim stanowisku. Często podróżuje, jest mało towarzyski, gdy mu coś nie wychodzi, łatwo wpada w szal.

– Tak stwierdził ekspert.

– Przychodzą mi na myśl dwie rzeczy. Po pierwsze, morderca jest bardziej przebiegły, niż ci się wydaje. Gra, którą prowadzi, zmusza cię do całkowitego skupienia się na poszukiwaniu następnej ofiary, a nie jego.

– No, na początku, owszem...

– Ślady szybko się zacierają, Mac. Każdy detektyw to wie. Im więcej czasu upływa, tym trudniej znaleźć podejrzanego.

Mac niechętnie pokiwał głową.

– No tak.

– A po drugie, teraz już wiemy coś, co jest bardzo interesujące, a czego nie wiedziałeś wcześniej.

– To znaczy?

– Ten człowiek ma dostęp do bazy marines w Quantico. To zawęży nasz krąg podejrzanych do stosunkowo małej grupy osób w Wirginii. A to jest szansa, której nie wolno nam zaprzepaścić.

– Myślisz, że zrobił to marinę albo agent FBI? – spytał Mac, marszcząc czoło.

Quincy patrzył przed siebie nieobecny wzrokiem.

– Jeszcze nie wiem. Ale znaczenie, jakie ma dla niego Quantico, te telefony do ciebie... Z

tego na pewno wynika coś istotnego. Na razie nie wiem, co. Mógłbyś spisać tę dzisiejszą rozmowę? Słowo w słowo, wszystkie jego uwagi? Doktor Ennunzio będzie chciał to zobaczyć.

– Myślisz, że nadal będzie chciał nam pomagać? – spytała Kimberly.

– Zakładasz, że wie, iż odsunięto nas od śledztwa? – Quincy wzruszył ramionami. – To naukowiec, agenci raczej nie dzielą się informacjami z takimi, jak on. Oni żyją w swoim świecie, a pracownicy BSU w swoim. Poza tym doktor Ennunzio będzie nam potrzebny. Jak dotąd, te listy i telefony to jedyna forma bezpośredniego kontaktu z Ekomordercą. A to ważne. Jeśli mamy wyłamać się ze schematu, musimy zidentyfikować sprawcę. W przeciwnym razie będziemy leczyli objawy, a nie chorobę.

– Nie pozostawicie tych dwóch dziewczyn na pastwę losu? – spytał Mac.

– Ja owszem – odparł Quincy ze spokojem. – Ale wy nie.

– Dziel i rządź? – mruknęła Rainie.

– Otóż to. Mac, Kimberly, wy zajmiecie się szukaniem dziewczyn. Rainie i ja będziemy tropili mordercę.

– To może być niebezpieczne – powiedział Mac cicho.

Quincy tylko się uśmiechnął.

– Dlatego zabieram Rainie ze sobą. Niech no facet tylko spróbuje jej podskoczyć.

– Amen – powiedziała Rainie poważnym tonem.

– Moglibyśmy jeszcze raz porozmawiać z ludźmi z USGS – zasugerowała Kimberly. – Zawieź im te próbki. Nie wiem, o co chodzi z tym ryżem, ale płyn można by na początek pokazać hydrologowi.

Mac pokiwał głową w zamyśleniu.

– Mogliby mieć jakiś pomysł w związku z tym ryżem. Może to tak, jak z tym powiązaniem z Hawajami. Laikowi to nic nie mówi, ale specjaliście...

– Gdzie jest ich biuro? – spytał Quincy.

– W Richmond.

– Od której pracują?

– Od ósmej.

Quincy spojrzął na zegarek.

– No, to mam dla was dobrą wiadomość. Możemy jednak zdrzemnąć się kilka godzin.

Wyjechali z parku. W jednym z pobliskich miasteczek znaleźli motel i wynajęli trzy pokoje. Quincy i Rainie zniknęli za drzwiami pierwszego, Mac poszedł do drugiego, Kimberly do trzeciego.

Był skąpo umeblowany i obskurny. Wyblakła niebieska kołdra przykrywała łóżko z wgłębieniem, które świadczyło o tym, że spało na nim zbyt wielu gości. Powietrze, jak to w motelach, było stęchłe, cuchnące papierosami, z wyczuwalną lekką nutą odświeżacza.

Cóż, przynajmniej ma pokój. Z łóżkiem. Może się przespać.

Podkręciła klimatyzację. Zdjęła przepocone ubranie, weszła pod prysznic i wyszorowała poobijane ciało. Kilka razy umyła włosy, próbując zapomnieć o skałach, węzłach i tej biednej dziewczynie. Szorowała, szorowała i szorowała. I wiedziała, że to nie wystarczy.

Znów myślała o Mandy, o mamie i o dziewczynie z Quantico. I o Vivienne Benson. Tyle że ofiary mieszały jej się ze sobą. Ciało z lasu w Quantico miało twarz Mandy, dziewczyna ze skał była przebrana Kimberly, jej matka uciekała przez las przed Ekomordercą, mimo że przed sześcioma laty została zabita przez szaleńca.

Śledczy powinien być obiektywny. Nie może ulegać emocjom.

Kimberly wreszcie wyszła spod prysznic. Włożyła czystą podkoszulkę. Brudnym ręcznikiem starła parę z lustra, i spojrzała w swoje odbicie. Błada posiniaczona twarz. Zapadnięte policzki. Bezkrwiste wargi. Za duże niebieskie oczy.

Jezu. Wygląda na tak przerażoną, że jest zupełnie do siebie niepodobna.

Mało brakowało, a znów straciłaby nad sobą panowanie. Zaciśnęła dłonie na krawędzi umywalki. Przygryzła dolną wargę i rozpaczliwie starała się pozostać przy zdrowych zmysłach.

Przez całe życie miała jeden cel. Ćwiczyła strzelanie, studiowała podręczniki dla detektywów. Lubiła to, wrodziła się w ojca. Przystępstwa były dla niej zagadkami, które należało rozwiązać. Chciała podjąć wyzwanie. Marzyła, by nosić odznakę. Ratować świat. Zawsze panować nad sytuacją.

Twarda spokojna Kimberly. Teraz, kiedy dotarło do niej, że nie jest nieśmiertelna, coś ścisnęło ją w żołądku. I wiedziała, że nie jest już taka twarda.

Wszystkie mechanizmy obronne zniknęły. Została młoda bezradna kobieta, która nie mogła jeść ani spać i bała się węży. Ratować świat? Samej siebie nie mogła uratować.

Powinna się wycofać, niech ojciec, Rainie i Mac radzą sobie sami. Już opuściła akademię. Co za różnica, jeśli po prostu zniknie? Mogłaby resztę życia spędzić skulona w szafie, obejmując rękami kolana. Kto miałby jej to za złe? Straciła już połowę rodziny i dwa razy sama o mało nie została zabita. Jeśli ktokolwiek ma prawo do załamania nerwowego, to właśnie ona.

Ale wtedy znów pomyślała o zaginionych dziewczynach. Mac powiedział jej, jak się nazywały. Karen Clarence. Tina Krahn. Dwie młode studentki, które chciały tylko spotkać się z przyjaciółmi w gorący wtorkowy wieczór.

I wtedy zrozumiała, że się nie podda. Była przerażona, chciało jej się płakać, nie była tak twarda, jak powinna. Czowała się, jakby tego popołudnia przekroczyła jakąś psychiczną barierę i ostrożnie poznawała znajdujący się za nią teren. Jej zakończenia nerwowe były obnażone, skóra zdawała się już na nią nie pasować, a mimo to...

Karen Clarence. Tina Krahn. Ktoś musi je znaleźć. Ktoś musi coś zrobić. A ona może rzeczywiście wrodziła się w ojca, bo nie mogła ot tak tego zostawić. Mogła odejść z akademii, ale nie potrafiłaby wycofać się z tego śledztwa.

Rozległo się pukanie do drzwi. Kimberly powoli podniosła głowę. Wiedziała, kto za nimi stoi. Gdyby udała, że nie słyszy, poszedłby sobie. Ruszyła w stronę drzwi.

Otworzyła je. Mac najwyraźniej poświęcił ostatnie pół godziny na to, by ogolić się i wziąć prysznic.

– Hej – rzucił cicho i wszedł do pokoju.

– Mac, jestem zmęczona...

– Wiem. Ja też. – Wziął ją za rękę i zaprowadził do łóżka. Niechętnie poszła za nim. Miała zbyt bladą twarz, zbyt przekrwione oczy. Może i podobał jej się zapach jego mydła, ale bardzo chciała zostać sama.

– Mówiłem ci już, że źle sypiam w pokojach motelowych? – spytał.

– Nie.

– A mówiłem, że ładnie ci w samej podkoszulce?

– Nie.

– A ja wyglądam super bez ubrania?

– Nie.

– A szkoda, bo to wszystko prawda. Ale jesteśmy zmęczeni, więc dziś poprzestaniemy tylko na tym. – Usiadł na łóżku i pociągnął ją za sobą. Ona jednak w końcu się postawiła.

– Nie mogę – szepnęła.

Nie próbował jej do niczego zmusić. Podniósł tylko rękę i położył dużą dłoń na jej policzku. Jego niebieskie oczy już się nie śmiały. Wpatrywał się w nią w skupieniu. Kiedy tak na nią patrzył, brakowało jej tchu.

– Nieźle mnie dziś nastraszyłaś – powiedział cicho. – Kiedy stałaś na tych głazach wśród węży, bałem się.

– Siebie też nastraszyłam.

– Myślisz, że się tobą bawię, Kimberly?

– Nie wiem.

– Denerwuje cię to, że umiem flirtować, uśmiechać się.

– Czasami.

– Jak zawsze szczerza. – Pogłodził kciukiem jej policzek. – Prawdę mówiąc, jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką znam, i nie wiem, jak mam ci to powiedzieć, żebyś nie pomyślała, że to mój standardowy tekst.

Zamknęła oczy.

– Nie rób tego.

– Chcesz mnie uderzyć? – szepnął. – A może wolałabyś pokrzyknąć na cały głos albo rzucić nożem? Nie mam nic przeciwko temu, żebyś była zła, skarbie. Bylebyś tylko nie była smutna.

Zadziałało. Usiadła na łóżku obok niego, czując, jak z jej piersi spada ogromny ciężar. Czy to oznaka słabości? Uległości? Nie wiedziała i miała to gdzieś. Chciała tylko wtulić twarz w jego szeroką pierś, objąć go mocno, poczuć jego ciepło, być w jego ramionach. Chciała, by ją posiadał. Pragnęła chwili szaleństwa, w czasie której nie musiałyby myśleć ani czuć. Pragnęła po prostu być.

Na wyrzuty przyjdzie czas rano.

Podniosła głowę. Musnęła ustami jego wargi i poczuła na policzku lekkie laskotanie jego oddechu. Zadrżał. Pocałowała go w podbródek. Gładki. Kanciasty. Przesunęła usta na jego szyję, na której widać było tętniący puls. Jego dłonie spoczywały nieruchomo na jej biodrach. Czuła jednak, jak bardzo jest spięty, z jak wielkim wysiłkiem próbuje nad sobą panować.

Poczuła lekką woń mięty z jego ust. Wodę kolońską na świeżo ogolonym policzku. Znów

się zawahała. To takie osobiste, takie silne doznania. Za wszystko, co zrobił tylko dla niej, nie mogła odplacić się dzikim, pozbawionym znaczenia seksem.

Znów zachciało jej się płakać. O Boże, jak ona nie cierpiała tego ucisku w piersi. Nie chciała dłużej być taka, pragnęła znów stać się zimną logiczną Kimberly. Żeby nie zbierało jej się na płacz. Żeby nie czuć takiego bólu.

Ręce Maca poruszyły się. Delikatnie pogładziły ją po włosach. Jego palce zsunęły się na jej napiętą szyję.

– Ciii – szepnął – ciii – choć nie zauważyła, żeby cokolwiek powiedziała.

– Już sama nie wiem, kim jestem.

– Potrzeba ci snu, skarbie, i tyle. Rano będzie lepiej. Zawsze tak jest.

Mac popchnął ją lekko. Położyła się bez słowa protestu. Otarła się o niego biodrem i poczuła, że jest podniecony. Teraz coś robi, pomyślała. Ale myliła się. Tylko przytulił ją do swojej gorącej piersi i objął ramionami silnymi jak stalowe obręcze.

– Ja też nie lubię pokojów motelowych – powiedziała nagle i wręcz poczuła jego uśmiech na swoich włosach. Po chwili zdała sobie sprawę, że usnął.

Zamknęła oczy. Przytuliła się do niego. Od lat tak dobrze nie spała.

Rozdział 32

Front Royal, Wirginia

6.19

Temperatura: 31 stopni

Mac obudził się pierwszy. Ze snu wyrwał go cichy terkot telefonu komórkowego. Przez chwilę był zdezorientowany, zastanawiał się, co robi w tym pogrążonym w półmroku i wypełnionym stęchłym zapachem pokoju z zapadającym się łóżkiem. Po chwili zauważył Kimberly, wciąż wtuloną w jego ramię i wszystko sobie przypomniał.

Starał się jej nie obudzić. Wysunął spod jej głowy prawą rękę i od razu poczuł, jak przebiegają po niej mrówki; nerwy budziły się do życia. Zmełł w ustach przekleństwo. Potrząsnął ręką i zorientował się, że nie wie, gdzie położył telefon. Pamiętał jak przez mgłę, że w nocy cisnął nim przez pokój. Swoją drogą, biorąc pod uwagę to, jak ostatnio się z nim obchodził, to cud, że jeszcze działa.

Zsunął się na podłogę i chodził na czworakach, dopóki nie znalazł telefonu. Wziął go do ręki w chwili, gdy zadzwonił po raz czwarty.

– Agent specjalny McCormack. – Spojrzał na łóżko. Kimberly nawet nie drgnęła.

– Nie spieszyłeś się – powiedział męski głos.

Mac odetchnął. Tym razem nie będzie żadnych zniekształconych głosów robiących mu wodę z mózgu. To tylko jego szef, agent specjalny Lee Grogen.

– To była ciężka noc – odparł Mac.

– Udana?

– Nie bardzo. – Mac opowiedział o wszystkim, co zdarzyło się w ciągu ostatnich dwunastu godzin. Grogen słuchał, nie przerywając mu.

– A więc to na pewno on?

– Nie mam żadnych wątpliwości. Oczywiście, jeśli chcesz dostać oficjalną opinię, to zwróć się do federalnych. Pewnie ci powiedzą, że stoją za tym terroryści.

– Coś ty taki zgorzkniały, Mac?

– Tak to jest, jak się śpi trzy godziny. O ile wiemy, dwie dziewczyny nadal pozostają zaginione. Wybacz, że się brzydko wyrażę, ale pierdolić federalnych. Mam pewne tropy i zamierzam je sprawdzić.

– A ja udam, że tego nie usłyszałem. Jakby co, rozmawiamy o łowieniu ryb. – Grogen westchnął. – Oficjalnie nie mogę ci niczego zaoferować, Mac. Mój szef może spróbować przekonać ich szefa do współpracy, ale skoro chodzi o federalnych...

– To jesteśmy na bocznym torze.

– Prawdopodobnie. Przynajmniej możemy być pewni, że kiedyś może o nas wspomną. Na konferencji prasowej zwołanej z okazji kolejnego sukcesu przedstawią nas jako wsiowych gliniarzy, którzy już dawno mogli złapać tego typu, ale dali plamę. Wiesz, jak to jest.

– Nie mogę się wycofać – powiedział Mac cicho.

– Gdzieżbym śmiało zabraniać komukolwiek łowienia ryb – odparł Grogen.

– Dziękuję.

– Jest jeszcze jeden problem.

– No nie. – Mac potarł twarz dłonią i poczuł szorstki zarost. Znów był zmęczony, a obudził się dopiero przed dziesięcioma minutami. – O co chodzi?

– O Norę Ray Watts.

– Hę?

– Zadzwoiła do mnie w środku nocy. Chce z tobą porozmawiać. Twierdzi, że ma informacje dotyczące tej sprawy, ale przekaże je tylko tobie. Mac, ona wie, że zginęły dwie dziewczyny.

– Nie napisali o tym w gazetach?

– Ani słowa. Nawet ja dowiedziałem się o tym dopiero od ciebie, dziesięć minut temu. Szczerze mówiąc, aż ciarki mnie przeszły.

– Skontaktował się z nią – mruknął Mac.

– Możliwe.

– Tylko tak można to wytłumaczyć. Pisanie listów już mu nie wystarcza. Rozmowy ze mną pewnie tylko go wkurzają. No, przynajmniej mam taką nadzieję. Dlatego skontaktował się ze swoją dawną ofiarą... sukinsyn!

– Co chcesz zrobić?

– Do Atlanty nie wrócę. Nie mam czasu.

– Powiedziałem Norze Ray, że wyjechałeś.

– No i?

– Powiedziała, że przyjedzie do ciebie. Szczerze mówiąc, Mac, chyba tego właśnie chce. Mac był zaszokowany. Po tym wszystkim, co Nora Ray przeszła, miałby ją wciągnąć w ten bajzel? Cywila? Ofiarę?

– Nie – powiedział szorstko. Szef milczał.

– Nie ma mowy – powtórzył Mac. – Ona na to nie zasługuje. Już raz zmienił jej życie w koszmar. Najwyższy czas, żeby uwolniła się od niego, doszła do siebie i była z rodziną. Żeby zapomniała o tym, co się stało.

– Jak na razie, chyba jej się to nie udało.

– Nie mogę jej chronić, Lee! Nie wiem, gdzie jest ten typ, nie wiem, gdzie teraz zaatakuje. To długa historia, ale współpracuję z byłym specem od portretów psychologicznych z FBI i jego zdaniem morderca może mieć nas na oku.

– Powiem jej.

– I dobrze!

– A jeśli nadal będzie chciała do ciebie przyjechać?

– To jest głupia!

– Mac, jeśli coś wie, jeśli ma jakiś trop...

Mac spuścił głowę. Przeczesał dłonią włosy. Boże, czasami nie cierpiał tej roboty.

– Mogę wyjść po nią na lotnisko w Richmond – powiedział w końcu. – Raczej wcześniej niż później. Dzień jest młody, jeszcze wiele może się zdarzyć.

– Będę w kontakcie. Aha, Mac, udanych łowów.

Mac się rozłączył. Oparł głowę o chłodny srebrny kształt. Co za burdel. Powinien wrócić do łóżka. Albo przynajmniej wczłgać się z powrotem pod prysznic. Może kiedy obudzi się po raz drugi, to wszystko nabierze jakiegoś sensu.

Ale mgła już zaczynała podnosić się sprzed jego oczu. Myślał o wodzie i ryżu, i zagadkowych wskazówkach, które musiały prowadzić do strasznych miejsc. Mieli szczęście, że w ogóle udało im się przespać. Bóg raczej wie, kiedy będzie następna okazja.

Wstał i podszedł do łóżka. Kimberly leżała skulona, jakby nawet śpiąc, czegoś się bała. Usiadł na skraju materaca. Dotknął kciukiem jej policzka, po czym pogładził krótkie ciemnoblonde włosy. Ani drgnęła.

We śnie wydawała się bardziej bezbronna, jej rysy były delikatne, a nawet kruche. Wiedział jednak, że to złudne wrażenie. Mogły minąć całe lata, zanim człowiek dobrze poznałby jej uśmiech. A potem i tak pewnego dnia wyszłaby z domu i już nie wróciła. I pewnie byłaby przekonana, że oddaje mu przysługę.

W jej świecie tacy faceci, jak on, nie zakochiwali się w takich dziewczynach, jak ona. Dziwne, bo już dawno stracił dla niej głowę.

Pogładził ją po rękę i wreszcie otworzyła oczy.

– Przepraszam, skarbie – szepnął.

– Znowu ktoś umarł?

– Nie, jeśli się pospieszymy.

Kimberly bez słowa poszła do łazienki. Padł na łóżko i położył dłoń na miejscu, które ogrzała swoim ciałem. Usłyszał szum wody i warkot starych zardzewiałych rur. Znów pomyślał o tym, co zdarzyło się poprzedniego dnia, i przed oczami stanął mu obraz Kimberly otoczonej przez dziesiątki grzechotników.

– Od tej pory będę się tobą lepiej opiekował – obiecał w ciszy wypełniającej pokój.

Ale już zastanawiał się, jak skończy się ten dzień i czy będzie w stanie dotrzymać słowa.

Rozdział 33

Richmond, Wirginia

8.08

Temperatura: 31 stopni

Wygląda jak woda. Kimberly odetchnęła z ulgą, a Mac osunął się na ścianę ciasnego gabinetu. Dopiero kiedy usłyszeli tę informację z ust Briana Knowlesa, hydrologa z USGS, zdali sobie sprawę, w jakim napięciu na nią czekali.

– Może być święcona? – spytała Kimberly.

Knowles spojrzał na nią znacząco.

– Nie wiem, jak miałbym to stwierdzić. Wie pani, jestem tylko pracownikiem rządowym, a nie papieżem.

– Ale możesz im pomóc? – naciskał go Ray Lee Chee. Przed dziesięcioma minutami osobiście przyprowadził Maca i Kimberly do gabinetu Knowlesa. Teraz siedział na krawędzi stalowoszarej szafki na akta i rytmicznie kołysał nogami.

– Chcielibyśmy zbadać tę próbkę – powiedział Mac. – Byłoby najlepiej, gdyby udało się określić, z jakiego stawu, strumienia czy wodopoju pochodzi. Da się to zrobić?

Knowles ziewnął, leniwie poruszył ramieniem i popadł w zadumę. Wyglądał na trzydzieści kilka lat, był przystojny, miał gęste brązowe włosy i najbardziej znoszone dżinsy na świecie. Podobnie jak Ray Lee Chee, sprawiał wrażenie człowieka wysportowanego, ale w odróżnieniu od niego, o tak wczesnej porze wyraźnie nie był w najlepszej formie. Wyglądał tak, jak Kimberly się czuła.

– Cóż – powiedział po chwili – możemy sprawdzić różne rzeczy: pH, zawartość tlenu, azotu, amoniaku, arsenu, bakterii, temperaturę, mętność, zasolenie... no i twardość. Obecność nieorganicznych składników, takich jak żelazo, mangan i siarczany, a także różnych substancji zanieczyszczających. Dlatego owszem, badania możemy zrobić.

– No, to świetnie – powiedział Mac zachęcającym tonem.

– Jest tylko jeden problem. – Knowles rozłożył bezradnie ręce. – Nie jesteśmy w terenie, a sześć kropli wody to za mało.

Mac uniósł brew, zaskoczony. Zerknął na Kimberly, a ona wzruszyła ramionami.

– Pan przynajmniej dostał wodę – skwitowała. – Rayowi daliśmy tylko zdjęcie liścia.

– Zgadza się. I odwałem kawał dobrej roboty – pochwalił się Ray. – No, Knowles, nie psuj nam statystyk. Jak tak dalej pójdzie, może dostaniemy własny program telewizyjny. No wiesz, *Prawo i porządek: Wydział Badań Geologicznych*. Wszystkie laski będą twoje, Ryan. Pomyśl tylko.

Knowles nadal jednak nie wyglądał na przekonanego. Odchylił się na oparcie krzesła i splótł dłonie za głową.

– Po prostu mówię, jak jest. Żeby uzyskać precyzyjne wyniki, trzeba być u źródła, badać próbkę *in situ*. W chwili, kiedy przelaliście tę wodę do fiolki, stało się kilka rzeczy. Po

pierwsze, zmieniliście jej temperaturę. Po drugie, odcięliście ją od źródła tlenu, przez co badanie zawartości rozpuszczonego tlenu staje się bezcelowe. Po trzecie, pH poszło w górę pod wpływem gazu odlotowego. Po czwarte, próbka mogła ulec zanieczyszczeniu od samego pojemnika, a po piąte... no dobra, na razie nie mogę sobie przypomnieć, co jest po piąte, ale przyjmijmy, że nic dobrego. Cokolwiek zrobię, wyniki będą równie znaczące jak szósty palec u nogi – jest na co popatrzeć, ale nic z tego nie wynika.

– Ale źródła nie znamy – przypomniał mu Mac z irytacją – o to właśnie chodzi. Dostaliśmy tę próbkę, musimy dowiedzieć się, skąd pochodzi. Na pewno jest coś, co mógłby pan zrobić.

Patrzył na niego z niemą prośbą w oczach. Knowles westchnął i ustąpił.

– Ale wyniki nie będą precyzyjne – ostrzegł.

– W tej sytuacji przybliżone wystarczą.

– „Przybliżone” to też za dużo powiedziane. – Wziął w palce szklaną rurkę z drogocenną próbką. – Na pewno nie macie więcej? Wolałbym jakieś czterdzieści mililitrów.

– W najlepszym razie mógłbym zdobyć jeszcze sześć kropel.

– Cholera, ktokolwiek wam to dał, musi być skąpy.

– Lubi wyzwania.

– Właśnie widzę. Pewnie nie powiecie mi nic więcej o tej sprawie?

– Nie.

– No cóż, nie szkodziło spytać. – Knowles znów westchnął, wyprostował się i wbił wzrok w próbkę. – Można sprawdzić zasolenie. Trzeba nam tylko tyle wody, by przykryła koniec sondy. No i mógłbym zbadać pH, do tego też używa się miernika. Oczywiście sonda miernika pH może wprowadzić do próbki małą ilość chlorku potasu, co zwiększyłoby przewodnictwo elektryczne i z testu zasolenia nic by nie wyszło... A więc najpierw zasolenie, potem pH. Co do zawartości minerałów... Cholera, nie wiem, czy mamy jakiś sprzęt skalibrowany do badania tak małej próbki jak ta. Testy na obecność bakterii... trzeba przepuścić wodę przez sito, tu chyba niewiele to da. Z substancją roślinną byłby ten sam problem. – Podniósł głowę. – Zostaje nam więc zasolenie i pH, choć uprzedzam z góry, próbka jest za mała, metodologia wątpliwa, a wyniki będą zbyt względne, by wyciągnąć jakiegokolwiek konkretne wnioski. Poza tym, a co tam, idę na to. Nigdy jeszcze nie brałem udziału w śledztwie w sprawie zabójstwa.

– Każda informacja będzie pomocna – zapewnił Mac ponuro.

Knowles wysunął szufladę. Wyjął z niej małe plastikowe pudełko z podniszczoną naklejką z napisem ZESTAW DO BADAŃ W TERENIE. Otworzył je i zaczął wyciągać ręczne mierniki z długimi metalowymi sondami.

– Najpierw zasolenie – mruknął do siebie, majstrował przez chwilę przy mierniku, po czym włożył sondę do wody.

Przez chwilę nic nie mówił, tylko mruczał coś pod nosem.

– Co właściwie wynika z takiego badania? – spytała Kimberly. – Woda jest słodka czy słona?

– To też. – Knowles spojrzał na nią. – Mówiąc w skrócie, mierzę ilość mikrosimensów na centymetr, co daje mi pewne wskazówki co do składu wody. Woda sama z siebie ma zerową

przewodność właściwą prądu, ale jeśli zawiera dużo soli lub innych minerałów, jej przewodność wzrasta. Ma więcej mikrosimensów na centymetr. Innymi słowy, okreśną drogą próbujemy stwierdzić, skąd ta woda pochodzi.

Spojrzał na miernik i wyjął sondę z próbki.

– No dobrze, mój wielce użyteczny miernik wskazuje piętnaście tysięcy mikrosimensów na centymetr. Uwzględniając wszystkie moje wcześniejsze obiekcje, co nam to mówi?

Popatrzeli na niego tępo, a on wyjaśnił wielkodusznie:

– Że ta woda jest dobrym przewodnikiem. Nie tak dobrym, jak woda słona, ale zawiera wiele rozpuszczonych składników. Mogą to być minerały lub jony. Coś, co przewodzi prąd lepiej niż czysta woda.

– To znaczy, że jest zanieczyszczona? – spytał Mac z wahaniem.

– Zawiera wiele rozpuszczonych składników – powtórzył Knowles z uporem. – W tej chwili nie możemy stwierdzić nic ponadto. Teraz należałoby zbadać ją na obecność różnych minerałów i dopiero wtedy można by odpowiedzieć na pańskie pytanie. No, ale to niemożliwe, więc przejdźmy do badania pH.

Odstawił pierwszy miernik i włożył do próbki drugi. Spojrzał na odczyt, zmarszczył brwi, wyjął sondę i mruknął:

– A to cholerstwo. Czekać chwilę.

Wytrzeł koniec sondy. Dmuchał na nią. Lekko trzepnął ją dłonią. Z pomrukiem zadowolenia znów włożył ją do wody. Druga próba nie wypadła lepiej.

– No nie, to zupełnie do dupy.

– Co się stało? – spytała Kimberly.

– Albo próbka jest za mała, albo miernik się zepsuł. Gdyby mu wierzyć, pH wynosiłoby trzy przecinek osiem, a to wykluczone.

Tym razem dwa razy rąbnął sondą w biurko. Spróbował raz jeszcze.

– Trzy przecinek osiem? Co to znaczy? – spytał Mac.

– Że woda jest kwasowa. I to bardzo. Wyżarłaby wam dziury w ubraniu. Normalna wartość pH to siedem. Większość ryb i alg może przeżyć w wodzie o pH wynoszącym sześć przecinek pięć, ślimaki, małże i omułki potrzebują takiej, która ma siedem, ale owadom i karpom wystarczy woda o pH nie mniejszym niż sześć. Dlatego, kiedy sprawdzamy stawy i strumienie, w których cokolwiek żyje, na ogół uzyskujemy wynik w tych granicach. Woda deszczowa w Wirginii ma cztery przecinek dwa do czterech przecinek pięć pH, więc jej badanie mogłoby dać niski wynik, ale dzięki testowi zasolenia wiemy już, że to na pewno nie deszczówka. Trzy i osiem – nadal kręcił głową – to absurd.

Znów zerknął na miernik, mruknął coś ze złością i wyszarpnął sondę z próbki.

– Co pokazuje? – spytał Mac z przejęciem.

– Te same brednie, co poprzednio, trzy przecinek osiem. Przykro mi, ale próbka musi być za mała i tyle.

– Trzy próby i za każdym razem ten sam wynik – powiedziała Kimberly cicho. – Może ta woda rzeczywiście jest tak kwasowa.

– Nie, to bez sensu, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę, że odczyt pH, który

uzyskujemy teraz, jest wyższy od pH w miejscu pobrania próbki. Woda nie może mieć pH niższego niż cztery przecinek pięć. No, chyba żeby chodziło o wodę z kopalni.

Mac wyprostował się.

– To znaczy?

– Właściwie nie ma czego wyjaśniać. Woda, która wylewa się z kopalni albo przesącza się przez kopalniane odpady, po drodze ulega zanieczyszczeniu. To sprawia, że pH jest niezwykle niskie, może nawet wynieść dwa z czymś.

– I to rzadkie zjawisko? W Wirginii?

Knowles spojrział na Maca.

– Kolego, miejsc o takim pH jest niewiele na całym świecie, a co dopiero w Wirginii.

– Gdzie jest ta kopalnia? – spytała Kimberly niecierpliwie.

– Kopalnie, liczba mnoga. Jest ich od groma.

– Gdzie?

– Głównie w południowozachodniej Wirginii. W siedmiu hrabstwach, o ile dobrze pamiętam. – Knowles patrzył na Raya, szukając potwierdzenia. – Zaraz... Dickenson, Lee, Russell, Scott. Cholera, nie pamiętam. Muszę to sprawdzić. – Podsunął się z krzesłem do szafki, odepchnął nogi Raya na bok i zaczął przerzucać teczki.

– Jak duży to obszar? – nie ustępowała Kimberly.

Knowles wzruszył ramionami i znów spojrział na Raya.

– Obejmuje dużą część południowozachodniej Wirginii – wtrącił się Lee Chee. – W każdym razie, mały nie jest, jeśli o to ci chodzi.

– Ale woda zapewne pochodzi stamtąd – stwierdził Mac.

– Tego pan ode mnie nie usłyszysz – ostrzegł go Knowles. – Za mała próbka, zbyt subiektywne wyniki, zbyt wiele czynników, nad którymi nie mam kontroli.

– Ale prawdopodobieństwo jest duże.

– Jeśli założyć, że odczyt trzy przecinek osiem jest precyzyjny, to owszem, tak zanieczyszczonej wody należałoby szukać w kopalni. Jedyne inne wytłumaczenie... – Zamilkł, przygryzł dolną wargę. – To musiałoby być jakieś skażenie – powiedział w końcu. – Tylko to mogłoby spowodować tak drastyczny spadek poziomu pH. Mogłyby to sprawić ścieki kopalniane, ale i odpady organiczne. Odbywa się to tak: do wody dostaje się duża dawka materii organicznej ulegającej biodegradacji. Bakterie żywią się odpadami, ich populacja się rozrasta i zaczynają pochłaniać tlen szybciej niż algi czy rośliny wodne są w stanie go produkować. No i krótka piłka: wszystko, co potrzebuje tlenu do życia – powiedzmy, ryby, owady, rośliny – umiera, a beztlenowe bakterie opanowują zbiornik wodny. Właściwie tylko one mogą żyć w wodzie o tak niskim pH.

– Ale nie może pan zbadać próbki na obecność bakterii? – spytała go Kimberly.

– Nie, jest za mała.

– Czy... czy w ogóle może pan zrobić coś jeszcze?

– No, mógłbym spróbować zbadać ją na obecność minerałów. Mamy tu gościa, który wyciska wodę z próbek rdzeniowych sprzed tysięcy lat i przepuszczają przez swój sprzęt. Wiem, że te jego próbki muszą być małe, ale jakoś je analizuje. Nie wiem, jak dobry...

– Wszystko może nam się przydać – przerwał mu Mac.

– To bardzo ważne – podkreśliła Kimberly. – Musimy możliwie najbardziej zawęzić rejon poszukiwań. Siedem hrabstw to już coś, ale jeszcze lepiej byłoby ograniczyć go do siedmiu kilometrów.

– Siedmiu kilometrów? – Knowles spojrział na nią z powątpiewaniem. – Nawet gdybym jakimś cudem zidentyfikował minerały... cóż. – Zawiesił głos. – Z drugiej strony, między tymi górniczymi hrabstwami są pewne istotne różnice fizjograficzne. W niektórych rejonach występuje dużo piaskowca i łupka ilastego. W innych dominuje kras. Dlatego wyniki badania na obecność minerałów mogłyby coś dać. Uprzedzam, że raczej nie zawężę obszaru do siedmiu kilometrów, najwyżej do hrabstwa, może dwóch. Zobaczymy.

– Ile to potrwa? – naciskał Mac.

– Najpierw muszę pogadać z tym gościem, spytać o ustawienia sprzętu... No, dajcie mi parę dni.

– Dwie godziny.

– Że co?

– Niech pan słucha. Zagięły dwie dziewczyny. Stało się to już prawie czterdzieści osiem godzin temu. Jedna z nich jest w pobliżu miejsca, z którego pobrano tę wodę. Albo znajdziemy ją szybko, albo to już nie będzie miało znaczenia.

Knowles rozdziawił usta. Błady i wyraźnie zaniepokojony, spojrział nieufnie na małą próbkę.

– No dobra – powiedział szybko. – Dwie godziny.

– To nie wszystko. – Mac zwrócił się do Raya Lee Chee. – Mamy jeszcze jedną próbkę, którą trzeba przebadać. Kłopot w tym, że nie wiemy, co to jest.

Wyjął szklaną fiolkę zawierającą osad z włosów drugiej ofiary. Ray wziął ją do ręki, po czym podał Knowlesowi. Żaden z nich nie wiedział, co to jest, ale zgodzili się, że najlepiej będzie zwrócić się do palinologa, specjalisty od pyłków. I mieli szczęście. Jeden z najlepszych w całym stanie, Lloyd Armitage, miał przyjechać tego popołudnia.

– Coś jeszcze? – spytał Ray.

– Ryż – odparła Kimberly. – Surowy, długoziarnisty. Mówi wam to coś?

Odpowiedzią były zdumione spojrzenia. Knowles wyznał, że osobiście woli makaron. Ray Lee Chee stwierdził, że nie znosi gotować. Ale co tam, popytają ludzi.

I na tym się skończyło. Knowles spróbuje zbadać próbkę wody na obecność minerałów. Ray zasięgnie języka w sprawie ryżu, a Mac i Kimberly wyruszą w drogę.

– Z liściem było łatwiej – powiedziała Kimberly, kiedy ruszyli w głąb korytarza.

– I o to pewnie chodziło. – Mac pchnął drzwi wyjściowe i znów uderzyła w nich ściana gorąca. Kimberly zauważyła, że spojrział na zegarek.

– Już czas?

– Uhm. – Wsiedli do wozu i pojechali na lotnisko.

Rozdział 34

Richmond, Wirginia

10.34

Temperatura: 34,5 stopnia

Kimberly nie tak wyobrażała sobie Norę Ray Watts. Spodziewała się zobaczyć młodą zalęknioną dziewczynę. Zgarbioną, ze spuszczoną głową. Ubraną tak, by nie rzucać się w oczy, rozpaczliwie próbującą wmieszać się w tłum, rozglądającą się nerwowo po zatłoczonym lotnisku w poszukiwaniu jakiegoś nieokreślonego zagrożenia.

Będą obchodzić się z nią w rękawiczkach. Kupią jej colę, wyciągną z niej wszystko, co twierdzi, że wie o Ekomordercy, a potem odeślą ją do stosunkowo bezpiecznej Atlanty. Tak załatwia się takie sprawy i szczerze mówiąc, nie mieli czasu na bzdety.

Jednak Nora Ray Watts miała inne plany.

Szła pewnym krokiem, z podniesioną głową środkiem terminalu, ze starą torbą w kwiaty przewieszoną przez ramię. Miała na sobie obcisłe dzinsy, cienką niebieską koszulę, spod której wystawał biały top, i buty na wibracie. Jej długie brązowe włosy związane były w koński ogon, a na bladej spokojnej twarzy nie było nawet odrobiny makijażu. Od razu ruszyła w ich stronę, a inni pasażerowie rozstępowali się przed nią.

Na jej widok Kimberly przyszyły do głowy dwa skojarzenia. Dziewczyna która za szybko dorosła i kobieta będąca wyspą w morzu ludzkości. I zaczęła się zastanawiać, niemal ze strachem, czy inni wyczytywali to samo z jej twarzy.

Odwróciła się. Nora Ray podeszła do nich.

– Agent specjalny McCormack – powiedziała poważnym tonem i uściśniła wyciągniętą dłoń Maca.

Przedstawił Kimberly i Nora Ray podała jej rękę. Uścisk był mocny, ale krótki. Wyraźnie nie lubiła dotykać innych.

– Jak minął lot? – spytał Mac.

– W porządku.

– Jak się miewają twoi rodzice?

– W porządku.

– Uhm. I jaki kit im wcisnęłaś, żeby tu przyjechać?

Nora Ray uniosła podbródek.

– Powiedziałam, że chcę spędzić kilka dni ze starą znajomą ze studiów z Atlanty. Ojciec się ucieszył, że wreszcie z kimś się spotkam. Mama oglądała jakiś sitcom.

– Kłamstwo to grzech, moja mała.

– Fakt. Strach też. Idziemy?

Ruszyła w stronę restauracji, a Mac uniósł brew.

– Nie jest typową ofiarą – mruknęła Kimberly, kiedy szli za nią.

Mac tylko wzruszył ramionami.

– Ma dobrą rodzinę. Przynajmniej miała, zanim to wszystko się zaczęło.

Mac i Kimberly kupili sobie duże kawy bez cukru. Nora Ray wzięła colę i bananową babeczkę, w której zaczęła dłubać, kiedy usiedli przy stoliku.

Mac na razie o nic nie pytał. Kimberly też się nie spieszyło. Sączyła paskudną lurę i rozglądała się po lotnisku w Richmond, jakby nie miała nic lepszego do roboty, jak tylko siedzieć w klimatyzowanej hali. Nic bardziej pilnego od wypicia tej smakowitej kawy. Gdyby tylko serce tak mocno nie waliło w jej piersi. Gdyby tylko nie byli tak boleśnie świadomi upływającego czasu.

– Chcę pomóc – powiedziała nagle Nora Ray. Skończyła masakrować babeczkę i spojrzała na nich z niepokojem. Teraz bardziej przypominała młodą dziewczynę niż wyniosłą kobietę.

– Szef mówił, że wiesz coś o tej sprawie – powiedział Mac bez wyrazu.

– On znów zaczął. Porywa dziewczyny. Dwie zginęły, prawda?

– Skąd wiesz, skarbie?

– Bo wiem.

– Dzwoni do ciebie?

– Nie.

– Przysłała ci listy?

– Nie. – Wyprostowała się. W jej głosie zabrzmiała harda nuta. Najpierw ty odpowiedz na moje pytanie. Czy zginęły dwie dziewczyny? Czy znów zaczął to robić?

Mac milczał, niezręczna cisza przeciągała się. Nora Ray bawiła się kawałkami babeczki. Zlepiła je ze sobą a potem rozerwała i zrobiła z nich małe kuleczki. Dobra była. Wytrzymała dłużej niż oni.

– Tak – powiedział Mac szorstko. – Tak, znów zabija.

Od razu opuścił ją cały zapach. Skuliła się, ręce opadły ciężko na stół.

– Wiedziałam – szepnęła. – Nie chciałam wiedzieć, wmawiałam sobie, że to tylko sen. Ale w duszy... W duszy wiedziałam. Biedne dziewczyny. Nie miały szans.

Mac nachylił się ku niej. Skrzyżował ramiona na stoliku i wbił w nią wzrok.

– Nora Ray, lepiej zacznij mówić. Skąd to wszystko wiesz?

– Nie będziecie się śmiali?

– Po tym, co działo się przez ostatnie trzydzieści sześć godzin, nie mam siły nawet się uśmiechać.

Nora Ray spojrzała niepewnie na Kimberly.

– Jestem jeszcze bardziej zmęczona od niego – powiedziała. – Dlatego możesz nam śmiało powierzyć swoją tajemnicę.

– To mi się przyśniło.

– Przyśniło?

– Prawie co noc śni mi się moja siostra. Nie mówię o tym ludziom. Po co mają się niepokoić. Chyba jest szczęśliwa. Gdziekolwiek trafiła, są tam łąki, konie i świeci słońce. Ona mnie nie widzi. Nie wiem, czy ja w ogóle istnieję w jej świecie. Ale ja często ją widuję, i chyba nie jest jej źle. Tyle że kilka dni temu pojawiła się tam inna dziewczyna. A zeszłej nocy

dołączyła do niej następna. Chyba jeszcze do nich nie dotarło, że nie żyją.

Mac patrzył na nią bez wyrazu. Przejechał dłonią po twarzy raz, potem drugi i trzeci. Nie wie, co robić, uprzytomniła sobie Kimberly. Nie wie, co powiedzieć. Nie tak wyobrażali sobie tę rozmowę.

– Czy te dziewczyny wiedzą, że tam jesteś? – spytała wreszcie. – Rozmawiają z tobą?

– Tak. Jedna z nich ma młodszą siostrę. Pytała, czy też będzie jej się śniła.

– Mogłabyś opisać te dziewczyny?

Nora Ray wyrecytowała dwa rysopisy. Niby nie zgadzały się w stu procentach, ale nie były też błędne. Blondynka, brunetka. Ludzie, którzy twierdzą, że mają zdolności parapsychologiczne, często mówią ogólnikami, by resztę dopowiedzieli sobie słuchacze.

– A widzisz w snach tego mężczyznę? – spytał Mac.

– Nie.

– Tylko dziewczyny?

– Tak.

Mac rozłożył ręce.

– Noro Ray, nie wiem, w czym ma to nam pomóc.

– Ja też – przyznała, bliska łez. – Ale to już coś, nie? Jakaś więź. Jakieś... nie wiem co! Ale widzę te dziewczyny. Wiem, że nie żyją! Wiem, że czują ból, są zagubione i wściekłe na tego człowieka za to, co im zrobił. Może uda mi się to wykorzystać. Mogłabym zadać im więcej pytań, zdobyć informacje o mordercy, dowiedzieć się, gdzie mieszka. Nie wiem. Ale to już coś! Jestem tego pewna!

Jej głos się załamał. Bezwiednie wgniała kawałki ciasta w blat stołu. Wydawało się, że tylko to ratuje ją od utraty zmysłów.

Kimberly spojrzała na Maca. Chyba żałował, że zgodził się na to spotkanie.

– Dziękuję, że tu przyjechałaś i powiedziałaś mi o tym – stwierdził w końcu poważnie.

– Nie odeślcie mnie do domu.

– Noro Ray...

– Nie. Mogę pomóc! Jeszcze nie wiem jak. Ale mogę. Jeśli nadal szukacie tego człowieka, to zostaję.

– Noro, jesteś cywilem. Ja prowadzę oficjalne śledztwo. Jest trudne, zajmuje wiele czasu i choć jestem pewien, że masz dobre chęci, twoja obecność tylko spowolni moje działania i... wybacz, że powiem wprost... wszystko trafi szlag. Dlatego wracaj do domu. Zadzwoń, gdy czegoś się dowiemy.

– On znów zaatakuję. Wtedy, w lecie, zaatakował dwa razy. Tak samo będzie teraz.

– Noro Ray, skarbie... – Mac rozłożył ręce. Zdawał się szukać sposobu, by trafić do tej dziewczyny, sprawić, by zrozumiała, że jej wysiłki są daremne. – Morderca w pewnym sensie już zaatakował dwa razy. Zamiast dwóch, uprowadził cztery dziewczyny. Dwie już nie żyją, dwie zaginęły i, Bóg mi świadkiem, nie mogę siedzieć tu dłużej i gadać. To poważna sprawa. Wracaj do domu, Noro Ray. Będę w kontakcie.

Mac wstał. Kimberly zrobiła to samo. Jednak i tym razem Nora Ray nie zachowała się zgodnie z ich oczekiwaniami. Wstała, a jej brązowe oczy zapłonęły jasnym blaskiem.

– A więc o to chodzi – wydyszała. – Znajdziemy te zaginione dziewczyny. To dlatego widzę w snach te, które już nie żyją. Los chciał, żebym tu przyjechała. Żebym wam pomogła.

– Noro...

Dziewczyna uciszyła go przeczącym ruchem głowy.

– Nie. Mam dwadzieścia jeden lat, jestem dorosła. Podjęłam decyzję. Zostaję z wami, choćbym musiała gonić was taksówką czy uczeplić się zderzaka waszego wozu. Spiesz się, więc powiedzcie tylko „tak” i będziemy mogli wziąć się do roboty. Co trzy głowy, to nie dwie. Zobaczycie.

– Wsiadaj do samolotu, bo zadzwonię do twoich rodziców.

– Nie. Spójrz mi w oczy i powiedz, że się mylę. Że jesteś w stu procentach pewny, że nie mogę wam pomóc. Bo ten człowiek zabija od dawna, agencie McCormack. Od wielu, wielu lat, a ty do tej pory go nie powstrzymałeś. Choćby dlatego warto byłoby zainteresować się snami.

Mac wyraźnie się wahał. Dziewczyna doskonale potrafiła obudzić w nim wyrzuty sumienia. Poza tym w jej słowach tkwiło ziarno prawdy. W ostatnich latach policja z wielu miast korzystała z pomocy mediów i wróżbitów. Zdarzało się, że choć detektywi robili wszystko, co nakazywały zasady logiki, to sprawa pozostawała nierozwiązana. Kolejne analizy przebiegu wydarzeń i dowodów nie przynosiły efektów. Policjanci popadali we frustrację, ślady ulegały zatarciu i ani człowiek się obejrzał, a już jakiś wariat opowiadający przez telefon o swoich wizjach okazywał się najlepszym informatorem.

Choć Kimberly uczestniczyła w tym śledztwie dopiero od trzydziestu sześciu godzin, to pomysł, by szukać odpowiedzi w snach, wydał jej się kuszący. Nie wyobrażała sobie, co po pięciu ciężkich latach musi czuć Mac. Oto, do czego to wszystko doprowadziło. Dwie dziewczyny martwe. Dwie zaginione. Zegar tyka...

– Wiesz, jakie miejsca wybiera ten człowiek – powiedział wreszcie Mac.

Nora Ray podniosła torbę i machnęła nogą obutą w but na wibracie.

– Jestem gotowa.

– To niebezpieczne.

Uśmiechnęła się tylko.

– Nie musisz mi tego mówić.

– Trzy lata temu miałaś szczęście.

– Wiem. Od tamtej pory dużo ćwiczyłam. Czytałam książki o sztuce przetrwania, poznawałam przyrodę, nabierałam kondycji. Nawet się nie domyślasz, jak dużo wiem. Może nawet wam się przydam.

– To nie twoja wojna.

– To moja jedyna wojna. Moja siostra już nigdy nie wróci, agencie McCormack. Moja rodzina się rozpadła. Przez ostatnie trzy lata żyłam w martwym domu, czekając na dzień, kiedy jakimś cudem przestanę się bać. I wiesz co? To nie stanie się samo. Dlatego pomyślałam, że co mi szkodzi tu przyjechać.

– To nie jest wendeta. Jeśli go znajdziemy, a ty choćby go tkniesz...

– Jestem dwudziestojednoletnią dziewczyną z torbą, która przeszła przez lotniskową

kontrolę. Co niby miałabym zrobić?

Mac nadal się wahał. Spojrzał na Kimberly.

– Pociągasz określony typ kobiet – powiedziała, wzruszając ramionami.

– Od jutra zmieniam wodę kolońską – stwierdził poważnie.

– A co będzie do tego czasu?

Westchnął i spojrzał w głąb terminalu.

– No dobra – powiedział nagle. – Co tam, i tak nie mam zgody na prowadzenie tego śledztwa. Kimberly też. Jeden nieuprawniony śledczy mniej czy więcej, co za różnica? Cholera, dziwniejszego dochodzenia jeszcze nie prowadziłem. Wiesz coś o ryżu? – spytał Norę Ray.

– Nie.

– A o pyłkach?

– Że się od nich kicha.

Pokręcił głową.

– Bierz torbę. Przed nami kawał drogi, a robi się późno.

Nora Ray dołączyła do Kimberly i razem próbowały nadażyć za Makiem, który długimi krokami przemierzał terminal.

– Lepiej się czujesz? – spytała Kimberly.

– Nie – odparła dziewczyna. – Tak naprawdę to się boję.

Rozdział 35

Quantico, Wirginia

10.41

Temperatura: 33 stopnie

Quincy i Rainie jechali do Quantico w milczeniu. Nic nowego. Ostatnio jedli w milczeniu, podróżowali w milczeniu, dzielili pokój w milczeniu.

Dziwne, że Rainie początkowo właściwie nie zwracała na to uwagi. Może uważała milczenie za dowód wzajemnego zaufania? Tak dobrze się ze sobą czują, że nie potrzebują słów. Teraz cisza wydawała jej się bardziej złowieszcza. Gdyby można ją było oddać jakimś dźwiękiem, to byłby to trzask góry lodowej, pękającej nagle na środku zamarznętego oceanu.

Rainie przycisnęła czoło do ciepłej szyby od strony pasażera. Bezwiednie potarła skronie, próbując odpędzić ponure myśli.

Na zewnątrz słońce prażyło bezlitośnie. Choć w małym wynajętym samochodzie włączona była klimatyzacja, Rainie czuła, jak żar zbiera się tuż za wylotami przewodów wentylacyjnych. Jej nogi były rozgrzane słońcem. Po plecach spływała strużka potu.

– Myślisz o Oregonie? – spytał nagle Quincy. Jak zwykle, miał na sobie niebieski garnitur. Marynarka na razie leżała na tylnym siedzeniu, ale krawat nadal był na miejscu. Dzień w dzień to samo. Nie wiedziała, jak on to wytrzymuje.

– Nie całkiem. – Wyprostowała się i wyciągnęła nogi. Miała na sobie szorty khaki i białą koszulę, którą przydałoby się wyprasować. Za nic nie włożyłaby garsonki. Co z tego, że wracają do Quantico. Nie było to jej ulubione miejsce i oboje o tym wiedzieli.

– Ostatnio często myślisz o Oregonie, co? – spytał Quincy. Przyjrzała mu się uważniej, zaskoczona jego nieustępliwością. Miał nieprzeniknioną twarz. Ciemne oczy wbił w drogę. Usta zacisnął w wąską kreskę. Uznała, że próbuje odegrać wobec niej rolę obiektywnego psychologa.

– Tak odparła.

– Dużo czasu minęło. Prawie dwa lata. Może jak to się skończy, powinniśmy tam pojechać. Do Oregonu. Wziąć urlop.

– Dobrze. – Jej głos był bardziej chrapliwy, niż zamierzała. Cholerny świat, miała łzy w oczach.

Odwrócił się do niej i po raz pierwszy wyczytała z jego twarzy paniczny strach.

– Rainie...

– Wiem.

– Zrobiłem coś nie tak?

– Nie chodzi o ciebie.

– Wiem, że bywam nieprzystępny. Wiem, że czasem pochłania mnie praca...

– Robię to samo, co ty.

– Ale nie jesteś szczęśliwa. I nie mówię tylko o dniu dzisiejszym. Już dawno nie byłaś

szczęśliwa.

– Tak. – Sama była zaskoczona, że wreszcie powiedziała to na głos. Ogarnęło ją dziwne uczucie. Ulga. Wyrzuciła to z siebie. Wyznała, co dręczyło ją od pół roku.

Quincy skierował wzrok na drogę. Na chwilę zacisnął dłonie na kierownicy.

– Mogę jakoś pomóc? – spytał wreszcie, już bardziej opanowany. Typowe. Gdyby ktoś walnął go w brzuch, Quincy co najwyżej wyprostowałby ramiona. Za to gdyby ktoś skrzywdził jego córkę albo groził Rainie... Wtedy przestawał się patyczkować. W jego oczach zapalał się dziki blask, a on sam zmieniał się w zabójczą broń. Quincy, uznany kryminolog, stawał się Piercem, człowiekiem nadzwyczaj niebezpiecznym.

Jednak tak było tylko wtedy, gdy ktoś krzywdził osoby mu najbliższe. Siebie nigdy nie próbował chronić.

– Nie wiem – odparła Rainie wprost.

– Jeśli chcesz pojechać do Oregonu, pojedę tam. Jeśli potrzeba ci odpoczynku, odpoczniemy. Jeśli chcesz więcej swobody, dam ci ją. Jeśli potrzebujesz ciepła, powiedz tylko słowo, a zjadę na pobocze i wezmę cię w ramiona. Musisz jednak coś mi powiedzieć, Rainie, bo od dawna błądzę w mroku i chyba zaczynam odchodzić od zmysłów.

– Quincy...

– Zrobiłbym wszystko, żeby cię uszczęśliwić, Rainie.

A ona powiedziała cicho:

– Quincy, chciałabym mieć dziecko.

Kiedy wjechali na parking pod Akademią imienia Jeffersona, Kapłan już na nich czekał. Był zmęczony, spocony i zły jak diabli.

– Podobno mam z wami nie rozmawiać – powiedział, kiedy tylko wysiedli. – Podobno powinienem kontaktować się tylko z jakimś nowym, który przejął śledztwo.

Quincy lekko wzruszył ramionami.

– Nie powiadomiono mnie o żadnych zmianach personalnych. A ciebie, Rainie?

– Nie. Nic nie słyszałam.

– Nie trzeba wierzyć plotkom – poradził Kapłanowi Quincy.

Kapłan uniósł brew. Ze zwinnością zaskakującą u człowieka o jego budowie złapał komórkę przypiętą do pasa Quincy'ego. Była wyłączona.

– Sprytnie – burknął. – Cóż, skoro robią w chuja swoich ludzi, zapraszam na moje włości. Zwłoki są tutaj, ten teren podlega mojej jurysdykcji i nie zamierzam odpuścić.

– Amen – mruknął Quincy. Rainie tylko ziewnęła.

Kapłan nadal marszczył czoło.

– Dlaczego chcecie jeszcze raz przesłuchać wartowników? Myślicie, że za pierwszym razem pytałem ich nie o to, co trzeba?

– Nie, ale mamy nowe informacje.

To wyraźnie uspokoiło agenta. Odprężył się, zaprosił ich gestem do samochodu, po czym wjechali do bazy.

– Chłopcy dziś rano byli na ćwiczeniach – powiadomił ich Kapłan. – Kazałem dowódcy ich zwolnić. Powinni czekać na nas w szkole. Są młodzi, ale dobrzy. Jeśli wiedzą coś, co

może wam się przydać, na pewno to powiedzą.

– A dzieje się tu coś ciekawego?

– To znaczy, czy są nowe trupy? Dzięki Bogu, nie. Ogłoszenia w „Quintico Sentry”? Jak na razie, żadnych. Wczoraj wieczorem spotkałem się z rodzicami Betsy Radison. I to by było na tyle.

– Musiało być ciężko – powiedział Quincy cicho.

– Było.

Kapłan skręcił w stronę kompleksu budynków, w których mieściła się szkoła marines. Rzeczywiście, przed jednym z nich siedzieli dwaj młodzi rekruci w strojach maskujących, z czapkami nasuniętymi na czoła i grubymi pasami z ekwipunkiem wokół bioder. Kiedy Kapłan, Quincy i Rainie podeszli, żołnierze natychmiast stanęli na baczność.

Kapłan przedstawił ich gościom. Rekruci ani na chwilę nie zmienili pozycji.

– To Pierce Quincy, cywil. Zada wam kilka pytań dotyczących wieczoru piętnastego lipca. To jego partnerka, Lorraine Conner. Ona też może mieć do was pytania. Odpowiedzcie na nie najlepiej, jak potraficie. Będziecie się odnosili do naszych gości z takim szacunkiem, z jakim odnieśliście się do oficerów marines zwracających się do was o pomoc. Jasne?

– Tak jest!

Kapłan skinął głową na Quincy’ego.

– Proszę bardzo.

Quincy uniósł brew. Cały ten ceremoniał wydał mu się nieco przesadny. Z drugiej strony, Kapłan przeżywał ostatnio ciężkie chwile. FBI zamknęło przed nim swój świat. Teraz mógł pokazać, jaką władzę ma w swoim.

Quincy podszedł do dwóch żołnierzy.

– Pełniliście nocną wartę piętnastego lipca?

– Tak jest.

– Zatrzymywaliście wszystkie przyjeżdżające samochody i sprawdzaliście dokumenty kierowców?

– Tak jest!

– A pasażerów?

– Wszyscy goście muszą okazać dokumenty!

Quincy popatrzył z ukosa na Rainie. Nie ośmieliła się spojrzeć mu w oczy, bo jeszcze by się roześmiała albo rozplakała. Może jedno i drugie. Ten ranek już wcześniej był trochę surrealistyczny, a jakby tego było mało, teraz przesuśchiwali dwie wytresowane foki.

– Jakie samochody zatrzymywaliście tamtej nocy? – spytał Quincy. Po raz pierwszy nie wykrzyczeli odpowiedzi od razu. Obaj zgodnie z przepisami patrzyli prosto przed siebie, ale byli wyraźnie zakłopotani. Quincy spróbował jeszcze raz.

– Agent specjalny Kapłan mówił, że meldowaliście, iż tamtej nocy panował duży ruch.

– Tak jest! – krzyknęli jednocześnie.

– A w większości samochodów byli wracający do akademików studenci Akademii Narodowej.

– Tak jest!

– Prowadzili własne czy wynajęte samochody? Domyślam się, że widzieliście dużo małych, nierzucających się w oczy aut.

– Tak jest. – Z nieco mniejszym przekonaniem.

– A furgonetki? – spytał Quincy łagodnie. – Może nad ranem przyjechała jakaś furgonetka?

Cisza. Wartownicy zmarszczyli brwi.

– Parę furgonetek widzieliśmy – powiedział w końcu jeden.

– Może odnotowaliście ich przyjazd w księdze gości albo zapisaliście numery rejestracyjne?

– Nie.

Teraz to Quincy zmarszczył brwi.

– Dlaczego? Przecież jeżdżą tu głównie samochody osobowe. Chyba rzadko widujecie tu furgonetki.

– Nie, proszę pana. Budowa.

Quincy spojrział pytająco na Kapłana, który zdawał się rozumieć, o co chodzi.

– Na terenie bazy trwają roboty budowlane – wyjaśnił. – Nowe strzelnice, laboratoria, budynki administracyjne. Mamy pracowite lato, a większość ekip budowlanych jeździ furgonetkami i ciężarówkami. Wpuszczamy nawet ludzi w wózkach widłowych.

Quincy zamknął oczy. Choć na pozór zachowywał spokój, Rainie widziała, że wzbiera w nim gniew. Drobne szczegóły, o których nikt nie wspomniał na początku. Nawet najdrobniejszy z nich mógł mieć kluczowe znaczenie dla sprawy.

– A więc na terenie bazy kręci się mnóstwo robotników budowlanych – stwierdził zimno. Otworzył oczy i spojrział na Kapłana. – I ani słowem o tym nie wspomniałeś?

Kapłan poruszył się niespokojnie.

– Nikt o to nie pytał.

– Na terenie bazy popełniono morderstwo, a tobie nie przyszło do głowy wspomnieć, że co dzień przyjeżdża tu cała masa mężczyzn w wieku od osiemnastu do trzydziestu pięciu lat, pracowników fizycznych zatrudnionych na czas określony, innymi słowy, ludzi odpowiadających portretowi psychologicznemu mordercy?

Teraz nawet dwaj wartownicy patrzyli na Kapłana z zainteresowaniem.

– Każdy, kogo wpuszczamy na teren bazy, jest skrupulatnie sprawdzany – odparł Kapłan spokojnie. – Tak, mam listę wszystkich robotników, a moi ludzie ich przesłuchali. Nie wpuszczamy na teren bazy osób notowanych przez policję – czy chodzi o robotników, wykonawców, gości, czy studentów. Wszyscy są czyści.

– To świetnie – powiedział Quincy zjadliwym tonem. – Tyle że jest jeden problem, agencie Kapłan. Człowiek, którego szukamy, nie jest notowany. Jeszcze go nie złapaliśmy!

Kapłan poczerwieniał. Czuł na sobie spojrzenia wartowników i widział, że Quincy zaczyna tracić cierpliwość. Mimo to nie dał za wygraną.

– Sprawdziliśmy wszystkich z listy. Nikt nie popełnił żadnych przestępstw. Innymi słowy, nic nie wskazuje na to, by którykolwiek z robotników mógł być uznany za podejrzanego. Co, mam zgarnąć wszystkich kierowców furgonetek?

- To byłoby coś.
- To połowa ludzi z listy!
- A ile z tych osób mieszkało kiedyś w Georgii?

Kapłan znieruchomiał, zamrugał nerwowo, a Quincy skinął głową z ponurą miną.

– Zwykła lista wydanych przepustek. To wystarczy. Zawiera wszystkie poprzednie adresy, co pozwoli nam wyłowić osoby, które mają związki z Georgią. I tak powstanie lista podejrzanych. Dobrze mówię?

– To... ale... cóż... no dobra.

– Gdzieś tam są jeszcze dwie dziewczyny – ciągnął Quincy, już ciszej. – A mordercy już za długo uchodzi to na sucho.

– Przecież nie wiadomo, czy jest pracownikiem którejś z ekip budowlanych – nie ustępował Kapłan.

– Nie, ale powinniśmy przynajmniej o to popytać. Nie możemy pozwolić mordercy przejąć kontroli. Wierz mi. – Oczy Quincy'ego nabrały nieobecnego wyrazu. – Albo zapanujesz nad sytuacją, albo przegrasz. Kiedy ma się do czynienia z takimi ludźmi, wszystko sprowadza się do rywalizacji. Zwycięzca zgarnia całą pulę.

– Powiem moim ludziom, żeby przejrzyli listę – powiedział Kapłan. – Dajcie nam kilka godzin. Gdzie będziecie?

- W BSU, u doktora Ennunzio.
- Wyciągnął jakieś wnioski na podstawie tego ogłoszenia?
- Nie wiem. Ale miejmy nadzieję, że choć jemu dopisało szczęście.

Rozdział 36

Wirginia

11.34

Temperatura: 36 stopni

Tina przystosowała się do otoczenia. Na rękach, nogach i ładnej zielonej sukience miała plamy błota. Cuchnąca breja pokrywała jej twarz i szyję, muł przelewał się między palcami nóg. Wzięła następną garść mazi i rozmazała ją sobie na piersi.

Przypomniała jej się szkolna lektura pod tytułem *Władca much*. Według jednego z jakże przydatnych bryków, książka tak naprawdę opowiadała o mokrym śnie. Tina jakoś tego nie zauważyła. Pamiętała przede wszystkim to, jak opuszczone przez dorosłych dzieci zamieniały się w małych dzikusów, najpierw zabijały dziki, a potem siebie nawzajem. Książka była niepokojąca, pełna napięcia, ale miała też podtekst seksualny. Może więc rzeczywiście opowiadała o mokrych snach? Tina nie potrafiła stwierdzić, czy chłopcom z jej klasy podobała się bardziej niż inne lektury.

Ale w gruncie rzeczy nie o to chodziło. Chodziło o to, że Tina Krahn, studentka w ciąży i zabawka szaleńca, mogła przekonać się na własnej skórze, jak literatura ma się do życia. I kto mówił, że w szkole nie można się niczego nauczyć?

Zaczęła smarować się błotem z samego rana, kiedy słońce pięło się już po niebie i jeszcze trochę, a usmażyłoby ją jak robaka pod lupą. Breja cuchnęła jak diabli, ale była przyjemnie chłodna. Pokryła jej rozognioną skórę warstwą ochronną, której pokonać nie mogły nawet te cholerne komary. Wypełniała nozdrza Tyny piżmowym zapachem zgnilizny. Aż jej się zakręciło w głowie.

Błoto ją ocali. Błoto jest jej sprzymierzeńcem. Tina wpatrywała się w bulgoczącą masę i zastanawiała się, czy nie dałoby się zjeść choćby garści. Nie miała już wody ani krakersów. Czuła silny ucisk w żołądku, jakby zaraz miały ją złapać najgorsze bóle miesiączkowe świata. Pewnie wkrótce straci dziecko. Jest złą matką, a teraz maleństwo także chce zagłębić się w błocie.

Czy płakała? Trudno było stwierdzić, jej policzki pokrywała gruba warstwa schnącej mazi.

Błoto jest mokre. Tak przyjemnie byłoby poczuć, jak ścieka przez jej wyschnięte, wygłodniałe gardło. Wypełniłoby jej żołądek ciężką gnijącą masą.

To byłoby takie łatwe. Wziąć następną garść błota. Wcisnąć ją do ust.

Majaczysz, szepnął głos w głębi jej duszy. Upał i odwodnienie zrobiły swoje. Choć było gorąco, wstrząsały nią dreszcze. Przy każdym ruchu świat wirował przed oczami. Czasami wybuchała śmiechem, sama nie wiedziała, dlaczego. Czasami siadała w kącie i szlochała, ale to przynajmniej miało jakieś uzasadnienie.

Tego ranka rany na jej rękach i nogach zaczęły się ruszać. Nacisnęła palcami jedną z nich i ku jej przerażeniu, wyskoczyły z niej cztery białe larwy. Jej ciało gniło. Robale pożerały ją

żywcem. Zostało jej niewiele czasu.

Śniła o wodzie, o lodowatych strumieniach omywających jej ciało. O eleganckich restauracjach ze stolikami nakrytymi białymi obrusami, na których czterej kelnerzy w smokingach stawiali kolejne wypełnione po brzegi szklanki zmrożonej wody. Jadła smażone steki i gotowane ziemniaki polane stopionym serem. Do tego karczochy prosto z puszki, a tłuszcz ściekał jej po brodzie.

Śniła o pokoju dzieciennym o jasnożółtych ścianach i kędzierzawej główce wtulonej w jej pierś.

Śniła o matce, idącej za jej trumną i stojącej samotnie przy grobie.

Gdyby zamknęła oczy, mogłaby wrócić do świata snów. A larwy niech żrą jej ciało. A niech się utopi w błocie. Może nawet nie zauważy, kiedy nadejdzie koniec. Po prostu odpłynie, zabierając ze sobą dziecko.

Tina otworzyła oczy. Zmusiła się, by podnieść głowę. Z trudem wstała. Świat znów zawirował i oparła się o głaz.

Nie będzie jadła błota! Nie podda się. Ona, Tina Krahn, jest na to za twarda.

Oddychała płytko gorącym i gęstym powietrzem. Zatoczyła się na pokrytą pnączami ścianę i zobaczyła węża, który uciekł w bok z głośnym sykiem. Oparła się i poczuła na brudnych policzkach chłodne łydgi.

Poklepała ścianę jak wiernego psa. Dziwne, nie przypominała w dotyku chłodnego cementu. Co więcej...

Tina odepchnęła się od niej. Jej oczy były potwornie zapuchnięte; tak trudno było cokolwiek zobaczyć... Otworzyła je najwyższym wysiłkiem woli, jednocześnie odchylając pnącza. Drewno. Ta część jamy trzyma się na drewnie. Na podkładach kolejowych czy czymś takim. Starych podkładach kolejowych, któregniły ze starości.

Gorączkowo wbiła palce w jedyny widoczny otwór. Szarpnęła mocno i poczuła, że drewno zaczyna ustępować. Trzeba zwiększyć nacisk. Przydałoby się coś cięższego, jakiegoś narzędzie.

Kamień.

Padła na kolana i zaczęła grzebać w błocie, a jej oczy zapłonęły szaleńczym blaskiem. Znajdzie jakiś kamień. Wydłubie w belkach dziury. A potem wydostanie się z tej jamy jak Spiderman. Wejdzie na górę, gdzie znajdzie chłód, wodę, jakąś zieleninę do jedzenia.

Ona, Tina Krahn, studentka w ciąży i zabawka szaleńca, wreszcie odzyska wolność.

Lloyd Armitage, palinolog USGS i kolejny najlepszy przyjaciel Raya Lee Chee, spotkał się z nimi kilka minut po dwunastej. Pięć minut później Mac, Kimberly i Nora Ray wchodzili już do sali konferencyjnej, w której Armitage urządził swoje objazdowe laboratorium. Dziwne towarzystwo, pomyślał Mac, no, ale w końcu to dziwna sprawa. Kimberly wyglądała na potwornie zmęczoną, ale była skupiona, miała lekko nasrożoną minę, którą zdążył tak dobrze poznać. Z twarzy Nory Ray o wiele trudniej było cokolwiek wyczytać. Uznał, że stara się nie myśleć o decyzji, jaką podjęła.

– Ray Lee Chee mówił, że prowadzicie śledztwo w sprawie jakiegoś zabójstwa – zaczęła

Armitage.

– Mamy pewne dowody znalezione na miejscu zbrodni – odparł Mac. – Musimy określić, skąd pochodzą. Niestety, nie mogę powiedzieć nic poza tym, że cokolwiek pan stwierdzi, potrzebujemy tych informacji na wczoraj.

Armitage, starszy mężczyzna o gęstych włosach i brązowej brodzie, uniósł brew.

– A więc to tak. Cóż, między nami mówiąc, analiza pyłków nie jest tak precyzyjna jak botanika. Moja praca polega głównie na pobieraniu próbek gleby. Za pomocą odrobiny kwasu solnego i hydrofluorowego rozdzielam minerały wchodzące w jej skład. Potem przepuszczam wszystko przez sita, mieszam z chlorkiem cynkowym i wsadzam do medycznej wirówki, no i hokuspokus, uzyskuję próbkę świeżego pyłku. Czy też pochodzącego sprzed kilku tysięcy lat, różnie to bywa. Mogę wtedy określić rodzinę rośliny, która go pozostawiła, ale nie gatunek. Na przykład, mogę wam powiedzieć, że dany pyłek pochodzi z grochodrzewu, ale nie z jakiego grochodrzewu. Da wam to coś?

– Nie bardzo wiem, co to jest grochodrzew – przyznał Mac. – Cokolwiek więc pan odkryje, będzie to dla nas coś nowego.

Armitage przyjął to do wiadomości. Wyciągnął rękę i Mac dał mu próbkę.

– To nie pyłek – powiedział od razu.

– Jest pan pewien?

– Za duży. Drobin pyłku mają od pięciu do dwustu mikronów, czyli mniej niż grubość ludzkiego włosa. To tutaj rozmiarem bardziej przypomina osad.

Jednak palinolog się nie poddał. Otworzył fiolkę, wytrząsnął małą część jej zawartości na szkiełko, które wsunął pod mikroskop.

– Hm – mruknął. – Hm – powtórzył po chwili.

– To związek organiczny – stwierdził w końcu. – Jednorodna substancja, a nie mieszanka różnych osadów. Coś jakby kurz, tyle że bardziej gruboziarnisty. – Podniósł kędzierzawą głowę. – Gdzie to znaleźliście?

– Niestety, nie mogę panu powiedzieć.

– Czy razem z tym znaleźliście coś jeszcze?

– Wodę i ryż.

– Ryż? Dlaczego ryż?

– To pytanie za milion dolarów. Może ma pan jakieś przypuszczenia?

Armitage zasepił się, poruszył brwiami i wydał wargi.

– Powiedźcie coś o tej wodzie. Byliście z nią u hydrologa?

– Brian Knowles obejrzał ją dziś rano. Wyjątkowo niskie pH, trzy przecinek osiem i duże... zasolenie, o ile się nie mylę. Piętnaście tysięcy mikrosimensów na centymetr, co oznacza, że może być w niej sporo minerałów albo jonów. Knowles uważa, że pochodzi z kopalni albo została zanieczyszczona przez odpady organiczne.

Armitage z ożywieniem skinął głową.

– Tak, tak, uważa, że w grę wchodzi hrabstwa górnicze, prawda?

– Chyba tak.

– Dobry jest, ale jedno przeoczył. – Lloyd wysunął szkiełko spod mikroskopu i, ku

zaskoczeniu wszystkich, dotknął próbki palcem wskazującym, który potem polizał. – Cały kłopot w tym, że to takie drobne. Jakby było bardziej gruboziarniste, sami byście to zidentyfikowali.

– To znaczy, że pan już wie, co to jest? – spytał Mac ostro.

– No pewnie. Trociny. Żaden pyłek, tylko mocno rozdrobnione drewno.

– Nie rozumiem... zaczęła Kimberly.

– Chodzi o tartak, moja droga. Oprócz górnictwa, w południowozachodniej części stanu kwitnie przemysł drzewny. To są trociny. A jeśli coś łączy wszystkie te próbki...

– Mamy taką nadzieję – wszedł mu w słowo Mac.

– Niski wskaźnik pH tej waszej wody spowodowany jest przez odpady organiczne. Otóż jeśli odpadów z tartaku nie usuwa się w odpowiedni sposób, materia organiczna dostaje się do strumieni, co powoduje gwałtowny rozrost bakterii, które w końcu wypierają wszystkie inne istoty żywe. Czy Brian zbadał już tę próbkę na zawartość bakterii?

– Nie, jest za mała.

– Ale to wysokie zasolenie... – mruknął Armitage. – To muszą być jakieś minerały. Szkoda, że nie może zrobić dalszych badań.

– Chwileczkę – powiedziała Kimberly w skupieniu. – To znaczy, że to pochodzi z tartaku, a nie z kopalni?

– Cóż, w kopalniach raczej trudno o trociny, dlatego owszem, przypuszczam, że chodzi o tartak.

– I tam też może być kwasowa woda?

– Skażenie to skażenie, moja droga. A skoro pH wynosi trzy i osiem, to ta wasza woda musi pochodzić z wyjątkowo skażonego źródła.

– Knowles sugerował, że może być mocno zanieczyszczona – powiedział Mac. – Czy tartaków nie obowiązują przepisy dotyczące usuwania odpadów?

– Teoretycznie tak. No, ale w Wirginii tartaków jest mnóstwo i nie zdziwiłbym się, gdyby przynajmniej niektórymi z tych mniejszych nikt się nie interesował.

Nora Ray wreszcie się ożywiła. Patrzyła z zaciekawieniem na palinologa – A gdyby to był zamknięty tartak? – spytała cicho. – Zatrzaśnięty na cztery spusty, opuszczony. – Spojrzała na Maca. – To byłoby miejsce w sam raz dla niego. Odludne i niebezpieczne, jak z horroru klasy B.

– No, nie wątpię, że w Wirginii jest dużo opuszczonych tartaków – powiedział Armitage. – Zwłaszcza w górniczych hrabstwach. To dość słabo zaludniona okolica. No i, szczerze mówiąc, całkiem dobre miejsce do kręcenia horrorów.

– Jak to? – spytał Mac.

– To zubożały wiejski region. Ludzie przenosili się tam, by dostać własny kawałek ziemi i być poza zasięgiem rządu. Potem powstały kopalnie węgla, które przyciągnęły hordy robotników szukających lepszych zarobków. Niestety, nikt jeszcze nie dorobił się fortuny na rolnictwie, wyrębie drzew czy górnictwie. Teraz została tam tylko zniszczona ziemia, zamieszkiwana przez zniszczonych ludzi. Jakoś sobie radzą, ale życie jest ciężkie i to widać.

– A więc zostaje nam tych siedem hrabstw – mruknął Mac.

– Na to wychodzi.

– Nie może pan nam powiedzieć nic więcej?

– Nie na podstawie garści trocin.

– Cholera. – Siedem hrabstw. To za dużo. Może gdyby zaczęli wczoraj czy przedwczoraj... Może gdyby mieli do dyspozycji setki ochotników albo całą Gwardię Narodową. Ale są tylko we trójkę, a w dodatku dwoje z nich nie pracuje w policji.

– Panie Armitage – powiedziała nagle Kimberly. – Ma pan komputer? Z dostępem do Internetu?

– Pewnie, mam laptopa.

Kimberly poderwała się z krzesła. Spojrzała na Maca, zaskoczonego blaskiem bijącym z jej oczu.

– Pamiętasz, jak Ray Lee Chee mówił, że każda dziedzina ma swojego „ologa”? – spytała, wyraźnie podekscytowana. – Zaraz sprawdzę, czy to prawda. Podajcie mi nazwy tych siedmiu górniczych hrabstw, a dowiem się, skąd pochodzi ryż.

Rozdział 37

Quantico, Wirginia

13.12

Temperatura: 36,5 stopnia

Doktora Ennunzio nie było w gabinecie. Sekretarka obiecała, że go znajdzie, a Quincy i Rainie czekali w sali konferencyjnej. Quincy przeglądał akta. Rainie patrzyła w ścianę. Od czasu do czasu z korytarza dochodziły odgłosy krzątania agentów i pracowników administracji.

– To nie takie proste – powiedział nagle Quincy.

Rainie spojrzała na niego. Jak zwykle, bez trudu odgadła, co ma na myśli.

– Wiem.

– Nie jesteśmy młodzi. Ty masz prawie czterdzieści lat, ja pięćdziesiąt pięć. Nawet gdybyśmy chcieli mieć dzieci, wcale nie jest powiedziane, że cokolwiek by z tego wyszło.

– Myślałam o adopcji. Wiele dzieci potrzebuje rodziny. W tym i w innych krajach. Może dałabym jakiemuś dziecku dobry dom.

– To ciężka praca. Jeśli adoptujesz niemowlę, będziesz musiała je karmić po nocach. Jeśli weźmiesz starsze dziecko, ciężko będzie się z nim związać. Dzieci potrzebują słońca, księżycy i gwiazd na niebie. Koniec z podróżami po świecie z byle powodu. Koniec z kolacjami w dobrych restauracjach. Musiałabys mniej pracować.

Milczała przez chwilę.

– Nie zrozum mnie źle, Quincy – powiedziała wreszcie. – Lubię naszą pracę. Ale ostatnio... to mi nie wystarcza. Trup po trupie, miejsce zbrodni po miejscu zbrodni. Dziś łapiemy jednego psychopata, jutro następnego. Minęło już sześć lat, Quince. Chyba potrzeba mi czegoś więcej. – Wbiła wzrok w stół. – Jeśli się na to zdecyduję, odejdę z firmy. Za długo czekałam na dziecko, żeby nie zrobić wszystkiego jak należy.

– Ale jesteś moją współpracownicą – powiedział bez namysłu.

– Konsultantów można wynająć. Rodziców nie.

Odwrócił się i pokręcił głową, wyraźnie znużony. Nie wiedział, co powiedzieć. Może to naturalne, że chce mieć dzieci. Jest od niego młodsza, nie przeszła burzy, jaką wywołał swoimi nieudolnymi próbami zapewnienia rodzinie szczęścia. Instykt macierzyński to normalna rzecz, zwłaszcza u kobiety w jej wieku, słyszającej nieubłagane tykanie biologicznego zegara.

I przez chwilę miał przed oczami obraz Rainie, stojącej z małym zawiniątkiem w ramionach, przemawiającej tym specjalnym tonem, jakiego używa się wobec niemowląt. I siebie samego, patrzącego na małe rączki i nóżki. Widzącego pierwszy uśmiech, słyszącego pierwsze słowo.

Ale zaraz za tym obrazem pojawiły się następne. Jak późno wraca do domu i po raz kolejny zastaje śpiące dziecko. Telefony odrywające go od recitali fortepianowych i

przedstawię szkolnego teatryku. I rozdzierające serce słowa pięciolatka: „Nic się nie stało, tatusiu. Wiem, że następnym razem przyjdiesz”.

Dzieci za szybko dorastają. I mogą za wcześnie umrzeć. Kiedy człowiek zostaje ojcem, ma wielkie oczekiwania, które mogą obrócić się w popiół.

I wtedy Quincy poczuł niespodziewany przypływ gniewu na Rainie. Kiedy ją poznał, mówiła, że nie chce małżeństwa ani dzieci. Miała za sobą mroczne trudne dzieciństwo. Zdawała sobie sprawę, że niełatwo jej będzie wyrwać się z kręgu przemocy. Bóg mu świadkiem, w ciągu ostatnich sześciu lat dwa razy prosił ją o rękę i dostawał kosza. „Po co naprawiać coś, co nie jest zepsute?” – mówiła. I za każdym razem, choć bolało to trochę bardziej, niż oczekiwał, brał jej słowa za dobrą monetę.

A teraz zmieniła reguły. Nie na tyle, by go poślubić, Boże broń, ale na tyle, by mieć dzieci.

– Już swoje wycierpiałem – powiedział ostro.

– Wiem, Quincy. – Mówiła cichym głosem, który trudniej było mu znieść niż jej krzyk. – Wiem, że wychowałeś dwie córki i musiałeś sobie radzić z nocnym karmieniem, młodzieńczym buntem i tak dalej. Wiem, że na tym etapie życia myślisz raczej o emeryturze niż o pierwszym dniu swojego dziecka w przedszkolu. Myślałam, że ja też do tego dojdę. Naprawdę nie sądziłam, że kiedyś będzie to dla mnie istotne. No ale... ostatnio... – Lekko wzruszyła ramionami. – Co mam powiedzieć? Nawet najlepsi z nas czasem zmieniają zdanie.

– Kocham cię – spróbował po raz ostatni.

– Ja ciebie też.

Pomyślał, że chyba jeszcze nigdy nie widział jej tak smutnej.

Kiedy doktor Ennunzio wreszcie wszedł do sali, panowała w niej niezręczna i pełna napięcia cisza. On jednak zdawał się tego nie zauważać. Zatrzymał się w pół kroku, z kilkoma teczkami pod pachą.

– Wstawać – rzucił krótko. – Idziemy na spacer.

Quincy zerwał się z krzesła. Rainie, zbита z tropu, zareagowała z pewnym opóźnieniem.

– Dzwonili do pana – powiedział Quincy do Ennunzia.

Agent pokręcił ostrzegawczo głową i spojrzał na sufit. Quincy zrozumiał, o co chodzi. Przed wieloma laty pewien agent z BSU szpiegował swoich współpracowników z FBI. W przewodzie wentylacyjnym nad sufitem odnaleziono wówczas skomplikowane systemy monitorujące i urządzenia podsłuchowe. Co ciekawe, aby schwytać szpiega, FBI zainstalowało własne pluskwy. Krótko mówiąc, przez pewien czas – kto wie, jak długi – agenci BSU byli pod obserwacją swoich i nieprzyjaciół. Czegoś takiego raczej się nie zapomina.

Quincy i Rainie wyszli za Ennunziem na klatkę schodową. Doktor przesunął identyfikator przez skaner i wyprowadził ich na zewnątrz.

– Co jest grane? – spytał, kiedy tylko przeszli na drugą stronę ulicy. Ich rozmowę zagłuszał huk wystrzałów.

– Nie jestem pewien. – Quincy pokazał mu swoją wyłączoną komórkę. – Wypadłem z obiegu.

Ennunzio pokręcił głową. Wydawał się spięty i niezadowolony, że sprawy przybrały taki obrót.

– Myślałem, że jesteście po dobrej stronie. Że rozmawiając z wami, pomagam w prowadzeniu ważnego śledztwa, a nie rujnuję swoją karierę.

– Jesteśmy po dobrej stronie. I mamy zamiar złapać tego człowieka.

– Robi się gorąco – powiedziała Rainie. – W nocy znaleźliśmy następną ofiarę. Wszystkie ślady wskazują na Ekomordercę. Tyle że tym razem porwał cztery dziewczyny naraz. Co znaczy, że gdzieś tam są jeszcze dwie, i jeśli mamy rozgryźć tę sprawę, musimy działać szybko.

– Cholera! – Ennunzio wyglądał na zmęczonego. – Po spotkaniu z wami myślałem, że... Czego właściwie ode mnie chcecie?

– Co z tym ogłoszeniem? – spytał Quincy.

– Wysłałem je do laboratorium, nie mam jeszcze wyników badań. Charakter pisma wydaje się identyczny z tym z poprzednich próbek. Co do tekstu, nie mam nic do dodania. Autor najprawdopodobniej jest mężczyzną. Sądząc z charakteru pisma, nie jest człowiekiem wykształconym, ale treść wskazuje na to, że odznacza się ponadprzeciętną inteligencją. Nadal uważam, że możemy mieć do czynienia z chorym umysłowo. Może cierpi na obłąd czy coś w tym rodzaju. Widać, że rytuał jest dla niego niezmiernie ważny. Procedura zabijania sprawia mu równie dużą satysfakcję, jak samo zabijanie. Poza tym wiecie tyle, co ja. – Spojrzał na Quincy'ego. – Nie przestanie, dopóki ktoś go do tego nie zmusi.

Quincy skinął głową. Te wiadomości przygnębiły go bardziej, niż powinny. Był już tym wszystkim zmęczony. Martwieniem się o Kimberly i Rainie. I zastanawianiem się, co wynika z tego, że woli rozmawiać o psychopatach niż o dzieciach.

– Agent specjalny McCormack dostał następny telefon – powiedział Quincy. – Miał spisać przebieg rozmowy, ale w całym tym zamieszaniu pewnie nie zdążył.

– Kiedy to było?

– W nocy. Był wtedy na miejscu zbrodni.

Ennunzio wyraźnie się zaniepokoił.

– To mi się nie podoba.

– Sprawca ma wycucie czasu.

– Myśli pan, że was obserwuje?

– Jak pan zauważył, lubi procedurę zabijania. Jest dla niego równie ważna, jak sam czyn. Mamy nową teorię. – Quincy uważnie przyglądał się doktorowi Ennunzio. – Najprawdopodobniej przewozi ofiary furgonetką. Agent Kapłan powiadomił nas, że na terenie bazy jest dużo samochodów tego typu z uwagi na prowadzone tu roboty budowlane.

Ennunzio zacisnął powieki. Pokiwał głową.

– To by pasowało.

– Kapłan ma sprawdzić, czy któryś z robotników wcześniej mieszkał w Georgii. To może pomóc nam w identyfikacji sprawcy, ale chyba jest już za późno.

Ennunzio otworzył oczy i popatrzył na nich bystro.

– Sprawca chciał dostać się do Quantico, udało mu się to, ale teraz już nie ma tu nic do

roboty – ciągnął Quincy. – Musimy przenieść się w teren, jeśli chcemy mieć choć cień szansy na złapanie go. Dlatego, doktorze, może powie nam pan, co pan jeszcze wie, a czego nam nie mówi?

Na twarzy lingwisty odmalowało się najpierw zaskoczenie, potem nieufność. A w końcu odzyskał zimną krew.

– Nie wiem, dlaczego pan tak mówi. – Bardzo pana ta sprawa interesuje.

– Taką mam pracę.

– Skupia się pan na rozmówcy agenta McCormacka, choć tak naprawdę jest pan specjalistą od listów.

– Lingwistyka to lingwistyka.

– Interesują nas wszelkie teorie – spróbował Quincy raz jeszcze. Nawet te mgliste, nieprzemyślane.

Ennunzio zawahał się.

– Nie wiem. Jest w tej sprawie coś... Mam pewne przeczucia. Ale przeczucia to nie fakty, w moim fachu nie mogę się na nich opierać.

– A pomogłoby panu – wtrąciła się Rainie – gdybyśmy powiedzieli, że mamy więcej wskazówek?

– Jakich?

– Wodę. Jakiś osad. I surowy ryż. Możemy zidentyfikować miejsce, z którego pochodzą woda i osad. Z ryżem jest większy kłopot.

Ennunzio patrzył na nich z dziwnym uśmiechem na twarzy.

– Ryż?

– Surowy, długoziarnisty. A co?

– Mówiliście, że morderca lubi niebezpieczne miejsca, zgadza się? Odludne tereny, gdzie prawdopodobieństwo przypadkowego znalezienia jego ofiar jest znikome? Och, dobry jest, bardzo, bardzo dobry...

– Ennunzio, co pan, do cholery, wie?

– W młodości lubiłem chodzić po jaskiniach. I teraz już wiem, że morderca też. Szybko, musimy zadzwonić!

Rozdział 38

Wirginia

15.12

Temperatura: 38 stopni

Słońce było już wysoko. Zalewało jamę żarem wysuszającym błoto, które odpadało płatami z ciała Tiny, odsłaniając nęcące kawałki spalonej, pokrytej ranami skóry. Wymarzony lancz dla komarów. Już na to nie zważała. Prawie nie czuła bólu.

Nie pocila się. Od prawie dwunastu godzin nie chciało jej się sikać. Z jej ciała nie dało się wycisnąć choćby najmniejszej kropelki wody. Ciężkie odwodnienie. Robiła swoje, pokryta gęsią skórką i przeszywana dreszczami spowodowanymi jakimś głębokim nienaturalnym chłodem.

Kamienie nie nadawały się. Były za duże i nieporęczne, by wydłubywać nimi gnijące drewno. Przypomniała sobie o torebce i gorączkowo wysypała jej zawartość na gład leżący na środku jamy. Metalowy pilnik do paznokci. No, to już lepiej.

Rozpaczliwie wylupywała kawałki starych belek tak, by mieć oparcie dla rąk i nóg, wokół niej krążyły komary, muchy kąsały jej ramiona, a świat wirował przed oczami.

Pilnik wypadł jej z ręki. Osunęła się na ziemię. Ciężko dyszała. Ręka jej drżała. Tak trudno znaleźć pilnik w błocie. O rany, następny wąż.

Chciałaby teraz zamknąć oczy. Zatopić się w wygodnej cuchnącej brei. Czułaby ją we włosach, na policzku, na szyi. Rozchyliłaby wargi i nabrała jej do ust.

Walczyć lub umrzeć, walczyć lub umrzeć, walczyć lub umrzeć. Teraz wybór należy tylko do niej i coraz trudniej go dokonać.

Podniosła pilnik. Wróciła do pracy, a słońce płonęło nad jej głową.

– Gdzie mam jechać? W prawo? No dobra, i co dalej? Czekaj, czekaj, mówiłeś, że w prawo. Nie, w lewo. Cholera, zaczekaj sekundę. – Mac wcisnął hamulec, wrzucił wsteczny bieg i cofnął się o dziesięć metrów na piaszczystej drodze. Siedząca obok niego Kimberly gorączkowo próbowała ustalić ich pozycję na mapie Wirginii. Większości starych przecinek jednak na niej nie było, więc Ray Lee Chee próbował pilotować ich przez komórkę. Połączenie było równie kiepskie, jak lokalne drogi.

– Co? Powtórz. Tak, ale słyszę co czwarte słowo. Nietoperze? Co z nietoperzami?

– Grotołazi... grupa ratunkowa... nietoperze... na samochodach – mówił Ray.

– Że co? Batman? – dopytywał się Mac, a Kimberly w tej samej chwili krzyknęła: „Uważaj!” Podniósł głowę w porę, by zobaczyć wielkie drzewo leżące w poprzek drogi.

Wcisnął hamulec. Z tylnego siedzenia dobiegło głośnie stęknięcie Nory Ray.

– Wszyscy cali?

Kimberly spojrzała na Norę Ray, a Nora Ray na Kimberly. Obie jednocześnie skinęły głowami. Mac na chwilę przestał patrzeć na drogę i skupił uwagę na telefonie.

– Ray, jak daleko jeszcze?

– ... dwa... trzy... zzz.

– Kilometry?

– Kilometry – przytaknął Ray.

No dobra, olać samochód, dalej mogą iść pieszo.

– Co z ekipą? – spytał Mac. Ray dostał polecenie, by zebrać najlepszych ludzi, jakich zna, i zorganizować zespół badawczy z prawdziwego zdarzenia. Ryan Knowles, hydrolog, i Lloyd, palinolog, już byli jego członkami. Ray szukał jeszcze geologa i specjalisty od krasu. Plan był taki, że kiedy Mac, Kimberly i Nora Ray jakimś cudem znajdą i uratują trzecią ofiarę, grupa Raya przyjedzie na miejsce, gotowa do analizy następnych wskazówek i ustalenia miejsca pobytu ofiary numer cztery. Było późno, ale zamierzali nadrobić stracony czas.

– Nietoperze... grotolazi... – powtórzył Ray.

– Nie słyszę.

– Kras... ochotnicy... nietoperze...

– Nietoperze zgłaszają się na ochotnika?

– Grupa ratunkowa! – wybuchnął Ray. – Jaskinia!

– Grupa ratunkowa złożona z ochotników. Aha, w jaskini! – Mac nie wybiegał tak daleko myślą w przyszłość. Kimberly sprawdziła w Internecie, które z hrabstw mogą mieć coś wspólnego z ryżem, i trafiła na artykuł o Pieczarze Orndorffa. Jak się okazało, żył w niej zagrożony wyginięciem równonóg, mały biały skorupiak długości mniej więcej pół centymetra. Mówiąc krótko, jakiś polityk chciał zbudować w tamtej okolicy lotnisko, ekolodzy zaprotestowali, powołując się na ustawę o ochronie zagrożonych gatunków, a polityk odparł, że nie dopuści, by ziarnko ryżu stało na drodze postępu. Tak oto równonóg z Pieczary Orndorffa zyskał sobie zgrabny przydomek, używany od tamtej pory przez specjalistów od krasu.

Miejsce już znali. Teraz pozostawało tylko je znaleźć i uratować dziewczynę.

– Woda... niebezpiecznie – mówił Ray. – Wejście trudne... liny... kombinezony... światła.

– Potrzebujemy specjalnego sprzętu, żeby wejść do jaskini – przetłumaczył Mac. – No dobra, to kiedy przyjadą ratownicy?

– Dzwonimy... różne miejsca... nietoperze... na samochodach.

– Na samochodach będą nietoperze?

– Takie naklejki!

– A, rozumiem.

Mac otworzył drzwi i wysiadł, by obejrzeć przewrócone drzewo. Kimberly chodziła wzdłuż pnia. Na dźwięk jego kroków podniosła głowę i z ponurą miną pokręciła głową. Od razu zobaczył, w czym problem. Pień miał prawie metr średnicy. Aby go usunąć, potrzebne byłyby samochód z napędem na cztery koła, piła łańcuchowa i wyciągarka. Jeden mężczyzna, dwie dziewczyny i toyota camry to za mało.

– Skręciliśmy w lewo – powiedział Mac przez telefon. – Co dalej? – Tym razem nie zrozumiał słów Raya. Coś o zapachu grzybów. Mac rozejrzał się, zirytowany. Byli w sercu gęstego lasu, na zupełnym odludziu. Przed czterdziestoma minutami opuścili autostradę

numer 81 i od tamtej pory jechali przez wysuniętą najdalej na zachód część stanu, wąski skrawek ziemi wciśnięty między Kentucky a Karolinę Północną. Nie było tu nic oprócz drzew, łąk i przyczep mieszkalnych. Ostatni budynek minęli dwadzieścia kilometrów wcześniej; była to rozpadająca się stacja benzynowa, która wyglądała, jakby od sześćdziesiątego ósmego roku nie zatankowano w niej ani kropli paliwa. Przedtem widzieli tylko kilka przyczep kempingowych i mały kościół baptystów. Lloyd Armitage mówił prawdę. Dobre czasy dla tej okolicy skończyły się dawno temu.

Teraz była to zwyczajna głusza, co znaczyło, że Mac nie miał co liczyć na złapanie silniejszego sygnału.

– Spróbuję zadzwonić, jak będziemy na miejscu – rzucił.

Ray coś odpowiedział, ale Mac i tym razem go nie zrozumiał i w końcu się rozłączył.

– Co robimy? – spytała Nora Ray.

– Ruszamy.

Gwoli ścisłości, najpierw spakowali ekwipunek. Nora Ray, jak się okazało, nie rzucała słów na wiatr, była doskonale przygotowana. Z torby wyjęła suchy prowiant, apteczkę, kompas, scyzoryk i filtr do wody. Miała też wodoodporne zapalki i małą latarkę. Włożyła wszystko do plecaka, a Kimberly i Mac zajęli się swoim wyposażeniem.

Zostało im dziewięć litrów wody. Na myśl o tym, w jak złym stanie musi być zaginiona dziewczyna, Mac po raz czwarty w ciągu ostatnich pięciu minut odkleił koszulę od torsu i schował cały zapas wody do plecaka. Było mu ciężko jak cholera, plecak uwierał w plecy i przyciskał koszulę do przegrzanej skóry.

Kimberly podeszła do niego, zabrała jedną z butelek z wodą i schowała ją do swojego plecaka.

– Nie bądź idiotą – mruknęła, założyła plecak i zapięła pas biodrowy.

– Dobrze, że choć drzewa dają cień – stwierdził Mac.

– Żeby tak jeszcze wchłaniały wilgoć. Jak daleko jeszcze?

– Kilka kilometrów. Chyba.

Kimberly znów spojrzała na zegarek.

– Lepiej już chodźmy. – Zerknęła kątem oka na Norę Ray i Mac odgadł jej myśli. Jak duży wysiłek zniesie cywil? Wkrótce się przekonają.

Później Mac pomyślał, że to naprawdę surrealistyczna wędrówka. Szli tonącą w cieniu przecinką leśną w upalne popołudnie. Słońce zdawało się ich ścigać, wyglądało zza drzew, podążało ich śladem i paliło bezlitośnie.

Opadły ich chmury owadów. Komary wielkości kolibrów. Jakieś paskudne, boleśnie kąsające muchy. Ledwie przeszli pięć metrów, a już klepali się po twarzach. Pięć metrów dalej zatrzymali się i wyjęli środek przeciw owadom. Kilkaset metrów dalej znów stanęli i spryskali się nim nawzajem, jak tanimi perfumami.

Nic to nie dało. Muchy krążyły wokół nich, słońce prażyło, a po ich ciałach spływały niekończące się strumienie potu. Nikt się nie odzywał. Szli naprzód, krok po kroku, i na tym się koncentrowali.

Po czterdziestu minutach Mac poczuł to pierwszy.

– Co to, do cholery?

– Środek przeciw komarom – odpowiedziała Kimberly ponuro. – Albo pot. Do wyboru, do koloru.

– Nie, nie, to coś gorszego. Nora Ray też się zatrzymała.

– Jakby coś gniło – orzekła. – Prawie jak... ścieki.

W tej chwili Mac zrozumiał, co Ray Lee Chee próbował powiedzieć mu przez telefon. Idź za zapachem grzybów. Przyspieszył kroku.

– Chodźcie – rzucił. – Prawie jesteśmy na miejscu.

Zaczął biec, Kimberly i Nora Ray szybko ruszyły za nim. Wspięli się na małe wzgórze, zeszli po drugiej stronie i stanęli jak wryci.

– O w mordę – powiedział Mac.

– Horror klasy B – dodała Nora Ray.

Kimberly tylko pokręciła głową.

Quincy zaczynał się irytować. Już ze cztery razy dzwonił na komórkę Kimberly i nic. Zwrócił się do Ennunzia.

– Wie pan, gdzie jest ta jaskinia? – spytał.

– Oczywiście. W hrabstwie Lee, trzy, cztery godziny drogi stąd. Ale nie możecie ot tak do niej wejść, jakby to była jakaś atrakcja turystyczna. Bez profesjonalnego sprzętu nie dacie rady.

– Dobra. Niech pan weźmie sprzęt i nas tam zabierze. Ennunzio zamilkł na chwilę.

– Może to dobry moment, by powiedzieć oficjalnej grupie dochodzeniowej, co i jak.

– Serio? Jak pan myśli, co zrobią najpierw, doktorze? Uratują ofiarę? Czy wezwą pana na trzygodzinne przesłuchanie, by wyciągnąć wszystkie szczegóły?

To go przekonało.

– Wezmę sprzęt.

– Czego szukamy?

– Cholera wie. Wejścia do jaskini czy czegoś takiego. Może być zasłonięte gałkami, a może to dziura pod jakimś drzewem. W życiu nie byłem w jaskini. No, ale co to za problem znaleźć wejście do groty?

Jak się okazało, całkiem spory. Mac od kwadransa biegał po tartaku. A Kimberly i Nora Ray razem z nim. Pewnie postępowali bezmyślnie. Zadanie utrudniał im odór wiszący w ciężkim wilgotnym powietrzu, który gryzł w oczy i palił w gardle. Mac zakrył usta podkoszulką, ale niewiele to dało.

Do zapachu dochodziła jeszcze ściana gorąca, unosząca się z sięgającego nieba stosu trocin. Początkowo nie rozpoznali osadu pokrywającego drewno. Wyglądał jak biały piach czy może kurz przysypany śniegiem. Przed dziesięcioma minutami Kimberly podeszła na tyle blisko, by stwierdzić, co to tak naprawdę jest. Grzyb. Cały ten cuchnący zgniły stos porośnięty był jakimś grzybem.

Brian Knowles nie pomylił się, mówiąc, że próbka wody pochodzi z miejsca o ogromnym

skażeniu.

Mac przeskoczył w ostatniej chwili nad porzuconą piłą. Zaglądał po kolei do wszystkich długich, przypominających szopy budynków z wybitymi oknami i dziurawymi dachami. Stare taśmociągi połyskiwały w cieniu wraz z groźnie wyglądającymi pikami, którymi przebijano drewno podsuwane pod ostrze piły.

Ziemię pokrywały śmiecie. Zgniecione puszki, zużyte styropianowe kubki. Mac znalazł stos pustych pojemników po paliwie, z których kiedyś pewnie napełniano zbiorniki ręcznych pił mechanicznych. W innym miejscu wały się przepalone świetlówki. Spośród odpadów dobiegał cichy trzask szkła pękającego w gorących promieniach słońca.

Jeszcze nigdy nie widział czegoś takiego. Kawałki zardzewiałego drutu kolczastego drapały po nogach. W krzakach czyhały porzucone brzeszczoty pił, mogące wyrządzić o wiele większą krzywdę. To miejsce rodem z koszmaru ekologa. Mac nie miał już najmniejszych wątpliwości, że dziewczyna jest gdzieś tu.

Kimberly wyszła chwiejnym krokiem zza jednej z wałących się szop. Od smrodu łzawiły jej oczy.

– Znalazłeś coś?

Mac pokręcił głową.

Ruszyła dalej, wciąż wypatrując jakiegokolwiek śladu podziemnej jaskini.

Po chwili spotkał Norę Ray. Przestała biegać bez ładu i składu. Stała nieruchomo z zamkniętymi oczami i rozłożonymi rękami.

– Widzisz coś? – spytał szorstko.

– Nie. – Otworzyła oczy i spieszyła się na jego widok. – Nie wiem... nie jestem medium ani niczym takim. Po prostu mam te sny, więc pomyślałam, że może gdybym zamknęła oczy...

– Jeśli to tylko w czymś pomoże...

– Ale nie pomaga. Nic nie pomaga. To strasznie denerwujące. To znaczy, jeśli ona jest w jaskini, to czy w tej chwili dosłownie nie chodzimy jej nad głową?

– Być może. Akcje ratunkowe nie są łatwe, Noro Ray. Straż przybrzeżna zauważyła twoją czerwoną koszulę dopiero przy piątym przelocie.

– Miałam szczęście.

– Byłaś rozsądna. Trzymałaś się. Nie dałaś za wygraną.

– Myślisz, że ta dziewczyna jest rozsądna?

– Nie wiem. Jeśli nie, to oby miała chociaż szczęście. Wszystko jedno byleby cała i zdrowa wróciła do domu.

Nora Ray skinęła głową. Ruszyła dalej, a Mac przeszedł zygzakiem przez kolejny opuszczony budynek. Było już po czwartej. Serce biło mu za mocno, twarz była niebezpiecznie gorąca. Nie powinni tak szarżować w takich warunkach. Było za gorąco, pili za mało wody. Nie tak należy prowadzić akcję ratunkową, ale Mac nie mógł zdobyć się na to, by ją przerwać.

Nora Ray miała rację; jeśli dziewczyna jest w jaskini, w tej chwili mogą stać dosłownie nad jej głową. Tak blisko, a zarazem tak daleko.

Nagle przez bzyczenie owadów przebił się długo oczekiwany okrzyk. To Kimberly, która była gdzieś z lewej strony.

– Hej hej! – krzyczała. – Znalazłam coś. Chodźcie tu, szybko!

Rozdział 39

Hrabstwo Lee, Wirginia

16.53

Temperatura: 38 stopni

Halo! Halo! Słyszysz mnie? – Kimberly znalazła wystającą z ziemi rurę o średnicy dwudziestu centymetrów. Zajrzała do niej, by sprawdzić, dokąd prowadzi, ale zobaczyła tylko ciemność. Przesunęła dłoń nad jej wylotem. Poczula podmuch chłodnego powietrza. Wrzuciła do środka kamyk. Nie słyszała, by w cokolwiek uderzył.

Mac już do niej biegł. Za nim Nora Ray. Kimberly nachyliła się nad rurą i osłoniła usta dłońmi, by tam, w dole, było ją lepiej słychać.

– Jest tam kto?

Przyłożyła ucho do wylotu rury. Czy usłyszała jakiś szmer? Czy gdzieś tam, w ciemnej zawilgoconej głębi, coś się ruszało? Trudno stwierdzić.

– Halo!

Mac wreszcie stanął obok niej. Włosy sterczały mu od potu, koszula i szorty przylgnęły do skóry. Padł na kolana i też zaczął krzyczeć w rurę.

– Jest tam kto?! Karen Clarence?! Tina Krahn?! Jesteś tam?!

– Może śpi – mruknęła Kimberly.

– Albo jest nieprzytomna.

– Jesteś pewna, że to prowadzi do jaskini? – spytała Nora Ray.

Kimberly wzruszyła ramionami.

– Na tyle, na ile mogę być czegokolwiek pewna.

– Ale to nie może być wejście – zauważyła Nora Ray. – Nikt nie przecisnąłby się przez tak wąski otwór.

– Fakt. Może to otwór wentylacyjny albo świetlik. Przynajmniej wiemy, że ktoś poświęcił czas, by włożyć tu rurę. To musi coś znaczyć.

– To duża jaskinia – stwierdził Mac. Wrzucił do środka kamyk, z tym samym skutkiem, co Kimberly. – Na stronie internetowej pisali, że jest w niej kilka połączonych tunelami grot i niektóre są wielkości małych katedr. Może ta rura prowadzi do którejś z nich i zapewnia naturalne oświetlenie?

– Musimy znaleźć wejście – orzekła Kimberly.

– I to jak najszybciej.

– Ja tu zostanę i będę dalej wrzeszczała, a wy z Norą Ray poszukajcie innego otworu. Może usłyszycie echo mojego głosu i to wam pomoże. Poza tym... – Kimberly zamilkła na chwilę. – Jeśli któraś z dziewczyn tam jest, nie chcę, żeby pomyślała, że ją opuściliśmy. Niech wie, że po nią przyjdziemy. Że wkrótce będzie po wszystkim.

Mac skinął głową i spojrzał na nią z nieprzeniknioną twarzą. Wrócili z Norą Ray do przeszukiwania zarośli. Kimberly uklękła na zakurzonej ziemi i zbliżyła usta do zardzewiałej

rury.

– Tu Kimberly Quincy! – krzyknęła. Nie wiedziała, co mówić, więc zaczęła od podstawowych informacji. – Są ze mną agent specjalny Mac McCormack i Nora Ray Watts. Chcemy ci pomóc. Słyszysz mnie? Bo ja ciebie nie. Jeśli jesteś za słaba, by krzyczeć, to może spróbuj w coś zastukać.

Zaczekała chwilę. Nic.

– Chce ci się pić? Mamy wodę i żywność. Koc też. Wiem, że w jaskiniach jest zimno, nawet o tej porze roku. I założę się, że masz już dość ciemności.

Wydało jej się, że tym razem coś usłyszała. Wstrzymała oddech. Uderzenie w skały? A może zmarzniętą przerażoną dziewczynę, próbującą podpełznąć do otworu w sklepieniu?

– Jedzie tu cała ekipa. Wykwalifikowani ratownicy, specjaliści od krasu. Przywiozą odpowiedni sprzęt, żeby cię stamtąd wyciągnąć. I wierz mi, jeśli tam w dole jest ci zimno, to zaczekaj, aż zobaczysz, jak tu jest gorąco. Pewnie ze czterdzieści stopni w cieniu. Niedługo zatęsknisz za chłodnymi skałami. Ale teraz na pewno ucieszysz się na widok słońca. I drzew, nieba i naszych uśmiechniętych twarzy. Już nie możemy się doczekać spotkania z tobą.

Ciągle mówiła. Właściwie to plotła bzdury. Dziwne, miała ochrypli głos.

– Nie musisz się bać. Wiem, że trudno jest być samemu w ciemnościach. Ale teraz są tu ludzie. Długo cię szukaliśmy. Zaraz wejdziemy do jaskini, wyciągniemy cię na światło dzienne, a potem znajdziemy człowieka, który ci to zrobił, żeby coś takiego nigdy więcej się nie powtórzyło.

Usłyszała jakieś odgłosy. Dziwne, zaskakujące, coś jakby chrzęst żwiru. Podniosła głowę, po czym uświadomiła sobie, że dźwięk nie dochodzi z wnętrza rury. Zobaczyła przed sobą dwie zakurzone ciężarówka. Jedna z nich na szybie od strony kierowcy miała naklejkę przedstawiającą nietoperza.

Drzwi otworzyły się na oścież. Z kabiny wyskoczył mężczyzna, pobiegł na tył, opuścił klapę i zaczął wyrzucać na ziemię sprzęt.

– To pani zgłosiła zaginięcie grotolaza?! – krzyknął przez ramię. Druga ciężarówka zatrzymała się obok i wypadli z niej dwaj mężczyźni, którzy popędzili po ekwipunek.

– Tak.

– Przepraszamy, że trwało to tak długo. Bylibyśmy tu wcześniej, gdyby nie to cholerne drzewo. Co może nam pani powiedzieć o zaginionej?

– Prawdopodobnie jest sama w jaskini od co najmniej czterdziestu ośmiu godzin. Nie ma odpowiedniego ekwipunku i pewnie zostało jej niewiele wody.

Mężczyzna znieruchomiał.

– Że co proszę?

– Nie jest grotolazem – powiedziała Kimberly cicho. – To zwykła dziewczyna, ofiara przestępstwa.

– Pani żartuje?

– Nie.

– Cholerny świat, wolę nic więcej nie wiedzieć. – Mężczyzna odwrócił się do swoich towarzyszy. – Bob, Ross, słyszeliście?

– Dziewczyna, zero sprzętu, zablądziła w jaskini. Nie chcesz wiedzieć nic więcej. – Nawet nie spojrzeli na Kimberly. Byli zajęci wciąganiem kalesonów, mimo czterdziestostopniowego upału. Na kalesony założyli grube niebieskie kombinezony. Pocili się obficie. Zdawali się tego nie zauważać.

– Josh Shudt – przedstawił się pierwszy z mężczyzn, podszedł do Kimberly i podał jej rękę. – Nie nazwałbym się dowódcą tego zespołu, ale lepszego określenia nie wymyślę. Dwa inne są w drodze, ale w tej sytuacji chyba dobrze by było, żebyśmy już weszli do środka.

– Czy ta rura prowadzi do jaskini?

– Tak. To świetlik w głównej grocie, którą ma pani pod nogami.

– Mówiłam przez niego. Nie wiem, czy coś słyszała...

– Pewnie jest wdzięczna – powiedział Shudt cicho.

– Mogę pójść z wami?

– A ma pani sprzęt?

– Tylko to, co na sobie.

– To nie sprzęt. W jaskini przez cały rok jest trzysta stopni, jak w pieprzonej lodówce, i to jeszcze, zanim się wejdzie do wody. By dostać się do Pieczary Orndorffa, musimy zjechać dwanaście metrów po linie, prosto do sięgającej kolan wody. Potem trzeba precyzyjnie się przesuwać przez dziesięciometrowy tunel o wysokości około trzydziestu centymetrów. Dobra wiadomość jest taka, że prowadzi prosto do głównej groty, której wysokość dochodzi do dwunastu metrów. Oczywiście zakładam, że wcześniej nie nadziejemy się na wściekłego szopa czy węża.

– Węża? – spytała Kimberly słabym głosem.

– Tak. Dobrze chociaż, że nie ma tam nietoperzy. Niestety, Pieczara Orndorffa umiera. A nawet gdyby nietoperze uznały ją za dobre miejsce do hibernacji, to o tej porze roku latają na powietrzu i łapią owady. Co innego w okresie między październikiem a kwietniem. Speleolodzy nie nudzą się ani przez chwilę.

– Myślałam, że nazywa się was „grotołazami”.

– Nie, jesteśmy speleologami. Speleolodzy ratują grotołazów. Dlatego niech się pani nie martwi i pozwól nam robić swoje, a znajdziemy zaginioną. Ma jakieś imię?

– Karen albo Tina.

– Dwa imiona?

– Nie wiemy, którą jest ofiarą.

– O rany, naprawdę wolę już nic więcej nie wiedzieć. Róbcie, co do was należy, a my zrobimy swoje.

Shudt podszedł do leżącego na ziemi stosu sprzętu, wyciągnął kombinezon i w tej chwili przybiegli Mac i Nora Ray. Wszyscy szybko się sobie przedstawili, po czym Mac, Kimberly i Nora Ray stanęli niepewnie z boku, a trzech mężczyzn skończyli się ubierać, wzięli plecaki, po czym założyli ciężkie buty i grube skórzane rękawice.

Szybko i sprawnie zwinęli kolorową linę i przypięli ją do plecaka. Byli już prawie gotowi, jeszcze tylko sprawdzili lampy i poprawili kaski. Wreszcie Shudt wydał aprobowany pomruk, przeszedł na tył ciężarówki i wyjął nosze.

Miały służyć do przetransportowania ofiary. Na wypadek, gdyby nie mogła iść o własnych siłach. Albo była martwa.

Shudt spojrział na Maca.

– Przydałby się nam obserwator na górze, który pomógłby pilnować lin. Wie pan, jak się asekuruje?

– Wspinałem się trochę.

– No to się pan nadaje. Idziemy. Shudt odwrócił się jeszcze do Kimberly.

– Niech pani mówi przez tę rurę – powiedział cicho. – Nigdy nic nie wiadomo.

Odwrócili się i weszli w las. Kimberly osunęła się na ziemię. Nora Ray uklękła obok niej.

– Co mamy mówić? – szepnęła.

– A co ty najbardziej chciałaś usłyszeć?

– Że to się skończy. Że nic mi nie będzie.

Kimberly myślała chwilę. Wreszcie osłoniła usta dłońmi i nachyliła się nad rurą.

– Karen? Tina? To znowu ja, Kimberly Quincy. Chciałam ci tylko powiedzieć, że idą do ciebie ratownicy. Słyszysz? Najtrudniejsze masz już za sobą. Niedługo zabierzemy cię do domu, do rodziny. Wkrótce będziesz bezpieczna.

Tina wydłubała tyle drewna, ile się dało. Zaczęła tuż nad ziemią i zrobiła dziury do wysokości, jakiej mogła sięgnąć rękami. Na próbę wsunęła zabłocone stopy w pierwsze dwa nierówne otwory, przytrzymała się szorstkich krawędzi i podeszła prawie pół metra w górę.

Nogi jej drżały. Czuła się lekka jak piórko i ciężka jak kotwica. Wdrapie się na górę niby człowiek-pająk. Runie na dół i nigdy już nie wstanie.

– No, dawaj – szepnęła przez wyschnięte popękane wargi.

Już prawie metr. Ręce dygotały jej tak bardzo, jak nogi. Chwytał ją bolesny skurcz żołądka. Oparła głowę o gęste zielone pnącza, modliła się, żeby tylko nie zwymiotować, i znów ruszyła w górę.

W stronę słońca. Była lekka jak piórko. Jak Spiderman.

Na wysokości półtora metra zatrzymała się, wyczerpana. Wyżej nie miała się już czego złapać, a pnączom nie ufała. Nieporadnie wspięła się na palce, sięgnęła prawą ręką nad głowę i zaczęła na ślepo dłubać w ścianie pilnikiem. Stare drewno pękało pod uderzeniami metalu, co podniosło ją na duchu. Dźgała po omacku, oczami duszy widząc się na samej górze.

Może będzie tam jezioro? Rozległa błękitna oaza. Od razu do niego wskoczy. Będzie się unosiła na spokojnych falach. Zanurkuje, by wypłukać błoto z włosów. A potem wypłynie na głębię i będzie piła wodę dotąd, aż brzuch napęcznieje jej jak balon.

A na drugim brzegu powita ją kelner w smokingu, niosący srebrną tacę ze stertą białych puszystych rączników.

Zachichotała. Majaki już jej nie przeszkadzały. Tylko dzięki nim mogła być szczęśliwa.

Drzazgi sypały się na jej głowę. Nagły silny ból przemęczonych rąk przypomniał jej, co ma robić. Pomacała zrobiony przez siebie otwór. Mogła wsunąć do niego palce. Pora ruszyć dalej. Jak szła ta reklama? „Trzeba piąć się wyżej, coraz wyżej, na sam szczyt, gdzie czeka upragniony kawałek tortu”.

Podźwignęła się, walcząc z bólem, niebezpiecznie wygięła się do tyłu, ręce gwałtownie drżały. Weszła dziesięć centymetrów wyżej. I znów utknęła.

Trzeba zrobić następny otwór. Obolała lewa ręka nie mogła dłużej utrzymać jej ciężaru. Przytrzymała się więc prawą i zaczęła dźgać drewno lewą. Było jej niewygodnie. Nie miała pojęcia, czy pogłębia otwór, czy rozłupuje deskę. Zbyt trudno było spojrzeć w górę.

Przywarła do ściany dygoczącymi nogami i zmęczonymi rękami. Wreszcie wydłubała kolejny otwór i mogła wejść wyżej. Wtedy popełniła błąd, spojrzała w górę i o mało się nie rozplakała.

Niebo. Tak wysoko. Ile jeszcze, trzy cztery metry? Bolały ją nogi, ręce piekły. Nie wiedziała, jak długo jeszcze wytrzyma, a była dopiero na wysokości trzech metrów. Miała ręce i nogi pająka, ale nie miała pajęczej siły.

Chciała do swojego jeziora. Chciała pływać w jego chłodnych falach. Wyjść na drugim brzegu, paść matce w ramiona, rozplakać się żałośnie i przeprosić za wszystko, co zrobiła.

Oby Bóg dał jej dość siły, by wspięła się na tę ścianę. Oby dał jej odwagę. Jest potrzebna matce i swojemu dziecku i, dobry Boże, nie chce zdechnąć jak szczur w pułapce. Nie chce umierać w samotności.

Jeszcze jeden otwór, powiedziała sobie. Wejdz wyżej, zrób jeszcze jeden otwór, a potem będziesz mogła wrócić na dół i odpocząć sobie w błocie.

Wydrążyła więc kolejną dziurę. I następną. I obiecała sobie, dysząc ciężko, że wystarczy jeszcze jedna. I tak do chwili, aż znalazła się na wysokości trzech metrów.

Teraz było już strasznie. Nie mogła patrzeć w dół. Musiała piąć się do góry, choć jej barki wydawały się dziwnie elastyczne, jakby wysunęły się ze stawów. Co jakiś czas zaczynała się chwiać i musiała wpijać się palcami w ścianę, a wtedy ból przeszywał jej ramiona i ręce, i próbowała krzyczeć, ale z wyschniętego gardła wydobywał się tylko cichy chrapliwy skrzek.

W górę. Na szczyt. Wreszcie dostanę ten tort.

Płakała bez łez. Trzymała się desperacko przegniłego drewna i delikatnych pnączy, i usilnie starała się nie myśleć o tym, co robi. Ból był nie do opisanego. Choć nie miała już sił, nie rezygnowała.

Myślała o matce i o swoim dziecku, i pięła się wyżej i wyżej.

Cztery metry. Wylot był tak blisko, że widać już było kępę trawy. Roślinność. Jej wyschnięte usta zwilgotniały na samą myśl.

Za długo patrzyła. Zapomniała, co robi. I jej wyczerpane odwodnione ciało wreszcie dało za wygraną. Podniosła rękę. Nie sięgnęła krawędzi otworu.

I poleciała do tyłu.

Przez chwilę zdawała się wisieć w powietrzu. Widziała swoje ręce i nogi, którymi machała bezradnie jak bohater durnej kreskówki. I wtedy powróciła rzeczywistość. Grawitacja wzięła górę.

Tina runęła w błoto.

Tym razem nie krzyknęła. Błoto wchłonęło ją i po raz pierwszy w ciągu tych kilku dni nie zaprotestowała.

Czterdzieści pięć minut później Kimberly nadal mówiła. O wodzie, jedzeniu i ciepłym słońcu. O pogodzie, rozgrywkach ligi bejsbolowej i o ptakach na niebie. O starych i nowych znajomych, i o tym, jak fajnie byłoby spotkać się twarzą w twarz.

Mówiła, że trzeba się trzymać. Że nie wolno się poddawać. Że cuda się zdarzają, jeśli tylko człowiek wystarczająco mocno w nie wierzy.

Z lasu wyszedł Mac. Kiedy zobaczyła jego minę, natychmiast zamilkła.

Po siedemnastu minutach wyciągnęli zwłoki na powierzchnię.

Rozdział 40

Hrabstwo Lee, Wirginia

19.53

Temperatura: 36,5 stopnia

Słońce zaczęło opadać na jasnopomarańczowych falach gorąca. Cienie wydłużały się, ale upał nadal był nie do zniesienia. A w opuszczonym tartaku gromadziły się samochody.

Najpierw przyjechali pozostali członkowie speleologicznej grupy ratowniczej. Pomogli wyciągnąć z jaskini zwłoki młodej dziewczyny o krótko obciętych brązowych włosach. Jej sukienka w żółte kwiaty była w strzępach, zniszczona przez kwasową wodę. Paznokcie obu dłoni połamane i poszarpane, jakby w którymś momencie rozpaczliwie drapała nimi twarde dolomitowe ściany.

Ciało było sine i rozdęte; Josh Shudt i jego ludzie znaleźli je w długim tunelu, łączącym wejście do jaskini z główną grota. Kiedy wyciągnęli zwłoki, przecisnęli się do jej wnętrza. Tam, na skalnej półce, znaleźli pustą butelkę i torebkę.

Z prawa jazdy wynikało, że ofiara nazywa się Karen Clarence i przed tygodniem skończyła dwadzieścia jeden lat.

Nietrudno było uzupełnić resztę szczegółów. Morderca wniósł ofiarę, najprawdopodobniej nieprzytomną, do głównej groty. Rura w sklepieniu dawała akurat tyle światła, by po przebudzeniu dziewczyna mogła zobaczyć po lewej stronie płytki zbiornik stosunkowo bezpiecznej wody deszczowej i strumień mocno skażonej, trującej wody po prawej. Może przez jakiś czas została na półce. Może próbowała wejść do małego jeziora i od razu została pokąsana przez jego i tak wystraszonych mieszkańców – białe, bezokie raki albo małe równonogi wielkości ziaren ryżu. Może nawet natknęła się na węża.

Tak czy inaczej, pewnie w końcu przemokła. A ktoś, kto jest cały mokry w temperaturze trzynastu stopni, nie ma szans na uniknięcie hipotermii.

Shudt opowiedział im o grotolazie, który spędził dwa tygodnie w siedmiokilometrowym podziemnym labiryncie. Inna sprawa, że miał odpowiedni ekwipunek i plecak pełen batonów energetycznych. Poza tym jaskinia, w której zablądził, była stosunkowo przyjazna, woda nie dość że nadawała się do picia, to jeszcze według lokalnych legend przynosiła szczęście.

Karen Clarence go zabrakło. Udało jej się nie rozbić sobie głowy o jeden z grubych stalaktytów. Nie stłukła kolana ani nie zwichnęła nadgarstka, czołgając się w ciemnościach wśród stalagmitów. Ale w którymś momencie weszła prosto do zanieczyszczonego strumienia. Kwasowa woda musiała palić jej skórę i błyskawicznie wyżarła dziury w sukience. Czy Karen zubożyła wtedy na wszystko? Czy była tak przemarznięta, że dotyk żrącej cieczy sprawiał jej przyjemność? A może tak zdeterminowana? Gdyby została na półce, umarłaby. Płytki zbiornik z deszczówką prowadził donikąd. Tylko idąc wzdłuż strumienia mogła wrócić do cywilizacji.

Tak czy inaczej, zanurzyła się w nim, choć wypalał dziury w jej ubraniu, a po jej twarzy

pływały łyż. Doszła aż do wąskiego tunelu. Wcisnęła głowę i barki do długiego ciasnego korytarza. I umarła w ciemnościach.

Ray Lee Chee zjawiał się kilka minut po siódmej. Razem z nim przyjechali Brian Knowles, Lloyd Armitage i Kathy Levine. Rozładowali dwa dzipy cherokee wypełnione ekwipunkiem, plecakami i pudłami z książkami. Na początku byli podekscytowani, wręcz weseli. Dopóki nie zobaczyli zwłok.

Odłożyli sprzęt. Uczcili chwilą ciszy pamięć dziewczyny, której nawet nie znali. Po czym wzięli się do pracy.

Po półgodzinie przyjechali Rainie i Quincy. Przywieźli ze sobą Ennunzia. Wkrótce potem z tartaku wyszła Nora Ray. A Kimberly ruszyła za nią.

Eksperci od środowiska naturalnego zajmą się dowodami. Śledczy obejrzą ciało. Ona nie ma już nic do roboty.

Nora Ray siedziała na pniu i wodziła dłonią po liściach paproci.

– To był ciężki dzień – westchnęła Kimberly. Oparła się o drzewo.

– Jeszcze się nie skończył – zauważyła Nora Ray.

Kimberly uśmiechnęła się blado. Już zapomniała, jak dzielna jest ta dziewczyna.

– Trzymasz się jakoś?

Nora Ray wzruszyła ramionami.

– Tak. Jeszcze nigdy nie widziałam trupa. Myślałam, że będę bardziej poruszona. Ale głównie jestem... zmęczona.

– Na mnie działa to tak samo.

Nora Ray podniosła na nią oczy.

– Dlaczego tu jesteś?

– W lesie? Żeby schować się przed słońcem.

– Nie, chodzi mi o to śledztwo, o twoją współpracę z agentem McCormackiem. Mówił, że nie masz uprawnień czy coś takiego. Czy... czy jesteś...

– Aha. Chcesz wiedzieć, czy jestem krewną którejś z ofiar?

Nora Ray pokiwała głową.

– Nie. Tym razem nie. – Kimberly osunęła się po pniu. Poczula na nogach chłodny dotyk ziemi. Teraz łatwiej jej było rozmawiać. – Prawdę mówiąc, do przedwczoraj byłam w Akademii FBI. Zostało mi siedem tygodni do skończenia studiów i choć od moich przełożonych pewnie usłyszałybyś, że jestem dość niesubordynowana, myślę, że poradziłabym sobie. Zostałabym pełnoprawną agentką.

– No i co się stało?

– Poszłam pobiegać w lesie i znalazłam zwłoki. Betsy Radison. To ona tamtej nocy siedziała za kierownicą.

– Była pierwsza?

Kimberly skinęła głową.

– A teraz znajdujemy jej przyjaciółki.

– Jedną po drugiej – szepnęła Kimberly.

– To nie fair.

– Nie chodzi o to, czy to jest fair, czy nie. Chodzi o człowieka, który to zrobił. Naszym zadaniem jest go schwytać.

Znów zamilkły. W lesie słychać było niewiele dźwięków. Szmer wiatru wśród grubych wilgotnych drzew. Szelest opadłych liści, w których buszowała wiewiórka lub jakiś ptak.

– Moi rodzice pewnie się martwią – powiedziała nagle Nora Ray. – Mama... po tym, co spotkało moją siostrę, nie chce, żebym zostawiała ją na dłużej niż godzinę. Każe mi dzwonić co pół godziny. I krzyczy do słuchawki, żebym wróciła do domu.

– Rodzice nie powinni przeżyć swoich dzieci.

– A mimo to często się to zdarza. Jak sama mówiłaś, życie nie jest fair. – Nora Ray ze złością zerwała liść paproci. – Wiesz, mam dwadzieścia trzy lata. Powinnam wrócić na studia, planować karierę, chodzić na randki, pić za dużo w sobotnie wieczory, a w inne pilnie się uczyć. Powinnam robić rzeczy mądre i głupie, by stwierdzić, czego właściwie chcę od życia. A zamiast tego... moja siostra umarła, a z nią moje życie. W moim domu nikt nic nie robi. Tylko... wegetujemy.

– Może trzy lata to za mało? Może twoja rodzina potrzebuje więcej czasu, by poradzić sobie z żalem.

– Poradzić sobie? – W głosie Nory Ray brzmiało niedowierzanie. – Z niczym sobie nie radzimy. Nawet nie próbujemy. Wszystko zamarło. Moje życie jest jakby przecięte na dwie części. Tę pierwszą, normalną studia, chłopak, imprezy – która skończyła się tamtego wieczoru, i drugą, trwającą od tamtej pory. Tyle że na razie nie ma w niej żadnej treści. To czysta tablica.

– Masz swoje sny – przypomniała Kimberly cicho.

Nora Ray wyraźnie się zaniepokoiła.

– Uważasz, że je zmyślam?

– Nie, wierzę ci. Ale niektórzy uważają, że sny to produkt podświadomości. Jeśli śni ci się siostra, może to znak, że w głębi ducha wciąż czymś się gryziesz. Może nie tylko twoi rodzice nie potrafią pogodzić się z jej odejściem.

– Nie podoba mi się ta rozmowa.

Kimberly tylko wzruszyła ramionami. Nora Ray zmrużyła oczy.

– Co ty, psychoanalityka zgrywasz?

– Studiowałam psychologię, ale psychoanalitykiem nie jestem.

– A więc jesteś obkuta w tym psychologicznym bełkocie i nie dokończyłaś studiów w Akademii FBI. Za kogo się uważasz?

– Za kogoś, kto też stracił siostrę. I przy okazji matkę. – Kimberly uśmiechnęła się smutno. – Wygrałam. Zdaje się, że z nas dwóch to mnie życie bardziej dało w kość.

Nora Ray miała dość przyzwoitości, by okazać wstyd. Jej dłoń wróciła do paproci. Zaczęła metodycznie obrywać z niej liście.

– Jak to się stało?

– Stara śpiewka. Zły człowiek był przekonany, że mój ojciec, psycholog z FBI, zrujnował mu życie, i z zemsty postanowił zniszczyć jego rodzinę. Najpierw upatrzył sobie moją starszą siostrę – miała swoje kłopoty i nie najlepiej znała się na ludziach. Zabił ją i upozorował

wypadek. Potem wykorzystał wszystko, czego się od niej dowiedział, by zbliżyć się do mojej matki. Tyle że okazała się bystrzejsza, niż się spodziewał. O upozorowaniu wypadku nie było mowy. Smuga krwi ciągnęła się przez siedem pokoiów. W końcu zły człowiek zaatakował mnie. Ale mój ojciec dopadł go pierwszy. No i ostatnie sześć lat spędziłam mniej więcej tak, jak ty – próbowałam zrozumieć, jak można normalnie żyć, kiedy widziało się tyle śmierci.

– I dlatego wstąpiłaś do FBI? By pomagać innym?

– Nie, po to, by mieć broń i przy okazji pomagać innym.

Nora Ray pokiwała głową, jakby doskonale ją rozumiała.

– A teraz chcesz złapać człowieka, który zabił moją siostrę? To dobrze. FBI ma szczęście, że dla nich pracujesz.

– Już nie.

– Ale mówiłaś, że byłaś w trakcie szkolenia...

– Wzięłam urlop, by prowadzić to śledztwo. W Akademii FBI takie zachowanie nie jest mile widziane. Nie mam pewności, czy pozwolą mi wrócić.

– Nie rozumiem. Ścigasz zabójcę, próbujesz ocalić ludzkie życie. Czego więcej mogą wymagać od agenta?

– Obiektywizmu, profesjonalizmu, umiejętności patrzenia na wszystko z szerszej perspektywy i podejmowania trudnych decyzji. Odeszłam z akademii, by pomóc jednemu człowiekowi. Gdybym w niej została i dokończyła szkolenie, miałabym możliwość ocalenia setek ludzi. Moi zwierzchnicy może i czasami bywają upierdliwi, ale nie są głupi.

– No to dlaczego to zrobiłaś?

– Bo Betsy Radison przypominała mi moją siostrę, Mandy.

– Aha – powiedziała Nora Ray cicho.

– No właśnie. Kimberly oparła głowę o szorstką korę i westchnęła głęboko. W końcu to z siebie wyrzuciła i przyniosło jej to większą ulgę, niż się spodziewała. Dobrze było spojrzeć prawdzie w oczy.

Okłamała Maca, mówiąc mu, że nie chodzi o jej rodzinę. Okłamała ojca, kiedy zapewniła go, że sobie poradzi. Ale przede wszystkim okłamała siebie. Młoda, pełna zapału Kimberly, obrończyni uciśnionych, zaangażowana całym sercem w potwornie zagmatwane śledztwo, w którym nic nie szło po jej myśli. Brzmiało to może i dobrze, ale prawda była taka, że jej decyzja, by pomóc Macowi, nie miała nic wspólnego z Betsy Radison, Ekomordercą czy nawet jej zwierzchnikiem, Markiem Watsonem. Przez cały czas miała na względzie tylko siebie samą. Po sześciu latach rozpacz, dojrzewania i wmawiania sobie, że już doszła do siebie, wystarczyła jedna martwa dziewczyna nieco przypominająca Mandy, by to wszystko przekreślić. Kariere, marzenia, przyszłość. Nawet nie próbowała z tym walczyć.

Betsy Radison umarła, a Kimberly znowu wzięła na barki ciężar przeszłości, jakby o niczym innym nie marzyła. Czemu nie? Dopóki rozpamiętywała śmierć swoich bliskich, nie musiała stawiać czoła przyszłości. Dopóki myślała o matce i Mandy, nie musiała określić, kim jest. Często zastanawiała się, jak wyglądałoby jej życie, gdyby one nie zginęły, ale tak naprawdę nadal mogła ułożyć je sobie tak, jak chciała. O ile starczy jej sił. I odwagi.

– Co teraz będzie? – spytała Nora Ray cicho.

– To znaczy teraz zaraz, czy w dalszej przyszłości?

– Teraz zaraz.

– Ray i ekipa z USGS zajmą się wskazówkami pozostawionymi przy ofierze. Potem poszukamy czwartej dziewczyny. A na koniec spróbujemy znaleźć Ekomordercę i przypieczemy mu tyłek.

Nora Ray pokiwała z zadowoleniem głową.

– A w dalszej przyszłości?

– Ty i ja uznamy, że to niczego nie zmieniło. Nie przywróci ci to siostry, a mnie rodziny, i obie będziemy musiały żyć dalej. Zaczniemy na poważnie walczyć z poczuciem winy i żalem, i zobaczymy, czy to coś da. Albo nie zrobimy nic i pozwolimy, by ci mordercy do reszty zniszczyli nam życie.

– Niezbyt przyjemna perspektywa – westchnęła Nora Ray.

– Nie. Martwi już nie cierpią. Za to żywi muszą z trudem szukać właściwej drogi.

Rozdział 41

Hrabstwo Lee, Wirginia

20.53

Temperatura; 35,5 stopnia

W gęstniejącym mroku pojawiły się nietoperze. Szybowały z wdziękiem wśród drzew i rzucały się lotem nurkowym na gromady świetlików, rozpraszając migoczące światełka. Wilgotność powietrza wciąż była nie do zniesienia, ale teraz, kiedy słońce wisiało nisko nad ziemią, a w górze ucztowały w ciszy nietoperze, zapanowała spokojna, wręcz kojąca atmosfera.

W dzieciństwie Kimberly z siostrą uwielbiały łapać świetliki. Biegały ze słoikami po trawniku za domem i uganiały się za przecinającymi powietrze jasnymi światełkami. Mandy zupełnie sobie z tym nie radziła, ale Kimberly z czasem nabrała wprawy. Siadywały przy stoliku na werandzie i próbowały karmić świetliki żdźbłami świeżo skoszonej trawy lub delikatnymi łądogami mleczy. Potem je uwalniały. Mama nie pozwalała im przynosić robactwa do domu.

Teraz Kimberly siedziała w kręgu utworzonym wokół latarni i kolanem dotykała kolana Maca. Rainie i Quincy mówili właśnie, że trzeba skontaktować się z miejscowym koronerem. Ennuzio i Nora Ray siedzieli naprzeciwko Kimberly. Ray i jego ekipa trzymali się na uboczu, wciąż zajęci oględzinami zwłok.

– Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy – mówił Quincy. – Teraz trzeba powiadomić oficjalną grupę śledczą.

– Tylko się wkurzą – stwierdził Mac.

– Czemu? Bo przenieśliśmy ciało, bezprawnie zabraliśmy dowody i zatarliśmy ślady na miejscu zbrodni? – Quincy popatrzył na niego z rozbawieniem. – Tak, pewnie będą mieli nam to i owo do powiedzenia.

– Ratowanie ludzkiego życia jest ważniejsze od zabezpieczenia miejsca zbrodni – upierał się Mac.

– Nie kwestionuję słuszności naszych działań – powiedział Quincy. – Po prostu próbuję przywołać nas do rzeczywistości. Znaleźliśmy ciało, ściągnęliśmy profesjonalistów do analizy dowodów, a teraz musimy się zastanowić, co dalej. Mam nadzieję, iż nie uważacie, że powinniśmy zanieść zwłoki z powrotem do jaskini. Albo, co gorsza, pozostawić je bez opieki.

Wszyscy poruszyli się niespokojnie. Quincy miał rację, nie wybiegli tak daleko w przyszłość.

– Jeśli skontaktujesz się z oficjalną ekipą dochodzeniową, resztę nocy spędzimy w więzieniu – zauważyła Kimberly. – A nie po to tu przyjechaliśmy.

– Fakt. Dlatego myślę, że ty i Mac powinniście ruszać w dalszą drogę. My z Rainie zaczekamy na stosowne władze. Prędzej czy później ktoś musi wypić piwo, którego nawarzyliśmy. – Utkwił wzrok w twarz Rainie.

– Jeśli nie sprawi wam to różnicy – powiedział Ennunzio – wolałbym pojechać z pozostałymi. A nuż sprawca zadzwoni do agenta McCormacka? Chciałbym przy tym być.

Mac zerknął na komórkę przypiętą do paska i skrzywił się.

– Mało to prawdopodobne przy tak słabym sygnale.

– No, ale kiedy znajdziemy się bliżej cywilizacji...

– Ja też jadę. – Nora Ray patrzyła na Ennunzia, jakby chciała sprowokować go do protestu.

– To nie należy do pani obowiązków – powiedział Quincy. – Prawdę mówiąc, pani Watts, jeśli chce pani pomóc, to proszę wrócić do domu. Rodzice na pewno martwią się o panią.

– Moi rodzice martwią się nawet, jak jestem w domu. Nie. Mogę pomóc i zostanę.

W jej głosie zabrzmiała harda nuta i nikt nie miał siły się z nią spierać. Kimberly spojrzała na Ennunzia z zaciekawieniem.

– Skąd pan zna tę jaskinię? Josh Shudt mówił, że niespecjalnie nadaje się do zwiedzania.

– Wszystko przez ten tartak – powiedział Ennunzio. – Jeszcze dwadzieścia, trzydzieści lat temu była piękna. – Wzruszył ramionami. – Spędziłem młodość w tej okolicy. Często chodziłem po tych lasach i jaskiniach. To było dawno temu, ale może przypomnę sobie coś, co mogłoby się wam przydać. Nie znam całego stanu, ale ten zakątek owszem.

– Nie domyślasz się, gdzie zabójca mógł porzucić czwartą ofiarę? – spytał Quincy cicho, patrząc na Maca.

McCormack przeciągnął się w zamyśleniu.

– Zaraz... do tej pory były park narodowy i jaskinia. Co jeszcze zostało? Z punktu widzenia geologii interesująca jest zatoka Chesapeake. Czytałem, że wielu ludzi nurkuje w zbiornikach powstałych w wyniku zatopienia starych osad górniczych. To coś w sam raz dla tego mordercy. No i jest sporo rzek. Ostatnio upatrzył sobie Savannah.

– I dwa łańcuchy górskie – dodał Ennunzio, ale Mac pokręcił głową.

– Lasy już były. Musiał wybrać coś innego.

– A wybrzeże? – podsunęła Nora Ray. Wciąż patrzyła na Ennunzia.

– Tutejsze plaże są gęściej zaludnione od wybrzeży Georgii – powiedział Mac. – Nie można wykluczyć tej możliwości, ale moim zdaniem poszuka bardziej ustronnego miejsca. Spytajmy Raya.

Machnął ręką i pracownik USGS podszedł do niego. Jego twarz była blada i błyszcząca od potu. Teraz, kiedy na własne oczy zobaczył zwłoki, śledztwo w sprawie zabójstwa najwyraźniej stało się dla niego trochę mniej fascynujące.

– Znaleźliście coś? – spytał go Mac.

– Parę rzeczy. Trudno powiedzieć, czego szukać przy dziewczynie... ciele... ofierze. Ciele. – Wreszcie wybrał odpowiednie słowo. – Przez... tego... przez jakiś czas było w wodzie, która mogła coś splukać. Kathy znalazła w kieszeni sukienki zgnieciony liść. Próbuje go wyjąć tak, żeby niczego nie uszkodzić, bo mokra tkanka łatwo się rwie. Poza tym Josh Shudt obejrzał skalną półkę, na której ta dziewczyna... to znaczy denatka leżała. Lloyd bada próbki gleby pobrane z jej butów. Ja przeszukuję torebkę, bo mówiłeś, że facet czasem coś tam chowa.

– A zaglądałeś do jej gardła?

– Niczego tam nie było.

– Może ma coś w żołądku? – zastanawiał się Mac na głos. – Przy pierwszej ofierze, która była mapą, wykazał się dużą pomysłowością. Nie jestem pewien, jak traktuje następne. Może przydałoby się ją pokroić.

Nora Ray zerwała się z ziemi i odeszła w las. Mac odprowadził ją wzrokiem, ale jej nie przeprosił. Ray Lee Chee pozieleniał.

– Ten... nie wspominałeś wcześniej o czymś takim.

– Potrzebny nam koroner – powiedział Quincy.

– Nie możemy wymagać od geologa, by robił za lekarza sądowego – poparła go Rainie.

– To dobrze – stęknął Ray. – Bo chyba zaraz się porzygam. – Jednak jakoś się opanował. Lekko oszołomiony, odszedł na bok, po czym wrócił do nich jeszcze bledszy, ale z zaciętą twarzą. – Słuchajcie, zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Teraz najlepiej będzie znaleźć hotel, zadekować się w nim na kilka godzin ze sprzętem i spróbować coś wymyślić. Wiem, że wam się spieszy, ale jeśli chcecie mieć pewność, że nie puścimy was fałszywym tropem, musimy zrobić wszystko, jak należy.

– Ty tu rządzisz – powiedział Mac. – Spakujcie się, jeśli chcecie. Rainie i Quincy zostaną tu z ciałem. My pojedziemy za wami.

Ray z wdzięcznością skinął głową i wrócił do swojej ekipy. Właściwie nie było już niczego do powiedzenia ani do zrobienia. Quincy patrzył w niebo.

– Została jeszcze jedna dziewczyna – mruknął. – A jest już ciemno.

Tinę obudził czyjś jęk. Dopiero po chwili zorientowała się, że to jej własny.

Wszystko spowijała czerń, nie widać było żadnych kształtów. Tina o mało nie wpadła w panikę. Znów zapuchły jej oczy albo, co gorsza, oślepla. Dopiero po chwili dotarło do niej, że ciemność nie była zupełna, że po prostu wszystko wchłonął głęboki cień nocy.

Od kilku godzin leżała w błocie. Podniosła rękę i spróbowała się poruszyć. Całe jej ciało zaprotestowało. Czowała, jak mięśnie drżą z wysiłku.

Bolało ją lewe biodro i zebra. Przez chwilę myślała, że nic z tego nie będzie, ale w końcu przewróciła się na brzuch. Wsunęła ręce pod siebie, podźwignęła się na nich i chwiejnie podniosła się na nogi.

Świat zawirował. Zataczając się, podeszła do ściany, brnąc w gęstym mule i rozpaczliwie łapiąc się pnączy. Przechyliła się za bardzo w lewo, potem rzuciło ją w prawo, aż wreszcie oparła dłonie o ścianę. Chwyciły ją mdłości, a potem poczuła ucisk w żołądku. Zgięła się wpół i starała się nie myśleć o tym, co się z nią w tej chwili dzieje.

Zaczęła płakać.

Powoli wracały wspomnienia. Chwalebna próba przemiany w człowieka-pajaka. I niezbyt chwalebny upadek w błoto. Jeszcze raz podniosła rękę. Poruszyła nogami, by sprawdzić, czy niczego sobie nie uszkodziła. Wyglądało na to, że przynajmniej teoretycznie jest w jednym kawałku.

Spróbowała zrobić krok. Prawa noga ugięła się pod nią i Tina upadła w błoto. Zaciskając

zęby, spróbowała raz jeszcze, z tym samym skutkiem. Nogi są za słabe. Jej organizm ma już dosyć.

Dlatego położyła się w chłodnym kojącym mule. Patrzyła na breję przelewającą się i bulgoczącą centymetry od jej twarzy. I stwierdziła, że może śmierć nie jest taka zła.

Gdyby tylko zdobyła wodę... Jej wargi, gardło, skurczony żołądek. Wysznięta ropiejąca skóra.

Jeszcze przez chwilę wpatrywała się w błoto, po czym podźwignęła się na kolana. I Nie powinna... Umrze od tego. Ale czy to ma jakieś znaczenie?

Rozłożyła palce i zanurzyła dłonie w mule. Małe zagłębienie natychmiast wypełniło się wstrętną cuchnącą wodą.

Tina pochyliła głowę i piła jak pies.

Rozdział 42

Wytheville, Wirginia

22.04

Temperatura: 34,5 stopnia

Kimberly wynajęła pokoje w małym przydrożnym motelu. Po jednym dla każdego z członków ekipy Raya, Nory Ray i doktora Ennunzio. I jeden dla niej i Maca.

Kiedy wróciła do samochodu, nie mogła spojrzeć mu w oczy. Rozdając klucze, rozmyślnie go pominęła. Spojrzał na nią z zaciekawieniem. Potem zajęła się rozładunkiem bagażu. Musieli przygotować plan działania. Ray miał zadzwonić do Maca lub Kimberly, kiedy tylko jego ekipa wpadnie na jakiś pomysł. Oni z kolei obudzą pozostałych. Komórka Maca łapała słaby sygnał. Kimberly włączyła też swoją, na wypadek, gdyby ojciec chciał się z nią skontaktować.

Nie pozostało im nic innego, jak tylko wziąć prysznic i zdrzemnąć się kilka godzin. Wkrótce znów będą na nogach.

Kimberly odprowadziła wzrokiem Norę Ray, która weszła przez białe drzwi parterowego budynku. Doktor Ennunzio skierował się do drugiego skrzydła motelu. Zaczekała, aż zniknie z pola widzenia, po czym zwróciła się do Maca:

– Masz. Wynajęłam pokój. Zamieszkamy razem.

Jeśli był zaskoczony, nie dał tego po sobie poznać. Wziął tylko klucz z jej drżącej dłoni, otworzył drzwi i wniósł do środka plecaki.

Kiedy weszła do pokoju, niewiele zabrakło, by znów stchórzyła. Był zbyt beżowy, zbyt pospolity, zbyt obskurny. Niczym nie różnił się od setek pokoi hotelowych w całym kraju i, nie wiedzieć czemu, z tego powodu omal nie pękło jej serce. Choć raz chciałaby od życia czegoś więcej niż tylko rozpaczliwych prób znalezienia szczęścia. Powinni zatrzymać się w pensjonacie. Takim z tapetą w róże, czerwonymi pikowanymi narzutami i wielkim łóżem z baldachimem. Gdzie można by zagłębić się w materacu, spać do południa i zapomnieć o bożym świecie.

Tu nie było takich luksusów. Zresztą, nawet gdyby im je zapewniono, Kimberly pewnie nie wiedziałyby, co z nimi zrobić.

Mac postawił plecaki w nogach łóżka.

– Chcesz pierwsza iść pod prysznic? – zapytał cicho.

Skinęła głową i z wdzięcznością wśliznęła się do małej łazienki.

Wzięła prysznic. Najpierw gorący, parujący, by rozluźnić zmęczone mięśnie, a potem chłodny i orzeźwiający, by zapomnieć o upale. Tym razem nie płakała. Nie stała nieruchomo, prześladowana przez myśli o matce i siostrze. Najgorszy żal minął i od wielu tygodni nie była tak opanowana, jak w tej chwili.

I znów im się nie udało. Wkrótce, może jutro, a może za godzinę, spróbują jeszcze raz. Takie jest życie. Mogła dać za wygraną albo brnąć naprzód; a nie lubiła się poddawać. A

zatem wszystko jasne. Dokonała wyboru. Będzie próbowała dalej, choć czasem pękało jej od tego serce.

Wymarła się powoli. Poszukała w małej kosmetyczce perfum, których nie miała. Zastanawiała się, czy powinna zrobić coś z włosami lub się umalować. Żałowała, że nie ma choćby kremu, którym mogłaby posmarować spieczoną skórę.

Nie wozila ze sobą takich rzeczy.

Nieśmiało wróciła do sypialni, owinięta przetartym białym ręcznikiem. Mac złapał przybory do golenia i zniknął za drzwiami łazienki.

Włożyła szary Tshirt z napisem FBI i czekała.

Za oknami panowały nieprzeniknione ciemności. Pewnie wciąż jest gorąco. Czy dla zagubionej osoby to lepiej, niż gdyby miało być zimno? A może dziewczyna tak bardzo pragnęła schłodzić przegrzaną skórę, że odchodziła od zmysłów? To absurd, że powietrze pozostaje gorące na długo po tym, jak słońce znika za horyzontem.

Nora Ray przetrwała. Osloniła się od słońca; znalazła sposób na chłodzenie organizmu w ciągu kolejnych niekończących się dni. Jak mała musiała się czuć? Jak pozbawione znaczenia musiała wydawać jej się życie, gdy wchodziła coraz głębiej w bagna i czekała, aż ktoś wypatrzy jej sylwetkę. Ani na chwilę nie straciła jednak nadziei. Nie wpadła w panikę. I, koniec końców, przetrwała.

I w rozpaczy po utracie siostry zapomniła o swoim zwycięstwie. Wygrała bitwę, przegrała wojnę. Jakie to smutne.

Szum prysznicza ucichł. Kimberly usłyszała zgrzytliwy dźwięk odsuwanej zasłony. Usiadła na rozchwianym krześle obok telewizora. Trzymała drżące dłonie na udach. Oddychała nierówno.

Usłyszała szmer wody leżącej do umywalki. Odgłos mycia zębów. Kilka pluśnień. Pewnie się goli.

Wstała i zaczęła chodzić po pokoju. Niektóre egzaminy były łatwiejsze od tego, co czekało ją teraz. Mniej się bała, kiedy po raz pierwszy trzymała w ręku naładowaną broń. Dlaczego to takie trudne?

Wtedy drzwi się otworzyły. Mac był umyty, ogolony, wokół szczupłych opalonych bioder owinał ręcznik.

– Cześć, ślicznotko. Często tu bywasz?

Podeszła do niego, położyła dłonie na jego nagich ramionach i okazało się, że to wcale nie jest takie trudne.

Nora Ray nie spała. Nareszcie sama w pokoju hotelowym, padła na stary fotel i wbiła wzrok w torbę podróżną. Wiedziała, co musi zrobić. Dziwne, że teraz, kiedy nadeszła ta chwila, ona zwlekała. Bała się.

Nie tak to sobie wyobrażała. Myślała, że będzie silniejsza, ogarnięta poczuciem triumfu. A tymczasem była przerażona.

Wstała z fotela i obojętnie rozejrzała się po pokoju. Nierówne podwójne łóżko. Tani stolik pod telewizor, pokryty świeżymi rysami i starymi śladami po szklankach. Telewizor,

tak stary i mały, że nie zainteresowałby się nim żaden złodziej. Policzyła ślady po papierosach w dywanie.

Trzy lata to kawał czasu. Mogła się mylić, ale to raczej mało prawdopodobne. Trudno zapamiętać ostatnie chwile spędzone z siostrą. I przestać rozpamiętywać najdrobniejsze szczegóły.

No i w końcu znalazła się tutaj. On też. Co ma zrobić?

Podeszła do torby, otworzyła ją i wyjęła plastikową torebkę udającą kosmetyczkę. Nie okłamała Maca. Młoda dziewczyna niewiele mogła przemycić przez kontrolę na lotnisku.

Ale niewiele nie znaczy nic. Prawdę mówiąc, to on ją tego nauczył.

Wyjęła buteleczkę kropli do oczu. Z buta wyciągnęła schowaną między warstwami gumowej podeszwy długą igłę. Nieco więcej czasu zajęło jej wydobycie plastikowej strzykawki z butelki szamponu.

Najpierw włożyła igłę do strzykawki. Potem, bardzo ostrożnie, wycisnęła płyn z butelki kropli do oczu. W zeszłym tygodniu wymieniła jej zawartość.

Teraz była w niej ketamina. Szybko działająca. Mocna, i w odpowiedniej dawce śmiertelna.

Mężczyzna śnił. Przewracał się z boku na bok. Młócił powietrze rękami i nogami. Nie cierpiał tego snu, próbował zmusić się do przebudzenia. Ale we śnie pamięć była silniejsza, wciągała go z powrotem w otchłań.

Pogrzeb. Słońce mocno prażyło, to był nieznośnie gorący dzień na nieznośnie gorącym cmentarzu. Ksiądz gadał i gadał, choć oprócz nich nikt się tu nie pofatygował. Mężczyzna czuł zbyt silny uścisk dłoni matki. Miała na sobie swoją jedyną czarną suknię – wełnianą, z długimi rękawami – za grubą na taki upał. Kołysała się lekko z boku na bok i dyszała żałośnie, a on i młodszy brat z trudem ją podtrzymywali.

Wreszcie koniec. Ksiądz się zamknął. Trumna zniknęła w ziemi. Spocony grabarz wziął się do pracy! Wyrażnie mu ulżyło, że może zacząć.

Mogli już wrócić do domu.

Napalił pod kuchnią resztką węgla. I bez tego było zbyt duszno, ale bez prądu tylko w ten sposób mogli ugotować coś na kolację. Jutro będzie musiał przynieść więcej drewna. A pojutrze pomyśleć o czymś innym. Spokojnie. Na razie chciał tylko nałożyć coś na talerz i zobaczyć rumieńce na policzkach matki.

Brat czekał z rondlem, by podgrzać bulion.

Bez słowa nakarmili matkę. Sami nie zjedli ani kropli, tylko łyżeczką wlewali bulion wołowy do jej bezkrwistych ust i rozrywali kawałki czerstwego chleba. Wreszcie westchnęła i pomyślał, że najgorsze już minęło.

– Jego już nie ma, mam – usłyszał swój głos. – Teraz będzie nam lepiej. Zobacysz:

Wtedy podniosła bladą twarz. Jej martwe oczy nabrały żywego niebieskiego koloru, a policzki zapłonęły przerażającą czerwienią.

– Lepiej? Lepiej? Ty niewdzięczny mały sukinsynu! Dał ci dach nad głową, karmił cię. I czego za to chciał? Odrobiny szacunku? Czy to zbyt wiele, Frank? Do cholery, czy to zbyt

wiele?

– Nie, mamu – wykrztusił, nerwowo cofając się od stołu. Spojrzał z niepokojem na swojego równie wystraszonego brata. Jeszcze nigdy nie widzieli jej w takim stanie.

Wstała od stołu, zbyt blada, zbyt chuda, zbyt koścista, i ruszyła za starszym synem przez pokój.

– Nie mamy jedzenia!

– Wiem, mamu...

– Nie mamy pieniędzy!

– Wiem, mamu...

– Zabiorą nam dom.

– Nie, mamu!

Ale nie dało się jej udobruchać. Podchodziła coraz bliżej i bliżej. Aż w końcu jego plecy oparły się o ścianę.

– Jesteś niegrzecznym, brudnym, zepsutym, niewdzięcznym, samolubnym bachorem. Dlaczego Bóg mnie tobą pokarał?!

Brat płakał. Bulion stygł na stole. A mężczyzna-chłopiec zrozumiał, że teraz już naprawdę nie ma dokąd uciec. Ojciec odszedł. Jego miejsce zajął nowy potwór.

Opuścił ręce. Odłonił twarz. Pierwszy cios nawet nie był zbyt bolesny, ojciec bił mocniej. Ale matka szybko się uczyła.

A on nie zrobił nic. Stał z opuszczonymi rękami. Pozwolił, by matka go biła. Potem osunął się powoli na gorącą zakurzoną podłogę, a matka poszła po pas ojca.

– Uciekaj – powiedział bratu. – Uciekaj, póki możesz.

Ale brata sparaliżował strach. Matka wróciła, przecinając pasem powietrze i oswajając się z jego ostrym świstem.

Mężczyzna się ocknął. Oddychał szybko, toczył błędnym wzrokiem. Gdzie jest? Co się stało? Przez chwilę myślał, że czarna dziura wchłonęła go do reszty. Zaraz jednak zorientował się w sytuacji.

Stał na środku pokoju. W ręku trzymał pudełko zapalek, właśnie wyjmował pierwszą z nich...

Ostrożnie odłożył zapalki na stolik. Chwytał się za głowę i próbował sobie wmówić, że jeszcze nie zwariował.

Potrzebuje aspiryny. Musi napić się wody i czegoś o wiele mocniejszego. Nie teraz, nie teraz, nie ma na to czasu. Podrapał się po zarośniętych policzkach i wbił palce w skronie, jakby samą siłą woli chciał uśmierzyć ból rozsadzający mu głowę.

Musi wziąć się w garść. To już niedługo. Zostało niewiele czasu.

Wbrew sobie, znów zaczął patrzeć na zapalki. I zrozumiał, co powinien zrobić. Wziął pudełko do ręki. Wysypał cenne patyczki na dłoń i pomyślał o rzeczach, o których nie myślał już od bardzo, bardzo dawna.

Pomyślał o ogniu. O tym, że wszystko, co piękne, musi umrzeć. A potem przypomniał sobie to, co tamtego dnia działo się w chatce i co nastąpiło później.

Rozdział 43

Hrabstwo Lee, Wirginia

1.24

Temperatura: 34,5 stopnia

W całym swoim życiu nie spotkałem się z takim brakiem odpowiedzialności przy prowadzeniu śledztwa. To niesłychane, żeby nie powiedzieć karygodne! Jeśli ten człowiek nam się wymknie, Quincy, słowo honoru, że przez następne dwa lata osobiście postaram się zamienić twoje życie w piekło. Masz opuścić ten teren tak szybko, jak to możliwe. I nie masz po co wracać do Quantico. Słyszałem o twoich pogawędkach z agentem Kapłanem i doktorem Ennunzio. Dlatego kiedy tylko wejdiesz na teren akademii, każę cię aresztować. Nie będziesz już zajmował się tą sprawą. Jeśli o mnie chodzi, jesteś już skończony. A teraz zjedź mi z oczu.

Agent specjalny Harkoos wreszcie zakończył swoją tyradę i odszedł wielkimi krokami. Jego granatowa marynarka wisiała na nim smętnie. Z twarzy, która była mokra, zanim jeszcze zaczął krzyczeć, kapąły krople potu. Innymi słowy, wyglądał mniej więcej tak, jak pozostali agenci FBI gromadzący się w opuszczonym tartaku.

– Chyba za tobą nie przepada – powiedziała Rainie do Quincy’ego.

Odwrócił się do niej.

– Bądź ze mną szczerą. Czy ja też wyglądam tak idiotycznie w granatowym garniturze?

– Przeważnie.

– Hm. Ilu to ciekawych rzeczy człowiek dowiadyuje się czterdzieści lat za późno.

Ruszyli w stronę samochodu. Choć wymieniali żartobliwe uwagi, wiedzieli, że sytuacja jest poważna. Reprimenda, jakiej udzielił im Harkoos, była ostra i szczerą. Odsunięto ich od śledztwa, mieli zakaz wstępu do akademii, a kiedy rozejdą się wieści o tej katastrofie, pewnie będą skończeni jako konsultanci w zamkniętym świecie agencji śledczych. Człowiek całe życie pracował na swoją reputację, by stracić ją w kilka minut.

Quincy po raz pierwszy od niepamiętnych czasów czuł ucisk w żołądku.

– Kiedy złapiemy Ekomordercę, szybko o tym wszystkim zapomną – pocieszyła go Rainie.

– Może.

– Brak odpowiedzialności można zarzucić tylko nieudacznikowi. Jeśli odniesiesz sukces, wszyscy powiedzą, że po prostu masz nieortodoksyjne metody działania.

– Fakt.

– Quincy, ci ludzie mieli do dyspozycji te same dowody, co my, a kiedy do nich zadzwoniłeś, nie było ich nawet w tej okolicy. Gdybyśmy od razu nie zaczęli działać, ta dziewczyna nadal tkwiłaby w jaskini, a my nie mielibyśmy zielonego pojęcia, gdzie szukać czwartej ofiary. Harkoos wścieka się, bo byłeś szybszy. Kto to widział, żeby grupa outsiderów okazała się lepsza od niego? Jest mu głupio i tyle.

Quincy przystanął.

– Mam już tego dość – powiedział nagle.

– Tak to jest z polityką.

– Nie! Nie chodzi mi o tę cholerną sprawę. Srać na nią. Masz zupełną rację. Dziś jesteś zerem, jutro bohaterem. To ciągle się zmienia i tak naprawdę nic a nic nie znaczy.

Rainie zamarła. W słabym blasku księżyca widział jej bladą twarz. Rzadko przeklinał i fakt, że teraz poczuł potrzebę, by to zrobić, zaintrygował ją i przeraził zarazem.

– Nie chcę, żeby dalej tak było między nami, Rainie.

Posmutniała i spuściła wzrok.

– Wiem.

– Miałem ogromne szczęście, że cię poznałem, i jeśli za rzadko ci to mówię, to jestem kompletnym idiotą.

– Nie jesteś.

– Nie wiem, czy chcę mieć dzieci. Będę szczery, sama myśl o nich śmiertelnie mnie przeraża. Nie byłem doskonałym ojcem, Rainie, i nadal nie jestem. Ale porozmawiać zawsze można. Jeśli naprawdę bardzo ci na tym zależy, mogę to przynajmniej przemyśleć.

– Zależy mi.

– No dobrze, więc musisz być ze mną szczerą. Czy chodzi ci tylko o dzieci? Bo próbowałem... myślałem... Rainie, dlaczego ile razy prosiłem cię o rękę, zawsze dawałaś mi kosza?

Jej oczy wezbrały łzami.

– Bo myślałam, że nigdy nie przestaniesz prosić. Nie ty jesteś idiotą, Quincy, tylko ja.

Świat znów zawirował mu przed oczami. A myślał... a był pewien, że...

– Czy to znaczy, że...

– Myślisz, że boisz się dzieci? Quince, do licha, ja boję się wszystkiego. Zaangażowania i odpowiedzialności. Boję się, że cię zawiodę i że pewnego dnia zrobię krzywdę mojemu dziecku. Wszyscy dojrzewamy, ale nigdy do końca nie uwalniamy się od przeszłości. A moja wisi nade mną i kładzie się na mnie wielkim cieniem, który tak bardzo chciałabym zostawić za sobą.

– Och, Rainie...

– Wmawiam sobie, że powinnam cieszyć się z tego, co mam. Jest mi z tobą dobrze, nawet lepiej, niż się spodziewałam. Nasza praca jest ważna, spotykamy ważnych ludzi, a to nieźle jak na kobietę, która kiedyś służyła za worek treningowy. Ale... ale ostatnio jestem jakaś niespokojna. Może szczęście jest jak narkotyk? Dostajesz go trochę i od razu chcesz więcej. Nie wiem, Quincy. Chciałabym, żeby mi na tym tak bardzo nie zależało, ale to chyba silniejsze ode mnie. Chcę spędzać więcej czasu z tobą. Chcę mieć więcej czasu dla siebie. Chcę... dzieci, białych płotów, a może nawet bamboszy. Myślisz, że się boisz? Za to ja jestem prawie pewna, że zupełnie zwariowałam.

– Rainie, jesteś najsilniejszą, najdzielniejszą kobietą, jaką znam.

– Och, tak tylko mówisz, żebym nie dała ci w zęby.

Kopnęła ze złością ziemię, a Quincy wreszcie się uśmiechnął. Niesamowite było to, jak

bardzo poprawił mu się nastrój. Świat wrócił do równowagi. Ręce przestały mu drżeć. Czuł się tak, jakby nagle z piersi spadł mu ogromny ciężar, którego do tej pory w ogóle nie zauważał.

Wiedział, że to nieodpowiedni moment i nieodpowiednie miejsce. No, ale zbyt wiele czasu już stracił na wyczekiwanie właściwych chwil, które nigdy nie nadeszły. I lepiej od innych wiedział, jak szybko mijają okazje. Los daje i odbiera. Quincy był teraz starszy, mądrzejszy i nie chciał już nigdy niczego żałować.

Ukląkł na jedno kolano, brudząc spodnie ziemią i igliwem. Wziął Rainie za rękę. Po jej policzkach płynęły łzy, ale nie odsunęła się od niego.

– Zestarzej się ze mną, Rainie – szepnął. – Adoptujemy dzieci. Będziemy mniej pracowali, założymy rodzinę, a potem napiszemy pamiętniki, bo to teraz podobno modne. Ja będę trząsł portkami ze strachu, a ty pomożesz mi znaleźć właściwą drogę.

– Nie wiem, czy będę dobrą matką!

– Razem się tego nauczymy.

– Nie wiem, czy będę dobrą żoną!

– Rainie, wystarczy, żebyś była sobą. Wtedy będę najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

– Och, na litość boską, wstawaj! – Ale ścisnęła jego dłonie i płakała coraz głośniejsze, a że nie wstał, osunęła się na ziemię obok niego. – Musimy więcej rozmawiać.

– Wiem.

– Nie tylko o pracy!

– Domyślam się.

– I jeśli się boisz, Quincy, mów mi o tym. Nie znoszę, kiedy chowasz się jak ślimak w skorupie.

– Spróbuję.

– Dobra.

– Dobra?

Pociągnęła nosem.

– To znaczy, tak, wyjdę za ciebie. Co mi tam. Skoro potrafimy łapać morderców, to i z życiem rodzinnym jakoś sobie poradzimy.

– Tak by wypadło – przytaknął Quincy. Przyciągnął ją do siebie i wziął w ramiona. Czuł, jak drży, i dopiero teraz zrozumiał, że bała się tak bardzo, jak on. To dodało mu sił. Człowiek nie musi znać wszystkich odpowiedzi. Wystarczy, by miał dość odwagi, by spróbować.

– Kocham cię, Rainie – szepnął jej do ucha.

– Ja ciebie też.

Ścisnęła go mocniej, a on pocałunkami osuszył jej łzy.

Godzinę później zadzwonił telefon. Wcześniej wrócili na drogę I-81 i skierowali się na północ, ku gęściej zaludnionym obszarom. Włączyli komórki. Nie mieli już powodu, by unikać FBI, a Quincy chciał być gotów na wypadek, gdyby Kimberly i Mac zdobyli nowe

informacje.

Jednak to nie Kimberly do niego zadzwoniła, lecz Kapłan.

– Coś mamy – rzucił.

– Z góry uprzedzam, że odebrano nam śledztwo – odparł Quincy.

– To jakby co, nie wam nie mówiłem. Kazałem moim ludziom przejrzeć akta wszystkich przedsiębiorców, którzy w ciągu ostatnich dziesięciu lat mieli jakieś związki z Georgią. Dobra wiadomość, znaleźliśmy kilka nazwisk. Zła wiadomość, wszyscy okazali się czyści. Lepsza wiadomość, poszerzyłem zakres poszukiwań.

– Poszerzyłeś?

– Zacząłem sprawdzać wszystkich pracowników tej zasranej bazy. Wiele osób przy takich czy innych okazjach bywało w Georgii, ale uznałem, że o jednej muszę powiedzieć wam od razu. Chodzi o doktora Ennunzio. Tego lingwistę.

– Mieszkał w Georgii?

– Pracował tam. Przez trzy lata regularnie bywał w Atlancie w związku z serią głośnych uprowadzeń. Gdzieś tak między dziewięćdziesiątym ósmym a dwa tysiące drugim. A więc wtedy...

– Kiedy Ekomorderca zaczął swoją grę. Cholerny świat. – Quincy rąbnął dłonią w kierownicę. Ponieważ nie rozłączył się jeszcze z Kapłanem, zwrócił się do Rainie: – Szybko, dzwoni do Kimberly! Powiedz jej, że to Ennunzio, i niech trzyma Norę Ray z daleka od niego!

Kimberly nie spała, choć tak nakazywałby rozsądek. Powinna zregenerować siły, dopóki ma okazję. Potrzebowała snu. Ale nie spała.

Powiodła palcem po brązowym barku Maca. Przeczesała palcami rzadkie włosy na jego piersi. Nie mogła się nim nasycić, jego skóra przypominała w dotyku ciepły atlas.

Chrapał. Szybko się o tym przekonała. Był też gorący i ciężki. Dwa razy przewrócił się na bok i najpierw położył rękę na jej piersiach, a potem objął ją w talii, jakby była jego własnością. Pomyślała, że powinna go tego oduczyć, ale w skrytości ducha bardzo ją to rozczuliło.

I zaczęła podejrzewać, że dzieje się z nią to samo, co z innymi kobietami – udają, że są silne i niezależne, że wiedzą, jak radzić sobie z facetami, po czym miękną jak wata cukrowa, gdy tylko ten jedyny skinie na nie palcem.

Postanowiła, że nie ustąpi. Przynajmniej nie do końca. Zażąda, by zostawiał jej więcej miejsca w łóżku. Tak, by mogła się wygodnie wyciągnąć i spokojnie zasnąć. Jak tylko przestanie go dotykać...

Jej palce zsunęły się na jego biodro i poczuła na podbrzuszu jego twardniejący członek.

Zadzwonił telefon. Jej ręka znieruchomiała, a z ust wyrwało się słowo, którego grzeczne dziewczynki raczej nie powinny używać w łóżku. Zaczęła energicznie wyplątywać się z pościeli.

– Nienawidzę tych zasranych komórek – powiedział Mac.

– Oszust! Nie spałeś.

– I bardzo dobrze. Może mnie ukarzesz? Przydałby mi się soczysty klaps.

– Lepiej, żeby to była ważna sprawa – oświadczyła Kimberly – inaczej rozpieprzę wszystkie mikroczipy w tym cholernym telefonie.

Ale oboje wiedzieli, że to musi być coś ważnego. Pora była wczesna, więc to pewnie Ray Lee Chee miał do przekazania informacji na temat czwartej ofiary. Koniec odpoczynku.

Kimberly złapała komórkę, spodziewając się najgorszego, i była autentycznie zaskoczona, kiedy usłyszała głos Rainie.

– To Ennunzio! Gdzie jesteście?

Kimberly, wciąż w szoku, podała jej nazwę motelu i numer zjazdu z autostrady.

– Pilnujcie go – powiedziała Rainie. – Już jedziemy. Aha, i Kimberly... uważajcie na Norę Ray.

Połączenie zostało przerwane. Mac i Kimberly rzucili się do ubrań.

Na dworze było ciemno i bardzo gorąco. Przywarli plecami do ściany motelu i z wyciągniętymi pistoletami skradali się do pokoju Ennunzia. Na ich twarzach malowało się napięcie. Doszli do drzwi pokoju Nory Ray. Kimberly zapukała. Cisza.

– Mocno śpi – mruknął Mac.

– Oby.

Szybkim krokiem przeszli przez parking. Pokój Ennunzia mieścił się w drugim skrzydle budynku w kształcie litery L. Drzwi były zamknięte. Światło zgaszone. Kimberly przyłożyła ucho do drzwi. Przez chwilę niczego nie słyszała. Potem nagle rozległ się huk mebla – albo ciała – ciśniętego przez pokój.

– Wchodzimy! – krzyknęła Kimberly.

Mac kopnął i wyważył tanie drewniane drzwi. Odskoczyły, ale wciąż trzymały się na łańcuchu. Kopnął jeszcze raz i uderzyły w ścianę.

– Policja, nie ruszać się!

– Noro Ray, gdzie jesteś?

Wskoczyli do pokoju, ona wyprostowana, on pochylony. Kimberly wymacała włącznik światła.

Zobaczyli dwoje ludzi toczących ze sobą zacieklą walkę. Na środku pokoju leżały przewrócone krzesła, łóżko było zniszczone, telewizor miał rozbity kineskop. Ale to nie doktor Ennunzio brał górę nad przerażoną dziewczyną. To Nora Ray zepchnęła agenta FBI, ubranego tylko w bokserki, w kąt pokoju. Stała nad nim z wielką błyszczącą igłą.

– Noro Ray! – krzyknęła Kimberly w szoku.

– On zabił moją siostrę.

– To nie ja, to nie ja. Przysięgam! – Ennunzio mocniej przywarł plecami do ściany. – Chyba... chyba zrobił to mój brat.

Rozdział 44

Wytheville, Wirginia

3.24

Temperatura: 34,5 stopnia

Zrozumcie, on jest chyba chory. – Twój brat być może porwał i zabił ponad dziesięć kobiet. To, czy jest chory, czy nie, to jego najmniejszy problem!

– Chyba nie chciał zrobić im krzywdy...

– Cholerny świat! – Mac zatrzymał się w pół kroku. Stał nad Ennunziem, który siedział zgarbiony na skraju łóżka. Quincy i Rainie pilnowali drzwi, a po ich prawej stronie, w kącie, Kimberly nie spuszczała oka z Nory Ray. Wcześniej zabrała jej strzykawkę. Jednak w pokoju wciąż panowała atmosfera zażartej wrogości. – To ty do mnie dzwoniłeś!

Ennunzio spuścił głowę.

– Do cholery, od samego początku mnie wykorzystywałeś!

– Nie wykorzystywałem. Próbowałem pomóc...

– Mówiłeś, że moim rozmówcą może być sam morderca. Dlaczego?

– Chciałem, żebyś poważniej traktował te rozmowy. Słowo daję, bardzo chciałem wam pomóc, ale sam niewiele wiem.

– Mogłeś podać mi nazwisko brata.

– To by nic nie dało. Franka Ennunzio już nie ma. Żyje pod przybranym nazwiskiem. Proszę, zrozumcie, nie rozmawiałem z nim od przeszło trzydziestu lat.

Wszyscy słuchali go w skupieniu. Mac zmarszczył brwi, niezadowolony z tej ostatniej informacji. Skrzyżował ramiona na piersi i zaczął chodzić po pokoju.

– Może zacznij od początku – zaproponował Quincy cicho.

Ennunzio z rezygnacją pokiwał głową.

– Pięć lat temu brałem udział w śledztwie w Atlancie, chodziło o uprowadzenie dziecka młodego lekarza. Poproszono mnie o analizę listów od porywaczy. W tamtym czasie zniknęły też dwie dziewczyny z uniwersytetu stanowego. Wyciąłem z gazety wszystkie artykuły na ten temat. Myślałem, że robię to pod wpływem intuicji. Zajmowałem się jednym zniknięciem, a tu zdarzyło się następne, nigdy nic nie wiadomo. Dlatego interesowałem się też sprawą zaginionych studentek. Tego i następnego lata, kiedy w czasie fali upałów zaginęły dwie inne dziewczyny.

Wtedy wiedziałem już, że ta sprawa nie ma nic wspólnego z moim śledztwem. Ja zajmowałem się serią uprowadzeń. Wyrachowany młody człowiek, który pracował w jednym z bardziej znanych klubów golfowych, wykorzystywał swoje stanowisko do wyszukiwania i prześladowania bogatych rodzin. Zajęło nam to trzy lata, ale w końcu go zidentyfikowaliśmy, w dużej mierze na podstawie jego listów z żądaniem okupu.

Jednak porwania podczas fali upałów to było zupełnie co innego. Przestępca atakował młode dziewczyny podróżujące parami. Ciało jednej zostawiał przy drodze, a drugą porzucał

na odludziu. I wysyłał listy do gazet. „Zegar tyka... żar zabija”. Znam to na pamięć. Trudno coś takiego zapomnieć.

Ennunzio zamilkł. Wbił wzrok w dywan i zamyślił się głęboko.

– Co zrobił twój brat? – spytała Rainie cicho. – Opowiedz nam o Franku.

– Nasz ojciec był surowy.

– Jak wielu ojców.

– Pracował w kopalni, niedaleko stąd. Miał ciężkie życie. W dzień harówka, w nocy nędza. Był bardzo gniewnym człowiekiem.

– Gniewni ludzie często bywają agresywni – zauważyła Rainie.

Ennunzio wreszcie na nią spojrział.

– Tak, to prawda.

– Czy twój brat zabił ojca?

– Nie. Wyręczyła go kopalnia. W płucach ojca zbierał się pył węglowy. Zaczął kaszleć, no i pewnego dnia wreszcie mogliśmy przestać się go bać.

– Ennunzio, co zrobił twój brat?

– Zabił naszą matkę – szepnął Ennunzio. – Kobietę, której przez całe nasze dzieciństwo próbowaliśmy bronić.

Głos mu się załamał. Nie mógł spojrzeć im w oczy. Spuścił głowę.

– Musicie zrozumieć... po pogrzebie mama wpadła w szal. Zaczęła krzyczeć na Franka, że jest niewdzięczny, i zanim się obejrzelśmy, rzuciła się na niego z pasem ojca. Na początku nic nie robił. Leżał na podłodze dotąd, aż matka się zmęczyła. Bicie go tak ją wyczerpało, że nie mogła nawet ruszyć ręką. I wtedy wstał. Wziął ją na ręce. Delikatnie. Dokładnie to pamiętam. Miał dopiero czternaście lat, ale był nad wiek wyrośnięty, a moja matka była drobna jak kurczątko. Zaniósł ją do jej pokoju i położył na łóżku.

Kazał mi wyjść z domu. Nie mogłem. Stałem na środku pokoju, a on przyniósł wszystkie lampy naftowe i zaczął rozlewać naftę po całym domu. Chyba dopiero wtedy dotarło do mnie, co zamierza zrobić. Mama tylko patrzyła. Leżała na łóżku, jeszcze oddychała. Nie odezwała się ani słowem. Chciał zabić ją, może nawet nas wszystkich, i chyba była mu za to wdzięczna.

Kiedy wszędzie było pełno nafty, Frank rzucił na podłogę rozżarzone węgle z kuchni. Dom zajął się od razu. Był drewniany, rozsychał się ze starości, nie miał izolacji. Może on też poczuł ulgę, w końcu tak naprawdę nigdy nie zagościło w nim szczęście. Nie wiem. Pamiętam tylko, jak brat złapał mnie za rękę i wyciągnął na dwór. Staliśmy i patrzyliśmy, jak pali się nasz dom. Nagle matka zaczęła krzyczeć. Przysięgam, że widziałem, jak stała w płomieniach z podniesionymi rękami i wrzeszczała na całe gardło. Ale wtedy już niczego nie mogliśmy dla niej zrobić. I nikt nie mógł zrobić niczego dla nas.

Brat odprowadził mnie do drogi. Powiedział, że na pewno ktoś mnie stamtąd zabierze. Na koniec dodał: „Pamiętaj, Davey. Żar zabija”. Zniknął w lesie i od tamtej pory go nie widziałem ani z nim nie rozmawiałem. Tydzień później trafiłem do rodziny zastępczej w Richmond.

Kiedy skończyłem osiemnaście lat, na krótko zajrzałem w te okolice, by odwiedzić grób rodziców. Zauważyłem, że w nagrobku ktoś wydłubał dziurę. W środku znalazłem zwiniętą

kartkę, na której było napisane: *Zegar tyka... planeta umiera... zwierzęta płaczą... rzeki krzyczą. Nie słyszycie? Żar zabija...* Myślę, że to podsumowanie poglądów mojego brata na ten temat.

– Wszystko musi umrzeć? – powiedziała Kimberly ponuro.

– Wszystko, co piękne. – Ennunzio wzruszył ramionami. – Nie proście, żebym dokładnie to wyjaśnił. Przyroda była dla nas schronieniem. Tam uciekaliśmy przed naszym ojcem. I więzieniem, ponieważ byliśmy odcięci od świata i nikt nie wiedział, co dzieje się w naszym domu. Mój brat kochał las i go nienawidził. Kochał naszego ojca i go nienawidził. A w końcu przeniósł te uczucia na matkę. Chyba dla niego to w gruncie rzeczy jedno i to samo: nienawidzi tego, co kocha i kocha to, czego nienawidzi, i przez to wpadł w sieć, z której nigdy się nie wypłacie.

– Dlatego szuka gorąca – mruknął Quincy – które oczyszcza.

– I wykorzystuje przyrodę, która go uratowała i zdradziła zarazem – dodała Rainie. Spojrzała z troską na Norę Ray, – Czy teraz jest ci lżej?

– Co? – powiedziała dziewczyna ze złością. – Facet miał trudne życie, też coś! Nie on jeden. To nie daje mu prawa do zamordowania mojej siostry. A ty! – Wbiła roziskrzzone oczy w doktora Ennunzio. – Powinieneś się wstydzić! Jesteś agentem FBI, masz chronić ludzi. A tymczasem wiedziałeś coś o mordercy i nie powiedziałeś ani słowa.

– Nie miałem nic do dodania, nie znałem nazwiska, miejsca pobytu...

– Znałeś jego przeszłość!

– Ale nie wiem, co dzieje się z nim teraz. Mogłem tylko obserwować i czekać. I daję słowo, kiedy tylko zobaczyłem w jednej z gazet z Wirginii list od mojego brata, przesłałem kopię GBI. Chciałem, by zajął się tym agent McCormack. Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, by jak najszybciej zainteresować sprawą policję. To chyba coś znaczy...

– Trzy dziewczyny nie żyją – wycedziła Nora Ray. – Sam oceń, na ile nam pomogłeś.

– Gdybym miał pewność... – mruknął Ennunzio.

– Tchórz – odparowała Nora Ray wściekle i Ennunzio wreszcie się zamknął.

Quincy odetchnął głęboko. Spojrzał na Rainie, Maca i Kimberly.

– No to na czym stoimy?

– Musimy znaleźć mordercę i ofiarę – powiedział Mac. – Motyw już znamy, ale przyda się nam dopiero w sądzie. Sytuacja wygląda tak: mamy środek nocy, jest gorąco jak diabli, a gdzieś tam błąka się jeszcze jedna dziewczyna. No, mów coś, Ennunzio. To twój brat. Zacznij myśleć jak on.

Lingwista tylko pokręcił głową.

– Na początku potrafiłem odczytać część wskazówek, i to tylko dlatego, że tak dużo czasu spędzałem na wędrówkach. Ale dowody, które macie teraz – próbki wody, osad, pyłek... to już nie na moją głowę. Potrzebujecie specjalistów.

– Czy twój brat miał jakieś ulubione miejsca?

– Dorostaliśmy w nędzy na pogórzu Appalachów. Jedyne ulubione miejsca, jakie mieliśmy, to te, w które dało się dojść pieszo.

– Ale tę jaskinię znałeś.

– Bo kiedyś lubiłem chodzić po jaskiniach. A ze wszystkich miejsc wybranych przez Franka to było położone najbliżej naszych rodzinnych okolic.

– A więc powinniśmy trzymać się Appalachów – orzekła Rainie. Jednak i Mac, i Ennunzio pokręcili głowami.

– Owszem, sposób działania mojego brata może mieć związek z jego przeszłością – powiedział Ennunzio. – A nawet być wynikiem wstrząsu wywołanego upałem, ale miejsca, które wybiera, nie mają nic wspólnego z naszą rodziną. Nawet nie wiedziałem, że mieszkał w Georgii.

– Ennunzio ma rację – stwierdził Mac. – Jeśli nawet facet zaczął działać pod wpływem jakichś kompleksów, to teraz już nie one są najistotniejsze. Trzyma się swojego planu, a to oznacza, że wybiera zupełnie różne miejsca. Gdziekolwiek jesteśmy, ostatnia dziewczyna musi być możliwie najdalej od nas.

– Trzeba pogadać z ekipą Raya – powiedziała Kimberly.

– Pójdę zobaczyć, jak im idzie – rzucił Mac.

Jak się okazało, nie było to potrzebne. Ray właśnie szedł do jego pokoju i spotkali się na środku parkingu.

– Udało się – powiedział Ray, podekscytowany. – Próbki gleby zawierają pyłki trzech różnych drzew – cyprysnika błotnego, nyssy i klonu czerwonego, a zgnieciona roślina to po prostu mocno zmaltretowana paproć. Buty były pokryte torfowcem. Co może oznaczać tylko jedno...

– Jedziemy do Disneylandu?

– Jeszcze lepiej. Do Dismal Swamp.

O czwartej nad ranem grupa podjęła decyzję. Postanowili wcielić w życie starą maksymę: dziel i rządź. Quincy'emu, jako najstarszemu wiekiem, znów przypadło w udziale skontaktowanie się z oficjalną grupą śledczą z FBI. Oprócz tego mieli z Rainie pilnować Nory Ray, ponieważ wszyscy zgodnie uznali, że niebezpiecznie byłoby zostawić ją samą.

Członkowie ekipy z USGS pakowali sprzęt i ładowali bagaże do samochodów. Kathy Levine wyjaśniła, że Dismal Swamp obejmuje ponad tysiąc kilometrów kwadratowych i jest pełen robactwa, jadowitych węży, niedźwiedzi i rysi. Drzewa osiągają tam gigantyczne rozmiary, a gęste cierniste krzewy i dzikie pnącza powodują, że bagna są praktycznie nie do przebycia.

Potrzebowali wody. Środka odstraszającego owady. Maczet. Innymi słowy, wszystkiego, co da się zdobyć.

Mac i Kimberly wieźli Ennunzia na tylnym siedzeniu. Mieli jechać za ekipą Raya. W sumie było ich siedmioro do przeszukania obszaru, któremu nie podolał sam Jerzy Waszyngton. Słońce znów wyłoniło się zza horyzontu i zaczynały zlatywać się komary.

– Gotowa? – spytał Mac Kimberly, wsiadając do samochodu.

– Na tyle, na ile potrafię.

Spojrzał na Ennunzia we wstecznym lusterku. Agent ze znużeniem pocierał twarz, wyglądał, jakby nagle przybyło mu dwadzieścia lat.

- Dlaczego po pożarze nie aresztowali twojego brata? – spytał Mac szorstko.
 - Zdaje się, że go nie znaleźli.
 - Powiedziałeś komuś, co się stało?
 - Oczywiście.
 - Bo nigdy nie ukrywasz prawdy.
 - Jestem agentem federalnym – przypomniał Ennunzio z irytacją. – Wiem, co trzeba zrobić.
 - To dobrze, bo znalezienie tej dziewczyny to dopiero połowa sukcesu. Potem zabierzemy się do twojego brata i nie spoczniemy, dopóki go nie dopadniemy.
 - On się nie podda. Nie jest typem człowieka, który mógłby spędzić resztę życia w klatce.
 - No, to lepiej bądź przygotowany – powiedział Mac ponuro.
- Spojrzał na Kimberly.
- Lepiej by było, gdybyśmy mieli karabin – stwierdziła i oboje odpięli kabury.

Rozdział 45

Dismal Swamp, Wirginia

6.33

Temperatura: 35,5 stopnia

Matka krzyczała na nią: „Wysłałam cię na studia, żebyś zdobyła wykształcenie. Żebyś w życiu coś osiągnęła. No i proszę, do czego doszłaś?”

„Kobieto, przynieś mi szklankę wody, do cholery. I wyrzuć stąd tych kelnerów w smokingach” – odgryzła się Tina.

Usiadła i zaczęła obserwować niebieskiego motyla.

Woda. Jeziora. Lodowato zimne strumienie. Czipsy. Och, jest tak gorąco. Skóra paliła. Pragnęła zerwać ją z siebie, aż do kości, i taplać się w błocie. To dopiero byłaby rozkosz, co?

Coś ruszało się pod skórą na jej przedramieniu. Rany wybrzuszały się i ropiały. Robaki. Okropne, małe, białe larwy. Wiły się pod skórą, pożerały mięso. Powinna je wydłubać i zjeść. Ciekawe, czy smakowałyby jak kurczak?

Ładny niebieski motyl. Jak pięknie szybuje w powietrzu. Wznosi się coraz wyżej w swoim tańcu. Też chciałaby tak tańczyć. Poszybować w górę. Wylądować w cieniu wielkiego buku... albo w jeziorze... czy chłodnym strumieniu.

Swędzenie. Wszystko ją swędzi. Ciągłe się drapie, ale to nie pomaga. Jest gorąco, gorąco, gorąco. Tak bardzo chce jej się pić. Słońce wschodzi. Znow będzie ją palić. Rozpłakałaby się, ale nie miała już w sobie ani kropli wody. Padła w błoto i rozpaczliwie usiłowała zamoczyć język w kałuży.

Matka znów się na nią wydzieriała: „No i zobacz, coś ty zrobiła”. Nie miała siły, by jej odpowiedzieć.

– Przepraszam – szepnęła i zamknęła oczy. Śniła o mroźnych zimach w Minnesocie. O matce wyciągającej do niej ręce. I modliła się, by koniec nadszedł szybko.

Na mokradła dotarli po przeszło dwóch godzinach. Wejście dla turystów było w Północnej Karolinie, od wschodu. Jednak Kathy Levine przyjęła założenie, że morderca nie opuścił terytorium Wirginii, i poprowadziła ich do wejścia od strony zachodniej. Trzy samochody zatrzymały się na parkingu i Kathy, jedyna osoba z uprawnieniami ratownika, objęła dowodzenie. Najpierw rozdała gwizdki.

– Pamiętajcie, trzy gwizdnięcia oznaczają wezwanie pomocy. W razie kłopotów zostańcie na miejscu, gwizdźcie, a my was znajdziemy.

Potem rozdała mapy.

– Przed wyjściem z hotelu ściągnęłam je z Internetu. Jak widzicie, Dismal Swamp w przybliżeniu ma kształt prostokąta. Niestety, jest to bardzo duży prostokąt. Nawet jeśli interesuje nas tylko część znajdująca się w Wirginii, to i tak mamy do obskoczenia przeszło czterdzieści tysięcy hektarów. Trochę tego dużo jak dla siedmiu osób.

Mac wziął jedną z map. Pokazywała duży zacieniony obszar, przecięty płataniną kresek. Wskazał je palcem.

– Co to?

– Przerzywane linie to szlaki turystyczne i rowerowe. Te szersze to drogi, a te cienkie ciemne to stare kanały, w większości wykopane ręcznie przez niewolników przed setkami lat. Kiedy poziom, wody był wyższy, wykorzystywano je przy hodowli cyprysów i jałowców.

– A teraz?

– Większość z nich jest zamulona. Za mało wody, by płynąć po nich kajakiem, za dużo, by iść pieszo.

– A jakie są drogi?

– Szerokie, płaskie, trawiaste, nie potrzeba nawet napędu na cztery koła. – Levine domyślała się, do czego Mac zmierza. Dodała: – Teoretycznie na teren mokradeł nie wolno wjeżdżać samochodami, ale kto wie co dzieje się pod osłoną nocy...

Mac skinął głową.

– No dobra. A więc morderca musi wnieść na bagna nieprzytomną, ważącą sześćdziesiąt kilo kobietę. Szuka jakiegoś odludnego miejsca, gdzie nikt jej za prędko nie znajdzie. Musi tam jednak dojechać samochodem, bo noszenie kobiety po czterdziestu tysiącach hektarów mokradeł to lekka przesada. Co z tego wynika?

Wszyscy wbili wzrok w mapę. Większość szlaków turystycznych była mniej więcej na środku, w zachodniej części bagien tworzyły wyraźną siatkę. Najbliżej nich znajdowała się prosta pętla oznakowana jako ścieżka rekreacyjna. Od razu uznali, że ta okolica odpada, jako zbyt uczęszczana przez turystów. Dalej rozciągał się ciemny owal jeziora Drummond, także otoczonego dużą liczbą szlaków, dróg i rowów nawadniających. Jednak za jeziorem na mapie widniała już tylko duża szara plama, przecięta tu i ówdzie starymi nieutwardzonymi drogami. Tam zaczynało się odludzie.

– Musimy dojechać do jeziora – mruknęła Kimberly.

– I tam odbić w bok – przytaknął Mac. Spojrzał w skupieniu na Levine. – Nie mógł zostawić jej przy drodze. Drogi się krzyżują, więc łatwo byłoby znaleźć taką, która prowadzi do wyjścia.

– Fakt.

– Kanały odpadają. Też mogłyby wyprowadzić ją z mokradeł. Kathy pokiwała głową w milczeniu.

– Zabrał ją do głuszy – skwitował Mac cicho. – Pewnie tu, do północnowschodniej części bagien, gdzie drzewa i gęste zarośla utrudniają orientację. Gdzie żyje więcej drapieżników i jest bardziej niebezpiecznie. Gdzie można krzyczeć do woli, a i tak nikt cię nie usłyszy.

Zamilkł na chwilę. Mimo wczesnej pory, było już gorąco. Pot ściekał im po twarzach, plamił koszulę. Powietrze wydawało się zbyt duszne, by nim oddychać, serca biły im szybciej, a płuca pracowały ciężiej, choć dopiero co wzeszło słońce. Warunki były trudne, niemal zabójcze. Co musi przeżywać dziewczyna, która tkwi tu od ponad trzech dni?

– Będzie niebezpiecznie – zapowiedziała Kathy cicho. – Cierniste zarośla gdzieś tam są tak gęste, że nie da się wyciąć w nich przejścia. W jednej chwili człowiek idzie po ubitej

ziemi, a w następnej wpada po kolana w błoto. Trzeba uważać na niedźwiedzie i rysie. Do tego dochodzą mokasyny i grzechotniki. Na ogół trzymają się z dala od ludzi, ale po zejściu ze szlaku znajdziemy się na ich terytorium, a to im się nie spodoba.

– Grzechotniki? – spytała Kimberly z niepokojem.

– Krótsze niż na Południu, o grubej płaskiej głowie, na widok której można popuścić w gacie ze strachu. Mokasyny żyją na podmokłych terenach. Grzechotniki preferują skały i sterty liści. No i zostały nam jeszcze robaki. Komary, muchy, roztocza i kleszcze... Na ogół raczej nie myślimy o owadach, ale to właśnie wielkim rojom komarów i much Dismal Swamp zawdzięcza opinię jednego z najmniej gościnnych miejsc na ziemi.

– Nic dziwnego – mruknął Ray posępnie, opędzając się od pierwszych komarów, które wyczuły ich zapach. Reszta pewnie wkrótce nadleci.

Ray i Brian poszukali w plecakach środka przeciw owadom. Zapanowała ponura atmosfera. Skoro dziewczyna jest gdzieś w najbliższych częściach bagien, to czy chcą, czy nie, muszą tam pójść. Nikt nie był zachwycony, ale też nikt nie protestował.

– Słuchajcie – powiedziała Kathy stanowczym tonem – największym zagrożeniem jest odwodnienie i udar cieplny. Musicie pić co najmniej litr wody na godzinę. Najlepiej przefiltrowanej, ale w razie czego możecie pić też wodę z bagna. Wygląda, jakby ktoś uprał w niej brudne skarpety, ale tak naprawdę jest bardzo czysta, zakonserwowana przez kwasy taninowe obecne w korze jałowca, nyssy i cyprysa. Dawniej marynarze zabierali ją w beczkach na długie rejsy. Środowisko i woda trochę zmieniły się od tamtych czasów, ale w tym upale...

– Trzeba pić – dokończył Mac.

– Tak, i to dużo. Płyną to wasi sprzymierzeńcy. A teraz założmy, że uda nam się znaleźć Tinę. Najważniejsza sprawa w postępowaniu z ofiarami odwodnienia i udaru cieplnego to obniżenie temperatury ciała. Oblejcie ją wodą. Wymasujcie ręce i nogi, żeby pobudzić krążenie krwi. Dajcie jej wodę, ale i dużo słonych przekąsek, a najlepiej roztwór soli. Nie bądźcie zaskoczeni, jeśli będzie się broniła. Ofiary silnego udaru cieplnego często mają omamy i są agresywne. Może mówić bez ładu i składu, może wydawać się w pełni przytomna, a nagle rzucić się na was. Nie próbujcie z nią dyskutować. Przytrzymajcie ją i jak najszybciej podajcie jej płyny. W razie czego przeprosicie ją później za siniaka na szczęce. Jakies pytania?

Nie było żadnych. Nadlatywały chmury komarów, atakowały oczy, uszy, usta. Ray i Brian opędzali się od nich bez przekonania. Komary zdawały się tego nie zauważać. Także środek przeciwko owadom najwyraźniej im nie przeszkadzał.

Po raz ostatni sprawdzili ekwipunek. Wszyscy mieli wodę, apteczki i gwizdki, mapy i duże ilości środka przeciwko owadom. Byli gotowi. Załadowali plecaki do samochodów. Ray otworzył bramę, za którą biegła droga prowadząca do jeziora Drummond. I jeden po drugim wozy wtoczyły się na bagna.

– Strasznie tu – mruknął Ennunzio, kiedy po prawej stronie pojawił się pierwszy, ciemny, mulisty kanał, wijący się złowrogo wśród drzew.

Mac i Kimberly nie odpowiedzieli.

Na bagnach wszystko było większe. Kimberly po raz czwarty schyliła się, próbując przejść przez kępy powykręcanych cyprysów i gigantycznych jałowców. Pnie drzew były szersze od jej rozłożonych ramion, a niektóre liście większe od jej głowy. Gdźieniedzie gałęzie i pnącza były tak splątane, że musiała zdjąć plecak, by precyzyjnie się przez wąską szczelinę między nimi.

Słońce pozostało wspomnieniem, migotało tylko w koronach drzew. Kimberly, Mac i Ennuzio szli przez pogrążone w ciszy mokradła. Nasiąknięta wodą ziemia tłumiała ich kroki, a silny zapach przegniłej roślinności wypełniał nozdrza i przyprawiał o mdłości.

W innym dniu, w innych okolicznościach Kimberly pewnie uznałaby, że jest tu pięknie. Ziemię zdobiły jasnopomarańczowe kwiaty. Cudowne niebieskie motyle ganiały się w promieniach słońca między drzewami. Dziesiątki zielonych i złotych ważek wносиło trochę barw w gęstniejący mrok.

Jednak Kimberly zwracała większą uwagę na zagrożenia. Pod drzewami leżały sterty suchych liści, zapewniające doskonale schronienie śpiącym węzom. Drapieżne pnącza, grubości ręki, ciasno oplatały drzewa. Widziała też dawno wykarczowane polany, na których z półmroku wylaniały się tylko okrągłe, rozsychające się pniaki, przypominające miniaturowe nagrobki. Tam ziemia była bardziej rozmiękła i bagna, a na dźwięk zbliżających się kroków ropuchy i salamandry uciekały do swoich kryjówek.

W mrocznych zakamarkach bagien coś się poruszało. Coś, czego Kimberly nie widziała, tylko czuła, jak szeptał na wietrze. Jeleń, niedźwiedź, ryś? Nie miała pojęcia. Słyszając te dźwięki, podskakiwała nerwowo i włosy jeżyły jej się na karku.

Pewnie było ze czterdzieści stopni, a ją przechodziły dreszcze.

Mac szedł przodem. Kimberly za nim. Na końcu Ennuzio. Zaczęli od systematycznego przeszukania kawałka terenu między dwiema drogami. Wydawało się, że to dobry pomysł. Tyle że idąc, co i rusz napotykali zarośla i gęsto rosnące drzewa, między którymi nie można było przejść, więc musieli zbaczać z obranego kursu, to w prawo, to w lewo. Omijać jedną przeszkodę, potem następną. Mac miał kompas. Może i wiedział, gdzie są, ale z tego, co widziała Kimberly, teraz już zdani byli tylko na łaskę i niełaskę bagna. To od niego zależało, dokąd pójda. A ścieżka prowadziła ich coraz głębiej w mroczne rejony pełne gnijących roślin, gdzie było coraz więcej gałęzi, a oni musieli przeciskać się przez coraz węższe szczeliny.

Niewiele mówili. Przebijali się przez gorące mokre pnącza, wypatrując złamanych gałązek, naruszonej ziemi czy zgniecionych roślin, mogących wskazywać na to, że niedawno ktoś tędy przechodził. Na przemian dmuchali w gwizdki i wołali Tinę Krahn. Gramolili się przez ogromne drzewa, obalone przez pioruny. Przeciskali się między wielkimi gałazami. Daremnie torowali sobie drogę przez gęste klujące chaszczce.

Mieli coraz mniej wody. Oddychali coraz ciężiej, szli coraz bardziej chwiejnym krokiem, a ich ręce zaczęły drżeć z gorąca.

Kimberly zaschło w ustach. Coraz częściej się potykała i musiała przytrzymywać się gałęzi i splątanych krzaków. Oczy piekły ją od potu. Muchy bez przerwy krążyły wokół jej głowy i próbowały kąsać ją w kąciuki ust i delikatną skórę za uszami.

Nie wiedziała, jak długo idą. Wydawało jej się, że jest tu od zawsze i przedziera się przez

gęste mokre liście tylko po to, by napotkać następny bezmiar pnączy, cierni i krzewów.

Nagle Mac uniósł dłoń.

– Słyszeliście? – spytał.

Kimberly zatrzymała się, wciągnęła powietrze i wyteżyła słuch. Tak, przez chwilę słyszała jakiś dźwięk. Jakby głos na wietrze. Mac odwrócił się, – Skąd to dochodzi?

– Stamtąd! – krzyknęła Kimberly i wyciągnęła rękę w prawo.

– Nie, chyba raczej stamtąd – wskazał Mac prosto przed siebie. Zmarszczył brwi. – Cholerne drzewa, zniekształcają dźwięk.

– W każdym razie z tamtej strony.

– Chodźmy!

Nagle Kimberly zauważyła coś, od czego jeszcze bardziej zaschło jej w ustach.

– Mac – powiedziała – gdzie Ennunzio?

Rozdział 46

Richmond, Wirginia

11.41

Temperatura: 38 stopni

Mówię ci, czwarta ofiara, Tina Krahn, została porzucona gdzieś w Dismal Swamp. – A ja ci mówię, że ta sprawa leży poza twoimi kompetencjami.

– Wiem! – krzyknął Quincy, poczuł, że traci nad sobą panowanie, i uspokoił się, pełen goryczy. Przed półgodziną przyjechał do terenowego biura FBI w Richmond i poprosił o rozmowę z agentem specjalnym Harkoosem. Ten nie chciał przyjąć go w swoim gabinecie i niechętnie zgodził się spotkać z nim na korytarzu na dole. Quincy zrozumiał aluzję. – Nie chcę wydawać rozkazów – spróbował raz jeszcze. – Proszę, żebyście pomogli zaginionej dziewczynie.

– Majstrowaliście przy dowodach – warknął Harkoos.

– Przyjechałem na miejsce za późno, personel USGS już zaczął analizować dane i nie mogłem nic zrobić.

– Mogłeś ich przegonić i poczekać na przyjazd prawdziwych profesjonalistów.

– Są specjalistami w swoich dziedzinach...

– Ale nie mają odpowiednich kwalifikacji w medycynie sądowej...

– Ustalili miejsce ukrycia trzech ofiar! – krzyknął Quincy i o mało nie zaczął przeklinać. Naprawdę, tego dnia tyle razy zdarzyło mu się tracić zimną krew, że chyba pobił swój rekord. Zmusił się, by odetchnąć głęboko. Czas na logikę, dyplomację, spokój i rozsądek. Jeśli to nie poskutkuje, będzie musiał zabić tego sukinsyna. – Potrzebujemy waszej pomocy – przekonywał.

– Spieprzyłeś tę sprawę.

– Ona już była spieprzona. Cztery dziewczyny zaginione, trzy nie żyją. Mamy ostatnią szansę. Samotna dziewczyna na środku bagien. Wezwijcie grupy ratowników, znajdźcie ją, a nagłówki będą wasze. To wszystko.

Agent Harkoos groźnie ściągnął brwi.

– Nie lubię cię – mruknął, ale w jego głosie nie było już zajadłości. Quincy powiedział prawdę, no i ktoś mógłby oprzeć się pokusie trafienia na pierwsze strony gazet? – Twoje nieortodoksyjne metody działania mogą nam zaszkodzić w sądzie – burknął. – Nie myśl, że o tym zapomnę.

– Wezwijcie grupy ratunkowe, znajdźcie ją, a nagłówki będą wasze – powtórzył Quincy.

– Dismal Swamp, co? Naprawdę jest tam tak parszywie, jak mówią?

– Najprawdopodobniej tak.

– Cholera. – Harkoos wyjął komórkę. – Oby twoi ludzie się nie mylili.

– Dotąd im się to nie zdarzyło – odparł Quincy szorstko.

Ledwie Quincy wyszedł z budynku, zadzwoniła jego komórka. Kapłan.

– Macie Ennunzia? – spytał.

– To nie on – powiedział Quincy. – Sprawdź jego brata.

– Brata?

– Ennunzio twierdzi, że trzydzieści lat temu jego starszy brat zabił matkę. Spalił ją żywcem. Ennunzio nie widział go od tamtego czasu, ale brat zostawił na grobie rodziców kartkę tej samej treści, co listy od Ekomordercy.

– Quincy, z akt personalnych wynika, że Ennunzio nie ma brata. Quincy zatrzymał się w pół kroku przy Rainie i zmarszczył brwi.

– Może nie uważa go za członka rodziny? Minęło trzydzieści lat. Ich ostatnie spotkanie raczej nie było warte pamiątkowej fotografii.

Na chwilę zapadła cisza.

– To mi się nie podoba – mruknął Kapłan. – Coś tu nie gra. Dzwonię do ciebie, bo przed chwilą rozmawiałem z sekretarką Ennunzia. Jak się okazało, przed dwoma laty wziął trzymiesięczny urlop i przeszedł poważną operację. Lekarze usunęli mu guza mózgu. Według sekretarki, pół roku temu Ennunzio znów zaczął skarżyć się na bóle głowy. Bardzo się o niego martwiła.

– Guza...

– Ty tu jesteś specjalistą ale nowotwory mózgu mogą mieć wpływ na zachowanie, nie? Zwłaszcza te, które tworzą się w określonych miejscach...

– W układzie limbicznym. – Quincy zamknął oczy, myśląc gorączkowo. – W przypadku urazów lub nowotworów mózgu, często stwierdza się dużą zmianę zachowania chorych, nazywamy to zwiększoną drażliwością. Spokojni ludzie stają się brutalni, agresywni, wulgarni.

– Mogą nawet zacząć zabijać?

– Zdarzały się przypadki masowych morderstw – odparł Quincy. – Ale tak zimne i wyrachowane działanie... Z drugiej strony, nowotwór może wywoływać psychozy, a to już coś. Siedzisz przy komputerze? Mógłbyś poszukać informacji o Davidzie Ennunzio? Sprawdź akty urodzenia i zgonu z hrabstwa Lee w Wirginii.

Rainie patrzyła na niego zdziwiona. Nora Ray też.

– Czy doktor Ennunzio ma na imię David? – szepnęła Rainie.

– Tak zakładaliśmy.

– Zakładaliście? – Otworzyła szerzej oczy i zdał sobie sprawę, że też zrozumiała, o co chodzi. Dlaczego w śledztwie nie powinno się niczego zakładać z góry? Żeby człowiek nie wyszedł potem na osła. Kapłan wrócił do telefonu.

– Mam tu nekrolog, w którym jest napisane, że David Joseph Ennunzio zmarł 14 lipca 1972 roku w wieku trzynastu lat. Zginął w pożarze domu wraz z matką. Jedyнным pozostałym przy życiu członkiem rodziny jest... Chryste! Franklin George Ennunzio. Doktor Frank Ennunzio. Quincy, Ennunzio nie ma brata.

– Miał brata, ale go zabił. Zabił brata, matkę, cholera wie, może ojca też. Przez resztę życia zacierał po sobie ślady i próbował zapomnieć. Aż z jego głową stało się coś jeszcze gorszego.

– Musicie go natychmiast zamknąć! – krzyknął Kapłan.

A Quincy szepnął:

– Nie mogę. Jest w Dismal Swamp. Z moją córką.

Mężczyzna wiedział, co musi zrobić. Znów pozwolił, by opadły go wspomnienia starych czasów. Jego głowę przeszywał silny łupiący ból. Szedł chwiejnym krokiem, przyciskając dłonie do skroni.

Ale wspomnienia sprawiły też, że wszystko stało się jasne. Pomyślał o matce, o tym, jaką miała minę, kiedy leżała biernie na łóżku i patrzyła, jak rozlewa naftę po podłodze drewnianej chaty. Pomyślał o młodszym bracie, który kulił się w kącie, zamiast uciekać.

Nie próbowali walczyć. Nie protestowali. Ojciec przez te wszystkie lata zdołał wybić im z głowy opór. Teraz nadchodziła śmierć, a oni tylko czekali.

Trzydzieści lat temu był słaby. Rzucił zapalną i uciekł przed płomieniami. Myślał, że zostanie. Był pewien, że też chce śmierci. Ale w ostatniej chwili stwierdził, że nie jest w stanie tego zrobić. Wyrwał się spod hipnotyzującego uroku ognia. Wskoczył na zewnątrz. Usłyszał ochryple wściekłe krzyki matki. I ostatnie żalosne jęki brata. Potem pobiegł do lasu i błagał przyrodę, by go ocaliła.

Matka Natura nie potraktowała go dobrze. Był głodny, było mu gorąco. Błąkał się całymi tygodniami, oszołomiony i spragniony. Dlatego w końcu poszedł do miasta, ciekaw, co się z nim stanie.

Ludzie byli dla niego dobrzy. Nadszkwili mu, ściskali go i na każdym kroku dogadzali temu biednemu chłopcu, który przeżył tak straszną tragedię. Ależ musiał być dzielny i silny, skoro tak długo przetrwał w dziczy, mówili mu. To cud, że udało mu się w porę uciec z płonącego domu. Bóg na pewno mu sprzyja, skoro okazał taką łaskę.

Zrobili z niego bohatera. Był zbyt zmęczony, by protestować.

Ale ogień odnajdywał go w snach. Przez lata nie zważał na to, chciał być jak mityczny Feniks, który odradza się z popiołów, by zacząć nowe lepsze życie. Ciężko pracował, pilnie się uczył. Obiecał sobie, że będzie czynił dobro. Będzie dobrym człowiekiem. W dzieciństwie zrobił coś strasznego. Teraz, jako dorosły, się poprawi.

Przez jakiś czas nawet mu się to udawało. Był dobrym agentem. Ratował ludzi, pomagał przy głośnych śledztwach, prowadził ważne badania. Ale w końcu pojawił się ból, a płomień, które widział w snach, coraz bardziej go hipnotyzowały i wreszcie pozwolił, by ogień do niego przemówił. By przekonał go do robienia różnych rzeczy.

Zabijał. Błagał policję, by go powstrzymała. Porywał dziewczyny. Zostawiał wskazówki, by inni mogli je ocalić. Nienawidził siebie. Zaspokajał swoje potrzeby. Szukał odkupienia przez pracę. W życiu osobistym popełniał cięższe grzechy. W końcu stał się takim człowiekiem, na jakiego wychowała go rodzina.

Wszystko, co piękne, zdradza. Wszystko, co piękne, kłamie. Zaufać można tylko płomieniom.

Biegał w kółko, w mrocznych zakamarkach mokradeł. Słyszał, jak jelenie uciekają mu z drogi, a spłoszone lisy szukają schronienia. Spośród liści dobiegł złowieszczy grzechot.

Mężczyzna na to nie zważał.

Bolała go głowa, organizm domagał się odpoczynku. A jego dłonie bawiły się zapalkami, pocierały je o pasek siarki i z trzaskiem i sykiem wrzucały do bagna.

Niektóre zapalki od razu gasły w mulistej wodzie. Inne trafiały na suche liście. A jeszcze inne lądowały w ciepłym wolnopalnym torfie.

Przebiegł obok jamy. Usłyszał w dole jakiś dźwięk.

Wrzucił do środka jeszcze jedną zapalkę, specjalnie dla niej.

Wszystko, co piękne, musi umrzeć. Wszystko, wszyscy, także on.

Mac i Kimberly biegli. Słyszeli trzask łamanych gałęzi i tupot nóg, który zdawał się dochodzić ze wszystkich stron. Ktoś tu był. Ennunzio? Jego brat? Mokradła nagle ożyły. Kimberly wyszarpnęła glocka i ścisnęła go kurczowo w mokrych od potu dłoniach.

– Z prawej – szepnął Mac.

Ale wtedy dźwięk rozległ się znowu, tym razem po lewej stronie.

– To przez te drzewa – wydyszała Kimberly.

– Nie możemy stracić orientacji.

– Za późno.

Kimberly poczuła na biodrze wibracje telefonu komórkowego. Chwyciła go lewą ręką, wciąż trzymając pistolet w prawej, i próbowała patrzeć we wszystkie strony naraz. Drzewa wirowały wokół niej, osaczały ją.

– Gdzie Ennunzio?! – krzyknął jej ojciec.

– Nie wiem.

– Kimberly, on kłamał. Jego brat zginął trzydzieści lat temu w pożarze. To Ennunzio jest mordercą. Prawdopodobnie ma raka mózgu, który wywołał u niego chorobę psychiczną. Traktujcie go, jakby był uzbrojony i niebezpieczny.

– Tato – powiedziała Kimberly cicho. – Czuję dym.

Tina podniosła gwałtownie głowę. Znow zapuchły jej oczy i nic nie widziała, ale słuch miała dobry. Dźwięki. Dużo dźwięków. Kroki, dyszenie, trzask łamanych gałęzi. Jakby na bagnach nagle zaroilo się od ludzi. Ratownicy!

– Halo?! – zawołała, ale z jej gardła wydobył się tylko cichy skrzek. Przełknęła ślinę, jeszcze raz spróbowała krzyknąć, z tym samym skutkiem.

Zdesperowana, usiłowała się podciągnąć. Ręce drżały, zbyt zmęczone, by utrzymać jej ciężar. Nagle znow usłyszała kroki i poczuła przypływ adrenaliny. Podźwignęła się do pozycji siedzącej, macając na ślepo w mule. Coś prześliznęło jej się między palcami, coś plusnęło obok jej dłoni.

Zapomniała o ostrożności, podniosła do ust garść błota i zaczęła je łapczywie ssać. Byle zmoczyć wyschnięte gardło i wargi. Tak niewiele brakowało.

– Halo – spróbowała jeszcze raz. – Tu, na dole!

Jej głos był trochę głośniejszy. Na chwilę zapadła cisza i Tina wyczuła w pobliżu czyjaś obecność.

– Halo, halo, halo!

– Zegar tyka – usłyszała szept dochodzący z góry. – Żar zabija. I w tej chwili coś ukuło ją w dłoń, jakby zatopiły się w niej kły.

– Au! – uderzyła się w rękę i poczuła żar. – Au au au. – Gorączkowo klepała poparzone miejsce i wcisnęła zapalną w błoto. Sukinsyn. Próbuje ją spalić!

Tego już było za wiele. Wstała chwiejnie. Podniosła zmęczone ręce nad głowę i zacisnęła pięści. Krzyknęła na całe gardło:

– Zejdź tu i stań przede mną, draniu. No, chodź. Walcz jak mężczyzna!

Nogi ugięły się pod nią. Padła w błoto, oszołomiona i zdyszana. Usłyszała, jak mężczyzna ucieka. O dziwo, brakowało jej go. Był pierwszym od wielu dni człowiekiem, którego spotkała, o ile tak to można nazwać.

Hej, pomyślała, ledwo żywa. Czuję dym.

Kimberly rozpaczliwie dmuchała w gwizdek. Trzy krótkie gwizdnięcia. Mac też gwizdał. Widzieli przed sobą dym. Podbiegli do sterty suchych liści, rozrzučili ją i zdeptali żar.

Kłęby dymu pojawiły się też po lewej stronie, a z prawej dobiegł trzask iskier. Kimberly daremnie dmuchała w gwizdek. Mac też.

Rzucili się najpierw w prawo, potem w lewo, biegli przez las i gasili dziesiątki płonących stosów.

– Potrzeba nam wody.

– Nie mamy już ani kropli.

– A wilgotne ubrania?

– Tylko to, co mam na sobie. – Mac zdjął przepoconą koszulę i ugasił nią płonący pniak.

– To Ennunzio, nie jego brat. Ma raka mózgu. Podobno mu odbiło. – Kimberly rozrzuciła nogą kolejną stertę rozżarzonych liści. Węże? Nie miała czasu się nimi przejmować.

Z prawej strony dobiegł szelest. Kimberly rzuciła się tam i podniosła broń. Przed nią przemknął jelen, a za nim dwa następne. Dopiero teraz zauważyła, jakie wokół panuje zamieszanie. Wiewiórki wdrapywały się na drzewa, ptaki wzbijały się w powietrze. Wkrótce pewnie pojawią się wydry, szopy i lisy, wszystkie stworzenia wielkie i małe rzucają się do ucieczki.

– Nienawidzi tego, co kocha, i kocha to, czego nienawidzi – powiedziała Kimberly pośpiesznie.

– Zwierzęta mądrze postępują. We dwójkę sobie nie poradzimy. Musimy stąd uciekać.

Ale Kimberly biegła już w stronę następnego kłębu dymu.

– Jeszcze nie.

– Kimberly...

– Proszę, Mac, jeszcze nie.

Oderwała przegniłą gałąź z drzewa i zagasiła nią rozrzucone płomienie. Mac zajął się następnym ogniskiem, po czym usłyszeli to. Krzyk. Odległy i ochrypły.

– Hej... Tu, na dole! Pomocy.

– Tina – wydyszała Kimberly. Pobiegli w stronę, z której dochodził głos.

Kimberly natknęła się na Tinę Krahn przypadkiem. Biegła przed siebie i nagle jej prawa stopa nie znalazła oparcia. Zachwiała się na krawędzi prostokątnej jamy, rozpaczliwie wymachując rękami, aż wreszcie Mac złapał ją za plecak i odciągnął w bezpieczniejsze miejsce.

– Muszę patrzeć pod nogi – mruknęła.

Zlany potem i umorusany sadzą, Mac zdobył się na krzywy uśmiech.

– Straciłabyś cały swój urok.

Położyli się na brzuchach i zajrzeli do otworu. Jama wydawała się dość duża, o wymiarach trzy na cztery metry, i głęboka na co najmniej sześć. Na pierwszy rzut oka widać było, że jest stara. Większość ścian pokrywały grube splątane pnącza i Kimberly poczuła pod palcami stare, przegniłe podkłady kolejowe. Nie wiedziała, kto wykopał tę jamę, ale skoro bagna zostały przekopane przez niewolników, mogła się domyślić, jakim celom służyła. Widać komuś nie chciało się przez całą noc ich pilnować. Prawdziwa nora, nie ma co...

– Halo! – krzyknęła. – Tina?

– Istniejesz naprawdę? – spytał słaby głos dochodzący z cienia. – Nie jesteś w smokingu, co?

– Neeee – odparła Kimberly powoli. Spojrzała na Maca. Przypomnieli sobie słowa Kathy Levine. Ofiary udaru cieplnego często miewają omamy.

Swąd dymu był coraz silniejszy. Kimberly zmrużyła oczy, próbując wypatrzeć w jamie ludzką sylwetkę. I nagle ją zobaczyła. Leżała na samym dole, w błocie, skulona przy głazie. Była od stóp do głów pokryta mułem i idealnie zlewała się z otoczeniem. Tylko kiedy mówiła, w ciemnościach pojawiał się ledwie widoczny błysk jej zębów.

– Wody? – wychrypiała dziewczyna z nadzieją.

– Wydostaniemy cię stamtąd.

– Chyba straciłam dziecko – szepnęła Tina. – Proszę, nie mówcie nic mamie.

Kimberly zamknęła oczy. Te słowa ją zabolaly. Oto jeszcze jedna ofiara wojny, do której w ogóle nie powinno było dojść.

– Zrzucimy ci linę. – Głos Maca był spokojny.

– Nie mogę... nie jestem Spidermanem. Zmęczona... taka zmęczona...

– Zejdź tam – mruknął Mac do Kimberly. – Wciągnę was.

– Nie mamy noszy.

– Zrób pętlę na końcu liny, tak, jak na huśtawce. Niczego lepszego nie wymyślimy.

Kimberly bez słowa spojrzała na jego ręce. Trzeba będzie wielkiej siły, by wciągnąć na górę pięćdziesięciokilogramowy ciężar, a Mac od trzech dni niemal bez przerwy był w ruchu i praktycznie wcale nie spał. Ale on tylko wzruszył ramionami. Wyczytała prawdę z jego oczu. Dym był coraz gęstszy, zaraz rozpęta się prawdziwe piekło. Nie mieli wyboru.

– Schodzę do ciebie! – krzyknęła Kimberly.

Mac wyjął linę, założył uprząż, wpiął linę w przyrząd asekuracyjny i dał Kimberly znak, że może zaczynać. Także założyła uprząż, wpięła w nią linę i Mac zaczął ją opuszczać. Usiłowała ignorować smród i nie myśleć, co może kryć się w błocie.

Kiedy znalazła się na dnie i zobaczyła dziewczynę z bliska, przeraziła się. Tina była

chuda jak szkielet. Skóra przylgnęła jej do kości, upodabniając ją do żywej mumii. Jej włosy były zmierzwione i ubłocone, oczy zapuchnięte. Pod warstwą błota widać było wielkie rany, z których ciekła krew i ropa. Czy to złudzenie, czy jedna z nich się poruszyła? Dziewczyna mówiła prawdę. W tym stanie za żadne skarby nie dałaby rady sama dostać się na górę.

– Miło mi cię poznać, Tino – powiedziała Kimberly szybko. – Nazywam się Kimberly Quincy i jestem tu, żeby cię stąd wyciągnąć.

– Woda? – szepnęła Tina z nadzieją.

– Na górze.

– Pić... gdzie jezioro?

– Zrobię pętlę na końcu liny. Musisz usiąść w niej jak na huśtawce. A potem agent McCormack wciągnie cię na górę. Gdybyś mogła odbijać się nogami od ściany, bardzo byś mu pomogła.

– Woda?

– Ile tylko zechcesz, Tino. Musisz tylko znaleźć się na górze. Dziewczyna powoli pokiwała głową. Wydawała się otumaniona i rozkojarzona, jakby lada chwila miała stracić przytomność. Kimberly pospiesznie zawiązała linę pod jej pachami.

– Gotowy?! – krzyknęła.

– Tak! – krzyknął Mac i Kimberly usłyszała niepokój w jego głosie. Najwyraźniej ogień był już blisko.

– Tino – powiedziała z naciskiem. – Jeśli chcesz wody, musisz się ruszyć. I to już.

Podniosła dziewczynę i lina naprężyła się. Tina zdawała się mniej więcej rozumieć, czego od niej oczekują; słabo wymachiwała nogami, próbując sięgnąć ściany. Z góry dobiegło stęknienie. Mac zaczął ciągnąć linę.

– Woda jest na górze, Tino. Woda jest na górze.

I wtedy Tina zrobiła coś, czego Kimberly się nie spodziewała. Ocknęła się z oszołomienia i zaczęła wstawiać stopy w małe przerwy między belkami. Naprawdę próbowała pomóc Macowi.

Pięła się coraz wyżej, ku wolności. Zaraz wydostanie się z tej ciemnej nory.

A Kimberly na chwilę zrobiło się lżej na sercu. Stała nieruchomo i, patrząc na tę wyczerpaną dziewczynę, poczuła satysfakcję i cudowny spokój. Zrobiła coś dobrego. Wreszcie coś jej się udało.

Tina zniknęła za krawędzią otworu. Po chwili koniec liny spadł na dół.

– Szybko! – warknął Mac.

Kimberly wpięła się do liny i wykorzystując zagłębienia w ścianie, pospiesznie weszła na górę.

Wystawiła głowę z jamy w porę, by zobaczyć nadciągającą ścianę płomieni, która pochłonęła drzewa.

Rozdział 47

Disraal Swamp, Wirginia

14.39

Temperatura: 40 stopni

Potrzebujemy śmigłowców, ludzi, i w ogóle wszelkiej pomocy. Quincy zatrzymał się przy skupisku samochodów i zobaczył cienkie słupy dymu przesłaniające błękitne niebo. Jeden, dwa, trzy – było ich kilkanaście. Odwrócił się do leśnika, który wykrzykiwał komendy do krótkofalówki.

– Co się dzieje, do cholery?

– Pożar – odparł mężczyzna szorstko.

– Gdzie moja córka?

– To turystka? Z kim jest?

– Szlag by to. – Quincy zauważył Raya Lee Chee wytaczającego się z samochodu i ruszył ku niemu. Rainie poszła za nim. – Co się stało?

– Nie wiem. Pojechałem nad jezioro Drummond. Zaraz potem usłyszałem gwizd i poczułem dym.

– Gwizd?

– Trzy krótkie sygnały, wezwanie pomocy. Z północnowschodniego kwadrantu. Jechałem w tamtą stronę, ale, o rany, dym był za gęsty. Uznaliśmy z Brianem, że lepiej się zmyć, dopóki jeszcze możemy. Nie mamy odpowiedniego sprzętu.

– A co z resztą?

– Widziałem, jak Kathy z Lloydem biegli do samochodu. Nie wiem, co z Kimberly, Makiem i tym doktorem.

– Jak dojechać do jeziora Drummond?

Ray spojrział najpierw na niego, a potem na kłęby dymu.

– Teraz to niemożliwe.

Mac i Kimberly prowadzili Tinę między sobą, zarzuciwszy sobie jej ręce na barki. Dziewczyna była twarda, i przebierała nogami, by im pomóc, ale na próżno. Już wiele dni temu zasób jej sił się wyczerpał. Im bardziej próbowała biec razem z nimi, tym częściej się potykała i przechylała na boki, przez co wszyscy tracili równowagę.

Ich ruchy były zbyt niezdarne, by mogli uciec; ogień za szybko ich doganiał.

– Wezmę ją – rzucił Mac.

– Jest za ciężka...

– Zamknij się i mi pomóż. – Zatrzymał się i pochylił. Tina zarzuciła Macowi ręce na szyję, a Kimberly podsadziła ją na plecy.

– Wody – wychrypiała dziewczyna.

– Jak wyjdziemy z lasu – obiecał Mac. Nie mieli serca powiedzieć jej, że nie została im

ani kropla. Inna sprawa, że jeśli w ciągu pięciu minut jakimś cudem nie znajdą samochodu, to woda i tak na nic im się nie zda.

Zaczęli biec. Kimberly straciła orientację i poczucie czasu. Potykając się, omijała drzewa i przedzierała się przez gęste zarośla. Dym gryzł ją w oczy i drapał w gardle, wywołując kaszel. Dobra wiadomość była taka, że owady zniknęły. Gorzej, że Kimberly nie wiedziała, czy kierują się na północ, południe, wschód czy zachód. Bagno otaczało ich ze wszystkich stron i od dawna nie miała pojęcia, gdzie właściwie jest.

Za to Mac zdawał się znać drogę. Biegł z zaciętą twarzą, jakby postanowił, że wyjdą stąd razem albo wcale.

Po lewej stronie mignął jakiś duży niezgrabny kształt. Kimberly odwróciła się i, ku swojemu przerażeniu, zobaczyła niedźwiedzia, który przebiegł trzy metry od niej. Zwierzę nawet na nich nie spojrzało. Za nim pędziły jelenie, lisy, wiewiórki, pojawiło się nawet kilka węży. Wszystkie żywe istoty uciekały z lasu, w obliczu silniejszego wroga, zapominając o zasadach łańcucha pokarmowego.

Pot spływał po ich rękach i nogach. Tina zaczęła bełkotać, głowa opadła jej na ramię Maca. Dym wdzierał się w ich płuca, z coraz większym trudem łapali powietrze.

Przecisnęli się z trudem między dwoma strzelistymi drzewami, ominęli gęste chaszczce i stanęli twarzą w twarz z Ennunziem. Siedział na ziemi, oparty o drzewo. Nie wyglądał na zaskoczonego, kiedy wynurzyli się z kłębow dymu.

– Nie trzeba uciekać od płomieni – mruknął i wtedy Kimberly zobaczyła, co leży przed nim. Zwój brązowej cełkowanej skóry. Na tyłce Ennunzia widać było dwie czerwone plamki, ślad po ukąszeniu grzechotnika.

– Zastrzeliłem go – odpowiedział na ich niezadane pytanie. – Ale on był szybszy. Mówi się trudno. Teraz już nie ucieknę. Trzeba czekać. Znieść karę jak mężczyzna. Jak sądzicie, o czym myślał mój ojciec za każdym razem, kiedy słyszał nasz krzyk? O, widzę, że ją znaleźliście. To dobrze. Miałem nadzieję, że chociaż z jedną wam się uda.

Kimberly, wściekła, ruszyła w jego stronę i leżąca na ziemi dłoń Ennunzia natychmiast drgnęła. Trzymał w niej pistolet.

– Nie uciekajcie od ognia – powiedział poważnym tonem. – Próbowałem to zrobić trzydzieści lat temu i widzicie, jak to się skończyło. Usiądźcie. Zostańcie tu chwilę. Ból trwa krótko.

– Umierasz – stwierdziła Kimberly beznamiętnie.

– Jak my wszyscy, prawda?

– Ale nie dziś. Słuchaj... chcesz, to tu sobie siedź. Giń w swoim ukochanym ogniu. Ale my stąd spadamy.

Zrobiła następny krok i Ennunzio natychmiast podniósł pistolet.

– Zostań – powiedział stanowczym tonem i zobaczyła w jego oczach szalony dziki błysk.

– Musicie umrzeć. Tylko tak można znaleźć spokój.

Kimberly zacisnęła usta w wąską kreskę. Kątem oka zerknęła na Maca. Miał pistolet, ale ponieważ musiał podtrzymywać Tinę, nie mógł wykonać żadnego szybkiego ruchu. Kimberly spojrzała na Ennunzia. Teraz wszystko było w jej rękach.

– Jesteś Frank czy David? – spytała.

– Frank. Jak zawsze. – Ennunzio lekko się skrzywił. – Ale powiedzcie ci coś głupiego? Na początku próbowałem udawać, że jestem kimś innym. Że mordercą był Davey, który wrócił, by robić te straszne rzeczy, bo ja, jego starszy brat, Frank, uciekłem stamtąd i nie zamierzałem być taki, jak reszta rodziny. Tyle że oczywiście nie robił tego Davey. On dostał o jeden cios za dużo. Stracił nadzieję. Miał wybór, uciec albo umrzeć, i wybrał śmierć. Dlatego to ja musiałem polować na te niewinne dziewczyny, nikt inny. Zrozumiałem to, kiedy wycięli mi guza. To ja czyniłem zło. Tak kazał mi ogień. Chciałem przestać. Ale ból wrócił i co noc śniły mi się ciała w lesie.

Dym był coraz gęstszy. Kimberly poczuła, że żar smagający jej plecy jest coraz silniejszy.

– Gdybyśmy założyli opatrunek uciskowy nad ukąszeniem, miałbyś szansę przeżyć – kusiała go rozpaczliwie. – Mógłbyś wydostać się z mokradeł, zdobyć odtrutkę i zgłosić się do psychiatry. Może by ci pomógł.

– Ale ja nie chcę żyć.

– A ja chcę.

– Dlaczego?

– Bo życie to nadzieja. Nie można jej tracić, trzeba ciągle próbować.

I dlatego, że pochodzę z rodziny, w której szczerłość uchodziła za cnotę. – Ennunzio przeniósł wzrok na Maca. To była okazja, na którą czekała. Tłumiąc kaszel, Kimberly podniosła glocka i wymierzyła w głowę Ennunziona. – Rzuć broń, Frank. Przepuść nas, bo więcej nie zobaczysz swojego ukochanego ognia.

Ennunzio tylko się uśmiechnął.

– No, strzelaj.

– Odłóż broń.

– Strzelaj.

– A sam się zastrzel! Nie po to tu jestem, żeby skrócić twoje męki. Chcę uratować tę dziewczynę. Znaleźliśmy ją i idziemy. – Dym był tak gęsty, że Kimberly prawie nic nie widziała.

– Nie – powiedział Ennunzio wyraźnie. – Jeśli się ruszycie, to strzelę. Naciągają płomienie. Znieście karę jak mężczyźni.

– Tchórz jesteś! – wrzasnęła Kimberly. – Wyladowujesz złość na innych, choć tak naprawdę zawsze wiedziałeś, że najbardziej nienawidzisz siebie.

– Ratowałem ludzi.

– Wymordowałeś własną rodzinę!

– Bo tego chcieli.

– Gówno prawda! Chcieli pomocy. Zastanawiałeś się kiedyś, kim mógłby być twój brat? Na pewno nie skończyłby jako seryjny morderca, zabijający młode dziewczyny.

– Davey był słaby. Potrzebował mojej ochrony.

– Davey potrzebował rodziny, a ty go jej pozbawiłeś! Zawsze myślałeś tylko o sobie, Ennunzio. Nie o tym, czego potrzebowali twój brat, twoja mama czy przyroda. Zabijasz, bo chcesz zabijać. Bo to ci poprawia samopoczucie. I może właśnie dlatego tamtego dnia Davey

został w domu. Znał już prawdę, wiedział, że z całej rodziny to ty jesteś najgorszy.

Twarz Ennunzia spurpurowiała, pistolet drżał w jego dłoni. Ogień był niebezpiecznie blisko. Czowała gryzący odór osmalonych włosów. Zostało niewiele czasu. Jemu, jej, im wszystkim.

Odetchnęła głęboko. Zaczekała, raz, dwa, trzy. W lesie rozległ się głośny huk eksplodującego starego pnia. Ennunzio odruchowo spojrział w jego stronę. Wtedy Kimberly skoczyła ku niemu, kopnęła go w rękę i broń wylądowała daleko w krzakach. Po drugim kopniaku Ennunzio zgiął się wpół. Od trzeciego odskoczyła mu głowa.

Już miała go dobić, kiedy usłyszała jego ochryply śmiech.

– Znieś to jak mężczyzna – zaskrzeczał. – Na Boga, chłopcy, szkoda waszych żalonych krzyków. Podnieście głowę, kiedy was biję. Stójcie prosto. Patrzcie mi w oczy i znieście karę jak mężczyźni. – Ennunzio znów parsknął chrapliwym, głuchym śmiechem, od którego przeszły ją ciarki.

Podniósł głowę. Spojrział Kimberly prosto w oczy.

– Zabij mnie – powiedział głośno i wyraźnie. – Proszę. Byle szybko. Kimberly podeszła do niego.

– Dość wymówek, Ennunzio. Chcesz umrzeć, to zabij się sam. Odwróciła się do Maca i Tiny. Ogień był tak blisko, że parzył jej twarz.

Jej uwagę zaprzętał jednak Mac, jego spokojne niebieskie oczy, jego muskularne ciało. Ani przez chwilę nie wątpił, że Kimberly poradzi sobie z Ennunziem. A teraz gotów był wyciągnąć ją i Tinę Krahn z ognia. Życie to ciągle dokonywanie wyborów, pomyślała Kimberly. Człowiek żyje, umiera, walczy, ucieka, ma nadzieję, boi się, kocha, nienawidzi. Żyje przeszłością albo dniem dzisiejszym. Kimberly spojrzała na Maca, potem na Tinę, i wybór stał się prosty.

– Idziemy – rzuciła.

Zaczęli biec. Zza ich pleców dobiegał skowyt Ennunzia. A może śmiech? Teraz ogień rozprzestrzenił się szybko. Płomieni nic nie powstrzyma.

Nadciągnęła ściana ognia i, w taki czy inny sposób, Ennunzio wreszcie zaznał spokoju.

Dziesięć minut później znaleźli samochód. Ułożyli Tinę na tylnym siedzeniu, a sami zajęli miejsca z przodu. Mac wyjął kluczyki, zapalił silnik i pomknęli płaską trawiastą drogą, omijając uciekające zwierzęta.

Kimberly usłyszała ryk, który zdawał się dochodzić z piekła, po czym niebo nad ich głowami zaroilo się od śmigłowców ratowniczych i samolotów służb leśnych. Nadciągnęła kawaleria i profesjonaliści, którzy podejmą walkę z ogniem i uratują, co się da.

Wyjechali z mokradeł i zatrzymali się z piskiem opon na parkingu zastawionym samochodami.

Mac wyskoczył pierwszy.

– Szybko, lekarza!

Sanitariusze podali Tinie wodę i obłożyli ją workami z lodem, a Quincy z Rainie pobiegli przez parking w stronę Kimberly, ale Mac uprzedził ich i pierwszy wziął ją w ramiona. Oparła głowę na jego piersi. On objął ją i nareszcie wszystko było tak, jak trzeba.

Z tłumu wyłoniła się Nora Ray i podeszła do Tiny.

– Betsy? – szepnęła Tina. – Viv? Karen?

– Cieszę się, że jesteś bezpieczna – powiedziała Nora Ray cicho i kucnęła u jej boku.

– Nic im nie jest?

– Cieszę się, że jesteś bezpieczna. Wtedy Tina zrozumiała. Zamknęła oczy.

– Chcę do mamy – jęknęła i rozplakała się.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniła ją Nora Ray. – Musisz mi uwierzyć. Spotkało cię coś złego, ale nadal żyjesz. Wygrałaś.

– Skąd wiesz?

– Bo trzy lata temu ten sam człowiek uprowadził mnie.

Tina wreszcie przestała płakać. Spojrzała na Norę Ray przekrwionymi oczami.

– Wiesz, dokąd mnie zabiorą?

– Nie, ale jeśli chcesz, zostanę przy tobie.

– Wzajemna pomoc? – szepnęła Tina.

A Nora Ray wreszcie się uśmiechnęła. Ścisnęła dłoń Tiny i powiedziała:

– Po grób.

EPILOG

Quantico, Wirginia

10.13

Temperatura: 31 stopni

Biegła przez las na złamanie karku. Liście zaczepiały się o jej włosy, nisko rosnące gałęzie smagały twarz. Przeskoczyła przez przewrócone kłody i rzuciła się w pełnym biegu na czterometrową ścianę. Złapała linę, zaparła się nogami. I pięła się wyżej i wyżej, z mocno bijącym sercem, ciężko dysząc.

Weszła na górę, skąd miała wspaniały widok na gęsty zielony las, po czym zsunęła się po drugiej stronie. Teraz opony. Raz, dwa, trzy, przeskakiwała z nogi na nogę tak, by trafić stopą w środek każdej z nich. Potem zgarbiła się jak żółw i przeczołgała przez wąską metalową rurę. Już tylko ostatnia prosta. Słońce na twarzy. Wiatr we włosach.

Kimberly wpadła na metę, Mac wyłączył stoper i powiedział:

– Skarbie, to ma być dobry czas? Znam gości, którzy uwinęliby się dwa razy szybciej.

Kimberly skoczyła mu na pierś. Przewidując jej atak, stanął w rozkroku. Tyle że w zeszłym tygodniu nauczyła się nowego chwytu i po chwili Mac leżał już na plecach.

Oddychała ciężko, pot perlił się na jej twarzy i rozlewał na granatowej podkoszulce z logo Akademii FBI. Tym razem jednak dla odmiany była uśmiechnięta.

– Gdzie nóż? – mruknął Mac z łobuzerskim błyskiem w oku.

– Chciałbyś, co?

– Proszę, błagam, mogę ci jeszcze naubliżyć, jeśli sobie tego życzysz.

– Nie da się ukończyć biegu dwa razy szybciej.

– No, mogłem trochę przesadzić. – Jego dłonie spoczęły na jej nagich nogach i przesunęły się z kostek aż do gumki nylonowych szortów. – Ale ja jestem co najmniej o dwie sekundy szybszy.

– Faceci mają silniejsze barki – rzuciła Kimberly. – Łatwiej im wspiąć się na ścianę.

– No, życie jest nie fair, co? – Nagle przewrócił się na bok i teraz to ona leżała na ziemi, a on pochylał się nad nią. Unieruchomiona, zrobiła to, co nakazywał rozsądek; poderwała się, złapała go za ramiona i wycisnęła na jego ustach długi, namiętny pocałunek.

– Stęskniłaś się? – wydyszał po trzech sekundach.

– Nie. Nie bardzo.

Z lasu dobiegały głosy. Inni studenci, korzystając z pięknej pogody, także postanowili poświęcić sobotę na ćwiczenia. Mac podniósł się z ociąganiem. Kimberly zerwała się bardziej energicznie i pospiesznie otrzepała włosy. Studentów było już widać w oddali, właśnie zaczęli wspinać się na ścianę. Mac i Kimberly schowali się w lesie.

– Jak leci? – spytał Mac, kiedy weszli w głęboki zielony cień.

– Powolutku.

Zatrzymał się, wziął ją za rękę i odwrócił ku sobie.

– Nie, Kimberly, pytam serio. Jak leci?

Wzruszyła ramionami. Jaka szkoda, że na jego widok tak bardzo chciała go objąć albo wtulić głowę w jego ramię. Że kiedy patrzyła na niego, kręciło jej się w głowie. Cóż, takie jest życie, a jej życie ostatnio wypełnione było obowiązkami.

– Niektórzy studenci nie są zbyt zadowoleni, że tu jestem – przyznała w końcu. Prawie miesiąc temu wznowila studia. Nie wszyscy członkowie władz uczelni byli zachwyceni, ale Rainie miała rację: wszyscy winią nieudaczników, z bohaterem nikt się nie spieka. Dramatyczna akcja ratunkowa, w wyniku której Kimberly i Mac ocalili Tinę Krahn, niemal przez tydzień nie schodziła z pierwszych stron gazet. Kiedy zadzwoniła do Marka Watsona i spytała czy może wrócić do akademii, załatwił jej nawet osobny pokój.

– Recykling to przykra sprawa?

– Tak, jestem outsiderem, który pojawił się w połowie roku akademickiego. Co gorsza, mam reputację, którą połowa chce podważyć, a druga połowa uważa, że na nią nie zasługuje.

– Są złośliwi? – spytał poważnie, podnosząc kciukiem jej podbródek.

– Ktoś podrzucił mi za krótki koc. O mój Boże, zgroza. Chyba poskarżę się tatusiowi.

– Co zrobiłaś w odwecie? – spytał Mac bez namysłu.

– Jeszcze się nie zdecydowałam.

– Ojej.

Ruszyła dalej. Po chwili zrównał się z nią.

– Dam radę, Mac – powiedziała z poważną miną. – Zostało pięć tygodni, poradzę sobie. A jeśli nawet niektórzy mnie nie lubią, mówi się trudno. Bo lubią mnie inni, a ja jestem dobra w tym, co robię. Jeśli zdobędę więcej doświadczenia, będę jeszcze lepsza. Kto wie, może pewnego dnia nawet wykonam czyjeś polecenie? Pomyśl, co wtedy robi FBI.

– Staniesz się ich nową tajną bronią. Mac nie krył podziwu.

– No właśnie – pokiwała głową. A jako że nie była głupia, przyjrzała mu się uważnie. – No, to czemu tu przyjechałeś, Mac? I nie mów, że brakowało ci mojego uśmiechu. Wiem, że ostatnio jesteś zbyt zajęty, by składać wizyty.

– Zawsze musi być jakiś powód, co?

– Przynajmniej teraz.

Westchnął, zrobił minę, jakby żałował, że nie przychodzi mu do głowy żadna zgrabna riposta, po czym najwyraźniej postanowił przejść do rzeczy:

– Znaleźli zwłoki Ennunzia.

– To dobrze. – Ugaszenie pożaru torfowiska zajęło kilka tygodni. Dobra wiadomość była taka, że dość szybko udało się go opanować. Niestety, przez następny miesiąc tłący się torf co jakiś czas zapalał się na nowo i służby leśne musiały być w ciągłym pogotowiu.

W tym czasie ochotnicy usuwali skutki pożaru i szukali ciała mordercy. W miarę upływu kolejnych tygodni wszyscy zaczęli się niepokoić, a szczególnie Kimberly.

– Dotarł dalej, niż można się było spodziewać – ciągnął Mac. – Pewnie jak zawsze był niezdecydowany i w ostatniej chwili uznał, że jednak warto żyć. Przeszedł prawie półtora kilometra, mimo pokąsanej nogi. Kto wie co go w końcu zabiło? Może jad dostał się do jego serca, może udusił go dym albo się spalił.

– Zrobili sekcję?

– Wczoraj. Kimberly, on nie miał raka.

Zatrzymała się w pół kroku, zamrugwała gwałtownie i przeczeswała palcami włosy.

– No tak, nic dziwnego – mruknęła. – Facet był tak porąbany, że za swoje czyny winił wszystkich oprócz siebie. Matkę, brata, a nawet chorobę, której nie miał. To już szczyt wszystkiego.

– Ściśle mówiąc, kiedyś miał raka – powiedział Mac. – Lekarze potwierdzili, że trzy lata temu usunięto mu guza. Według nich, nowotwór rzeczywiście może wywołać skłonność do przemocy. Słyszałem, że w Teksasie był seryjny morderca, który tym właśnie usprawiedliwiał swoje zbrodnie.

– Charles Whitman – mruknęła Kimberly. – Zakłuł matkę nożem, potem zabił żonę, a na koniec wszedł na wieżę zegarową w kampusie uniwersytetu stanowego i zaczął strzelać do ludzi. Zabił osiemnaście osób i ranił trzydzieści, zanim go zabili. Zostawił list, nie? Pisał, że chce, by zrobiono sekcję jego zwłok, bo był pewien, że z jego zdrowiem coś jest nie tak.

– Zgadza się. Sekcja wykazała, że miał mały guz na podwzgórzu, co, zdaniem niektórych specjalistów, mogło wpłynąć na jego zachowanie, choć inni temu zaprzeczają. Kto wie? Może Frankowi Ennunzio spodobała się ta historia. Może zrobiła na nim wrażenie, zwłaszcza kiedy dowiedział się, że on sam też ma raka. Ale tym razem okazało się, że to tylko wymówka.

– Rozgryzłeś go na samym początku. Dlaczego Ekomorderca zabija tylko młode kobiety? Bo chce. Czasem wyjaśnienie jest proste.

– Facet miał jednak wyrzuty sumienia – stwierdził Mac, wzruszając ramionami. – Dlatego zostawiał wskazówki, kontaktował się z policją i wciągał nas w swoją grę. Z tego samego powodu włączył się w śledztwo i pilnował, żebyśmy nie zgubili tropu. Na podstawie listów opisał mordercę jako człowieka, który czuje potrzebę zabijania, ale jednocześnie chce, by ktoś go powstrzymał. Może w ten pokrętny sposób próbował się wytłumaczyć.

Kimberly jednak zdecydowanie pokręciła głową.

– Jesteś pewien, że chciał pomóc? A może chodziło o to, by wyrządzić krzywdę jak największej liczbie osób? To człowiek, który nienawidził ojca, ale zabił matkę i brata. Atakował młode kobiety, ale jednocześnie narażał na niebezpieczeństwo ratowników. Nie sądzę, żeby dzwonił do ciebie, dlatego że chciał, byś go złapał. Chodziło o to, by wciągnąć w grę jak najwięcej ludzi. Śmierć nie robiła na nim wrażenia. Gdyby mógł, wtedy na bagnach zabiłby i nas.

– Pewnie masz rację.

– Dobrze, że nie żyje.

– Skarbie, mnie też nie jest przykro z tego powodu.

– Co z samochodami dziewczyn? – spytała.

– Dobrze, że o tym wspomniałaś, bo chyba znaleźliśmy jeden z nich.

– Gdzie?

– W wąwozie Tallulah, zamaskowany siatką, zieloną farbą i liśćmi. Sprawdzamy pozostałe miejsca, może samochody ofiar są gdzieś w pobliżu.

Znaleźliśmy też jego bazę – miał chatkę w lesie, niedaleko stąd. Typowo wiejska,

przypomina domek myśliwski. Wewnątrz były łóżko polowe, butelki z wodą, paczki krakersów, pistolet na strzałki i duży zapas środków usypiających. Starczyłoby mu na długo.

– No to tym bardziej się cieszę, że nie żyje. A co u Tiny?

– Jest w Minnesocie, u mamy – zameldował Mac. – Nora Ray mówiła mi, że tuż przed porwaniem Tina dowiedziała się, że jest w ciąży. Niestety, straciła dziecko i ciężko to przeżywa. Ale matka podobno bardzo jej pomaga i Tina przez resztę lata ma dochodzić do siebie w domu, a potem zobaczy, co dalej. Straciła trzy najlepsze przyjaciółki, nie wiem, jak można się z czymś takim pogodzić. Za to bardzo zbliżyły się z Norą Ray. Może pomogą sobie nawzajem. Nora Ray chce wpaść do niej za kilka tygodni. Lato w Minnesocie jest chłodniejsze, a to jej odpowiada. No dobra, twoja kolej. Co u ojca i Rainie?

– Siedzą w Oregonie. Do czasu, aż skończą studia, nie zamierzają robić nic, tylko łązić po plaży i grać w golfa. Jak znam ojca, pewnie po dwóch dniach złapie się za pierwsze śledztwo, o jakim usłyszy. Gliniarze z Oregonu nie wiedzą, co ich czeka.

– Bez trupa ani rusz? – zażartował Mac.

– Coś w tym stylu.

– A ty? – Delikatnie przesunął palcem po jej policzku, po czym położył dłonie na jej biodrach. – Co będziesz robiła za pięć tygodni?

– Jestem nowym agentem – powiedziała Kimberly cicho. Oparła ręce na jego twardych barkach. – Tacy jak ja niewiele mają do powiedzenia. Gdzie dostanę przydział, tam pojadę.

– A pytają was o preferencje?

– Tak. Powiedziałam, że najbardziej odpowiadałaby mi Atlanta. Bez powodu, oczywiście.

– Bez powodu? – Dłonie Maca powędrowały w górę, a jego kciuki musnęły jej piersi.

– No dobra, powód by się znalazł.

– Kiedy będziesz wiedziała?

– Wczoraj.

– To znaczy...

Uśmiechnęła się. Zrobiło jej się trochę głupio i opuściła głowę. Nie była stuprocentowo pewna, co Mac sobie pomyśli. Ostatnio mieli tak dużo pracy i nigdy nic nie wiadomo...

– No, miałam szczęście. Biuro w Atlancie jest dość duże i potrzeba im sporo agentów. Pewnie będę musiała nauczyć się mówić z południowym akcentem i pić hektolitry coli.

– Chcę przedstawić cię mojej rodzinie – powiedział Mac bez namysłu i wziął Kimberly w ramiona. W jego niebieskich oczach tańczyły wesołe ogniki. Schylił się i ją pocałował.

– Będzie fajnie!

– Biorę ze sobą nóż – ostrzegła słabym głosem.

– Moja siostra się ucieszy.

– Nie chcę ci się narzucać. Wiem, że oboje będziemy zajęci.

– Zamknij się i daj buziaka.

– Mac...

– Jesteś piękna, Kimberly, i kocham cię.

Wzięła go za rękę. Szepnęła coś. Pocałowała go szybko. Ruszyli przez las. W drzewach szumiał wiatr, a nad ich głowami łagodnym blaskiem świeciło słońce.

PODZIĘKOWANIA

Aby napisać tę powieść, musiałam zdobyć sporo informacji. Miałam zaszczyt ponownie odwiedzić Akademię FBI – doskonały sposób spędzania weekendu, gorąco polecam – i mogłam lepiej poznać życie w bazie marynarki wojennej. Zrobiłam, co w mojej mocy, by wiernie opisać siedzibę akademii i jej atmosferę. Jednak co się tyczy niektórych anegdot i obyczajów, niech czytelnik ma się na baczności. Akademia jest żywą instytucją, stale zmieniającą się w zależności od roku, słuchaczy i potrzeb Biura. Często jeden agent opowiadał mi o takim czy innym zwyczaju panującym za jego czasów, inny natomiast twierdził, że w życiu o czymś takim nie słyszał. Jak na wytrawną pisarkę przystało, spośród licznych anegdot wybrałam te, które spodobały mi się najbardziej, i przedstawiłam je w książce jako świętą prawdę. Taka jest moja wersja wydarzeń i jej zamierzam się trzymać.

Choć rozmowa z agentami FBI zawsze jest dla mnie przyjemnością szczególnie wrażenie wywarli na mnie ludzie, których poznałam za pośrednictwem Wydziału Badań Geologicznych z Richmond w Wirginii. Potrzebni mi byli eksperci od przyrody, i słowo daję, trafiłam na żyłę złota. Nie dość że z anielską cierpliwością tłumaczyli mi zawiloci analizy próbek wody, to na dodatek sporządzili niesamowitą listę idealnych miejsc do popełnienia zabójstwa. Zabrali też mojego męża i mnie na wycieczkę po polecanych przez nich miejscach zbrodni, co na wiele tygodni wybiło nam z głowy wszelkie wygłupy.

Poniżej zamieszczam dość obszerną listę przemitych ludzi, którzy odrywali się od swoich interesujących zajęć tylko po to, by odbierać telefony ode mnie. W dobrej wierze udostępnili mi wiarygodne informacje. Co się z tymi informacjami stało, to już tylko i wyłącznie moja wina.

Najpierw eksperci od spraw związanych z ziemią: Jim Campbell, szef podokręgu, Wydział Badań Geologicznych, David Nelms, hydrolog, Wydział Badań Geologicznych, George E. Harlowjr, hydrolog, Wydział Badań Geologicznych, Randall C. Orndorff, geolog, Wydział Badań Geologicznych, William C. Burton, geolog, Wydział Badań Geologicznych, Wil Orndorff, koordynator ochrony krasu, Departament Ochrony Przyrody i Wypoczynku Stanu Wirginia, Wendy Cass, botanik, Park Narodowy Shenandoah, Ron Litwin, palinolog, Wydział Badań Geologicznych.

W drugiej kolejności, eksperci od leków: Margaret Charpentier, Celia MacDonnell.

W trzeciej kolejności, eksperci od procedur: agent specjalny Nidia Gamba, FBI, Nowy Jork, doktor Gregory K. Moffatt, wykładowca psychologii, Atlanta Christian College, Jimmy Davis, komendant policji w Snell w stanie Georgia.

W czwartej kolejności, aktorzy drugoplanowi: Melinda Carr, Diana Chadwick, Barbara Ruddy i Kathleen Walsh za nieocenioną pomoc przy korekcie, mój mąż Anthony, który tym razem nie musiał robić czekolady, ale za to zmuszony był rozpakować cały dom, gdy mnie ścigały terminy. Oby to była ostatnia przeprowadzka, kochanie.

Poza tym najserdeczniejsze podziękowania należą się Kathy Sampson, która na dobroczynnej aukcji wielkodusznie kupiła swojej córce, Alissie Sampson, epizod w tej powieści. Właściwie nie wiem, czy dobrze jest być postacią z mojej książki, ale jestem

wdzięczna Kathy za jej dar i mam nadzieję, że powieść spodoba się Alissie.

Na koniec pragnę uczcić pamięć mojej babci, Harriette Baumgartner, która podsuwała mi moje ulubione książki, piekła najlepsze ciasteczka czekoladowe na świecie i wszystkich nas nauczyła kilkunastu sposobów stawiania pasjansa. Dziękuję, babciu.

Milej lektury Lisa Gardner